



LANIAM  
ZROZUMIEM

Małgorzata  
Mroczkowska



*L*ANIM  
ZROZUMIEM



Noc była upalna, prawdziwie czerwcową. Jechali główną ulicą miasta; witryny zamkniętych o tej porze sklepów patrzyły na nich oczami manekinów ubranych w najmodniejsze kreacje. Przez uchylone okno słyszeli muzykę graną w klubie, który właśnie mijali. Była sobota, ludzie bawili się, odreagowując ciężki tydzień pracy.

Jechali w milczeniu.

Piotr prowadził pewnie, ale spokojnie.

– Przez cały wieczór nic nie wypiełeś – powiedziała, wystawiając rękę za okno. – Nie szkoda ci było? Przecież mogliśmy wziąć taksówkę.

– Wypiliśmy z ojcem tylko pół lampki wina. Nie miałem ochoty na alkohol – odpowiedział, ruszając na światłach. – Przecież wiesz, że nie muszę pić, żeby dobrze się bawić.

– Wino, które twój ojciec przywiózł z Grecji, było naprawdę wyśmienite.

– Cieszę się, że ci smakowało.

– Musisz kupić nam takie samo. I koniecznie zapytaj ojca, czy nie przywiózł jeszcze jednej butelki.

– Dobrze, zapytam.

Bawiła się nocnym wiatrem, który przelatywał jej między palcami.

– Nie wszyscy mężczyźni potrafią odpowiednio dobrać rodzaj wina do kolacji – stwierdziła. – Ale twój ojciec ma pod tym względem u mnie ogromnego plusa. Jest doskonały w wybieraniu najlepszych gatunków.

Przyznał jej rację.

Skręcili w Belwederską, która łagodnym łukiem biegła wzdłuż południowej części Łazienek. Minęli majestatyczny pałac ambasady rosyjskiej. Jasno oświetlony, nocą wydawał się jeszcze większy niż za dnia.

– Chciałem ci podziękować, kochanie – powiedział, kładąc dłoń na jej udzie.

Pod palcami czuł satynową gładkość jej sukienki w kolorze butelkowej zieleni, którą kupili razem w zeszłym tygodniu specjalnie na tę okazję.

– Za co chcesz mi podziękować? – Dotknęła jego dłoni.

– Za cały wieczór.

– To raczej zasługa twojej mamy, to ona wszystko przygotowała, ja tylko pomogłam jej przenieść sałatkę do ogrodu.

– Cieszę się, że tak dobrze się dogadujecie, Joanno.

– Nie widzę w tym nic dziwnego. Mówisz tak, jakby twoja mama była jakimś potworem, a to przecież taka wspaniała, wykształcona kobieta.

– Wiesz jak to bywa między synowymi i teściowymi. – Uśmiechnął się pod nosem. – Cieszę się, że ty jesteś inna.

– Nie przesadzaj.

– Nie przesadzam.





Oparła się wygodnie i przymknęła powieki. W głowie słyszała słowa matki Piotra, która w pewnym momencie poprosiła Joannę do kuchni, by ta pomogła jej przelać poncz do dzbanka.

– Dzisiaj już nikt nie podaje ponczu... – zauważyła, otwierając przed Joanną drzwi. – Ale ja uwielbiam te nasze rodzinne tradycje. A poncz jest jedną z nich. Przypomina mi nasze najlepsze lata. Byliśmy wtedy młodzi i poncz piło się na każdym kulturalnym przyjęciu.

Joanna nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie miała pojęcia o trunkach, które podawano na spotkaniach w latach osiemdziesiątych, bo jej rodzice raczej na takowe nie chodzili. Jedyne wyjścia rodzinne, jakie pamiętała, ograniczały się do wizyt imieninowych u ciotek i dalekich wujków, na których piło się wyłącznie dobrze schłodzoną wódkę. Dzieciom podawano w tym czasie wiśniowy kompot w wysokich szklankach. Raz nawet Joanna niechcący jedną stłukła. Matka spojrzała na nią karcąco, ale ciotka powiedziała, że w takim dniu rozbite szkło może tylko przynieść szczęście.

– Nie masz pojęcia, ile dla mnie znaczy to, że jesteście z Piotrem tak dobrani – powiedziała teściowa Joanny, zapalając papierosa. – Dzisiaj tak trudno odnaleźć swoją drugą połówkę, a wy wyglądacie na takich szczęśliwych.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że jesteśmy małżeństwem.

– No tak, w końcu od waszego ślubu minęło zaledwie pół roku. – Strzepnęła popiół z papierosa do okrągłej szklanej popielniczki. – I jak się w tym wszystkim odnajdujesz, moja droga?

Joanna wyjęła z koszyka bochenek chleba i zaczęła go ostrożnie kroić na równe kromki.

– Dobrze – odpowiedziała z uśmiechem. – Właśnie tak to sobie wyobrażałam.

– Pamiętam, że kiedy ja brałam ślub z ojcem Piotra, nie mieliśmy nawet własnego samochodu, którym można by było pojechać do kościoła. Mieszkanie dostaliśmy dopiero po siedmiu latach małżeństwa. Nie mieliśmy nic, tylko, puste półki w sklepach i śpioszki po dzieciach znajomych. Straszne czasy, ale kochaliśmy się bardzo i dlatego przetrwaliśmy. Dzisiaj jest inaczej, ludzie mają wszystkiego w bród już na samym starcie, a mimo to rozwodzą się częściej niż kiedyś. Nic z tego nie rozumiem.

– To prawda, mam. – Joanna odłożyła nóż, a równo pokrojone kromki zaczęła układać na talerzu wyłożonym lnianą serwetką. – Wszyscy wokół się rozwodzą.

– No, właśnie! To chyba jakaś moda.

– My z Piotrem też mamy lepsze i gorsze dni.

– Jak każde małżeństwo, moja droga!

– Wy jesteście dla nas absolutnym wzorem – wyznała Joanna, wycierając serwetką brzeg szklanego dzbanka. – Jesteście ze sobą od trzydziestu pięciu lat. Jeżeli chciałabym osiągnąć w życiu jakikolwiek rekord, to właśnie taki, mam. Tylko to dałoby mi prawdziwe szczęście i satysfakcję.

Teściowa spojrzała na nią wzrokiem pełnym ciepła i akceptacji, której młodsza z kobiet tak bardzo potrzebowała.

– Jestem pewna, że wam się to uda – powiedziała, głaszcząc Joannę po ramieniu. – Trzeba sobie wybaczać. I słuchać siebie nawzajem.

– Wydaje się to takie proste. W teorii wszystko wygląda dobrze.

– Oczywiście, ale czy przewycięzanie kryzysów nie daje najwięcej satysfakcji?

– To prawda... Nie ma nic piękniejszego niż godzenie się po kłótni.

Drzwi do kuchni, do tej pory uchylone, nagle się otworzyły. Stała w nich Agata, siostra Piotra.

– To wy się w ogóle kłóćcie?! Ciekawe... – mruknęła.

Obok zlewu postawiła puste talerzyki po torcie urodzinowym, które przyniosła z ogrodu. Miała na sobie szary kostium z delikatnej bawełny, najmodniejszy w tym sezonie, o czym można było przeczytać w każdym babskim magazynie. Mimo to Joannie nie przypadł do gustu.

– Owszem, kłócimy się, jak każde małżeństwo – odpowiedziała spokojnie.

– A mnie się wydaje, że mój szanowny braciszek nie potrafi ci się postawić.

– Agata!

– Dobrze, mam, już mnie nie ma. – Uniosła ręce w obronnym geście. – Wpadłam tylko odnieść talerzyki, nie przeszkadzam w pogawędce między synową a teściową.

– Nie przeszkadzasz – zaprzeczyła Joanna, bardziej z obowiązku, niż by zachęcić szwagierkę do pozostania. – Możesz się przecież przyłączyć.

– Wolę napić się wina w męskim towarzystwie.

– Agata, nie powinnaś pić alkoholu...

– A ty, mam, nie powinnaś palić.

Wybiegła z kuchni, głośno zanosząc się od kaszlu, który był zbyt teatralny, by choć sprawiać wrażenie prawdziwego.

– Boże, ta dziewczyna chyba nigdy nie wydorosła! – podsumowała dopiero po dłuższej chwili teściowa. – Zachowuje się jak nastolatka, a przecież w zeszłym roku przekroczyła trzydziestkę. Przepraszam cię za to wszystko. – Zdusiła resztkę papierosa na szklanym dnie popielniczki i uśmiechnęła się zakłopotana.

– W porządku, mam. Zdążyłam się już przyzwycząić do Agaty – skłamała Joanna. – I do jej specyficznego podejścia do życia.

Nie chciała szczegółowo omawiać tego tematu z teściową. W końcu nie należało zapominać, że była matką Agaty. Tak naprawdę obie kobiety nie umiały znaleźć wspólnego języka, Joanna czuła, że Agata nią gardzi, ale czy trzeba było od razu mówić o tym głośno? Zresztą, co by to zmieniło?

Matka Piotra przeszła przez kuchnię wolnym, ciężkim krokiem. Otworzyła szafkę pod zlewem i przechyliła popielniczkę nad śmietnikiem; popiół miękko opadł na dno świeżo opróżnionego kosza.

– Ta dziewczyna ma charakter, ale ma też rację. – Westchnęła. – Powinnam przestać palić.

Joanna nie skomentowała, tylko w milczeniu zaczęła ostrożnie układać brudne talerzyki na półkach zmywarki.

– Masz ochotę na sok?

– Nie, dziękuję.

– A ja sobie naleję. To wino było dla mnie trochę za ciężkie.

Matka Piotra otworzyła lodówkę i postawiła karton z sokiem na blacie dębowego stołu.

– Musisz jej wybaczyć, Joanno – powiedziała ze smutkiem. – Sama wiesz, przez co ona teraz przechodzi.

Joanna spojrzała w wąskie, szare oczy kobiety. Dopiero teraz dostrzegła zielonkawy cień, którym matka Piotra musnęła powieki. Pasował do jej cery, pięknie podkreślał oprawę oczu. Zastanawiała się, dlaczego teściowa tak rzadko się malowała, przecież nie była jeszcze na to za stara.

– Nadal nic? – zapytała Joanna prawie szeptem.

– Niestety. – Teściowa zdjęła kuchenny fartuszek, który założyła, by nie poplamzić jedwabnej sukienki. – Ona tak bardzo pragnie tego dziecka. Niestety, zdaje się, że jej organizm ma w tej kwestii odmienne zdanie.

Spuściła wzrok na szklanę, ledwo udawało jej się opanować emocje, które nią targały. Było widać, że

i ona tęskni za małą istotką, którą mogłaby bezkarnie rozpieszczać.

– To się zdarza – zauważyła łagodnie Joanna. – Moi znajomi starali się przez wiele lat i dopiero kiedy się poddali, bo lekarz powiedział im, że nie mają na to najmniejszych szans, dopiero wtedy udało im się zająć w ciążę.

– Też słyszałam o takich przypadkach. Ponoć wszystko przez nerwy.

– Los pisze własne scenariusze, wbrew temu, co mówią lekarze.

– A wiesz, że Henryk też tak mówi?

– Naprawdę?

– Uważa, że ludzie za bardzo słuchają lekarzy, a za mało wsłuchują się we własne ciało, które także daje nam różne sygnały.

– Mam nadzieję, że Agacie uda się zająć w ciążę jak najszybciej. – Joanna postanowiła uciąć ten niezbyt wesoły temat. – W każdym razie życzymy jej tego z Piotrem z całego serca.

Nie lubiła swojej szwagierki, nie rozumiała jej agresywnego podejścia do życia, ale w gruncie rzeczy nie życzyła jej źle. To, że bardzo się od siebie różniły, nie przekreślało możliwości przebywania w tym samym pokoju czy w tej samej rodzinie.

– A wy? – spytała matka niespodziewanie. – Nie myślałaś o dziecku, Joanno?

– Myślałam – odpowiedziała niemal bez zastanowienia. – I powiem mamie, że bardzo bym chciała, ale Piotr ma teraz tak strasznie dużo pracy, w końcu jego kariera jest najważniejsza, prawda?

– A w czym to przeszkadza?

– Chciałabym, żeby inicjatywa wyszła od niego. Nie chcę mu niczego narzucać, mamo.

– Oczywiście. Oczywiście, moje dziecko. To wasza sprawa, nie chciałam się wtrącać, tak tylko zapytałam... – Urwała nagle w połowie zdania. – No, chyba już czas najwyższy podać mój poncz. Weź tę sałatkę i wracajmy do naszych mężów.



W ogrodzie pachniało bzem, który rósł pod płotem, odkąd Piotr sięgał pamięcią. W dzieciństwie uwielbiał wspinać się po gałęziach, bo krzew nie był jakoś przerażająco wysoki. Za którymś razem konar bzu wygiął się jednak porządnie i Piotr spadł na ziemię. Potłukł sobie wtedy plecy, o czym nikogo nie poinformował. Choć bolały go przez następny tydzień, ani słowem nie pisnął o wypadku.

Teraz stał przy stole. W dłoni trzymał butelkę czerwonego wina, którą ojciec przywiózł z Grecji. Otworzył ją i nalał płynu do dwóch wysokich kieliszków. Jeden z nich podał ojcu, który siedział w fotelu ogrodowym.

– Twoje zdrowie, tato!

– Ależ twoje, synu! Zdrowie, najważniejsze zdrowie!

Piotr usiadł obok niego. Ojciec miał na sobie niebieską koszulę, nonszalancko rozpiętą pod szyją. Ciemne niegdyś włosy pokrywała teraz siwizna, połyskująca srebrnym blaskiem w świetle ogrodowej lampy. Miał opaloną skórę i wyglądał na wypoczętego.

Wieczór był gorący i spokojny.

– Widzę, że konferencja w Grecji się udała. Świetnie wyglądasz.

– O, zapewniam cię, że to zasługa wyłącznie tamtejszego klimatu.

– Było aż tak nudno?

Starszy z mężczyzn w zamyśleniu położył dłonie na oparciach fotela i zaczął gładzić ich powierzchnię.

– Nudno nie – odparł po chwili. – Ale trochę bez sensu. To nie był zjazd chirurgów, jak wiesz, ale praktyków państwowej służby zdrowia z kilku krajów Europy. Rozmawialiśmy o zdrowiu. Nie śmieję się, błagam.

Piotr w milczeniu podał mu talerz z sałatką z tuńczyka.

– My, lekarze, czasem musimy porozmawiać o podstawie naszego zawodu, żeby wrócić do korzeni – stwierdził ojciec, nakładając sobie sporą porcję na talerz. – Rozmawialiśmy o potrzebie uświadamiania ludzi, jak ważne jest dbanie o siebie, odpowiednie odżywianie, ruch, gimnastyka i takie tam.

– I to było takie nudne?

– Czułem się jak bohater Żeromskiego. Wierz mi lub nie, ale niewiele się od tamtego czasu zmieniło.

– Nie przesadzasz? – Piotr nie krył zdziwienia. – Z tego, co pamiętam, doktor Judym leczył suchotników, a przeciętny pacjent miał sporą niedowagę, żeby nie powiedzieć, że był chodzącym szkieletem...

– Masz rację. Suchoty wyleczyliśmy, a jeśli chodzi o niedożywienie, to mamy teraz odwrotny kłopot. Społeczeństwo Europy, bez względu na kraj, tyje w zastraszającym tempie. I to jest niemały problem. Wyobraź sobie, że jesteśmy zmuszeni operować wątroby i żołądki przypominające wielkością piłki do gry w kosza. A zanim się do nich dostaniemy skalpelem, musimy się jeszcze przedrzeć przez grubą jak kołdra warstwę tłuszczu, którą taki osobnik wyhodował sobie na własne życzenie.

Piotr sięgnął po krakersa.

– Wystarczyło sto lat, by głód, na który cierpiał cały świat, zmienić w obżarstwo.

Starszy mężczyzna zmarszczył czoło i pokręcił głową, jakby wciąż nie dowierzając.

– Wyobraź sobie, synu, że obecnie w Wielkiej Brytanii co drugi pacjent kierowany na jakikolwiek zabieg operacyjny musi zostać najpierw wysłany przez lekarza pierwszego kontaktu na dietę odchudzającą.

– Czytałem o tym...

– Rozumiesz, co to oznacza, prawda? Że zamiast operować pacjenta, poprawić mu jakość życia, najpierw należy go porządnie odchudzić, żeby po prostu nie zszedł podczas zabiegu! Świat się kończy i mówię ci to nie tylko jako ojciec, ale przede wszystkim jako lekarz praktykujący od prawie czterdziestu lat.

– Oj, tato. – Piotr się uśmiechnął. – Judym pewnie też tak mawiał i, jak widzisz, świat pędzi dalej i w nosie ma nasze obawy.

– Judymowi zapewne nie śniło się, że ludzie oszaleją i zamiast o siebie dbać, będą pędzić w stronę śmierci. Jak można doprowadzać się do takiej wagi?

– Nie wiem. Ale jestem pewny, że dodatkowych kilogramów nie jest łatwo się pozbyć.

Ojciec w duchu przyznał mu rację. Cieszył się, że jego dzieci zachowały w życiu zdrowy umiar.

– Miałem ostatnio pacjentkę, która płakała od samego wejścia do gabinetu – podjął po chwili, stawiając na stole pusty kieliszek.

– Dlaczego?

– Wbrew pozorom nie z powodu bólu ręki, z którym się do mnie zgłosiła. Była zrozpaczona faktem, że musi mi się pokazać, wejść do gabinetu i zdjąć bluzkę. – Ojciec posłał Piotrowi wymowne spojrzenie. – Ledwo zmieściła się w drzwiach. Chorobliwa otyłość. Zgłosiła się do mnie z pękniętym stawem łokciowym. Oprócz tego miała oczywiście cukrzycę typu drugiego, chorobą wątroby i nadciśnienie. Łokieć wydawał się w tym wszystkim najmniejszym problemem. „Ja kocham jeść, panie doktorze, i się tego wstydzę”, powiedziała. „Ale tylko kiedy jem, czuję się szczęśliwa”. Rozumiesz coś z tego?

– Nawet nie wiesz, jak wiele – odparł.



– Dłaczego ludzie szukają uczuć w batonikach?

– Bo nie mogą odnaleźć szczęścia w innych ludziach.

– To samo powiedziała tamta pacjentka. „Zawsze byłam gruba, od dzieciństwa, nikt mnie nie lubił, ani w szkole, ani potem. Jestem gruba. Tylko to się liczy, nieważne kim jestem, dopóki jestem gruba. Ludzie widzą tylko to”.

– Trzeba było przysłać ją do mnie.

– Myślisz, że tego nie zrobiłem? Była?

– Nie wiem, nie pamiętam.

– A więc nie było jej, bo zapewniam cię, że tak łatwo byś o niej nie zapomniał. Ludzie nie chcą sobie pomóc. Naprawiłem jej łokieć tylko po to, by mogła znowu sięgać do tego swojego pudełka z łakociami. Jej mąż chowa przed nią słodczyce na najwyższej półce w kuchni, żeby utrudnić jej choć trochę sięganie po słodkie – wyjaśnił, widząc pytające spojrzenie syna. – Ale ona i tak znajduje swoje sposoby. Co prawda nieźle się przy tym ostatnio potłukła, ale jestem pewien, że w ogóle jej to nie zniechęciło.

– No cóż, jej wybór.

– Ech, skończmy już z tym narzekaniem. – Ojciec machnął ręką. – Co słyhać? Jak życie z Joanną?

Nim mężczyzna zdążył odpowiedzieć, zobaczył w drzwiach matkę, która, ubrana w odświętną sukienkę, wносиła właśnie do ogrodu tacę z kurczakiem upieczonym na złocisty kolor.

– Dość już tych doktorskich dyskusji na dzisiaj, panowie – powiedziała, podchodząc do stołu. – Zapraszam na pyszności.

Ojciec wstał i pocałował ją w dłoń.

– Rzeczywiście, strasznie już zgłodnieliśmy na tym powietrzu.



– Pomogę ci!

Joanna otworzyła szerzej kuchenne drzwi, w których stała Agata. Kobieta w obu dłoniach trzymała kryształową paterę, na której znajdowała się reszta wysokiego czekoladowego tortu.

– Co mam z tym zrobić? – zapytała, nieporadnie rozglądając się wokół.

– Może schowamy go do lodówki? – zaproponowała niepewnie Joanna.

– Nie zmieści się. Mama zamówiła tort w cukierni u Wasowskich, a oni za punkt honoru obrali sobie nie szerokość, ale wysokość ciasta.

– Oryginalne podejście.

Agata postawiła paterę na stole. Tort był przekładany bordową masą, wierzchnią warstwę zdobiły kremowe róże. Z napisu została już tylko połowa, samotne *Sto* urywało się niespodziewanie na poszarpanym brzegu, z którego opadały ciężkie kakaowe okruchy.

– Piękny wiek – powiedziała Joanna. – Wasz ojciec nie wygląda na swoje siedemdziesiąt lat.

– A mnie się wydaje, że wygląda. Powinien więcej odpoczywać, ale dla niego liczy się tylko klinika. I pacjenci. No i mama, na szczęście.

– Może pokroimy ten tort na porcje i schowamy do pudełek?

– Genialna jesteś! – wykrzyknęła Agata, otwierając szafkę. – Wiedziałam, że wymyślisz coś sensownego.

Joanna wyjęła z szuflady długi nóż, którym zaczęła kroić resztkę ciasta na równe kawałki. Czuła na

sobie wzrok szwagierki, która obserwowwała ją dyskretnie. Kątem oka złapała, jak Agata upina długie, kręcone włosy w niedbały kok tuż nad karkiem. Kosmyki były rude, prawie czerwone. Idealnie pasowały do jasnozielonych oczu.

– Mogę cię o coś zapytać? – Jej głos był szorstki jak papier ścierny.

– Proszę – odpowiedziała Joanna niepewnie.

Na moment zapadła pełna napięcia cisza.

– Powiedz mi szczerze... Zawsze lubiłaś takich uległych pantoflarzy?

– Słucham...?

Joanna poczuła na plecach zimny, nieprzyjemny dreszcz. Szwagierka nigdy nie owijała w bawełnę i nie należała do najtaktowniejszych osób, ale to pytanie było...

– Nie udawaj, przecież wszyscy wiedzą, że Piotrek skacze wokół ciebie na paluszkach.

– Piotr nie jest pantoflarzem – odpowiedziała chłodno Joanna.

– Akurat w to uwierzę.

– Naprawdę!

Zaprzecząc, bratowa tylko wywołała uśmiech na twarzy Agaty.

– To w takim razie kto według ciebie jest pantoflarzem?

– Nie wiem, ale na pewno nie twój brat.

– Właściwie to cię podziwiam – ciągnęła Agata, oblizując palec wskazujący z resztek czekoladowej polewy. – Ja nigdy nie umiałam nikogo tak sprawnie owinać sobie wokół palca.

– Jeszcze wszystko przed tobą.

W środku Joanna kipiła ze złości.

– Może powinnam brać u ciebie korepetycje?

– Zazdrościsz mi?

– Nie. Podziwiam. Już ci to mówiłam.

– Przecież masz Tomka.

– Mam?! – powtórzyła kpiąco. – Ciekawie to ujęłaś. Niestety, muszę cię rozczarować. Ani ja go nie mam, ani on nie ma mnie.

Z bliska Joanna widziała wyraźnie drobne piegi, którymi pokryte były nos i policzki Agaty. Upudrowała je, musnęła różem w odcieniu morelowym, ale i tak niewiele to dało.

– Dobrze, może źle się wyraziłam – wytłumaczyła się Joanna szybko. – Chodziło mi o to, że jesteście parą, kochacie się.

– Ale ja go nie mam. On nie należy do mnie. Jest wolny.

– Piotr też jest wolny.

– Piotr jest twój. Każdy o tym wie.

– Jesteśmy małżeństwem.

– To nie ma nic do rzeczy.

– Mylisz się. Małżeństwo daje poczucie bezpieczeństwa, zapewnia równowagę...

– Komu?

– Małżonkom.

– Bzdura! – parsknęła Agata. – My z Tomkiem nie jesteśmy małżeństwem, a czujemy się bezpiecznie.

– To dobrze.

– Nie widzę potrzeby załatwiania sobie w urzędzie papierka na potwierdzenie naszego związku...

– Masz takie prawo.

– Chociaż mama ma w tej kwestii zupełnie inne zdanie. Uważa, że powinniśmy wziąć ślub.

Joanna starała się tego nie komentować i w ogóle najchętniej wyszłaby już z kuchni. Z satysfakcją

zaczęła wieczko na ostatnim pojemniku.

– Dziwne to wszystko, nie sądzisz? – Agata nie odpuszczała.

– Co tym razem?

– Choćby to, że nagle, za jednym zamachem, dostajesz matkę i ojca. Obcy ludzie, którzy stają się twoją rodziną.

– Tak to już jest po ślubie. Taka tradycja.

– To zresztą działa w obie strony. Nagle muszę się dzielić moją matką i ojcem z kompletnie obcą osobą. – Agata spojrzała na nią z wyraźną wyższością.

– Nie ja to wymyśliłam.

– Ale świetnie się w tym odnalazłaś.

– Więc jednak jesteś zazdrosna – westchnęła Joanna i skrzywiła się lekko. – Nie martw się, nigdy nie zajmę twojego miejsca. Nigdy nie zostanę ich córką.

– Moi rodzice cię uwielbiają.

W kuchni zrobiło się dosyć duszno.

– Agata, nie uważasz, że powinnaś trochę odpocząć, nie wiem, może wyjedź gdzieś, odetchnij?

– A co? Staję się nieznośna dla otoczenia? – rzuciła ostro.

– Tego nie powiedziałam, ale...

– Ale co?

Joanna wzięła głęboki wdech i spojrzała kobiecie w oczy pełne migoczących ogników.

– Agata, przecież ja wiem, przez co ty teraz przechodzisz.

– Nic nie wiesz.

– Masz rację – poprawiła się szybko. – Nie mam pojęcia, co czujesz, ale jestem w stanie sobie to wyobrazić.

– Tak sądzisz?

Znów na moment zapadła krępująca cisza.

– Przepraszam – wydukała wreszcie zmieszana Joanna. – Żałuję, że w ogóle poruszyłam ten temat.

– Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy traci się dziecko. I to po raz kolejny z rzędu.

– Agata, ja nie chciałam...

– Spokojnie – ucięła tamta. – Nie zamierzam dzielić się z tobą intymnymi szczegółami.

– To akurat wiem. Ale gdybyś kiedykolwiek miała ochotę, to ja...

– Wracajmy do nich. Strasznie tu parno – zakończyła rozmowę Agata, wychodząc z kuchni.

Joanna oparła się o lodówkę i odetchnęła z ulgą. Czuła się tak, jakby rój os przeleciał jej nad głową i mimo że było to tylko wrażenie, ciągle słyszała w uszach ten dźwięk. Otworzyła szerzej okno nad zlewem; z ogrodu dochodził głośny śmiech ojca Piotra.



Leżeli od dłuższego czasu wtuleni w siebie, jakby byli jednym ciałem.

Piotr głaskał jej nagie biodro powoli i delikatnie, ledwo dotykając skóry opuszkami palców.

– Łaskoczesz mnie – szepnęła, naciągając kołdrę na plecy.

Musnął ją ustami po karku.

– Twoja siostra uważa, że jesteś pantoflarzem.

– Co takiego?!

Czuła, jak się spał.

– Też jej to powiedziałam.

– Bzdura.

Piotr uniósł poduszkę i oparł o nią głowę, która stawała się coraz cięższa. Spojrzał na zegarek.

Dochodziła trzecia nad ranem.

– Ona mnie nie lubi.

– Nieprawda.

– Ale ja to czuję.

Joanna odwróciła się do niego plecami.

– Przykro mi, że odnosisz takie wrażenie – powiedział, głaszcząc ją po ramieniu.

– Nie broń jej.

– Nie bronię.

– Ja rozumiem, że to twoja siostra – podjęła po chwili. – Ale spójrzmy prawdzie w oczy. Agata nigdy nie przepadała za moim towarzystwem.

– To nie tak...

– A jak? – Nieznacznie podniosła głos.

– Ona teraz...

– Tak, wiem, przechodzi piekło, ma ciężki okres. I ja to rozumiem. Ale prawda jest taka, że nigdy nie było między nami dobrze, nawet na długo przed tymi wszystkimi historiami ze staraniem się o dziecko.

– Może potrzebujecie czasu?

– Chyba żartujesz. Piotr, czy ty tego nie widzisz czy udajesz?

– Szczerze mówiąc, nie zauważyłem, żeby traktowała cię jakoś specjalnie inaczej niż pozostałych.

– Ale...

– Ale czego ty wymagasz? Agata zawsze taka była, nigdy nie przebierała w słowach, nie przywiązywała się do nikogo. Zawsze była oschła i niedostępna.

– Nie rozumiem tego.

– Pocieszę cię, że my również. – Westchnął cicho. – Mama bardzo cierpiała z tego powodu, zwłaszcza kiedy Agata była w szkole średniej. Przeżywała jej problemy z nauczycielami i rówieśnikami.

– Jakie problemy? Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

Usiadła na łóżku. W sypialni było ciemno, ale twarz Piotra oświetlał blask ulicznej lampy, która stała tuż przy ich oknie. W dole miasto już zapadło w głęboki sen, tramwaje przestały jeździć Puławską dobre dwie godziny temu, a chodnikami tylko od czasu do czasu przechodziły grupki młodych ludzi, których głośny śpiew przecinał spokój nocy niczym brzytwa.

– Nigdy nie pytałaś o Agatę – odpowiedział ze spokojem.

– Miała problemy w liceum?

– Jak większość zbuntowanych nastolatek.

– Ale ty taki nie byłeś?

– Nie. Ja nie czułem takiej potrzeby, ale Agata nie umiała pogodzić się ze światem.

– Dlaczego?

– Bo świat, który ją otaczał, za dużo od niej wymagał – powiedział powoli Piotr. – Teraz to wiem, bo jestem terapeutą, ale wtedy odczuwałem to zupełnie intuicyjnie. Pamiętam, że moja siostra dużo mówiła, często krzyczała na rodziców, trzaskała drzwiami.

– To akurat nie zmieniło się do dzisiaj.

– Tak naprawdę nikt jej nie rozumiał – kontynuował, pomijając milczeniem złośliwy komentarz Joanny.



– Ani rodzice, ani nauczyciele, ani przyjaciele. W sumie to bardzo przykre.

– A wasz ojciec? Przecież jest lekarzem.

Mąż spojrzał na nią jakoś krzywo.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że uważałaś, iż w rodzinach lekarskich nie zdarzają się choroby i kłopoty?

– Ojciec nie mógł jej znaleźć jakiegoś specjalisty? – drażyła.

– Myślisz, że nie próbował? To były inne czasy. A poza tym... – Westchnął. – Ona nie chciała. Nie szukała pomocy i jej od nas nie oczekiwała. Uważała wręcz, że to my powinniśmy się leczyć, skoro jej nie rozumiemy. A przecież nikomu nie można pomóc, jeśli ktoś tę pomoc na wstępie odrzuca.

W nocy ich łóżko – z białą pościelą i kremową narzutą – wyglądało jak samotny żagłowiec płynący po granatowym morzu bezkresnej nocy. Oczy Piotra lśniły niczym gwiazdy.

– Ale co tak właściwie się stało? – zapytała Joanna, przerywając dłuższą chwilę ciszy.

– Na przykład to, że pewnego dnia uciekła z domu.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu. – Piotr pokiwał smutno głową. – Nie zostawiła żadnego listu, nie zadzwoniła. Nic. Mama o mało nie oszalała, ojciec o mało nie dostał zawału. To było chyba w trzeciej klasie, Agata wtedy w ogóle się do nas nie odzywała. Zamykała się w swoim pokoju, włączała głośną muzykę i tańczyła przed lustrem. Nikomu nie wolno było tam wchodzić, bo strasznie się wściekała. To wtedy zaczęła ubierać się na czarno, ogoliła głowę na łyso...

– Agata?!

– Była wtedy kimś zupełnie innym. Nie wiem, jak rodzice przez to przeszli, zwłaszcza mama.

Joanna zmarszczyła czoło, próbując sobie wyobrazić mroczną, łysą wersję swojej szwagierki. Wizja nijak nie chciała się pojawić, więc po minucie czy dwóch dała sobie spokój ze staraniami.

– To musiało być dla nich straszne – wyszeptala tylko.

– Kochali ją.

– Oczywiście.

– A ona robiła wszystko, żeby tę miłość odrzucić, odepchnąć. I udało jej się – ciągnął Piotr. Joanna słyszała teraz gorycz w jego głosie. – Ze mną nie rozmawiała, bo według niej byłem syneczkiem mamusi i nie rozumiałem jej prawdziwych problemów. Tu akurat miała rację... Nie rozumiałem jej zupełnie. Byłem inny, dla mnie najważniejsza była nauka, a przede wszystkim to, czy dostanę się na studia. Nie chciałem zawieść rodziców, to oczywiste, ale też nie czułem na sobie presji z ich strony. Dawali mi i Agacie wolną rękę. Nigdy nie zmuszali nas do nauki czy wyboru kierunku studiów.

– Idealni rodzice? – Uśmiechnęła się.

– Wyobraź sobie, że tacy także się zdarzają.

Być może, pomyślała. Być może.

– Mieliście wielkie szczęście – zauważyła.

– Jak widzisz, Agata miała zupełnie inne zdanie w tej kwestii.

– No i jak skończyła się ta jej ucieczka?

– Normalnie. – Poprawił poduszkę pod głową. – Wróciła po trzech dniach. Zawiedziona, głodna, z podkulonym ogonem. Rodzice o nic jej nie pytali, sama wszystko powiedziała. Ale dopiero rok później przyznała się, że nocowała u jakiegoś chłopaka. Pochwalił się jej domkiem na działce, który należał do jego babci czy kogoś innego z rodziny. Tak mu zawróciła w głowie, że postanowili tam zamieszkać, zostawiając cały świat w tyle. A kiedy po trzech dniach nastąpiło załamanie pogody i w domku zrobiło się za zimno, oboje stwierdzili, że jeszcze nie czas na poważne życiowe wybory i wrócili każde do siebie.

– Boże...

– To doświadczenie trochę dało Agacie do myślenia. Nadal była zbuntowana, ale przynajmniej zaczęła myśleć rozsądnie. Potem znalazła sobie nowy cel.

– Jaki?

– Akademię Sztuk Pięknych. Wiedziała, że dostanie się tam nie jest łatwe, ale w końcu za trzecim podejściem udało się. I wszystkie problemy się skończyły. Poznała tam ludzi, którzy byli jeszcze bardziej zakręcenii niż ona, więc nie czuła się już taka samotna. Miała z kim porozmawiać, co druga osoba była jej bratnią duszą. A poza tym jej rzeźby zaczęły się robić coraz lepsze, miała wystawy i wreszcie odnalazła swoją drogę. Wyprowadziła się od rodziców i zaczęła wszystko od początku. I, jak widzisz, jest teraz całkiem zwyczajną osobą. No, może poza kolorem włosów, ale to jest i tak najmniejszy problem przy tym, co nam wszystkim zafundowała.

– Myślisz, że to dlatego zostałeś psychologiem? – zapytała, kiedy Piotr był już przekonany, że pograżyła się w swoich myślach.

– Bo...?

– Bo Agata pokazała, co to znaczy mieć charakter?

– Nie sądzę. – Pokręcił głową. – Wbrew pozorom Agata miała takie same problemy z akceptacją świata i siebie, jakie ma połowa dzieciaków w jej wieku.

– Więc dlaczego poszedłeś na psychologię? – drążyła Joanna. Zdumiona uświadomiła sobie, że nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, by go o to zapytać.

– Nie wiem. Powinienem powiedzieć, że z miłości do ludzkiego zdrowia, ale gdybym tak naprawdę myślał, powinienem był raczej zostać lekarzem, jak ojciec...

– Jesteś lekarzem – zaprzeczyła. – Ale lekarzem duszy.

Piotr pogłaskał ją po nagim ramieniu.

– To raczej zadanie dla księdza. Ja jestem tylko terapeutą.

Położyła głowę na poduszce i leżała tak jeszcze przez chwilę, z otwartymi oczami.

– Wiesz, teraz jak o tym myślę, to jest mi jej właściwie szkoda.

Pocałował ją w czubek lodowatego nosa.

– Zimno ci? – zapytał, okrywając jej ramiona kołdrą.

– Nie. Ale jestem bardzo zmęczona. Śpijmy już.

Zamknęła oczy, wtulając się w szerokie ramię Piotra, który długo jeszcze wpatrywał się w granatowy krajobraz za oknem.



Spotkali się na skwerku, tam, gdzie główną ulicę tej części miasta przecinała wąska uliczka biegnąca w dół, do parku. Joanna czekała na niego z torebką przewieszoną przez ramię. Miała na sobie jasny płaszcz, który rano zabrała z domu w ostatniej chwili. Przecież miało padać. Niebo było szare, prawie beżowe, ale jak na razie na chodnik nie spadła ani jedna kropla.

Piotr patrzył na nią od pewnego czasu, starając się przywołać tamto wrażenie, jakie odniósł, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Niewiele się zmieniła, choć wtedy zamiast płaszcza zakładała kurtkę.

– Hej! – zawołała, kiedy przechodził przez jezdnię.

Pocałował ją w policzek.

– Co za podła pogoda! – jęknęła, podając mu torebkę. – Potrzyмай, proszę.

Szybko zdjęła płaszcz, zwinęła go i przewiesiła przez ramię.

– Miało lać! Miało padać przez cały dzień, i co?!

– I całe szczęście prognozy się nie sprawdziły – odpowiedział.

– No, ale po co ja go brałam?

– Daj, pomogę ci.

Pobiegli w dół ulicy. Park tonął w kwiatach. Drzewa zieleniły się, drobne listki brzozy migotały na wietrze jasną, seledynową wręcz zielenią. Wokół stawu, który znajdował się między pagórkami, biegały dzieci. Rzucali kaczkom okruchy połamanego chleba.

– Uważaj, Krzysiu! Na miłość boską, co za chłopak! Chodź tu do mnie, natychmiast! – krzyknęła starsza kobieta do rozbrykanego kilkulatka.

Chłopiec tupął jedną nogą w wodzie i ani myślał podejść do niej, wręcz przeciwnie. Ze zbójecką miną stanął w sadzawce również drugą nogą i zaczął mocno chlapać, rozpryskując błoto na wszystkie strony. Na szczęście nie było tam zbyt głęboko.

– Piotr...? – odezwała się Joanna, odwracając głowę. W końcu miała obok siebie specjalistę. – Dlaczego rodzice zawsze zwracają dzieciom uwagę, a dzieci nie słuchają?

– Cóż, wynika to z buntu, który jest motorem każdego rozwoju.

– Czy to nie dziwne? Przecież rodzice chcą jak najlepiej.

– Dzieci, nie tylko zresztą ludzi, ale i zwierząt, uczą się przez bunt, przez łamanie obowiązującego prawa. Muszą usłyszeć, że nie wolno, żeby zrozumieć sens swojego postępowania. A żeby to usłyszały, muszą zrobić coś, co jest zakazane.

– To ma być taka zabawa, tak?

– To nauka. Najważniejsza zresztą, nauka życia, przetrwania. Jeśli tego nie pojmą, zginą.

– Mówisz o świecie zwierząt?

– Człowiek to też zwierzę, tyle że ucywilizowane – przypomniał.

Minęli staw i poszli w stronę bazarku, gdzie okoliczni rolnicy sprzedawali świeże warzywa i owoce. Joanna podeszła do stoiska z jabłkami. Były czerwone i duże jak piłki, nierówne, o chropowatej skórce, pokryte żółtymi plamkami. Wzięła jedno do ręki i podniosła do twarzy.

– Pachnie gruszką – zauważyła zdziwiona.

– To mieszanka – wyjaśniła jej kobieta, która stała przy metalowej wadze. – To w zasadzie jabłko, ale w smaku przypominają gruszkę. Najlepsze na szarlotkę. Zważyć pani?

– Poproszę. – Joanna położyła jabłko na szali.

– Ile szanowna pani sobie życzy?

– No nie wiem, może trzy?

– Trzy kilogramy? Czy trzy sztuki?

– Sztuki. I jeszcze koperek – dorzuciła.

– Bardzo proszę. To już ostatnia szansa, zanim nas stąd wyniosą – powiedziała smutno kobieta, podając Joannie pęczek kopru.

– Nie rozumiem?

– A to państwo nie wiedzą, że my do likwidacji?

– Kto...?

– Bazarek. – Kobieta zatoczyła ręką koło. – Cały idzie won. W przyszłym tygodniu zrównają nas z ziemią, przekopią i postawią drapacz chmur.

– Co też pani mówi? – szczerze zdumiała się Joanna.

– Były protesty i mieszkańców, i handlowców, ale na nic to się zdało. Już nas przehandlowali, pani.

Ktoś na tym kawałku ziemi nieźle zarobił. A przecie ten bazar był tu jeszcze przed wojną! I nikomu nie przeszkadzał. Widać ludzie teraz wolą sałatę kupować zapakowaną w folię w supermarkecie. Straszne to czasy, mówię pani...

Kiedy odchodzili od stoiska, Joanna spojrzała Piotrowi w oczy, które przepełnione były troską. Sama także nie umiała znaleźć słów, by to wszystko skomentować. Widać straszne mamy czasy, pomyślała, i była pewna, że Piotr miał w tej kwestii takie samo zdanie.

Wrócili do domu piechotą, nie zamieniwszy już więcej ani słowa.



Piotr zdjął okulary i spojrzał na zegar wiszący nad drzwiami. Dochodziła dwunasta. W kalendarzu miał zapisaną kolejną pacjentkę. „Natalia S., skierowanie z poradni pedagogicznej”. Otworzył kopertę, którą recepcjonistka położyła mu rano na biurku. W środku znajdowała się wydrukowana opinia z poradni. Kilka oficjalnie skreślonych zdań, które nie mówiły nic, czego nie czytałby już wcześniej.

Praca z nastolatkami nie należała najprzyjemniejszych i gdyby mógł, zrezygnowałby z niej zupełnie. Niestety, nie miał takiej możliwości. Był terapeutą, przyjmował ludzi bez względu na ich wiek i przypadłość. Mimo to uważał, że terapia młodych, zbuntowanych życiowo osób była największym wyzwaniem w tym zawodzie. Nie zawsze potrafił znaleźć z nimi wspólny język, czego obawiał się i tym razem. Strach przed odrzuceniem terapeuty przez pacjenta był silny, ale nie obezwładniający. Wiedział, że nie może się poddawać, że wciąż ma przed sobą wiele lat nauki, i być może to właśnie stanowiło najpiękniejszą część jego pracy. Przypomniały mu się słowa profesora, który na jednym z wykładów powiedział: „Zapamiętajcie sobie jedno, to pacjent i jego potrzeby są najważniejsze, a nie wasze obawy i strach. Jeśli człowiek w potrzebie odnalazł was i wszedł do gabinetu, nie możecie go odtrącić. Być może w takiej chwili będziecie dla niego ostatnią deską ratunku, za którą znajduje się już tylko rozpacz. Ta praca to odpowiedzialność za życie drugiego człowieka. A życie ludzkie jest wartością najwyższą”.

Usłyszał pukanie do drzwi. Nim zdążył odpowiedzieć, zobaczył, jak klamka w drzwiach powoli opada.

W drzwiach stanęła wysoka, szczupła kobieta w bliżej nieokreślonym wieku, z pewnością jednak nie była nastolatką.

– Bardzo pana przepraszam – zaczęła drżącym głosem, który wszystko tłumaczył.

– Pani jest jej matką?

– Tak – odpowiedziała, natychmiast zamykając za sobą drzwi. – Muszę z panem porozmawiać, zanim Natalia tu wejdzie.

– Proszę – Wskazał jej krzesło naprzeciwko biurka. – Natalia przyszła?

– Oczywiście. Jest w poczekalni.

– Dlaczego więc nie weszła razem z panią?

– Bo widzi pan, ja chciałam coś wyjaśnić.

Prawą dłonią przecesała włosy swobodnie opadające jej na ramiona. Dopiero z tej odległości Piotr zauważył kilka srebrnych kosmyków nad czołem kobiety.

– Dlaczego nie chce pani powiedzieć tego przy córce?

– Uważam, że jako matka znam ją najlepiej i chciałam pana uprzedzić, że Natalia nie jest taka zła, jak przedstawiono ją w tej opinii z poradni.

– Czytała ją pani?



– Nie. Ale znam te baby, mogą się domyślić, co tam napisali.

– Nie wiem, czy mówimy o tym samym. – Przerwał jej. – Pani córka dostała skierowanie na terapię, która może jej pomóc.

– Szczerze mówiąc... – odpowiedziała po chwili. – Spodziewałam się kogoś z większym doświadczeniem. Przepraszam, ale jest pan bardzo młody...

– Myślałem, że będziemy rozmawiać o pani córce.

– Pan nie rozumie. Powierzam panu moje jedyne dziecko, więc chyba mam prawo wiedzieć, kim pan jest.

– Wszystkie informacje na temat mojego przygotowania zawodowego znajdzie pani w recepcji. Wystarczyło zapytać.

– Zapytałam – powiedziała. – Widzę przecież, że skończył pan psychologię...

– Nie wiedziałem, że to po mnie widać – przerwał, może trochę za ostro.

– Wystarczy na pana spojrzeć.

– To ciekawe.

– Pan tak specyficznym mówi, wydłuża końcówki i nie przerywa. I ten wzrok. Dziwnie pan na mnie patrzy.

– Czy możemy już poprosić Natalię?

– Proszę dać mi jeszcze pięć minut. Bardzo proszę.

Kobieta była uparta i nieustępliwa. Robił wszystko, żeby trzymać nerwy na wodzy; praca z nastolatkami była wystarczającym wyzwaniem, a starcia z rodzicami...

– Słucham. O czym chciała mi pani powiedzieć?

Zanim się odezwała, wzięła głęboki wdech.

– Pan nie ma dzieci?

Nie odpowiedział.

– Nie ma pan. Więc pan nie rozumie, jakie to trudne. Być może ja jestem złą matką, ale idealne matki istnieją tylko w książkach i w podręcznikach, które zapewne pan czytał. To wszystko czysta teoria. Wyssane z palca twierdzenia, które mają się nijak do rzeczywistości.

– Rozumiem, że macierzyństwo jest dla pani wyzwaniem? – zapytał.

– Powiem panu szczerze. Wszyscy mówią tylko o małych dzieciach. Wszędzie, w reklamach, w gazetach, pokazują te pyzate, uśmiechnięte buźki. Jakie to słodkie i piękne. I dzieci są piękne, to prawda. Ale dzieci szybko rosną i z aniołków zmieniają się w małe diabliki, tylko że o tym to już nigdzie nie piszą, nie ma na ten temat żadnych informacji. Powiem więcej, nie ma dobrych poradników, w których daliby odpowiedź, jak sobie radzić z dorastającą diabolicą, którą wykarmiło się własną piersią.

Piotr rzucił dyskretne spojrzenie na jej dzinsową kurtkę, która miała nieco wypłowiałe rękawy. Zastanawiał się, czy to taka moda, czy może materiał wyblakł od ciągłego noszenia.

– Zgadzam się – powiedział w końcu. – Wciąż za mało jest literatury na ten temat, ale właśnie po to są gabinety takie jak mój. Postaram się pomóc pani córce...

– Wychowywałam ją właściwie sama. Była i jest dla mnie najważniejsza. Ale to wszystko pewnego dnia mnie po prostu przerosło. Pan nie rozumie, co to znaczy być odpowiedzialnym za życie dziecka, bez żadnej pomocy z zewnątrz. Zawsze chciałam dla niej jak najlepiej...

– Przepraszam, że pani przerywam, ale może powinna pani umówić się na osobną wizytę... Tym razem dla siebie?

Spojrzała na niego chłodno, niemal wrogo.

– Myśli pan, że powinnam?

– Nie wiem. Można spróbować.

Przez chwilę taksowali się wzrokiem w milczeniu.

– Ale tu nie chodzi o mnie, tylko o Natalię.

– Więc proszę pozwolić mi z nią porozmawiać.

– No właśnie cały czas staram się to panu powiedzieć, że ona nie mówi.

– Słucham...?

Spuściła głowę.

– Ona nic panu nie powie – szepnęła, patrząc na czubki swoich butów.

– Przestała się odzywać? – zapytał.

Skinęła głową.

– Nie rozumiem... Nie napisali tego w opinii, którą dostałem.

Kobieta wbiła wzrok w czubki butów.

– Nikt z nią nawet nie próbował rozmawiać.

– Proszę pani...

– Pan nic nie rozumie... – Przerwała mu i nagle spojrzała mu prosto w oczy. – Oni już dawno ją skreślili. Koledzy i koleżanki ze szkoły wykluczyli ją ze środowiska, nauczyciele udawali, że nie widzą problemu, a ja o niczym nie miałam pojęcia. I ona żyła tak przez wiele miesięcy, zepchnięta na boczny tor, i nikt, rozumie pan, nikt niczego nie zauważył! Nawet ja... – Tu głos nieco jej się załamał. – Chociaż jestem jej matką. Wycofała się z życia, przestała chodzić do szkoły, zamknęła się w sobie, nikogo do siebie nie dopuszcza i teraz jeszcze to...

– To znaczy?

Otworzyła szybko torebkę, z której wyjęła pomietą kartkę. Podała mu ją ostrożnie nad biurkiem. Piotr położył papier na blacie i delikatnie wygładził go dłonią. Wyglądał jak kartka wyrwana ze szkolnego zeszytu.

Litery zostały skreślane odręcznie, długopisem wypełnionym najzwyklejszym granatowym tuszem.

„Mamo, jestem drzewem, a drzewa nie mówią. Od tej pory nie nazywam się Natalia, tylko Brzoza. Jestem Brzozą i jestem bardzo stara”.

– Co to jest? – zapytał, oddając jej kartkę.

– Znalazłam to tydzień temu na stole w kuchni. Myślałam, że to jakiś żart, ale widzę, że tym razem wzięło ją na poważnie.

Piotr rozsiadł się wygodniej w fotelu.

– Taki wstyd – wyszeptała kobieta, patrząc przez okno. – Żeby człowiek nie umiał poradzić sobie z własnym dzieckiem. My z mężem, proszę pana, do wszystkiego sami dochodziliśmy, nikt nam nie pomógł. Trzeba być twardym, trzeba brać się z życiem za bary, a nie tak...

– Jak...?

– Ja... Nigdy nie miałam z nią żadnych kłopotów. Ani mój mąż. Nie rozumie pan, że ona powinna wszystko nam na spokojnie powiedzieć, zwierzyć się matce, a nie przychodzić tutaj i wywlekać wszystko na środek.

– To ma jej pomóc.

– Ale od pomocy jestem ja, a nie pan – zaprotestowała. – Pan jest kompletnie obcy, ja ją urodziłam, jest mi najbliższą osobą na świecie.

– Rozumiem – odpowiedział spokojnie. – Zachowanie pani córki wyraźnie wskazuje, że nie radzi sobie z emocjami, potrzebuje profesjonalnej pomocy...

– Pan jej nie skrzywdzi? – Znów mu przerwała.

– Jediną osobą, która może ją w tej chwili skrzywdzić, jest ona sama. A tego chyba nie chcemy, prawda?

Spojrzała na niego niepewnie, nagle zląkniona.

– Chce mnie pan przestraszyć?

– Przeciwnie. Chcę panią uspokoić, przekonać, że to jedyne wyjście w tej sytuacji, być może nawet ostatnie.

– Nie wie pan...

– Czy pomyślała pani, co stoi na końcu tej drogi? – Teraz to on wszedł jej w słowo, zdecydowanie i agresywnie. – A co, jeśli ona targnie się na swoje życie? Jak wtedy będzie się pani czuła? Poradzą sobie państwo z tą świadomością? Proszę się przez chwilę zastanowić.

Było mu jej szkoda. Zawiedziona kobieta w średnim wieku, która nie mogła zatrzymać przy sobie córki wyfruwejacej z gniazda prosto w paszczę lwa. Gdyby tylko mógł, krzyknąłby na nią, potrząsnął i wyrzucił za drzwi swojego gabinetu. Oczami wyobraźni widział już siebie wstającego zza biurka... i wtedy jego wzrok zatrzymał się na zegarze wiszącym na ścianie.

– Myślę, że już czas najwyższy, żebym poznał Natalię. Bardzo proszę ją tu zaprosić.

– A ja...? – zapytała kobieta, wstając z kanapy.

– Pani zaczeka na zewnątrz. Jak mówiłem, może się pani umówić na osobną wizytę, jeśli czuje pani, że to pani pomoże.

– Przecież mówiłam, że ona nic panu nie powie. To będzie strata czasu! Może powinnam zostać tu na sofie, może to ja będę odpowiadać na pańskie pytania?

– Proszę dać mi spróbować zrobić wszystko tak, jak trzeba.

– Więc mam wyjść?

– Bardzo panią o to proszę. – Niemal jęknął, czując, że zaraz straci resztki opanowania.

– Dobrze. Jak pan chce.

Wyszła.

Słyszał, jak mówiła coś do córki. Chwilę potem w drzwiach gabinetu stanęła Natalia.

Była niezbyt wysoka i bardzo szczupła. Długie, ciemne włosy opadały jej na chude ramiona. Miała na sobie czarną, długą kurtkę sięgającą kolan i obcisłe spodnie, również w kolorze czarnym, z dziurami wytartymi na obu kolanach.

– Usiądź, zapraszam – powiedział Piotr serdecznie, choć nie do końca był pewien, czy dziewczyna go posłucha.

Na szczęście wykonała jego polecenie bez cienia sprzeciwu, uważnie zamknawszy za sobą drzwi. Usiadła na samym brzegu sofy, dość niepewnie, jak ktoś, kto zamierza zaraz wyjść. Piotr przejrzał ponownie opinię z przychodni pedagogicznej. Przeczytał dwukrotnie informację o jej wieku. Nie wyglądała na swoje czternaście lat. Był przekonany, że jest starsza.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i nawet na niego nie spojrzała.

– Mam na imię Piotr i będę twoim terapeutą – powiedział. – A ty jesteś Natalia, tak?

Skinęła głową, wciąż patrząc w podłogę.

– Dobrze – stwierdził z westchnieniem. – Natalio...

– Wystarczy Nata. – Niespodziewanie weszła mu w słowo.

Niemal się uśmiechnął.

– Nata – powtórzył.

Dziewczyna zaczęła bawić się pojedynczymi czarnymi nitkami, którymi okraszona była dziura w prawej nogawce jej spodni.

– Nie lubisz swojego imienia? – zapytał.

– Nie.

– A Brzoza?

Znowu wzruszyła ramionami.

– To prawda, że tak kazałaś się nazywać swojej mamie?

– Tak.

– Mogę zapytać dlaczego?

– Nie wiem.

– Nie wiesz...? – zapytał, nie kryjąc zdziwienia. – Więc po co to wymyśliłaś?

– Po prostu, żeby się ode mnie odczepiła.

– A czemu akurat Brzoza, a nie na przykład Lipa?

Uśmiechnęła się po raz pierwszy.

– Ma pan rację – stwierdziła po chwili zastanowienia. – Lipa byłoby lepiej.

– Dlaczego?

– Bo jestem lipna, do niczego.

Utkwiła wzrok w widoku za oknem. Piotr czuł, że powoli, bardzo powoli, rozmowa zaczyna zmierzać we właściwą stronę.

– Nie przesadzasz?

– Niczego pan nie wie.

– Więc mi powiedz.

Znowu spuściła głowę. Milczała.

– Nadal nie dowiedziałem się, dlaczego Brzoza – przypomniał.

– Bo nie Lipa – odburknęła.

– Pytam poważnie.

– Bo brzoza jest biała jak kość.

– Lubisz kości?

– Lubię biel.

– Tak? Myślałem, że wolisz czerń. – Zatrzymał wzrok na jej czarnej kurtce.

– To tylko pozory, taka maska.

– Rozumiem.

Wiedział, że czeka go trudna rozmowa, ale dziewczyna przy całej swej odpychającej postawie mimo wszystko wydawała się mu całkiem sympatyczna. Choć oczywiście robiła wszystko, by temu zaprzeczyć.

– Dlaczego przestałaś się odzywać? – zapytał, spoglądając za okno.

– Bo miałam już wszystkiego dość. Potrzebowałam ciszy.

– Ale ze mną jednak rozmawiasz?

– Ile można milczeć? – odpowiedziała pytaniem na pytanie. Piotr przypomniał sobie młodą Agatę. Można milczeć bardzo długo, można boleśnie milczeć tygodniami...

– Znudziło ci się już?

– Zmęczyło – potwierdziła. – Milczenie męczy jeszcze bardziej niż gadanie. Nie nadaję się do tego.

– Lubisz rozmawiać?

– Zależy z kim.

– Ze mną?

Spojrzała na niego spod długiej czarnej grzywki.

– Jeszcze nie wiem. Na razie jest spoko.

– Doceniam to – stwierdził ze szczerością. – Opowiesz mi?

– O czym?

– O tym, co się stało.



– Kiedy?

– Ostatnio. I w ogóle.

– Ale po co to wszystko? – spytała. – Bo matka zapłaciła za tę sesję?

– Poradnia zapłaciła.

– To jeszcze lepiej. – Parsknęła śmiechem.

Dopiero teraz zauważył srebrny aparat na jej zębach.

– Masz problemy w szkole?

– Jak wszyscy.

– Przestałaś tam chodzić?

– Nie ma sensu, to tylko budynek.

– A co z kolegami i znajomymi?

– Są fałszywi.

– Wszyscy?

– Wszyscy.

– A nauka? – Nie przestawał bombardować jej pytaniami, choć nie chciał, by czuła się jak na komendzie policji. – Przecież nie można się tak po prostu wypisać.

– Można.

– Mama zapisze cię do innej szkoły. Po co ci to?

Nie odpowiedziała. Dalej bawiła się obszarpanym kawałkiem dżinsów, jak gdyby nigdy nic. Piotr miał wrażenie, że pytania, które przecież dotyczyły nie kogo innego, tylko jej samej, były niczym krople deszczu. Nie zwracała na nie żadnej uwagi.

– O co ci tak naprawdę chodzi? – zapytał wprost.

– Przestało mi się chcieć.

– Czego?

– Życia. Wszystkiego – odpowiedziała. – Nie chcę się w nią zamienić, nie chcę być taka jak ona.

– Jak kto? – zapytał, choć wiedział już, jaka padnie odpowiedź.

– No, jak ona. Jak moja matka.

– Dlaczego? – dopytywał Piotr. Wreszcie dotarli do sedna. – Przecież troszczy się o ciebie, przysłała tu z tobą.

– No właśnie! – krzyknęła. – A ja wcale nie chcę, żeby za mną łąziła. Chcę być sama!

Począł, aż jej słowa wybrzmiały, dał jej chwilę na zastanowienie.

– Mama chce ci tylko pomóc.

– Najlepiej by było, gdyby każdy pilnował swojego nosa – stwierdziła. – Ostrzegałam ją, że jeśli nie przestanie się wtrącać, to ucieknę z domu.

– Dokąd?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Przed siebie. Najlepiej w góry albo nad morze.

– I co byś tam robiła?

– Wszystko! – Rozpromieniła się na samą myśl. – Patrzyłabym w niebo i liczyła chmury, to w dzień.

A w nocy liczyłabym gwiazdy.

– Sama?

Nagle zacisnęła dłonie na kolanach.

– Nie. Nie sama.

– A z kim?

– To nie pana sprawa – odparła sucho. – Nie muszę o tym mówić.

– Masz rację, nie musisz.

Spojrzała na niego zaskoczona. Miała duże jasne oczy, obrysowane nienaturalnie grubą czarną kredką.

– Pojechałabym tam z Jackiem – szepnęła. – On też chciał uciec.

– To twój kolega ze szkoły?

– W życiu! – parsknęła. – Do mojej szkoły chodzą sami debile, z którymi nie warto rozmawiać, bo nie ma o czym.

– Więc skąd się znacie?

– Z osiedla. Kiedyś kupowaliśmy razem w tym samym warzywniaku. Mnie matka wysłała po kiszoną kapustę na bigos, a on stał w kolejce po ogórki. I tak jakoś się zgadaliśmy.

– To twój chłopak?

– Co?!

Pierwszy raz na jej twarzy pojawiły się ślady jakichś emocji.

– Przepraszam...

– To, że lubię z nim przebywać, bo jest inteligentny, nie oznacza od razu, że ze sobą chodzimy! Co za bzdura!

– A jednak chciałabyś z nim uciec?

– Bo wiem, że byłoby wesoło – wyjaśniła, patrząc na niego z politowaniem. – I nie byłoby nudno. Jacek jest inny.

– To dobrze, że masz bratnią duszę.

– Miałam – poprawiła go. Wyraźnie posmutniała.

– Dlaczego? – zapytał. – Jacek wyjechał? Przeprowadził się w inne miejsce?

Znowu na niego spojrzała, tym razem przenikliwie.

– Jest pan psychologiem?

– Tak.

– Lubi pan zadawać pytania?

– Lubię.

– A ja nie lubię, jak mnie pytają – odparła ostro. – Mam tego dość. Wszyscy czegoś ode mnie chcą...

– Tak to już jest w życiu – powiedział. – Wydaje mi się, że przede wszystkim chcą, żebyś wróciła do szkoły. No i żebyś znowu zaczęła się odzywać, żebyś rozmawiała tak, jak teraz ze mną.

– Z panem to co innego.

– Dlaczego?

– Bo wiem, że jeśli mi z panem nie wyszło, to matka zaciągnie mnie do psychiatryka. A tego bym nie chciała.

– Masz rację – przyznał, prostując się w fotelu. – Nie powiedziałaś mi, co się stało z Jackiem.

– Nic. Już się nie widzimy tak często, jak kiedyś.

– Bo...?

– Bo znalazł sobie kogoś.

Jej ruchy stały się odrobinę bardziej nerwowe. Piotr nie mógł tego nie zauważyć.

– Rozumiem...

– Nic pan nie rozumie! – przerwała mu ostro. – On chce być misjonarzem, znalazł Boga i zapisał się do seminarium.

– W tak młodym wieku to chyba niemożliwe.

– A kto powiedział, że on ma tyle samo lat, co ja? – prychnęła. – Jest starszy ode mnie.

Z kieszeni kurtki wyjęła chusteczkę, którą wytarła nos.

– Przepraszam – powiedziała. – To alergia.

– Nadal jesteście w kontakcie? – pytał, ignorując oznaki wzruszenia u dziewczyny. Wiedział, że tak

właśnie należało postąpić, żeby powiedziała coś więcej. – Piszecie do siebie? Dzwonicie?

– Chyba pan zwariował. On jest daleko i już pewnie nie pamięta, że w ogóle... byłam.

– Czy to się stało kilka miesięcy temu?

– Co?

– Pamiętasz, kiedy wyjechał do tego seminarium? – uściślił Piotr.

– Oczywiście, że pamiętam. To było w styczniu.

– Wtedy przestałaś chodzić do szkoły?

Nie odpowiedziała.

– Natalio... – zaczął.

– Nata – poprawiła go. – Prosiłam, żeby pan mnie tak nie nazywał.

– Przepraszam. No więc, Nata...

– Niech pan już nic nie mówi. I tak wszystko wiem.

– Cieszę się.

– Po prostu poczułam się tak, jakby ktoś wyrwał mi serce. Albo nerkę. Kiedy powiedział, że musi tam pojechać, myślałam, że oszaleję. On był jedynym powodem, dla którego warto było wychodzić z domu. Chociaż nigdy mu tego nie powiedziałam... – wyrzuciła z siebie jednym tchem. Miała wilgotne oczy.

– Może powinnaś była? – szepnęła.

– Wiem... Może gdybym to zrobiła, nie wyjechałby szukać Boga? A może i tak by to zrobił, a wtedy cierpiałabym jeszcze bardziej? Nie wiem.

– Jesteś jeszcze bardzo młoda...

– Niech pan nie opowiada bzdur! – Przerwała mu zdecydowanie; teraz w oczach miała złość. – Jestem starsza niż moja matka. I na pewno mądrzejsza.

– Wiesz, to jest taki czas, kiedy dzieciom wydaje się, że przerosły swoich rodziców... i może cię to zdziwi, ale to naturalne zjawisko.

– Naprawdę? Nie wiedziałam.

Przeczesała dłonią grzywkę, odgarniając z czoła włosy, które wpadały jej do oczu. Spokój przyszedł równie nagle, co wcześniejszy wybuch.

– Może warto byłoby odezwać się do tego Jacka? – zaproponował.

– Tak pan myśli?

– Przecież nie wyleciał w kosmos. To seminarium ma jakiś adres, telefon. Jacek pewnie ma też komórkę, wystarczy napisać...

– On już chyba mnie nie pamięta.

– Skąd możesz to wiedzieć? Może on chce z kimś porozmawiać, może czeka na telefon od ciebie? Może uciekł, bo nie był pewien twoich uczuć?

Widział, że tej ewentualności w ogóle nie wzięła pod uwagę.

– Więc to... Moja wina? – zapytała po chwili.

– Nie.

Piotr ponownie wziął do ręki długopis. Nabazgrał coś niewyraźnie w notatniku, potem przekreślił to, co napisał, i zaczął rysować na kartce nieregularne linie.

– Może powinnaś zacząć prowadzić dziennik – podjął.

– Pamiętnik?! – Wzdrygnęła się. – Nie jestem stuknięta.

– W twoim wieku większość dziewcząt prowadzi pamiętniki.

– Ale ja nie jestem jak większość.

Większość tak sądzi, skomentował w duchu.

– Zdążyłem zauważyć. Mimo to, przemyśl sobie moją propozycję.

– Już prędzej założyłabym bloga – powiedziała. – Takiego ze zdjęciami. Bardzo lubię robić zdjęcia. Kolejny punkt zaczepienia, pomyślał. Nieźle, jak na pierwszą rozmowę z kimś, kto ponoć w ogóle nie mówi.

– Wspaniale – stwierdził. – W takim razie załóż bloga.

– Tylko dla kogo?

– Dla siebie. A jeśli poczujesz taką potrzebę, możesz go udostępnić i pokazać innym.

– Myśli pan, że ktoś by chciał go przeczytać?

– Ja na pewno.

– Pan?!

– Dlaczego nie?

Odwróciła twarz w stronę okna. Patrzyła przed siebie, ale tak, jakby w ogóle nie interesował jej krajobraz znajdujący się za szybą.

– Musimy już kończyć – powiedział łagodnie.

– Nareszcie – odburknęła, wstając gwałtownie, niemal przewracając krzesło.

– Chciałbym wiedzieć... – Zatrzymał ją jeszcze Piotr. – Czy będziesz teraz rozmawiać z rodzicami?

– A co jeśli nie? Będę musiała do pana wrócić?

– Być może. – Westchnął. – Jeśli te wizyty mają ci pomóc, to bardzo możliwe, że twoja mama podejmie taką decyzję.

– W takim razie jeszcze się nad tym zastanowię.

Odwróciła się do niego plecami. Dopiero teraz dostrzegł na jej czarnej kurtce malunek wykonany białą farbą. Był nieporadny, amatorski, ale wyraźnie przedstawiał pochyloną brzozę.

– To twoje dzieło? – zapytał, kiedy sięgała dłonią do klamki.

– Nie – odpowiedziała. – Jacek mi to zrobił. Zanim wyjechał.

A więc dlatego.



– Tutaj jesteś...

Piotr wszedł do kuchni i pocałował Joannę w policzek. Siedziała nieruchomo, wpatrzona w plastikowe pudełko z niebieskim wieczkiem, które stało na stole.

– A to co? – zapytał, zerkając na pojemnik.

Rozwiązał krawat, który uwierał go w szyję od samego południa.

– Ty mi powiedz.

Ostrożnie odchylił wieczko. W środku znajdowały się kotlety schabowe upieczone na złoto, z rumianą skórką, którą Piotr lubił najbardziej.

– Moje ulubione! – zawołał z satysfakcją.

– Wiem, kochanie.

– Dziękuję.

Pocałował ją tym razem w czoło.

– Mnie?! Jeśli chodzi o te kotlety, to nie ja jestem ich... autorką.

– A kto...?

– Twoja mama.



Zdziwił się.

– Była tu?

– Powiedz mi – poprosiła chłodno. – Czy ja jestem aż tak złą kucharką, że twoja matka musi podsyłać nam takie cuda, i to w dodatku przez pośredników?

– A więc nie było jej tu?

Wzrok Joanny był matowy i zimny.

– Lubisz moją kuchnię?

– Oczywiście – odpowiedział bez chwili wahania.

– Więc jak mam to rozumieć?

Z początku Piotr nie miał pomysłu, co odpowiedzieć. Pytanie Joanny wydawało mu się nie na miejscu. Wiedział, że gotowanie to dla niej sprawa honoru, że była naprawdę świetną kucharką i doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Zresztą wszyscy o tym wiedzieli. Tym bardziej nie rozumiał, dlaczego teraz odzywa się w niej urażona duma.

– Mama po prostu chciała być miłą, najwyraźniej usmażyła za dużo i pomyślała, że podzieli się tym nadmiarem z nami. Co w tym złego?

– Nic – syknęła.

– No właśnie. Zamiast obrażać się, i to zupełnie bez potrzeby, powinnaś potraktować to jako miłą niespodziankę – stwierdził. – Przynajmniej nie będziemy musieli myśleć o dzisiejszym obiedzie. Czy to nie wspaniale?

Mówiąc to, nie odrywał wzroku od soczystych, pulchnych kotletów, które tylko jego matka umiała rozbić w tak idealny sposób.

Tymczasem Joanna wstała i podeszła do kuchenki, na której stał wielki garnek. Podniosła pokrywkę i spojrzała wymownie na Piotra.

– A to, to niby co? – zapytała z wyraźną pretensją w głosie.

– Co tam jest?

– Gołąbki. Robiłam je od czwartej po południu. Jak myślisz, co mam z nimi teraz zrobić?

– Zrobiłaś cały garnek gołąbków?

– Wyobraź sobie, że tak.

– Ale przecież nigdy nie robiłaś... gołąbków. – powiedział zaskoczony.

– Postanowiłam to zmienić.

– Właśnie dzisiaj?

– Tak.

– Kochanie, sam nie wiem, co powiedzieć... – podjął po chwili, wyraźnie zmieszany. – Ale jedno jest pewne. Od przybytku głowa nie boli. Najwyżej je zamrozimy i będą na przyszły tydzień.

– Świetny pomysł.

Szybkim ruchem złapała pudełko z kotletami od matki Piotra i włożyła je do zupełnie pustej zamrażarki.

– Poczekaj, co ty robisz?

– Zamrażam kotlety – odpowiedziała krótko. – Na przyszły tydzień będą jak znalazł.

– Szczerze mówiąc, miałem na myśli gołąbki.

– Miałabym zamrozić moje gołąbki?! Moje pierwsze w życiu gołąbki?

Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Usta miała mocno zaciśnięte, wzrok nad wyraz obojętny.

– Właściwie masz rację... – Machnął ręką.

– Nie, nie. Spokojnie. Jeśli wolisz kotleciki od mamusi, mogę je wyjąć z zamrażarki.

– Dlaczego się złościysz? Po co ten sarkazm?

– A jak myślisz?

Z hukiem przykryła garnek z gołąbkami i uciekła do sypialni, zostawiając Piotra samego w kuchni. Chciał pójść do niej, uspokoić, kiedy zadzwoniła jego komórka.

– Piotr?

Głos matki zabrzmiał w pierwszej chwili tak, jakby dzwoniła z innej galaktyki.

– Jak się masz, mój drogi?

– Dziękuję, dobrze – odpowiedział, oddychając ciężko.

– Oj, coś głos masz nie za bardzo.

– Wydaje ci się.

– Matki nie oszukasz, mój drogi.

Nie odpowiedział. Czekala przez kilka sekund, ale nie usłyszawszy ani jednego słowa, przeszła od razu do rzeczy.

– Była u mnie dzisiaj Agata. Mówiła, że będzie w waszej okolicy, więc poprosiłam ją, żeby podrzuciła wam kilka schabowych. Tyle się ich natłukłam, a my z ojcem przecież sami tego nie przejemy.

– Dziękuję – powiedział, z trudem przełykając ślinę. – To znaczy: dziękujemy, razem z Joanną, ma się rozumieć.

– Smakowały?

– Bardzo, były bardzo smaczne. Jak zwykle, mamo.

– To się cieszę. Agata mówiła, że Joanna była nimi bardzo zaskoczona, ale w sumie ucieszyła się, bo akurat nic nie miała na obiad, więc widzę, że dobrze się złożyło.

– Tak... – odpowiedział półprzytomnie. – Przepraszam cię, ale muszę kończyć.

– Oczywiście, przecież tak ciężko pracujesz. Pewnie dopiero niedawno wróciłeś do domu?

– To prawda...

– Musisz więcej czasu spędzać z Joanną. Ona bardzo cię potrzebuje. Pa, synku. Trzymaj się. I ucałuj ją ode mnie.

Wszedł do sypialni.

Joanna, odwrócona do niego plecami, leżała na łóżku zasłanym wełnianą narzutą. Nogi miała podkulone pod brodę. Usłyszał jej ciche pociąganie nosem.

Położył się obok.

– Dostyc już tych dąsów, kochanie – powiedział.

– Nie dąsam się.

– Więc co się stało?

– Nic. Po prostu jest mi przykro.

– Bo wolę kotlety mojej matki od twoich gołąbków?

– Nie wydaje ci się to śmieszne?

– Nawet bardzo.

– Wiesz, że nie o to mi chodziło.

– A o co?

– Trochę to głupie, żeby w tym wieku mamusia podsylała obiady swojemu syneczkowi.

– Po pierwsze: nie jestem syneczkiem, a po drugie: to były kotlety dla nas obojga.

– Mimo wszystko trochę to dziwne. Poczulałam się jak ktoś niepełnosprawny, kogo trzeba wyręczać, bo sam sobie nie poradzi.

– Kochanie, zapewniam cię, że moja mama nie miała nic takiego na myśli.

– A może pępowina między wami jest jeszcze nieprzerwana?

– Kochanie...

Odwróciła się do niego i odnalazłszy bezpieczne ramiona Piotra, wtuliła się w nie gładko.

– Ja nie chcę, żeby ona dla ciebie gotowała – powiedziała głośno. – Proszę cię, zrozum mnie, ja przecież cały czas czuję się gorsza od was wszystkich, a tu jeszcze to. Wygląda na to, że według twoich rodziców nie potrafię nawet gotować.

– Skąd te wszystkie przypuszczenia? – Piotr nie krył zdumienia. – Dlaczego czujesz się gorsza?

– Bo nie jestem stąd, bo przyjechałam do Warszawy z małego miasteczka i nie pochodzę z tak zacnej rodziny, jak wasza...

– Przecież teraz jesteś jej częścią!

Przytulił ją mocno do siebie.

– Tak tylko się mówi... Nigdy nie będę taka jak wy.

Patrzył na jej długie rzęsy, na których zawisły, niczym rosa na źdźbłach trawy, kropelki łez. Nie płakała już, ale oczy wciąż miała mokre.

– Jesteś moją żoną – powiedział, zanurzając usta w morzu jej włosów. – Tylko to się liczy, tylko to jest ważne...

– A moje uczucia? – zapytała.

– Nie kochasz mnie?

– Kocham, wiesz przecież, ale to nie wystarczy...

– Nie zadręczaj się tym głupim myśleniem.

Ustami wciąż dotykał jej powiek, nadal wilgotnych. Uległa mu w końcu, zamknęła jego wargi pocałunkiem i pozwoliła, by całował ją całą, bez końca, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu i bał się, że za chwilę mu ucieknie.

Takie chwile kochała najbardziej, wtedy czuła, że należy do Piotra całą sobą i że on nie potrafi bez niej żyć.



Następnego dnia Joanna przygotowała kolację przy świecach. Położyła na stole czerwone, ręcznie haftowane serwetki, które dostali w prezencie ślubnym od matki Piotra. Lubiła je i trzymała na specjalne okazje, a tak właśnie miało być tamtego wieczoru.

Założyła czarną sukienkę, z komody wyjęła sznur pereł, który pasował do kolczyków. W całym domu pachniało indykiem pieczonym w rozmarynie z rodzynekami.

Piotr wrócił po szóstej. Był zmęczony, miał wygniecioną koszulę.

– Miałem koszmarne dzień w pracy – powiedział na powitanie. – Jestem wykończony.

– Zaraz odpoczniesz i wszystko zmieni się na lepsze.

Podszedł ciężkim krokiem do lustra w przedpokoju i przeczesał włosy, które pozostawały w idealnym nieładzie.

– Mój ostatni pacjent był chyba najtrudniejszym przypadkiem od roku – ciągnął, kiedy tylko zaczerpnął tchu. – Nie mogę uwierzyć, że zgłosił się do naszej przychodni tak późno. Na co ci wszyscy ludzie czekają? Czy w tym kraju wszyscy wierzą tylko w cuda?

– Przystań narzekać! – zawołała z kuchni. – Tak się napracowałam, przygotowałam kolację, a ty psujesz mi nastrój już od wejścia.

– Masz rację, przepraszam.

– Nie możesz po prostu zostawić pracy w pracy i cieszyć się wieczorem?

– Czasem to trudne, zwłaszcza w takie dni jak dzisiaj...

– A ja...? – Stała w drzwiach.

Podszedł i pocałował ją w dłoń.

– Przepraszam, Joanno. Jesteś wspaniała. Ani słowa więcej o mojej pracy.

Uśmiechnęła się delikatnie.

– Usiądź, proszę.

– Stół wygląda wspaniale – zauważył, wchodząc do pokoju. – Ty zresztą także.

– Chcesz sos żurawinowy czy grzybowy?

Usiedli naprzeciw siebie. Ona patrzyła na jego szczupłe palce, którymi sprawnie rozwinął sztucce opakowane w serwetkę. Nieopatrnie musnął dłonią szklanekę. Szkło, potarte obręczką, którą miał na palcu, wydało z siebie cichy dźwięk...

– Piotr, jesteś dla mnie całym światem – powiedziała Joanna, nie odrywając od niego wzroku. – Jesteś najlepszym, co mnie w życiu spotkało.

Jej słowa były zawstydzające i czuł w środku, że go przytłaczają, że nikt nie powinien wszystkich uczuć kierować tylko na jedną osobę, że to wprost nie do zniesienia. Mimo to nie mógł jej tego powiedzieć, bo nie chciał jej skrzywdzić.

– A dziecko? – zapytał.

Joanna wbiła widelec w plaster mocno zarumienionej pieczeni.

– Chciałbyś?

– Myślę, że tak.

– To przez Agatę?

– Może – odpowiedział szczerze. – Zobacz, przez co ona musi przechodzić. To wszystko wymaga czasu.

– Wiem – powiedziała. – Dziecko nie zawsze jest darem od losu, czasem trzeba o nie stoczyć prawdziwą walkę. Ja nie czuję jeszcze takiej potrzeby.

– Słucham...?

Jej odpowiedź zaskoczyła go.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek zdecyduję się zostać matką – stwierdziła z całkowitym spokojem.

– Nie przesadzaj. Prawie każda kobieta o tym marzy.

– W takim razie ja jestem inna. A ty? Uważasz, że dojrzałeś do tej decyzji? Nie zauważyłam, żebyś jakoś szczególnie interesował się innymi dziećmi.

– Bo nie interesują mnie dzieci obcych ludzi, ale moje własne.

– Ciekawe. Twoje zdrowie.

– Twoje zdrowie – odpowiedział, unosząc kieliszek. – Uważam, że już najwyższy czas pomyśleć o dziecku, kochanie. Jesteśmy już dawno po trzydziestce, a czas nie stoi w miejscu.

– Ale staż małżeński mamy dość krótki – zaoponowała.

– No tak, ale żyjemy wspólnie od lat i myślę, że znamy się już na tyle dobrze, że możemy mieć ze sobą dziecko.

– Obawiam się, że nie masz racji – zaprzeczyła, stawiając kieliszek na stole.

– Nie rozumiem.

– Żeby kobieta mogła dać mężczyźnie dziecko, musi czuć się bezpiecznie, musi mieć komfort, który sprawi, że pewnego dnia zapagnie obdarować swojego ukochanego nowym życiem.

– Nie czujesz się przy mnie bezpiecznie?

– Czuję. Ale do pełni szczęścia brakuje mi jeszcze czegoś, sama nie wiem. Po prostu jeszcze nie jest to ten czas. Przynajmniej nie dla mnie. A może cała wina leży po twojej stronie?

Spojrzał na nią z niepokojem.

– Może za mało się starasz, za mało okazujesz mi swoje zainteresowanie tym tematem?

– Co według ciebie miałbym zrobić?

– Nie mam pojęcia. Sądziłam, że ty mi powiesz.

Patrzył na nią, jakby była kimś całkiem obcym, jakby uczył się jej na nowo.

– Nie rozumiem cię – powiedział wreszcie. – Przed chwilą mówiłaś, że jestem dla ciebie całym światem.

– Bo jesteś – odparła z pewnością, która była dla niego irytująca. – Ale nowe życie to już zupełnie inny świat, nie sądzisz?



Usłyszał delikatne stukanie do drzwi.

Codziennie rano recepcjonistka kładła mu na biurku pełną listę pacjentów, którzy zapisani byli na kolejne godziny, od dziesiątej rano do dziewiętnastej, z przerwą na lunch w południe. Czasami, tak jak dziś, ktoś odwoływał wizytę telefonicznie. Wtedy na jego miejsce recepcjonistka wpisywała osobę oczekującą, którą w tym przypadku była Anna.

– Przyjmie ją pan? – zapytała recepcjonistka, zdaje się, że na imię miała Renata. – Ta pani bardzo prosiła o wizytę w najbliższym wolnym terminie, a pacjent, który był zapisany na czternastą, odwołał swoją.

– Oczywiście. – Piotr wyjął z torby notes. – Proszę poprosić tę panią do mojego gabinetu.

– Dziękuję. Zaraz to zrobię.

Chwilę potem drzwi jego pokoju uchyliły się.

Stała w nich młoda kobieta, szczupła i niepewna.

– Proszę, niech pani wejdzie – powiedział, podchodząc do niej.

Zamknęła za sobą drzwi i podeszła do Piotra. Podała mu rękę.

– Mam na imię Piotr i będę pani terapeutą.

– Anna. Bardzo mi miło.

– Może pani usiądzie? – zaproponował.

– Dziękuję.

Usiadła na brzegu stojącej przy ścianie sofy, tuż przy oknie, z którego rozciągał się widok na ruchliwą ulicę w dole. Przez uchylony lufcik słychać było zgrzyt tramwaju przejeżdżającego po szynach kilka ulic od kamienicy, w której znajdował się gabinet Piotra. W takich chwilach żałował, że nie miał wpływu na wybór lepszej lokalizacji swojego biura. Inni psychoterapeuci mieli gabinety od strony podwórza; było tam cicho i spokojnie. Jego gabinet był jedynym od strony ulicy. Dostał go w zeszłym roku, kiedy dołączył do zespołu jako ostatni z terapeutów. Wcześniej pracował w znacznie mniejszych ośrodkach. „Psychoterapia. Daj sobie pomoc” – hasło jego przychodni widniało na wąskim banerze od wewnętrznej strony okna. Wieczorami, gdy zapalały się uliczne lampy, widział odwrócone litery, które prześwitywały przez szybę.

Z drugiej strony kiedy pacjenci wreszcie decydowali się otworzyć, często uciekali wzrokiem właśnie w stronę ruchliwej ulicy za oknem. Widok toczącego się życia stolicy najwyraźniej pomagał im odzyskać spokój.



– Bardzo tu przytulnie – rzuciła kobieta, rozglądając się po gabinecie.

Jej wzrok zatrzymał się niespodziewanie na kolorowej reprodukcji Picassa zawieszanej na ścianie za jego biurkiem.

– *Dziewczyna przed lustrem* – powiedziała, nie odrywając wzroku od pokaźnych rozmiarów obrazu. –

Sam pan dobrał ten portret do gabinetu?

– Muszę panią rozczarować... Był tutaj, zanim rozpocząłem praktykę w tej przychodni.

– Widziałam go w oryginale.

– Jakie zrobił na pani wrażenie?

– Ogromne. Zwłaszcza te kolory. Picasso należał to tych niezwykłych geniuszy, którym wystarczyła jedna kreska, krótka linia, żeby wyrazić całą... treść postaci. Wszystko inne było zbędne.

Pozwolił jej patrzeć na obraz w milczeniu.

– Interesuje się pani malarstwem? – zapytał po chwili.

– Z wykształcenia jestem historykiem sztuki – odpowiedziała. – Niestety nie pracuję w swoim zawodzie, ale miłość do obrazów zostanie ze mną do końca życia.

– Rozumiem. – Chrząknął. – W czym mogę pani pomóc?

Z jej twarzy natychmiast zniknął uśmiech. Na jego miejsce powróciły niepewność i strach.

– No tak – podjęła szybko. – Nie przyszedłam tutaj, żeby rozmawiać o sztuce.

– Tego nie wiem.

– Pan sobie żartuje? – zdziwiła się.

– Bynajmniej. To pani decyduje, o czym będziemy rozmawiać. Sama pani najlepiej wie, co panią do mnie sprowadza. Może właśnie chęć rozmowy o sztuce?

Uśmiechnęła się, co uznał za dobry znak.

– Może ma pan rację? Może nie mam z kim porozmawiać o obrazach? – zastanowiła się.

– Od razu przyznaję się, że jeśli chodzi o sztukę, jestem kompletnym dyletantem.

– Tym lepiej.

– Dlaczego?

– Przynajmniej nie będzie się pan wymądrzał.

Umilkła.

Miała młodą twarz, zasnutą smutkiem niczym woalką. Rozpacz, którą nosiła w oczach, niepotrzebnie dodawała jej lat. Otworzyła torebkę i wyjęła chusteczkę, nie po to jednak, by wytrzeć nią nos, ale by bawić się nią w dłoniach.

Piotr zawsze dawał swoim pacjentom czas, którego potrzebowali, by się przed nim otworzyć, tym razem jednak czuł, że pytanie, które zada Annie, ośmieli ją.

– Pani jest pierwszy raz u psychologa?

Skinęła głową. I nadal milczała.

– Nigdy nie była pani u psychoterapeuty?

– Nie.

– Rozumiem, że trudno pani zacząć – powiedział. – Spędzimy razem pięćdziesiąt minut, a potem zobaczymy. Albo umówimy się na kolejne sesje, albo dojdzie pani do wniosku, że nie ma ochoty widzieć mnie już nigdy więcej.

Znowu się uśmiechnęła.

– Potrzebuję pana pomocy – oświadczyła, ściskając w dłoniach chusteczkę.

– Słucham.

– Przyszedłam do pana, bo mój mąż wyjechał na kilka dni i uznałam, że to dobra okazja. On, rozumie pan, on nie może się o niczym dowiedzieć.

– Oczywiście. Tak samo jak lekarza, obowiązuje mnie tajemnica zawodowa i mogę panią zapewnić, że wszystko, co pani powie w tym gabinecie, pozostanie między nami.

– To dobrze. – Skinęła głową. – Musi mnie pan zrozumieć.

– Postaram się.

– Mój mąż jest bardzo wrażliwy, on nie może się dowiedzieć, że ja sobie nie radzę, to byłaby dla niego klęska. Jest wybitnym człowiekiem, na wysokim stanowisku, zapracowanym ...

Piotr rzucił jej pytające spojrzenie.

– Bardzo przepraszam, że pani przerywam... ale chce pani rozmawiać o mężu czy o sobie?

– O sobie – odpowiedziała szybko. – Ale on jest moim mężem. To najbliższa mi osoba i wiem, że z jednej strony potępiłby mnie za to, że szukam pomocy u obcych ludzi, a z drugiej strony wstydziłby się tego, że lecę się u psychiatry.

– Nie jestem psychiatrą – poprawił ją.

– Tak, wiem. Ale dla mojego męża to bez znaczenia. On uważa, że chodzenie po tego typu gabinetach to oznaka słabości, kompletna porażka.

– Pani w to nie wierzy?

Spojrzała na niego szeroko otwartymi, smutnymi oczami.

– Mam nadzieję, że mi pan pomoże – odparła. – Tak jak powiedziałam, nigdy wcześniej się nie leczyłam, byłam zdrowa psychicznie.

– A teraz?

Jej długie szczupłe palce zaciskały się coraz mocniej wokół białej chusteczki.

– Wydaje mi się, że mam depresję. Nie byłam z tym u lekarza, ale tyle się teraz o tym mówi w telewizji i w ogóle, że jestem pewna, że dopadło też i mnie.

– Czy coś się ostatnio wydarzyło?

– To znaczy co?

– Coś, co mogło wpłynąć na powstanie u pani tego stanu?

Wzruszyła ramionami.

– Nic. Nic się nie stało, ani teraz, ani wcześniej.

– Skąd zatem przypuszczenie, że to może być depresja?

– Bo jestem nieszczęśliwa. Powiem więcej, nie ma nic, co mogłoby dać mi szczęście. Nic mnie nie bawi, i to od bardzo dawna, nic nie śmieszy. Mój mąż mówi: „Idź do kina, rozerwij się, nie siedź tak bez przerwy”, ale ja nie mam pojęcia, gdzie miałabym pójść. Nic mi się nie chce. Wiem, mówię jak staruszka, ale taka jest prawda. – Położyła dłoń na brzuchu. – Gdzieś tam w środku się wypaliłam.

– Rozumiem.

Spojrzała na niego oczami pełnymi zdumienia.

– Naprawdę pan to rozumie?

– Proszę mówić.

– Najgorsze są poranki. Mój mąż wychodzi do pracy, a ja nie mam ochoty nawet wstać z łóżka. Doszło do tego, że zrezygnowałam z pracy, zresztą mój mąż świetnie zarabia, ja nie muszę pracować.

– Praca to nie tylko pieniądze.

– Wiem. Ale to nie była taka praca. Nigdy jej nie lubiłam, więc w sumie dobrze się stało, tak jest lepiej. Przynajmniej mogę zastanowić się nad znalezieniem czegoś lepszego, może związanego właśnie z tym. – Ponownie wskazała dłonią obraz. – Szczerze mówiąc, właśnie po to to zrobiłam. Tylko nie spodziewałam się, że ta depresja mnie dopadnie. Nie jestem w stanie o niczym innym myśleć. Nie umiem szukać pracy, nic nie umiem, jestem załamana. Co pan na to?

Tym razem to Piotr się uśmiechnął.

– Po pierwsze, dobra wiadomość na początek. Moim zdaniem nie ma pani depresji, tylko chwilowe załamanie.

Skinęła głową.

– Czy pan może coś z tym zrobić?

– Co ma pani na myśli?

– Mogę być szczerą?

– Wyłącznie. Jeśli będzie pani kłamać, nigdy nie dojdziemy do porozumienia. Szczerość, nawet ta trudna, przed którą sami się bronimy, jest podstawą sukcesu terapii. Musi pani o tym pamiętać. Zatem słucham – dodał zachęcająco.

– Chciałabym cofnąć się w czasie.

Patrzył na jej usta, wąskie, delikatnie muśnięte szminką w dyskretnym kolorze. Wiedział, że właśnie w tej chwili Anna przekracza niewidzialną ścianę, która dzieli każdego terapeutę i pacjenta, ścianę, która albo runie, albo wzmocni się i przeobrazi w mur nie do pokonania. Wystarczyło pozwolić jej mówić, wystarczyło słuchać bez oceniania, bez wydawania opinii, która potrafiła zasznurować usta pacjenta na długie lata. To był ten moment, z którego również Piotr czerpał największą naukę. Za każdym razem uczył się panować nad sobą coraz lepiej. Nie chodziło o to, by być chłodnym i pozbawionym uczuć terapeutą, bo to sprawiłoby, że pacjent już nigdy więcej nie zapukałby do drzwi jego gabinetu. Cała sztuka polegała na tym, by swoim milczeniem zachęcić drugiego człowieka do otworzenia się. Sztuka udawania i odwracania roli przychodziła z czasem. Pacjent był przekonany, że mówi po to, by terapeuta go słuchał. Terapeuta w tym czasie przygotowywał pacjenta, by ten usłyszał samego siebie. Tylko w ten sposób można było uleczyć chorą duszę.

– Nie dziwi to pana?

– Nie.

– Nie uważa pan, że przyszła do pana wariatka, która chce podróżować w czasie?

– Zdziwiłaby się pani, jak wiele osób o tym marzy.

– I co im pan mówi? – spytała. – Przecież nie jest pan czarodziejem?

– Wystarczy, że pomogę im uspokoić myśli.

– Ma pan rację. Moje myśli są niespokojne.

– O czym pani myśli najczęściej?

– W kółko o tym samym, niestety.

– O przeszłości?

Skinęła głową.

– Czy mogę podejść do okna? – spytała.

– Proszę.

Podniosła się z sofy. Miała na sobie kostium z szarej bawełny. Na oparciu kanapy leżał jej czarny płaszcz, którego z jakiegoś powodu nie chciała zostawić na wieszaku w poczekalni. Obok niego leżała torebka z ciemnej skóry.

– Nie lubię mojego życia – wyznała. – Nie lubię siebie takiej, jaką się stałam. Wtedy byłam zupełnie inna.

– Kiedy?

– Zanim wyszłam za mąż. Małżeństwo wszystko zmieniło, mój świat się zawalił.

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

– Ja tego zupełnie nie rozumiem – szepnęła. – Przecież nikt mnie nie zmuszał, żebym za niego wyszła, ja go nawet kochałam, może nawet nadal go kocham, ale to wszystko nie jest takie, jakie być powinno.

– Skąd pani to wie?

– Bo tak czuję. Zanim go poznałam, byłam szczęśliwa, czułam się wolna, cały świat stał przede mną otworem, a teraz czuję się jak ... – Urwała.

– Jak?

– Jak motyl zwabiony cudownym zapachem do słoika, który ktoś bardzo szczelnie zakręcił – wyznała. – Czuję, że zostało mi coraz mniej powietrza. To mnie blokuje. Czasami wydaje mi się, że moje nogi z każdym krokiem zapadają się w gęsty beton, który tężeje, a ja poddaję się i pozwalam mu, by zamienił moje nogi w betonowe kolumny. Bezsilność, która mnie ogranicza na każdym kroku. Nic nie mogę zrobić, niczego już nie zmienię.

– To nieprawda.

Patrzyła na samochody, które wolno przejeżdżały ulicą.

– To my kształtujemy nasze myśli – powiedział Piotr ze spokojem. – Nasze myśli trzeba ćwiczyć w takim samym stopniu, co ciało.

– Nie wiedziałam. Proszę mi o tym opowiedzieć.

– Czy zauważyła pani, że są dni, gdy nasze myśli potrafią nas pogrążyć, kiedy wszystko jest nie tak, a każde nawet najmniejsze potknięcie powoduje rozpacz?

Uśmiechnęła się słabo.

– Oczywiście. Mam tak dość często.

– Jeśli nie panujemy nad naszym nastrojem, ulegamy mu. To walka – tłumaczył Piotr. – Albo nie damy za wygraną, albo poddamy się smutkowi, który pogrąży nas z satysfakcją. Jeśli jednak przygotujemy się do tej walki, poznamy narzędzia, które dodadzą nam odwagi, wygrana będzie po naszej stronie. To wymaga jednak czasu.

– Ale nie jest niemożliwe?

– Nie jest. Człowiek to bardzo skomplikowana istota, wyposażona w wolę, która niećwiczona, staje się coraz słabsza.

Patrzyła na niego z ukosa, wciąż niepewnie i ostrożnie, jakby świdrowała wzrokiem ducha.

– I pan mnie tego nauczy?

– Sama się pani tego nauczy – powiedział. – To wymaga czasu, ale poradzi sobie pani.

– Przeniesie mnie pan w czasie? – zapytała nagle.

– Nie. Nauczy się pani akceptować czas, który jest tu i teraz.

Pokręciła głową ze smutkiem.

– Musiałabym najpierw zaakceptować siebie.

– Od tego właśnie zaczniemy.



Joanna postawiła przed nim filiżankę, nad którą następnie przechyliła imbryk z herbatą.

– Parzona, twoja ulubiona – powiedziała z dumą.

Pocałował ją w dłoń.

– Marzyłem o twojej herbacie przez cały dzień. Nikt nie potrafi przyrządzić jej tak jak ty, kochanie.

– Cała tajemnica tkwi w odrobinie cynamonu, którą wsypuję do dzbanka – zdradziła Joanna, siadając na sofie obok niego. – Zmęczony?

Piotr skinął głową.

– Przepracowujesz się, kochanie.

– Pracuję tyle samo, co inni – zaprotestował. – Po prostu muszę się przyzwyczaić do wydłużonych godzin. Większość ludzi może przyjść do gabinetu dopiero po pracy, wieczorem...

Westchnęła głośno, nieco teatralnie.

– Boże, jak ja nie lubię siedzieć w tym domu sama, kiedy za oknem jest ciemno.

– Wiem, ale nic na to nie poradzę, kochanie. Takie mam godziny pracy.

– Nie mógłbyś poszukać czegoś innego? No, nie wiem, w jakiejś firmie na przykład?

– Tam byłoby jeszcze gorzej.

– Skąd to wiesz?

– Kilka osób z mojego roku znalazło pracę w korporacjach i dużych przedsiębiorstwach.

– I co? Narzekają?

– Na zarobki nie. Płacą porządnie, ale również wymagają od nich pełnej gotowości przez całą dobę. Szef ma prawo zadzwonić do nich nawet w środku nocy i jeśli zajdzie taka potrzeba, muszą wrócić do firmy. Nie widzę się w takiej pracy. Dla mnie kontakt z pacjentem, praca w gabinecie jest najważniejsza.

Wstała z kanapy i przespacerowała się po pokoju kocim krokiem.

– Dobrze, że chociaż weekendy masz wolne. Mamy jakieś plany na sobotę?

– Nie mamy – odpowiedział. – Może chciałabyś pójść do kina?

– Do kina?! – parsknęła z niesmakiem. – Miałam nadzieję na coś bardziej wysublimowanego.

– Na przykład...?

– No nie wiem, może galeria? Piotr, kiedy tak naprawdę byliśmy na jakiejś porządnej wystawie?

– Ostatnio?

– W ogóle.

– Nie wiem.

– No właśnie! Tak nie można. Trzeba bywać, zwiedzać... Co masz taką minę?

– Po prostu zaskoczyłaś mnie – wyjaśnił, mrugając z niedowierzaniem. – Nie wiedziałem, że lubisz oglądać obrazy.

– Sztuka to nie tylko obrazy. Mam ochotę zobaczyć coś z rzeźby.

– To może zadzwonimy do Agaty? Ona siedzi w tym po uszy, na pewno poleci nam coś ciekawego – zaproponował.

– Tylko nie to! – zaoponowała stanowczo. – Nie chcę jej poleceń ani rad. To ma być twój wybór.

– Wybacz, ale nie bardzo wiem, jak mógłbym ci pomóc. – Uniósł dłonie w obronnym geście. – Nawet nie wiem, gdzie miałbym czegoś takiego szukać.

Zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

– To się wysił – powiedziała chłodno. – Sam znajdziesz nam wystawę rzeźby nowoczesnej. Właśnie tak chcę spędzić sobotnie popołudnie. A potem pójdziemy na lody.

Tej samej nocy kochali się długo i namiętnie. Piotr zasypiał, czując na karku jej gorące usta.

Następnego dnia w przerwie na lunch otworzył laptopa i w wyszukiwarce wpisał: „wystawa rzeźby nowoczesnej”. W pierwszym linku, jaki się pojawił, przeczytał o figurach z lodu, które przyjechały do Polski wraz z artystą z Norwegii. Można było je zobaczyć w jednej z miejskich galerii. Właściwie mógł uznać to za ostateczny wynik poszukiwań, ale jego wzrok przykuła reklama galerii w kolejnym linku wyszukiwarki. Wielka bryła z brązu przypominała globus, w którym ktoś wydrążył otwór.

Wyjął komórkę i wybrał numer Joanny. Odebrała po trzecim sygnale.

– Słucham? – Miała lekko senny głos.

– Witaj, kochanie. Jak mija ci dzień?

– Ach, to ty, nie spojrzalam na wyświetlacz. Czemu dzwonisz? Jestem trochę zajęta. Szef wariuje od



rana.

– Rozumiem. W takim razie nie będę ci przeszkadzał – stwierdził.

– Ależ ratuj mnie! Skoro już zadzwoniłeś, to chociaż powiedz coś, co pozwoli mi się oderwać od tej szarej rzeczywistości.

– Znalazłem kilka propozycji na ten weekend – powiedział zadowolonym głosem.

– Przepraszam, ale nie rozumiem, o czym ty właściwie mówisz...

– Zapomniałaś już?

– O...?

– Prosiłaś, żebym znalazł wystawę rzeźby, mówiłaś, że masz ochotę wybrać się na wystawę w ten weekend...

Słyszał jej oddech, ciężki, prawie wilgotny.

– I po to do mnie dzwonisz? – Była zawiedziona.

– Chciałem upewnić się, czy wolisz brąz czy może rzeźby z lodu.

– Wszystko jedno – odpowiedziała krótko. – Podejmij decyzję za mnie, zaskocz mnie. Muszę już kończyć.

– Trzymaj się. Do zobaczenia w domu.

Chciał się już rozłączyć, kiedy ponownie usłyszał jej głos.

– Piotr?! – zawołała.

– Tak?

– One są z prawdziwego lodu?

– Myślę, że tak.

– Chcę je zobaczyć. Pa.



Dzień był ponury, deszczowy, jesienny. Patrząc przez okno, trudno było uwierzyć, że lato właśnie się zaczęło.

Śniadanie zjedli w salonie. Joanna przygotowała jajka na miękko.

– Perfekcyjne! – zawyrokował Piotr, przełamując nad stołem bagietkę na pół.

Kawę wypili, siedząc na sofie; Joanna wciąż była w szlafroku, jej włosy pachniały lawendowym szamponem.

– Leniwy dzień, prawda? – zapytała, opierając głowę o jego ramię.

– Bardzo tego potrzebowałem.

– A jednak weekend to taka mała śmierć. Tydzień się kończy, czas staje w miejscu, umierają rzeczy, za którymi goniliśmy przez pięć dni. Trochę to smutne.

– Oddech jest potrzebny choćby po to, by biec dalej.

– Moja matka w weekend zawsze sprzątała. To było okropne, bo nie pozwalała nam sobie pomóc.

– Dlaczego? – zapytał.

– Twierdziła, że nie jesteśmy w tym zbyt dobre, że tylko zepsujemy to, co ona z taką starannością przygotowała. A my wcale nie byliśmy bałaganiami, tylko uważaliśmy, że takie zajęcie w sobotę to strata czasu. Ona po prostu uwielbiała sprzątać, miała na tym punkcie obsesję. Uwielbiała, kiedy było czysto, ale też zamęczała nas mówieniem o tym bez końca. To było nie do zniesienia. Obiecałam sobie, że

nigdy nie będę taka jak ona.

– To znaczy?

– Że nie będę latać po domu ze szmatką w ręku, z tą obsesyjną iskrą w oku, szukając najmniejszego pyłku, rysy, plamy na obrusie. Obiecałam sobie, że będę miała kogoś, kto zrobi to za mnie.

– Mnie...? – Uśmiechnął się.

– Ciebie. I panią Marysię z trzeciego pietra. Jest świetna i przychodzi wtedy, kiedy jestem w pracy, więc nawet jej nie widuję. I nie jest droga.

– Nie jest.

– I dzięki niej możemy sobie teraz pić kawkę w idealnie czystej przestrzeni. Zbierajmy się! – Poklepała go po udzie, wstając. – Od której jest ta wystawa?

– Od pierwszej.

– Świetnie. Wieczorem chciałabym już być z powrotem w domu.

Patrzył, jak w drodze do sypialni zdejmuje szlafrok, pod którym była zupełnie naga. Pachniała kokosowym balsamem do ciała.



Stara kamienica w niczym nie przypominała galerii. Znajdowała się na końcu zwyczajnej dzielnicy niecieszącej się w mieście dobrą sławą.

– Piotr, jesteś pewien, że ta wystawa jest tutaj? – zapytała Joanna. – Nie podoba mi się tu.

Wyjął z kieszeni marynarki wydrukowaną kartkę z adresem.

– To tutaj.

Wskazał dłonią na szeroko otwartą bramę podświetloną na pomarańczowo, do której zbliżali się kolejni goście.

Galeria znajdowała się w piwnicach kamienicy. Schodziło się tam krętymi, wąskimi schodami i już w ciemnym korytarzu czuć było przejmujący chłód. Na końcu drogi witało ostre, prawie błękitne światło, które wypełniało biało pomalowane sale. W środku znajdowało się sporo ludzi stłoczonych wokół lodowych rzeźb ustawionych na specjalnych, schładzających podestach. Przezroczyste figury przedstawiały głównie zwierzęta – lisy i borsuki – choć w ostatniej sali było też kilka kwiatów wyrzeźbionych w zamrożonej wodzie.

– Ładne – stwierdziła Joanna, obchodząc jedną z figur. – Tylko strasznie tu zimno.

– Trochę szkoda, że tyle pracy ktoś wykonał na marne, nie sądzisz?

– Na marne...?

– Przecież to wszystko zamieni się wkrótce w kałużę – przypomniał. – To tylko lód, a każdy lód prędzej czy później się stopi.

– Może właśnie po to artysta wybrał taki rodzaj materiału? – Jej pytanie brzmiało jak wyrok. – Żeby docenić chwilę?

– Mimo wszystko nadal uważam, że to dziwny wybór.

Piotr powoli odwrócił się w stronę drzwi wyjściowych. Nie był szczególnie wrażliwy na piękno sztuki, chciał po prostu zrobić przyjemność Joannie. Nagle natrafił na znajome spojrzenie.

– Piotr! – zawołała nad głową Joanny młoda kobieta. – To naprawdę ty?!

Miała te same śmiejące się oczy, co dawniej, tylko grzywka obcięta ostro tuż nad oczami sprawiała, że

jej twarz w pierwszej chwili mogła wyglądać obco.

– Karolina! – Piotr natychmiast rozpoznał dawną znajomą ze studiów. – A gdzie Janek?

– Już schodzi. Razem tu przyszliśmy.

– Wspaniale cię widzieć! – wykrzyknął szczerze.

– Ciebie również... O, Janek! – Obróciła się w stronę zbliżającego się mężczyzny. – Zobacz, kogo spotkałam.

– Piotr, kopę lat!

Mężczyźni wymienili uściski i przez chwilę nie mogli oderwać od siebie oczu.

– Sam jesteś? – zapytała Karolina, rozglądając się po sali.

Dopiero teraz Piotr przypomniał sobie o Joannie. Niespodziewane spotkanie dawno niewidzianych znajomych oszołomiło go zupełnie.

– Jestem z żoną. Chwileczkę!

Szybko poszukał jej wzrokiem. Podbiegł do niej; szła w stronę schodów.

– Zaczekaj! – Dotknął jej ramienia. – Gdzie ty uciekasz? Spotkałem znajomych. Chodź, przedstawię cię.

– Jesteś pewien? – zapytała jakoś tak zimno, odwracając się.

– Pewien czego? – Nie rozumiał.

– Może chcesz sam z nimi porozmawiać? Zaczekam na ciebie na górze.

– Zwariowałaś...?!

Złapał ją za rękę i razem wrócili do Karoliny i Janka.

– Poznajcie się – powiedział Piotr, przedstawiając im Joannę.

– Czyli... razem studiowaliście? – zapytała Joanna.

– Tak – odpowiedziała szybko Karolina. – Ale zdaje się, że tylko Piotr został terapeutą.

– Tak?

– My z Jankiem pracujemy w korporacjach. To raczej mało ma wspólnego z terapią.

– Kto wie, może niedługo sami zgłosimy się do Piotra na sesję, zwłaszcza jak tak dalej pójdzie – stwierdził Janek z goryczą. – Mówię ci, stary, moja praca to orka.

– Ale coś za coś – dodała Karolina. – Właśnie kupiliśmy dom za miastem. Piękny, z ogrodem. I blisko lasu. Koniecznie musicie do nas przyjechać, zapraszamy.

– No widzisz – mruknęła Joanna, zwracając się do Piotra. – Inni jakoś mogą dorobić się domu przed czterdziestką, nie to co ty. Może powinieneś brać większy przykład ze swoich znajomych?

Piotr nie odpowiedział na to ani słowem. Patrzył na żonę w osłupieniu.

– Piotr był zawsze bardzo zdolny – tłumaczyła go Karolina.

– O tak! – parsknęła Joanna. – Jest zdolny, ale nie potrafi walczyć o swoje. Wykorzystują go w tej klinice do wszystkiego.

– Pracujesz w klinice? – zapytał Jan.

– To nic wielkiego, prywatne gabinety terapeutyczne – odpowiedział Piotr głosem stłumionym, jakby przygasłym.

– No, sami widzicie! – rzuciła natychmiast Joanna. – Ten człowiek potrafi wszystko zepsuć. Dlaczego nie umiesz się niczym pochwalić? Przecież to nie wstyd, a raczej powód do dumy. Gabinet jest piękny, w centrum miasta, na pewno słyszeliście o tym miejscu, bo bez przerwy reklamują je w prasie, ale to nie zmienia faktu, że okropnie go tam wykorzystują.

– Przesadzasz, kochanie...

– Wiem, co mówię. I tych dwoje... – Wskazała na rozmówców. – Jest tego najlepszym przykładem.

– My...?! – zdziwiła się Karolina.

– No, tak. Przecież skończyliście studia w tym samym czasie i proszę, jak pniecie się w górę... Nie to, co Piotr. Powiedz sam, kiedy ostatnio miałeś jakąś podwyżkę? No właśnie! A przecież wracasz czasami nawet o dziewiątej wieczorem.

– Takie mam godziny pracy – bronił się.

– Ciekawe, czy właściciele kliniki to doceniają.

Przez chwilę w powietrzu wisiała ciężka cisza. Piotr patrzył w oczy starych znajomych, jakby szukając w nich pomocy, która jednak nie nadeszła. Joanna w tym czasie podeszła do kolejnego lodowego posągu i patrzyła na niego nieobecny wzrokiem.

– Słuchajcie, a może wpadniecie do nas na kawę? – zaproponował wreszcie Piotr. – Jest sobota, a tutaj nie ma nic szczególnego do oglądania. Przyjdziecie do nas i na spokojnie powspominamy sobie stare czasy. Kochanie, co ty na to?

– Świetny pomysł – odpowiedziała z chłodnym uśmiechem na twarzy. – Oczywiście zapraszamy.



Wszedł do sypialni cicho, na palcach. Na oparciu krzesła położył wilgotny ręcznik. Lubił brać prysznic w środku nocy, bał się tylko, czy nie obudził Joanny.

Usiadł na brzegu łóżka najostrożniej, jak potrafił. Kołdra była ciepła, unosiła się regularnie, delikatnie, pod wpływem jej spokojnego oddechu. Dotknął jej ramienia.

– Jesteś cały mokry – szepnęła.

– Nie chciałem cię obudzić. Spałaś?

– Nie – odpowiedziała matowym głosem.

– Nie możesz zasnąć? Może to przez wino. Nie było za mocne?

– Nie wiem, może.

Przytulił się do jej ciała, nagiego i gorącego. Leżeli tak wtuleni w siebie w milczeniu nocy, wilgotnej i parnej. Za oknem słychać było dźwięk ciężkich kropli, które uderzały o parapet, jakby były kamieniami. Wsłuchiwali się w ten dźwięk ze spokojem.

– Nie polubiłaś ich? – zapytał w końcu Piotr.

– Czy to w ogóle jest możliwe? To wspaniali ludzie sukcesu.

– Nie liczy się tylko sukces.

– Masz rację. Inne rzeczy też są ważne.

– Więc o co chodzi?

– O nic – parsknęła.

– Przecież widzę.

– Czy moje zdanie w tej kwestii w ogóle kogoś interesuje?

– No przecież cię zapytałem.

– Tak?! Szkoda, że zapomniałeś mnie zapytać wcześniej.

– O co?

– A choćby o to, czy mam ochotę zapraszać ich do naszego mieszkania.

Usiadł na łóżku i podciągnął kolana pod brodę.

– Myślałem, że się polubicie.

– No właśnie – odpowiedziała tonem pełnym agresji. – Skąd możesz wiedzieć, o czym ja myślę?

Owszem, jesteś psychologiem, ale to jeszcze nie znaczy, że wiesz, co siedzi w mojej głowie.

– Więc o to ci chodzi?

– Słucham...?

– Że nie zapytałem cię o pozwolenie?

– Przestań! – Ucięła szybko. – Nie ośmieszaj się. To twoje mieszkanie, możesz sobie zapraszać, kogo chcesz, ale błagam cię, nie wciągaj mnie więcej w te twoje znajomości.

Odgarnął dłonią mokre włosy, które opadały mu na czoło.

– Po pierwsze, to jest nasze mieszkanie, a nie moje.

– Jesteś pewien? – Znów parsknęła. – Dostałeś je od rodziców, więc jest twoje. Ja tu tylko mieszkam, zresztą dzisiaj dobitnie mi o tym przypomniałeś.

– O czym ci niby przypomniałem?

– Zaprosiłeś swoich znajomych bez pytania mnie o zdanie. Wiesz dlaczego? Bo to jest twoje mieszkanie, nie moje. Ty się ze mną nie liczysz.

Westchnęła teatralnie. Było ciemno, nikt nie sięgnął ręką, by zapalić lampkę.

– Czym oni tak cię zdenerwowali? – zapytał cicho.

– Oni?! Chyba żartujesz! Nic nie rozumiesz. Karolina i Jan to świetni ludzie, niczego nie można im zarzucić, w przeciwieństwie do ciebie, oczywiście. Jedyłą osobą, która dzisiaj doprowadziła mnie do takiego stanu, jesteś ty! – wykrzyczała.

– Przepraszam...

– Nie ośmieszaj się. Żeby przeproszać, trzeba wiedzieć za co.

– To dlatego nie zaproponowałaś im nawet herbaty...

– Przecież to twoi goście, twoi znajomi. Sam powinieneś im usługiwać.

Miał ochotę przetrzeć oczy ze zdumienia. Czy to była jego Joanna? Co znów ją opętało?

– Wybacz, kompletnie nie rozumiem takiego podejścia.

– A ja nie rozumiem, dlaczego, do cholery, musimy gnić w tej norze, zamiast przesadzać kwiatki w ogródku, którego nie mamy i którego nigdy nie będziemy mieć!

– Norze...?!

– No, w porównaniu do ich domu nasze mieszkanie to pewnie nora. Powiedz mi, czy ty w ogóle masz jakąś ambicję? Do czego chcesz w życiu dojść?

– Nie wiem – odparł smutno.

– No właśnie – syknęła. – Nie wiesz. A ja wiem, wiem to, odkąd skończyłam piętnaście lat. Zawsze chciałam mieć męża lekarza, który kupi mi piękny dom za miastem. Powiedz mi, dlaczego ja to wiedziałam od zawsze, a ty nie wiesz nawet teraz, kiedy jesteśmy ze sobą od tylu lat?

Milczał.

– Dlaczego, do cholery, nic nie mówisz?!

– Chcę, żebyś się uspokoiła.

– No, jeśli tak mówisz do swoich pacjentów, jak teraz do mnie, to szczerze im współczuję.

– Przykro mi.

– I wiesz, co ci powiem? Uspokoję się, kiedy weźmiesz się w garść i zaczniesz działać jak prawdziwy facet. Chcę mieć normalne życie, bo na to zasługuję. Chcę mieć dom i męża, który liczy się z moim zdaniem.

– Dobrze – odpowiedział cicho.

Odwróciła głowę w jego stronę. Nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

– Masz rację – dokończył. – Jestem beznadziejny i nawet nie zauważyłem, kiedy to się stało.

Odsunęła kóldrę i dotknęła jego ręki.



– Nie jesteś – powiedziała szybko. – Wierzę w to, że się zmienisz, że będziemy nadal szczęśliwi.

Musisz tylko więcej nad sobą pracować, musisz wiedzieć, czego chcesz od życia, tak?

Skinął głową w ciemnościach.

– Jesteśmy młodzi... Nie musimy ze sobą być.

– Ale jesteśmy przecież...

Czuł na sobie jej wzrok. Nie widział twarzy w ciemnościach, ale słyszał jej oddech, szybki i nerwowy.

– Jesteś ze mną szczęśliwy? Odpowiedz szczerze.

– Jestem. Oczywiście, że jestem. A ty? – powiedział szybko.

– Ja ciebie kocham. Bez względu na wszystko. Ale musisz też zrozumieć mnie.

– Staram się.

– Jeśli coś się między nami psuje, to albo się rozstajemy, albo naprawiamy.

– Nie chcę się z tobą rozstać.

– Ja też nie. Ale wybacz, nie będę marnować swoich najlepszych lat na związek, który zmierza w ślepią uliczkę.

– Wydaje mi się, że mimo wszystko trochę przesadzasz.

– Być może. Ale lepiej być czujnym teraz, niż później żałować. Obiecuj mi jedno – poprosiła. –

Obiecuj, że nigdy więcej nie zrobisz czegoś bez porozumienia ze mną. Obiecuj mi to teraz.

Poczuł na ustach jej gorący pocałunek, długi i wilgotny.

Deszcz dudnił za oknem coraz mocniej i mocniej, uderzał w szyby, jakby chciał je wybić i oznajmić coś bardzo ważnego, niecierpiącego zwłoki. Nikt jednak nie zwracał nań uwagi. Firanki, szczelnie zasunięte, w statecznym milczeniu obserwowały ulewę, nie kryjąc obojętności. Zaczynało świtać.



Następnego dnia wszystko jakby narodziło się na nowo, jakby żadne z nich nie pamiętało kłótni poprzedniej nocy. Dzień był jasny, radość wisiała w powietrzu. Joanna, wstawszy, otworzyła szeroko okna. Słysząc było śpiew ptaków, które również zbudziły się po deszczowej nocy, by przywitać słoneczny poranek.

Nim Piotr zdążył wysunąć nogi spod kołdry, stała już przed nim z drewnianą tacą, na której ustawiła dwa talerze z jajecznicą posypaną drobno posiekany szczypiorkiem. Do szklanej miseczki nałożyła trochę malinowego dżemu, obok czekały masło i bułki.

– Chcesz kawy? Czy wolisz może herbatę? – zapytała, siadając na brzegu łóżka.

– Może ja zrobię? – zapytał zmieszany.

– Ależ pozwól mi cię trochę porozpieszczać...

– Cóż to za okazja? Czym sobie zasłużyłem?

– Nie czuję się zbyt komfortowo po wczorajszej rozmowie – wyznała. – Powiem więcej, mam wyrzuty sumienia.

Wstała. Teraz była obrócona do niego tyłem, opierała głowę o futrynę drzwi. Jej ciemne, mocno kręcone włosy opadały na ramiona, z których zsuwał się niepostrzeżenie szlafrok w wielkie maki.

– Niepotrzebnie – odpowiedział.

– Tylko mnie nie usprawiedliwiaj. Wiem, że czasem jestem okropna.

– Nie jesteś.

Odwróciła się. Jej oczy były pełne łez.

– Naprawdę tak uważasz?

– Tak.

– I kochasz mnie? Mimo wszystko?

– Przecież nic się nie stało, głuptasie! – Wyciągnął do niej rękę. – Chodź do mnie, przytul się.

– Czuję się okropnie.

Oparła głowę na jego ramieniu. Słyszał jej szloch, którego nie potrafił znieść.

– Już dobrze – szepnął w jej włosy. – Już wszystko dobrze, kochanie.

Godzinę później jechali w stronę centrum handlowego.

– Kupimy ci garnitur. Albo dwa, jeden na co dzień, a drugi na oficjalne wyjścia.

– Dobrze – zgodził się potulnie.

– I jeszcze musimy znaleźć ci jakieś porządne buty, takie wiesz, skórzane, z klasą.

– Nie za dużo tego?

– I krawat. Koniecznie jasny, żeby pasował do twoich oczu.

– A ty? – zapytał, wjeżdżając na parking. – Niczego nie potrzebujesz?

– Ja? Ja potrzebuję przede wszystkim ubrać mojego męża. Chcę o ciebie zadbać, pozwól mi.

– Skoro tego potrzebujesz...

– A ty? Nie potrzebujesz tego?

Nim zdążył otworzyć usta, wyjaśniła głosem przesyconym pewnością:

– Przecież każdy potrzebuje kogoś, kto się nim opiekuje. A ja chcę się opiekować właśnie tobą, mój mężu. Czy tego chcesz, czy nie. A potem idziemy na lody. Czekoladowe, takie jak lubisz.

– Ale...

– Pośpieszmy się. Później chciałam jeszcze zrobić zakupy na dzisiejszy obiad. Zaskoczę cię czymś bardzo, bardzo pysznym.



– Niech pan usiądzie – zaproponował Piotr uprzejmie.

Mężczyzna podszedł do sofy. Był raczej wielki niż otyły. I wysoki – ledwie zmieścił się w drzwiach gabinetu. Widać było, że z przyzwyczajenia schyla głowę, mimo że sufit znajdował się całkiem wysoko.

– Wolałbym postać – odpowiedział. – Cały dzień siedzę za biurkiem. Nie będzie panu przeszkadzać, jeśli podejść do okna?

– Bardzo proszę.

Położył skórzaną teczkę na sofie. Była stara, wytarta na brzegach, wypchana papierami, których rogi wystawały spod paska.

– Czym się pan zajmuje, jeśli można spytać?

Mężczyzna uniósł ręce i wprawnym ruchem dłoni poluzował krawat. Rozpiął guzik koszuli i odetchnął z wyraźną ulgą.

– Jestem dyrektorem – odpowiedział.

– Aha.

– Pan się pewnie dziwi, ale to mój... zawód od trzydziestu pięciu lat.

– Rozumiem.

– Tak się tylko panu wydaje – zaprzeczył, nie kryjąc sarkazmu. – Dyrektoruję różnym firmom, zarządzam i układam ludziom życiorysy.

– To zapewne stresujące zajęcie.

– Oczywiście. Jak każda praca na stanowisku. Ale proszę się nie obawiać, nie z tym do pana przychodzę.

Ustawił się do niego bokiem. Z tej perspektywy jego opięty jasną koszulą brzuch wyglądał jak wielka piłka. Mężczyzna patrzył w dół, na ulicę, która zatopiona była już w popołudniowej mgle. Od trzech dni bez przerwy padało.

– Napijemy się? – zaproponował mężczyzna niespodziewanie.

– Bardzo proszę – odpowiedział Piotr, sięgając po karafkę z wodą.

– Nie to miałem na myśli.

– Jeżeli chodzi o kawę lub herbatę, to musiałbym zapytać naszą recepcjonistkę, ale jestem pewien, że to żaden kłopot.

– Panie, co pan! – nastroszył się pacjent. – Mówisz pan jak jakaś baba.

– Słucham...?

– Co mi pan tu wyjeżdża z herbatą? Chciałem jak facet z facetem. Ma pan ochotę na kieliszeczek?

– Żartuje pan?

– Nie. Nie żartuję.

– Proszę pana, tutaj alkoholu nie pijemy. Może pan się napić w pubie na dole, po zakończeniu sesji, rzecz jasna.

– Z panem?

– Nie. Nie ze mną – odparł Piotr.

– Dlaczego?

– Bo etyka zawodowa nam tego zabrania.

– Czego? Picia alkoholu po pracy? – Mężczyzna wybuchnął głośnym śmiechem.

– Picia alkoholu z pacjentami.

– Nawet po pracy?!

– Proszę pana, nam nie wolno wchodzić z pacjentem w żadne prywatne relacje; krótko mówiąc, nie spotykamy się z pacjentami poza gabinetem, w każdym razie unikamy tego.

– Ale zdarza się czasem, co?

– Nie przypominam sobie, żeby coś takiego mnie spotkało.

– No, ale dajmy na to, spotkalibyśmy się całkiem przypadkiem na ulicy i ja zaprosiłbym pana na piwko, to co?

– Odmówiłbym.

– Ale może ja bym wtedy, dajmy na to, bardzo pana potrzebował, i co wtedy?

– Zaprosiłbym pana do gabinetu.

– Taki jest pan zasadniczy?

– Staram się. Podobnie jak pan w swojej pracy, prawda?

– Prawda, prawda.

Mężczyzna ciężkim krokiem podszedł do sofy i usiadł na niej ostrożnie.

– Jak by się pan czuł... – powiedział, patrząc Piotrowi prosto w oczy. – Gdyby, dajmy na to, po trzydziestu latach stanęła w drzwiach tego gabinetu kobieta, dorosła już kobieta, która mówi do pana: „Cześć, tato”?

– Nie wiem, jak bym się czuł. Nigdy nie byłem w takiej sytuacji – odparł spokojnie Piotr, wyjmując z szuflady notatnik. – A pan? Rozumiem, że spotkało pana właśnie coś takiego?

– Tak. Dokładnie tydzień temu dowiedziałem się, że mam dziecko. Całkiem już dorosłe dziecko. Co by pan powiedział? – powtórzył.

Piotr otworzył notatnik i dyskretnie zapisał jedno słowo: „dziecko”.

– Wiedział pan o istnieniu córki? – zapytał.

– No przecież mówię, że nie. Nie wiedziałem, jej matkę ledwo pamiętam, rozumie pan?

– Ma pan rodzinę?

– Oczywiście, że mam rodzinę! – odkrzyknął pacjent z oburzeniem. – Mam żonę, która o niczym nie wie, podobnie zresztą jak ja. Nic z tego nie rozumiem. Czuję się, jakby ktoś się na mnie wziął, jakby złapał mnie w sidła. To pułapka. Właśnie dlatego do pana przyszedłem, adres gabinetu znalazłem w Internecie. Po prostu nie mogę sobie z tym poradzić, nie mogę spać, nie mogę o tym powiedzieć mojej żonie ani dzieciom. Nic nie wiem.

– Dlaczego?

– Co: dlaczego?

– Dlaczego nie może pan im o tym powiedzieć?

– Bo nie chcę burzyć wszystkiego, co przez tyle lat budowaliśmy – wyjaśnił mężczyzna, sapiąc, jakby się dusił. Najwyraźniej miał wrażenie, że rozmawia z idiotą. – Ta sprawa musi zostać tylko między mną a tą panią. Muszę to jakoś rozwiązać. Rozumie pan? Chcę ją spłacić, zaproponowałem jej to nawet, ale ona nie chce pieniędzy!

– A czego chce? Powiedziała przynajmniej?

– Tak, powiedziała.

– I...?

– Nie uwierzy pan. Ona chce mnie. Tak powiedziała.

– Co dokładnie powiedziała? – dążył Piotr.

– Że nie zależy jej na moich pieniądzach, że chce odzyskać ojca, którego nigdy nie miała, i że jej się to należy. Niezłe ma podejście do życia ta pani. Należy jej się.

– I co pan jej na to odpowiedział?

– Że ma iść do diabła. Wtedy powiedziała, że owszem, może odejść, ale już nigdy jej nie zobaczę i będę żył z tą wypaloną dziurą na sumieniu do końca życia. To były jej słowa: wypalona dziura na moim sumieniu. Myśli pan, że to szantażystka?

Piotr patrzył, jak mężczyzna sięga do kieszeni spodni i wyjmując z nich zmiętą bawełnianą chusteczkę. Nikt już takich nie używał. Wolno rozłożył ją na dłoni i otarł spocone czoło.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał z troską.

– Nie. Właśnie dlatego tutaj przyszedłem. Ale... – Mężczyzna podniósł rękę na wysokość oczu. – Jeśli chodzi o zdrowie, to od jakiegoś czasu nie za dobrze z moim sercem.

– Może wody?

– Skoro nie stać pana na nic innego – odgryzł się. – Poproszę! – dodał szybko.

Piotr podał mu szklanekę wody.

– Leczy się pan na serce? – zapytał.

– Od dwudziestu lat – westchnął mężczyzna. – A teraz jeszcze to! W moim wieku muszę się oszczędzać, lekarz zalecił mi, bym unikał wzruszeń i nerwów, no ale jak tu żyć?

Patrzył na Piotra okrągłymi bladoniebieskimi oczami poprzecinanymi drobnymi czerwonymi żyłkami. Górna powieka wyraźnie mu drgała.

– Wykończę się – stwierdził, odstawiając pustą szklanekę. – A przecież muszę żyć. Dla moich dzieci, dla żony, która nigdy nie pracowała zawodowo, tylko dom i dom. Nie powiem, ładnie urządziła wszystko i w domu, i w ogrodzie. I dzieci zawsze miały prace domowe odrobione, ja nawet nie zaglądałem im do

zeszytów. Syn już na studiach, córka zdaje maturę za rok. No, i jak ja mam umierać, panie?

– A kto mówi o umieraniu? – zdziwił się Piotr. Rozmowa biegła dziwnym torem.

– Serce. – Pacjent postukał dłonią w klatkę piersiową. – Serce już nie daje rady.

– To trzeba go posłuchać.

– I co dalej?

– Zwolnić – dodał Piotr z rozwagą.

Mężczyzna, słysząc te słowa, tylko pokiwał głową z politowaniem.

– Jakbym żonę słyszał – dodał.

– Żona ma rację.

– Nie mogę spać.

– To także skutek przepracowania.

– I nerwów, panie – wymamrotał pod nosem.

Schował chustkę z powrotem do kieszeni spodni i uderzył otwartymi dłońmi w uda.

– Rozkołatany jestem, a przecież powinienem być przyzwyczajony do takiego tempa, prawda?

Dyrektoruję nie od dziś. Panie, myśmy w przedsiębiorstwie nie takie kryzysy mieli i jakoś wychodziłem z każdego kłopotów, i jeszcze innych wyciągałem z bagna. A teraz nie mogę.

– Czego pan ode mnie oczekuje? – zapytał Piotr wprost.

– Pomocy.

Piotr zamknął notatnik, który cały czas leżał przed nim na biurku.

– Niestety nie mogę panu doradzić w kwestiach życiowych decyzji – oznajmił. – Nie jestem od tego.

– Wiem, wiem. – Mężczyzna zamachał rękami, jakby broniąc się przed odrzuceniem. – Ale nie mam pojęcia, co mam ze sobą dalej począć. Nic, tylko się idzie załamać.

– Myślę, że powinien pan przede wszystkim porozmawiać z żoną – zaproponował Piotr. Pacjent spojrział na niego jak na szaleńca.

– Że jak?!

– Przecież i tak będzie pan musiał to z nią załatwić.

– Nie – odparł szybko. Nagle jakby jakaś zupełnie nowa myśl wpadła mu do głowy, bo wbił w terapeutę proszący wzrok. – A może pan...?

– Słucham?

– Może pan by jej to powiedział? Pan jest taki opanowany...

– To niemożliwe – zaprzeczył Piotr kategorycznie.

– Ja panu zapłacę.

– Żartuje pan?

– Bynajmniej. To poważna rzecz, ale ja nie umiem się do niej zabrać. A ona nie chce pieniędzy, tak jak i pan. Co za pokolenie!

Piotr otwartą dłonią zgarnął z blatu niewidoczne drobinki kurzu i zaczerpnął tchu. To, co miał do powiedzenia, musiał wyartykułować najłagodniej, jak potrafił, a propozycja pacjenta mocno zbiła go z tropu.

– Nie uważa pan, że rodzina zasługuje na prawdę? To są najbliżsi panu ludzie.

– A córka...?

– Córka chce z panem spędzać czas. Ale czy pan się na to zgodzi?

– Nie wiem. Powinienem?

– Ja tego panu nie powiem. To wyłącznie pańska decyzja.

– Masz pan rację. Znowu wszystko na mojej głowie.

Mężczyzna odetchnął głośno.



– Ale wiesz pan, muszę powiedzieć, że chociaż nic pan nie zrobił, to jakoś tak lżej mi na sercu teraz.

Nie wiem, jakby kamień mi ktoś zabrał.

Piotr uśmiechnął się.

– Cieszę się.

– Powiem jej. Powiem żonie o wszystkim i niech się dzieje wola nieba.

– Będzie dobrze – dodał Piotr.

– Trzeba to załatwić jeszcze dzisiaj – powiedział mężczyzna, podnosząc się z sofy. – A na spanie coś mi pan dasz?

– Obawiam się, że jedyne, co mogę panu przepisać, to sen przy uchylonym oknie.

– I to pomoże?

– Najpierw proszę porozmawiać z żoną. Potem już będzie z górki.

– Dobrze – mruknął pacjent, przekładając teczkę z jednej ręki do drugiej. Wyglądała na ciężką.

– I proszę wrócić, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Mężczyzna pożegnał się i wyszedł.

Piotr patrzył jeszcze przez chwilę na niedomknięte drzwi; słyszał głośne kroki, wykładzina nie tłumiała odgłosu. Spojrzał w kalendarz, w którym wpisano nazwisko kolejnej osoby. Nie opłacało się domykać drzwi, na szybką kawę też nie było czasu.



Rozłączyła się i wróciła do salonu. Piotr złożył na kolanach gazetę.

– Skończyłeś? – zapytała Joanna, wyciągając rękę.

– Proszę.

Podał jej gazetę. Joanna wzięła ją i usiadła w fotelu pod oknem.

– Boże, nie pamiętam, kiedy ostatnio czytałam jakiś artykuł – skonstatowała, przeglądając rubryki z ogłoszeniami. – Człowiek ciągle się gdzieś spieszy, goni nie wiadomo za czym.

– Z kim rozmawiałaś?

– Posłuchaj, to ciekawe: „Kupię działkę bez dostępu do głównej drogi”. O co w tym chodzi?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział, nie odrywając od niej oczu. – Nie znam się na tym.

– Pewnie o cenę.

– Też tak myślę. Działka przy głównej trasie musi być bardzo droga.

– Pewnie ten ktoś szuka miejsca pod dom na odludziu.

Postawił pustą filiżankę na blacie stolika.

– Chcesz więcej herbaty? – zapytała znad gazety.

– Nie, dziękuję – odpowiedział szybko. – Zadałem ci pytanie. Nie odpowiedziałaś.

– Tak...?

– Pytałem, kto dzwonił.

Przewróciła stronę.

– Lubię zapach farby drukarskiej – stwierdziła, wciągając powietrze nosem. – Kupiłeś ją rano?

– Nie, przed chwilą, wracając z pracy.

Skinęła głową.

– Monika – odpowiedziała prawie szeptem. – Dzwoniła moja siostra.

Wpatrywał się w jej twarz, która nie wyrażała żadnych emocji. Zastanawiał się, czy tak dobrze udaje, że telefon od siostry nie zrobił na niej najmniejszego wrażenia, czy naprawdę Monika była jej zupełnie obca.

– To miło – rzucił neutralnie. – I co u niej słychać?

– To, co zwykle.

– To znaczy?

– To znaczy, że znowu czegoś ode mnie chce. Ona dzwoni tylko wtedy, kiedy potrzebuje mojej pomocy, bo na matkę nie może już liczyć.

– Nie oceniasz jej zbyt surowo?

– Nie – odparła krótko. – Wybacz, ale znam moją siostrę nieco dłużej niż ty.

– Nie lubisz jej...

– To stwierdzenie czy pytanie?

– Oczywiście, że pytanie.

Nigdy nie rozmawiali o jej rodzinie. Piotr wielokrotnie starał się poruszyć ten temat, ale Joanna sprytnie od niego uciekała. W końcu poddał się i doszedł do wniosku, że widocznie tak ma być.

– Nie lubię, kiedy dzwoni tylko w sytuacjach podbramkowych – powiedziała, wracając do lektury ogłoszeń. – Jeśli ludzie są rodziną, powinni kontaktować się stale, a nie tylko w potrzebie, prawda?

– Nie chcę się wtrącać, ale kiedy sama do niej ostatnio dzwoniłaś? Przecież mieszkamy w zasadzie niedaleko, a w ogóle jej nie znam.

– I niech tak zostanie.

– Przecież to twoja siostra.

– I co z tego? – odburknęła. – Nigdy się nie lubiliśmy, tak bywa między rodzeństwem, nie uczyli cię tego na tej twojej psychologii?

– Owszem, uczyli.

– O nie! – Zaprotestowała zdecydowanym ruchem ręki, a następnie zasłoniła sobie twarz. – Nie zgadzam się, słyszysz!

– Na co?!

– Na terapię. Możesz sobie używać do woli w swoim gabinecie, ale moje stosunki z siostrą pozostaw mnie samej, bardzo cię proszę.

– Nie miałem zamiaru w nie ingerować – odpowiedział zaskoczony. – To twoja sprawa.

– No właśnie.

– Zastanawiam się tylko, dlaczego tak surowo ją oceniasz.

– Bo mam powody.

– Rozumiem...

– Niczego nie rozumiesz! – Rzuciła gazetę na stół. – Myślisz, że wszystkie rodziny są takie jak twoja? Ludzie mają problemy, siedzą w szambie po uszy i muszą z tym żyć. Nie każdy miał tyle szczęścia do rodziców, co ty.

– Przepraszam.

Odwróciła twarz w stronę okna. Wciąż było słonecznie, choć dzień chylił się powoli ku końcowi.

– Monika zawsze była rozpieszczana przez ojca, a kiedy od nas odszedł, a potem umarł, nie umiała się odnaleźć. Mama stawiała na głowie, żeby zapewnić jej wszystko, ale ona zawsze miała skłonność do fochów i wybrzydzenia. Nic jej nie pasowało, wszystkich krytykowała. To zresztą nie zmieniło się do dzisiaj.

– Może jest jej ciężko?

– A komu nie jest?

– Ale, z tego co pamiętam, Monika jest sama.

– Już nie. I to właśnie jest największy problem, o którym nie chciałabym mówić.

– Dlaczego?

– Bo ten ktoś ma już żonę. Teraz rozumiesz? – Westchnęła ciężko. – Ona nigdy nie będzie zachowywać się jak ktoś z klasą. Nie ma za grosz honoru.

Zdjął okulary i rozmasował niewielkie, poprzeczne wgniecenie na nosie.

– Joanno, jesteś jej siostrą. Skoro do ciebie zadzwoniła, to znaczy, że potrzebuje twojego wsparcia, a nie krytyki.

– Przykro mi, ale nie potrafię jej tego dać.

– A powinnaś.

Wbiła w niego spojrzenie pełne niedowierzania.

– Chcesz mi powiedzieć, że akceptujesz taki związek?! – spytała.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie...

– Oczywiście, że chcę poznać twoje zdanie!

– Posłuchaj – powiedział, starając się panować nad głosem. – Uważam, że nie powinnaś być taka... pryncypialna. Jest przecież dorosła, każdy postępuje według własnego sumienia i, prawdę mówiąc, to, z kim spotyka się twoja siostra, nie jest twoją sprawą.

– To nie moja sprawa, tak?!

Pokiwał głową.

– To po co do mnie dzwoni i płacze w słuchawkę? Niech dzwoni do niego, niech jemu się żali.

– Pewnie chciałaby, ale z jakiegoś powodu nie może.

– Oczywiście, że nie może! – krzyknęła. – Nie może do niego dzwonić, bo właśnie wrócił do swojej żony. Oczywiście naobiecował Monice, że tylko po to, by porozmawiać o rozwodzie i spakować się, ale ja w to nie wierzę.

– Co jej powiedziałaś?

– Żeby następnym razem zaczęła używać rozumu, a nie pakowała się do łóżka pierwszemu lepszemu mężczyźnie, który stanie jej na drodze.

Piotr był w szoku.

– Naprawdę tak jej powiedziałaś?

– Naprawdę. Powiedziałam to, co myślę. Może miałam kłamać?

– Nie. Ale nie musiałaś być od razu taka okrutna.

– Nic na to nie poradzę, że jestem szczerą do bólu.

– A nie boisz się, że Monika już więcej do ciebie nie zadzwoni?

Wstała z fotela i posłała mu szeroki uśmiech.

– Akurat o to bym się martwiła najmniej. Zadzwoni szybciej, niż myślisz.

– A co na to wasza matka?

– Jak to co? O niczym nie ma pojęcia, oczywiście. Pewnie właśnie dlatego Monika do mnie wydzwaniała, bo nie wie, jak jej o tym wszystkim powiedzieć.

– Więc ten związek to jednak coś poważnego?

– Niestety – potwierdziła z goryczą. – Tak przynajmniej widzi to Monika, ale ten mężczyzna nie budzi we mnie za grosz zaufania. Nie wierzę, że zostawi dla niej żonę. Idę wziąć prysznic. Mam dość dzisiejszego dnia, przerasta mnie to wszystko.

Patrzył za nią, jak wolno idzie do łazienki. Nie zamknęła za sobą drzwi, zostawiła uchylone, aby para mogła swobodnie wydostać się na zewnątrz. Wiedział, że zrzuca z siebie ubranie, że ciska je prosto na podłogę. Nigdy nie lubił tego zwyczaju, ale też nigdy nie wysilił się na tyle, by jej o tym powiedzieć. Aż

tak mu to nie przeszkadzało.

Wstał, podszedł w stronę fotela, na którym wcześniej siedziała, i sięgnął po porzuconą gazetę.



Dzień był jasny i ciepły. Od rana świeciło słońce, którego promienie, sięgając w najciemniejsze kąty uliczne, bezlitośnie obnażały płyty tynku odchodzące ze ścian wymagających natychmiastowego remontu. Piotr szedł w górę Marszałkowskiej. Minąwszy szpital na Litewskiej, skręcił za skwerkiem, zostawiając w tyle sprzedawczynie oferujące maleńkie bukietiki z polnych kwiatów. Po chwili znalazł się w głębokim cieniu, jaki rzucały na chodnik wysokie, majestatyczne kamienice. Dawał przyjemne uczucie chłodu, zwłaszcza w dniu, który zapowiadał się niezwykle upalnie. Przechodząc obok ławki, Piotr niechcący zwrócił uwagę na skłóconą parę młodych ludzi. Dziewczyna, ładna, ubrana w letnią białą sukienkę w niebieskie jaskółki w locie, ocierała łzy. Chłopak pocieszał ją z wyraźną obojętnością, jakby od niechcenia.

– Przestań ryczeć – powiedział sucho. – Ile ty masz lat?

– Wracaj już do samochodu. Nie musisz tam ze mną iść.

– Nie obawiaj się, nie mam zamiaru. Wyrzucanie pieniędzy w błoto.

– To moje pieniądze i zrobię z nimi, co zechcę... – odparła, pociągając nosem.

Nie słyszał ich dalszej rozmowy, dotarł do Mokotowskiej, gdzie przy skrzyżowaniu z Kruczą znajdowała się poradnia, w której pracował.

W wąskim korytarzu minął się ze starszym kolegą, który przyjmował w gabinecie na drugim piętrze. Wymienili pozdrowienia, po czym Piotr wpisał się do książki u recepcjonistki. Kobieta wręczyła mu klucze do jego gabinetu.

– Dużo mam dzisiaj pacjentów? – zapytał, chowając klucz do kieszeni marynarki.

– Tylko trzy osoby. Pierwsza miała być ta pani, co przychodzi w piątki, ale zadzwoniła, że musi odwołać wizytę, bo ma chore dziecko i nie ma go z kim zostawić.

– Rozumiem. Czy to oznacza, że nie mam w tej chwili nikogo?

Recepcjonistka pokręciła ze smutkiem głową.

– Może zrobię panu kawę?

– Dziękuję, nie trzeba – odpowiedział, odchodząc niespiesznie.

Gabinet był pusty i pachniał płynem do czyszczenia drewna, którego używała sprzątaczką. Czyściła wszystkie gabinety codziennie wieczorem, odkurzała wykładzinę na korytarzu... Z nudów Piotr starał się przypomnieć sobie w myślach jej twarz, ale zupełnie mu to nie wychodziło; nie umiał nawet powiedzieć, czy była stara czy młoda. Widział ją zaledwie kilka razy i zupełnie nie zwrócił na nią uwagi.

Usiadł przy biurku, wyjął z torby kluczyk i wolno otworzył szufladę, z której wyjął notatnik w czarnej skórzanej okładce. Otworzył go na środku i przeczytał ręcznie skreślone zapiski z jednej z dawnych sesji. Kilka zdań zupełnie nic mu nie mówiło, dopóki nie zauważył imienia pacjentki, zapisanego na samej górze. Dopiero teraz obraz zdań połączył się w jego myślach z konkretną osobą.

Zamknął zeszyt i schował go z powrotem do szuflady.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę! – powiedział zaskoczony.

Drzwi uchyliły się.

Stała w nich ta sama dziewczyna w sukience w jaskółki, którą minął w drodze do pracy. Przez chwilę poczuł, że paraliżuje go zażenowanie, ale po chwili uświadomił sobie, że ona przecież niekoniecznie musiała go widzieć.

– Dzień dobry – powiedziała nieśmiało.

Miała cichy i głęboki głos.

– Dzień dobry, zapraszam do środka.

Dopiero teraz dziewczyna zamknęła za sobą drzwi i podeszła do biurka. Usiadła na krześle, choć pacjenci zwykle wybierali sofę.

– Nie była pani umówiona?

– Nie – odpowiedziała, siadając. – Szczerze mówiąc, spodziewałam się kobiety, ale ta pani w recepcji powiedziała, że tylko pan jest w tej chwili wolny i może mnie przyjąć.

– Czy to, że jestem mężczyzną, ma dla pani znaczenie?

– Nie wiem, chyba nie. – Wzruszyła ramionami. – Ale jakoś łatwiej byłoby mi rozmawiać z kobietą.

– Zapewniam panią, że płeć terapeuty nie ma żadnego znaczenia.

– Rozumiem – odpowiedziała, głęboko wciągając powietrze. – Zacznijmy już, dobrze?

Zastanawiał się, ile mogła mieć lat. Cerę miała śnieżnobiałą, bez śladu makijażu, a jej duże ciemne oczy otoczone były rzędem gęstych, naturalnie podkreślonych ku górze rzęs. Czubek jej wąskiego nosa był lekko zaczerwieniony i Piotr znów się zawstydził, bo znał powód tego stanu rzeczy. Jej policzki zdawały się nadal wilgotne od niedawnych łez.

– Co panią do mnie sprowadza? – zapytał.

Dopiero teraz podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

– Ja... Nie wiem, od czego zacząć.

– Może najlepiej od początku.

– Dobrze – powiedziała prawie szeptem. – Ja się lecę.

– Na co?

– Na depresję. Przyjmuję leki na receptę, ale także hormony. Wszystko po to, by było mi lepiej, ale moja lekarka powiedziała, że to nie wystarczy, że muszę przejść terapię, żeby zadziałało.

– Pani lekarka ma rację – stwierdził. – Leki przy depresji to dopiero połowa drogi do sukcesu.

– Mój chłopak uważa, że to wyrzucanie pieniędzy w błoto.

– Na leki? Czy na terapię?

– Na terapię – odpowiedziała szybko. – Bo po co płacić za coś, co można mieć za darmo? Przecież mogę pogadać z koleżanką albo z nim, prawda?

– Prawda.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Więc pan też uważa, że przychodzenie tutaj to strata czasu?

– Niczego takiego nie powiedziałem. – Chrząknął. – Często pani rozmawia ze swoim chłopakiem o...

– No właśnie nie. To znaczy on uważa, że tak, że rozmawiamy bez przerwy, ale to nie to. Po prostu załatwiamy codzienne sprawy. To nie są takie prawdziwe rozmowy, no wie pan, o problemach.

– A są problemy?

– Są. I tutaj znowu nie możemy się dogadać. – Skuliła się na krześle. – Ja wiem, brzmi to głupio, ale taka jest prawda. To, co dla mnie jest problemem, dla niego jest pierdołą, którą nie warto zawracać sobie głowę. No, ale jak w końcu doszło do tego... – Powoli wyprostowała dłonie, które odwróciła nadgarstkami do góry. – To się trochę przestraszył.

Na rękach widniały wytatuowane czerwone, cienkie, poszarpane linie; wyglądały niezwykle realistycznie, jakby ktoś ostrym nożem przeciął w tych miejscach skórę.



– Zapytał, po co to zrobiłam – zaczęła. – Powiedziałam mu, że to taki szlaczek, żeby się nie pomyliła.

Następnym razem będzie na poważnie.

– Myślała pani o odebraniu sobie życia?

Skinęła głową, zabierając ręce z biurka.

– Dlaczego?

– Bo ja nie chcę tam żyć.

– Nie bardzo rozumiem. Tam, to znaczy gdzie?

– No tam, w Anglii.

– Mieszka pani w Anglii?

– Tak. Teraz przyjechaliśmy do Polski na wakacje, mamy dwa tygodnie urlopu. Nie jestem z Warszawy, ja się tu tylko leczę. Nie chcę, żeby w moim miasteczku ktokolwiek wiedział.

– Pani chłopak jest przeciwny tym wizytom?

– Tak. Uważa, że człowiek nie powinien wnosić brudów z domu i prać ich publicznie.

– Pani przecież tego nie robi – zauważył. – O naszej rozmowie nikt się nie dowie, no, chyba że będzie pani chciała.

– On nie chce, żeby opowiadała o prywatnych sprawach obcym ludziom, ale ja już dłużej nie mogę. Myślałam, że umiem sobie poradzić, ale nie. Jest coraz gorzej, a tam nie mam nikogo, poza moim chłopakiem, oczywiście.

– A rodzina? Ma pani tam kogoś?

– Gdzie, w Anglii? Nie mam nikogo. Wszyscy są tutaj, w Polsce.

– Jak pani to znosi? Mam na myśli rozłąkę z najbliższą rodziną.

– Źle – odparła prawie natychmiast. – Źle się z tym czuję.

Była bardzo szczupła. Sukienka wisiała na niej jak na wieszaku, układając się w zbędne, wypełnione powietrzem fale po bokach. Zastanawiał się, czy kupiła za dużą, czy raczej aż tak schudła.

– Czy pan wie, że ja dopiero tam doświadczyłam prawdziwej samotności? Wyjeżdżając z Polski, w ogóle o tym nie myślałam, nikt mnie nie uprzedził, nie przygotował na to. A przecież wcześniej wydawało mi się, że to właśnie tu, w Polsce, byłam samotna. Teraz wiem, że to było tylko gadanie bez sensu. Tutaj miałam wszystko: rodzinę, przyjaciół, znajomych. Tam jestem sama. Zupełnie sama.

Słuchał jej ze smutkiem, którego starał się nie okazywać. Przykro mu było, że taka młoda, piękna kobieta może być tak bardzo rozczarowana życiem, które w zasadzie dopiero stało przed nią otworem.

– A pani chłopak? – zapytał, zakładając nogę na nogę.

Nie odpowiedziała od razu, jakby w myślach szukając odpowiedniego słowa.

– Jego właściwie nie ma – stwierdziła obojętnie. – Wiem, co chce pan powiedzieć.

– Tak?

– Że wszyscy przecież gdzieś pracujemy. I ja o tym doskonale wiedziałam, jadąc do niego. Przecież trzeba opłacić z czegoś czynsz za mieszkanie, trzeba jeść, ubierać się. Ja to wszystko rozumiem. Ale mam wrażenie, że to mnie przerosło. Nie czuję się z tym dobrze. Samotność paraliżuje mnie. Nic mi się nie chce, nic mnie nie cieszy. Wiem tylko, że nie mam tam z kim porozmawiać, wypłakać się.

– Nadal nie odpowiedziała mi pani na moje pytanie.

– Na jakie...?

– Co na to pani chłopak? Czy rozmawiacie o pani uczuciach, o obawach?

– On wychodzi z domu o świcie, zgarnia po drodze innych chłopaków z firmy i razem jadą do miasteczka oddalonego o trzydzieści mil, gdzie spędzają cały dzień na budowie. Kiedy wraca, jest już zupełnie ciemno. Wchodzi do domu, kąpie się, bo jest cały w takim białym pyłe, że nie da się oddychać. Potem robię mu kolację, zwykle na ciepło, żeby nie dostał wrzodów. Zjada w salonie, przed

telewizorem. W tym czasie na komórce sprawdza pocztę, czy nie pojawiły się nowe zlecenia, czy jakiemuś klientowi nie trzeba od razu odpisać. Rozmawia ze mną, nie patrząc na mnie. Mogłabym mieć skarpetę na głowie, i tak by pewnie tego nie zauważył. Po kolacji ogląda mecz albo coś innego na kanale sportowym. Czasem dzwoni do rodziców w Polsce. Potem idziemy spać. I tak w kółko.

– A niedziele?

– To różnie. Czasem bierze prywatne zlecenia, bo wtedy płacą podwójnie, więc szkoda odmawiać. Wtedy ja zostaję w domu sama, a on jedzie. A jeśli zostaje w domu, to śpi. Odsypia cały tydzień. Wstaje po południu i czasem gdzieś wychodzimy, ale rzadko, bo wolimy spędzić ten czas w domu. Zawsze znajdzie się coś, co trzeba naprawić, przybić, doczyścić...

– No, dobrze – przerwał jej, wyraźnie zmęczony tą nieprzyjemną wyliczanką. – Już wiem, jak radzi sobie pani chłopak, ale nadal nic nie wiemy o pani.

– O mnie...? – Spojrzała na niego zaskoczona.

– Jak wygląda pani zwyczajny dzień? Czym się pani zajmuje?

Wzruszyła ramionami.

– Niczym.

– Jak to niczym? Przecież coś pani jednak robi.

– To nic takiego. Kiedyś pracowałam bardzo dużo, można powiedzieć: bez przerwy, ale od czasu, kiedy zachorowałam na depresję, nie mogę chodzić do pracy.

– Dlaczego?

Spojrzała na niego zawstydzona.

– Bo się boję – odpowiedziała po dłuższej chwili.

– Czego?

– Wszystkiego. Niech się pan nie śmieje...

– Przecież się nie śmieję.

Smutek, który wymalowany był na jej twarzy, tworzył tragiczny, żaloszny wręcz obraz, od którego jednak nie sposób było oderwać oczu. Mówiła powoli, jakby ważyła każde słowo, jakby nie zależało jej w ogóle na wyrzuceniu ich z siebie.

– Są takie dni... – mówiła. – Że boję się, że wpadnę pod samochód, że porwą autobus, do którego wsiadam, że ktoś mnie zabije.

– Boi się pani wychodzić z domu?

– Tak. Ale to dziwne, bo kiedy przyjeżdżam tutaj, do Polski, to nie boję się niczego.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Tutaj wszystko jest inne, ludzie, domy, nawet chodniki. Mam wrażenie, że psy w Polsce też szczekają jakoś inaczej. W Polsce jest radość, są kolory i smaki, których nigdy tam nie odnajdę.

– Nie lubi pani Anglii?

– Nie – odpowiedziała zdecydowanie.

– Dlaczego więc pani wyjechała?

– Sama się zastanawiam.

Była tak bardzo zagubiona, że wszystko, co mówiła, stawało się kolejnym supłem, który należało rozwiązać. Piotr słuchał jej z uwagą, starał się zapamiętać każdy szczegół, nie notował, bo bał się, że kiedy dziewczyna to zauważy, przestanie mówić, zatrzyma potok słów, które musiała przecież w końcu z siebie wyrzucić.

– Kiedy to się stało?

– Siedem lat temu. Pojechałam do mojego chłopaka.

– Tego, z którym pani teraz jest?

– Tak, cały czas jesteśmy razem. Pochodzimy z tego samego miasteczka, znamy się jeszcze z liceum. Chciałam z nim być, więc pojechałam do niego do tej cholernej Anglii. Na początku nawet mi to pasowało. Była praca, mieszkanie, niby wszystko w porządku. Oboje pracowaliśmy, zarabialiśmy. Moi rodzice są zachwyceni, uważają, że świetnie zrobiłam, bo u nas przecież nie ma przyszłości, tak mówią. Wszyscy tak zresztą uważają, bo nie wiedzą, jak tam jest.

– A jak tam jest?

Zastanowiła się przez moment.

– Ogólnie to w porządku. Z pracą, z mieszkaniem i w ogóle, ale tak w środku to jest do dupy. Czy pan uwierzy, że po siedmiu latach życia w Anglii nie mam żadnych przyjaciół, jestem królową samotności! Mój dom to pałac z lodu. Nie mogę w to uwierzyć, bo zawsze byłam bardzo towarzyską osobą, kocham ludzi! Ale tam się nie da. Wszyscy są tacy sami, nudni, w kółko te same tematy, te same problemy i kasa. Gonitwa za kasą, żeby mieć więcej, jeździć lepszym samochodem i na wczasy full wypas, *all inclusive*, najlepiej na jakiejś dalekiej wyspie. Był pan?

– Gdzie?

– Gdzieś na rajskiej wyspie?

– Niestety, nie stać mnie.

– A mnie stać, ale już mi się nie chce tam jeździć. Nie mam ochoty, znudziło mi się. Już nawet kupowanie sukienek mi się znudziło. No bo po co? Komu niby miałabym się w tych sukienkach pokazać? Albo mój dom? No co z tego, że ma piękne schody w środku, na które odkładaliśmy dwa miesiące? Czy ktoś z moich sąsiadów z Polski kiedykolwiek je zobaczy? Albo z rodziny? Oni nie chcą do nas przyjeżdżać. Mój chłopak mówi, że z zazdrości. Nie wiem, może ma rację.

– A znajomi w Anglii? – zapytał Piotr.

– Nie mamy żadnych bliższych znajomych.

– To przecież niemożliwe...

– Zapewniam pana, że owszem.

– Jak do tego doszło?

Westchnęła.

– Zaczęłam się od wszystkich separować, omijać szerokim łukiem grona przyjaciółek, które przechwalały się między sobą kompletami kuchennymi i dywanami kupionymi na promocji. Kiedyś spotykaliśmy się z ludźmi co weekend. Wspólne grille, wyjazdy nad morze. Ale to już przeszłość. Nie mogłam na nich patrzeć, nie wiedziałam, o czym z nimi rozmawiać. Przełało się we mnie. Wszystko się przełało. Mój chłopak protestował, bo chciał się z nimi nadal spotykać, oni w niczym mu nie przeszkadzali; nie widział problemu. Zresztą do dzisiaj utrzymuje z nimi kontakt, chodzą czasem na mecz czy na piwo. Ale już beze mnie.

– Co pani wtedy robi?

– To, co zwykle. Mówię mu, że obejrzę sobie serial w telewizji, żeby się o mnie nie martwił. A kiedy wychodzi, kładę się do łóżka w ubraniu i płaczę. Kiedyś siadałam przy oknie i patrzyłam bez sensu przed siebie, ale nie mogę już tego dłużej robić, bo mnie mdli od tego widoku. Angielska bryndza, w kółko szary deszcz i błoto na trawniku przed domem. Czy pan wie, że tam nigdy nie ma prawdziwej zimy, takiej ze śniegiem, z mrozem, z sopłami lodu wiszącymi z dachów? Nigdy nie przypuszczałam, że można tęsknić za sopłem lodu.

Zauważył, że za każdym razem, kiedy mówiła o Polsce, jej oczy zaczynały błyszczeć. Tęsknota za krajem była jasno wypisana na jej twarzy.

– Powiedziała pani, że zaczęła się leczyć?

– Owszem. Mój chłopak mnie do tego zmusił, kiedy powiedziałam, że nie mogę już więcej chodzić do

pracy. Przestraszył się, że coś mi jest...

Zacząła się śmiać. Po raz pierwszy zobaczył na jej twarzy uśmiech. Rozpromienił jej lekko zarumienione policzki.

– Pan nie wie, ale ja nawet zachorowałam – powiedziała. – Oglądałam taki film o kobiecie chorej na raka. I tego samego wieczoru pod prysznicem wyczułam pod palcami guz. Przestraszyłam się. Ten strach był jak smoła. Kiedyś widziałam, jak drogowcy wylewali smołę na gorący asfalt, i tamto uczucie było takie samo. Ciężki i czarny płyn, lepki jak miód, rozlewał się po moim wnętrzu. Strach wypełniał każdy centymetr mojej skóry. Zesztywniały mi palce, nie umiałam zakręcić wody. Trwało to dobrą chwilę, zanim zdołałam się uspokoić. Założyłam szlafrok i wyszłam z łazienki. Zeszłam na dół do salonu, w którym siedział mój chłopak. Oglądał właśnie mecz. Nie wiedziałam, jak mu o tym powiedzieć, więc stałam tak, woda spływała mi z włosów na dywan, nie zdążyłam ich wytrzeć. Patrzyłam na niego, dopiero po jakimś czasie mnie zauważył i zapytał, dlaczego płaczę.

Wstała.

– Przepraszam, ale muszę rozprostować nogi – usprawiedliwiła się, podchodząc do okna.

– Proszę.

– Poprosiłam, żeby zadzwonił do przychodni i umówił mnie na najbliższy wolny termin. Zapytali go, co się dzieje z moim zdrowiem. Wzięłam od niego słuchawkę i powiedziałam: „I need to make an appointment to Breast Clinic, as soon as possible, please”. Kobieta z recepcji kazała mi chwilę poczekać, po czym powiedziała, że mam przyjść do nich z samego rana. Tak też zrobiłam. Nie spałam wtedy całą noc. Płakałam w poduszkę, bałam się śmierci w tak młodym wieku, bo wydawało mi się, że przecież wciąż mimo wszystko jestem młoda, że nic jeszcze nie przeżyłam, a tu nagle rak, guz i koniec. Tego dnia mój chłopak nie mógł zwolnić się z pracy, więc poszłam sama. W przychodni była długa kolejka, jak zwykle zresztą. Na krzesłach siedzieli albo staruszkowie, albo matki z małymi dziećmi, które głośno kaszlały. Nie było nikogo w moim wieku. Zawołali mnie od razu, nie zdążyłam nawet usiąść. Przyjęła mnie jakaś Angielka w okularach, która nawet mnie nie zbadała. Zapytała tylko, kiedy wyczułam guzka i w której piersi, i czy w mojej rodzinie były już przypadki raka. Odpowiedziałam, że tak, moja mama miała usuniętą pierś dziesięć lat temu. Lekarka wpisała coś w komputerze i powiedziała, że mam wracać do domu i czekać na list ze szpitala, z Breast Clinic, że powinni przysłać mi zaproszenie na badanie w ciągu kilku dni.

Stała przy oknie i patrzyła gdzieś w dół.

– To były najdłuższe cztery dni w moim życiu. Sprawdziałam skrzynkę na listy z obsesyjną wręcz dokładnością i regularnością, nie wychodziłam z domu, żeby nie minąć się z listonoszem. I bałam się, cały czas się bałam. Mój chłopak mówił, że nic mi nie jest, że panikuję, ale nie wierzyłam mu. Nie mogłam się uspokoić. Myślałam w kółko o jednym: o raku. Nie jadłam, nie piłam, nie spałam. Czekałam tak, jak się czeka na wyrok. W końcu po czterech dniach przyszedł list. Na kopercie był znaczek z symbolem szpitala. Otwierałam go, ręce mi się trzęsły. W środku było napisane, że zapraszają mnie na badanie piersi za dwa dni. Ucieszyłam się, że tak szybko. Poszłam sama. Zapytał, czy chcę, żeby był, ale ja wolałam załatwić to sama. W dniu wizyty sprawdziłam w Internecie, na czym takie badanie polega, byłam przygotowana na USG i biopsję. Wiedziałam, że jeśli w płynie pobieranym z biopsji będzie krew, to zły znak. Z mamą było zresztą tak samo. Wszystko mi się przypominało...

Urwała niespodziewanie.

Piotr czekał, aż dziewczyna wróci do swojej opowieści, nie ponaglał jej, ale kiedy minęła dobra minuta, zapewnił ją, że nie musi zdradzać wyników badań.

– Pan się domyśla i tak – stwierdziła, patrząc w podłogę.

– To normalne. Przecież pani mama miała raka, to nic dziwnego, że przestraszyła się pani i chciała

zbadać.

Podniosła na niego wzrok.

– Więc to normalne?!

– Nikt nie chce chorować.

– Tak. Ma pan rację – odetchnęła głęboko. – Tamten guz okazał się cystą, zupełnie niegroźną.

– Cieszę się – powiedział Piotr.

– Mój chłopak uważa, że mam obsesję na punkcie zdrowia, że panikuję, że boję się raka... Ja za dużo o tym mówię, bez przerwy, wiem.

– Każdy z nas ma jakieś słabości. – Starał się ją uspokoić. – Niektórzy potrafią o nich mówić, inni duszą wszystko głęboko w sobie.

– Pan jest szczęśliwy.

– To nie było pytanie – zauważył.

– To widać.

– Co, szczęście?

– Niestety również – uściśliła. – To jest wypisane na naszych twarzach.

Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Przecież trudno było nie zgodzić się z tym, co powiedziała, a jednocześnie nie chciał poprowadzić tej rozmowy w kierunku, z którego nie byłoby już odwrotu.

To nie była konwersacja, jaką prowadzili między sobą starzy znajomi. Przyszła do niego po pomoc.

– A dziecko? – zapytał. – Myślała pani o dziecku?

– Nie chcę.

– Dlaczego?

– Bo nie chcę, by było równie samotne jak ja. Nie chcę zarażać go swoim pesymizmem. Najpierw muszę uporać się z tym sama, nie uważa pan?

– Nie pomyślała pani, że z dzieckiem byłoby po prostu łatwiej?

– To samo mówi moja mama. – Uśmiechnęła się.

– Może ma rację.

– Powiedziała mi kiedyś, że kobieta decyduje się na dziecko właśnie z samotności, kiedy jest rozczarowana związkiem z mężczyzną, kiedy wie, że już nic z takiego związku nie wyciśnie, nie dostanie nic poza dzieckiem.

– To przykre, co powiedziała pani matka... Ale przecież nie zawsze tak jest. Może po prostu miała pecha do mężczyzn, których spotkała na swojej drodze?

– Nie wydaje mi się – odparła. – Są z ojcem szczęśliwi, nawet bardzo. Ale to nie znaczy, że ten związek dał jej to, na co liczyła. Chyba ze mną jest podobnie.

– To znaczy?

– Myślałam, że będzie inaczej.

– Z czym?

– Ze wszystkim. Kiedyś wszystko mnie cieszyło, wszystko mi się podobało, a teraz chce mi się bez przerwy płakać. Od kiedy biorę te leki na depresję, jest lepiej, ale to nie to samo, co kiedyś. Proszę mi powiedzieć, czy jest szansa, że ja kiedykolwiek będę taka jak wtedy?

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, pełnymi naiwnej wiary. Czekwała na odpowiedź, która mogła ją albo uratować, albo pogрузić na zawsze.

– To zależy tylko od pani – odpowiedział, nie mogąc dłużej znieść jej spojrzenia.

– Gdybym miała taką pewność, to... – Urwała.

– To co?

– To być może inaczej bym to wszystko zaplanowała.



– Więc może powinna pani zacząć tak właśnie myśleć?

– Tak pan uważa?

– Proszę sobie wyobrazić, że zostało pani dziesięć albo dwadzieścia lat życia. Może warto zacząć od nowa. Jest jeszcze czas.

– To właśnie mnie przeraża.

– Nie wszystko od razu, małymi kroczkami, powoli.

– Ale od czego zacząć? – Utkwiła w nim spojrzenie dziecka, które zgubiło rodziców.

– Chociażby od śniadania – powiedział szybko. – Proszę jeść, bo to jest potrzebne do szczęścia – dodał, widząc jej pytający wzrok. – Niech pani potraktuje siebie wyjątkowo, proszę sobie pozwolić na chwilę luksusu. Proszę jeszcze dzisiaj iść do sklepu i kupić najlepsze składniki na jutrzejsze śniadanie. Coś, o czym pani zawsze marzyła, bez oglądania się na ceny. To mały krok, który pozwoli pani spojrzeć na siebie innymi oczami. Proszę się cieszyć każdym kęsem i uwierzyć w to, że jedzenie dobrych produktów jest potrzebne, by dać nam dobrą energię.

– A co potem?

– Proszę pójść na spacer. Nie na zakupy, ale właśnie na spacer.

– Po co?

– Zobacz pani. Proszę iść do parku, słuchać śpiewu ptaków, wąchać rośliny, które będzie pani mijać. To nie musi być długi spacer, wystarczy kilka minut.

– Ale po co to wszystko? – Nie ustępowała.

– Proszę mi wybaczyć, ale musi pani na nowo nauczyć się patrzeć na otaczający panią świat, musi pani dostrzegać w nim piękno... Bo ono tam jest. To tak jak z obrazem, jednych zachwyca, a inni nie widzą w nim nic nadzwyczajnego. A jednak znajdują się i jedni, i drudzy, którzy znajdują coś, co jest dowodem na to, że mają rację. I jedni, i drudzy – powtórzył. – Wszystko zależy wyłącznie od punktu widzenia. Dla pani chmura na niebie jest nijaka i szara, a dla kogoś innego ta sama chmura okazuje się paletą barw i możliwości. Proszę unikać smutku.

– Chyba wymaga pan niemożliwego...

– To też będzie dla pani nauka samodyscypliny. Niech pani unika, przynajmniej przez jakiś czas, filmów i książek, które powodują smutek. Musi pani o siebie zadbać. Jeśli ma być lepiej, to trzeba dostarczyć oczom i duszy pozytywnych bodźców. Trzeba słuchać ludzi, którym to się udało, oglądać pozytywne filmy i czerpać z nich inspirację. Tylko niech pani nie szuka przyjaciół na siłę. Oni sami do pani przyjdą, kiedy będzie pani na to gotowa. Na razie musimy wyjść z szarości, która panią otoczyła jak pajęczyna. Krok po kroku. A potem wróci pani do pracy.

Spojrzała na niego, zupełnie już zapłakana.

– Bardzo bym chciała – szepnęła. – To siedzenie w domu jest dla mnie jak więzienie.

– Każdy człowiek potrzebuje pracy.

– Ja wiem. Teraz i tak jest lepiej, bo biorę leki.

– To dobrze – powiedział.

Poprawiła dłonią sukienkę, która pod wpływem jej dotyku gładko ułożyła się na kolanach.

– Daje mi pan nadzieję – stwierdziła.

– Ważne, czy pani w nią uwierzy.

– Uwierzę... Postaram się.

Spojrzała na zegarek.

– To już koniec? – zapytała głośno. – Szybko zleciała ta godzina.

– Mam nadzieję, że chociaż trochę udało mi się pani pomóc. Proszę umówić się na kolejną wizytę w recepcji.

– To nie będzie możliwe.

Powoli wstała z miejsca.

– Dlaczego? Nie podobało się pani?

– Nie o to chodzi – odpowiedziała. – Po prostu jutro wracamy do Anglii.

Zrobiło mu się przykro. Kobieta wymagała terapii, a to, co jej zaproponował, było dopiero początkiem.

– Dlaczego przyszła pani do mnie tak późno? – zapytał, nie kryjąc żalu.

Nie odpowiedziała.

Pożegnała się bez wiary w to, że zobaczy go jeszcze raz, i zamknęła za sobą drzwi.



Spotkały się w tygodniu, w słoneczny dzień, w czasie przerwy na lunch. Plac Trzech Krzyży tonął w promieniach słońca, które spływały na dachy kamienic gorącą kaskadą. Kawiarnia, w której się umówiły, położona była na tyłach kościoła, na rogu z Bracką. Joanna weszła do środka. Rozejrzała się wokół, lustrując wzrokiem niewielkie stoliki przykryte śnieżnobiałymi, lnianymi obrusami. Nigdzie nie widziała Moniki.

Spóźnia się, jak zwykle! „Nic się nie zmieniła”, pomyślała i podeszła do stolika w głębi sali, od którego właśnie wstawał starszy, samotny mężczyzna.

Usiadła, zamówiwszy wcześniej przy barze kawę po włosku bez mleka.

– Z ciasteczkami czy czekoladką? – zapytała kelnerka o rumianych policzkach.

– Wszystko jedno.

Przewiesiła niebieską torebkę przez oparcie krzesła i spojrzała na zegarek. Dochodziła dwunasta. Wyjęła komórkę i wysłała SMS-a do Piotra. „Czekam na nią. Spóźnia się. Przechodziłam obok twojego gabinetu. Jesteś zajęty?”

Kiedy nacisnęła przycisk „wyslij wiadomość”, zobaczyła, że Monika otwiera właśnie drzwi kawiarni. Miała na sobie kombinezon z różowego jedwabiu, ściągany w pasie szerokim paskiem, który podkreślał jej wąską talię. Jasne włosy miała modnie przycięte po bokach i lekko nastroszone na czubku głowy, tak, jak chesały się teraz kobiety o wiele młodsze od niej. Joanna zastanawiała się, kiedy widziała ją po raz ostatni, ale nie mogła sobie przypomnieć.

– Cześć, siostra! – rzuciła Monika, siadając przy jej stoliku.

– Witaj – odpowiedziała Joanna, uśmiechając się.

Nie wymieniły pocałunków, bo nigdy nie miały tego w zwyczaju.

Kelnerka postawiła przed Joanną filiżankę z czarną kawą. Na maleńkim, okrągłym spodeczku leżała czekoladowa kostka.

– Dziękuję – powiedziała i zapytała Monikę, na co ma ochotę.

– Poproszę kawę z mlekiem. Dużą.

– Ciasteczko do kawy? Czy czekoladka? – zapytała kelnerka.

– I jedno, i drugie, jeśli oczywiście można – odpowiedziała Monika, posyłając w jej stronę swój słynny czarujący uśmiech.

– Oczywiście...

Kelnerka poszła zrealizować zamówienie. Joanna kątem oka zauważyła, że wejście jej siostry do kawiarni zrobiło niemałe wrażenie na grupce mężczyzn siedzących przy stoliku po drugiej stronie sali.

– Cieszę się, że zechciałaś się ze mną spotkać – zaczęła Monika, zakładając ostentacyjnie nogę na nogę.

– Bardzo jesteś zajęta?

– Pracuję, jak wszyscy – odpowiedziała Joanna, biorąc do ust czekoladkę.

– Ja właśnie zmieniam pracę, zresztą jak wszystko. Zaczynam od początku i pomyślałam, że miło byłoby się spotkać i przegadać to i owo, nie sądzisz?

Joanna skinęła głową.

– Więc zmieniasz pracę? – zapytała, przerywając ciszę.

– Wiedziałam, że cię to zainteresuje.

„W ogóle mnie to nie interesuje, ale skoro już się pochwaliłaś...”, pomyślała, przełykając kawę.

– Awansowałam – pochwaliła się Monika podnieconym głosem.

– Gratuluję.

– Dziękuję! Będę teraz szefową sekretariatu. Wszystko na mojej głowie, nie wiem, jak sobie z tym poradzę, ale Tadeusz powiedział, że świetnie pasuję na to stanowisko.

– Tadeusz...?

– Ach, wydawało mi się, że mówiłam ci wcześniej, jak on ma na imię.

– Nie, nie mówiłaś – zaprzeczyła Joanna lodowatym tonem.

– No więc mówię. Mój mężczyzna ma na imię Tadeusz, tak samo jak ten u Mickiewicza, zabawne, co?

Joanna odpowiedziała jej wzruszeniem ramion.

– Rozumiem, że pracujecie w jednej firmie?

– O, tak! – Monika uśmiechnęła się. – Tam się poznaliśmy.

Jej oczy zabłysły niespotykanym blaskiem, który Joanna znała aż nazbyt dobrze.

– Boże – jęknęła. – Tylko mi nie mów, że masz romans z własnym szefem...?

Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy siostry, a na jego miejscu pojawiła się niepewność.

– A więc jednak mam rację?

– Tadeusz nie jest moim szefem... To znaczy nie bezpośrednim – poprawiła się.

– Kim w takim razie jest, jeśli wolno spytać?

– Dyrektorem działu ubezpieczeń...

– No przecież mówiłaś, że nie jest twoim szefem!

– Bo naszym głównym szefem jest prezes, a nie dyrektor.

– Czy to nie wszystko jedno? – Joanna spojrzała na nią, nie kryjąc politowania.

– Więc pracujesz teraz w ubezpieczeniach? – zapytała po chwili.

– To przyszłościowa praca. W końcu jedyne, co pewne, to to, że kiedyś umrzemy, prawda?

Siostra wyjątkowo przyznała jej rację.

– I każdy potrzebuje polisy na życie. Każdy mądry, oczywiście.

– Mówisz tak, jakbyś chciała mi coś sprzedać.

– Osobiście jeszcze się tym nie zajmuję, na razie jestem w trakcie szkolenia, ale... – Zawiesiła na chwilę głos. – Mogę cię skontaktować z odpowiednią osobą. Jeśli, oczywiście, jesteście z Piotrem zainteresowani.

– Nie jesteśmy – weszła jej w słowo Joanna.

– Uuu, to bardzo nierozsądnie.

– Monika, nie przysłałam tutaj, żeby rozmawiać o polisie na życie. – Westchnęła. – Poza tym już od dawna mamy wykupione ubezpieczenie .

– Ale moja firma może zaproponować ci lepszą ofertę...

– Monika!

Kobieta uniosła dłonie w obronnym geście.

– Dobrze, już nic nie mówię, tylko żeby potem nie było, że nic ci nie powiedziałam. – Broniła się tak samo jak wtedy, kiedy chodziła jeszcze do liceum.

– Jeśli masz ochotę coś mi opowiedzieć, to powiedz lepiej coś więcej na temat Tadeusza.

Na sam dźwięk jego imienia oczy Moniki zaczęły się śmiać. Widać było gołym okiem, że wpadła po uszy.

– On jest taki wykształcony i bardzo odcytany – powiedziała w końcu.

– Nie wątpię.

– Jest prawnikiem z wykształcenia.

– Imponuje ci to?

– Oczywiście! – odpowiedziała teatralnym tonem.

– Rozumiem, że skoro nie może dać ci siebie, to chociaż zaoferował ci niezłe stanowisko...

Kawa przestała Joannie smakować. W głębi duszy chciała jak najszybciej wyjść z kawiarni i zaczerpnąć świeżego powietrza. Czuła, że rozmowa z siostrą nie miała sensu.

– Aśka, zawsze byłaś złośliwa. I widzę, że nic się nie zmieniłaś.

– I nadal nie lubię, kiedy mówi się do mnie „Aśka”.

– Och, przepraszam, Joanno – syknęła Monika zza filizanki. – Rozmawiałaś może ostatnio z mamą?

– Tak – skłamała.

– To dobrze, bo ostatnio w ogóle do niej nie dzwonię i już zacząłem się martwić, że może coś się dzieje... Ale wszystko w porządku, tak?

Joanna skinęła głową.

– To dobrze. A o czym rozmawiałyście?

– O wszystkim – odpowiedziała szybko.

– Pytała o mnie?

– Nie.

– Nie pytała?! – zdziwiła się Monika.

– No przecież mówię.

– A kiedy dokładnie z nią rozmawiałaś?

Pytania siostry stawały się dla Joanny coraz bardziej kłopotliwe.

– Nie pamiętam – odpowiedziała zmieszana. – Nie zapisuję takich rzeczy w notesie.

– Kłamiesz.

– Słucham...?

– W ogóle do niej nie zadzwoniłaś – stwierdziła Monika i pokiwała głową. – Mogę się założyć, że ostatni raz rozmawiałaś z nią w święta, wtedy kiedy u niej byłam.

Natychmiast przypomniała sobie tamtą rozmowę. Trwała niecałe cztery minuty i polegała na kurtuazyjnej wymianie grzecznościowych formułek. Joanna zapytała matkę o zdrowie, a w odpowiedzi dostała od niej pytanie o pogodę w Warszawie. Potem życzyły sobie wesołych świąt i tyle. Wigilię, jak zwykle, spędziła z Piotrem u jego rodziców, wręczyli im prezenty, które wspólnie kupili tydzień wcześniej. Od teściowej Joanna dostała srebrny naszyjnik z jasnym bursztynem, a od ojca Piotra parę rękawiczek z delikatnej skóry. Przez całe święta nawet przez chwilę nie pomyślała o swoim rodzinnym domu, co uznała za mały osobisty sukces. Nie znosiła sentymentów. Przecież nie po to stamtąd wyjechała, żeby teraz płakać i tęsknić za światem, który zamieniła na coś znacznie ważniejszego. O rodzinnych stronach należało jak najszybciej zapomnieć. Nawet jeśli nie spotkało jej tam tak naprawdę nic złego, to z jakiegoś powodu Joanna nie chciała wracać.

– Nie lubisz do niej jeździć, co? – pytanie Moniki wyrwało ją z chwilowej zadumy.

– Tego nie powiedziałam.

– Mama często o ciebie pyta – Monika przechyliła wysoką szklankę z kawą, którą kelnerka postawiła przed nią chwilę wcześniej.

– I co jej wtedy mówisz? – zapytała Joanna nieśmiało.

– To, co zwykle. Że wszystko u ciebie w porządku.

Siostra spojrzała na nią zaskoczona.

– Skąd to możesz wiedzieć? – zapytała z żalem. – Przecież nie kontaktujemy się prawie wcale.

– A co niby miałabym jej powiedzieć? Prawdę?! Że się nas wstydzisz?! – prychnęła Monika. – I że uciekaś do tej Warszawy, weszłaś do rodziny lekarskiej, o której masz znacznie wyższe mniemanie niż o naszej? I że w ogóle woda sodowa uderzyła ci do głowy?

„Woda sodowa uderzyła mi do głowy”. Joanna powtórzyła w myślach określenie, którego używało się już chyba tylko w jej rodzinnych stronach, w maleńkich miasteczkach rozrzuconych niedbale pod wschodnią granicą kraju, do których nie zaglądali ani turyści, ani potencjalni inwestorzy. W takich miejscach nie działo się nic, a jeśli już cokolwiek się zdarzyło, rozprawiali o tym wszyscy, i to przez długie miesiące. Wyjazd Joanny, z tego, co mówiła jej matka, sąsiedzi również komentowali przez lata. A potem w jej ślady postanowiła pójść Monika; ona też nie widziała dla siebie przyszłości w ich rodzinnym miasteczku na wschodzie Polski.

– Za długo mieszkam w tym mieście, bym mogła ulec sodówce – odpowiedziała Joanna. – To ty jesteś na nią podatna, bo przyjechałaś tu niedawno i masz szansę się zachłysnąć, co najwyraźniej, właśnie ci się przytrafiło.

– No i po co ja się zmusiałam, żeby przyjść na to spotkanie? – zapytała głośno.

– Nie musiałaś się zmuszać.

– A właśnie, że musiałam. I powiem ci szczerze, że tak na prawdę to mama mnie do tego namówiła.

– Mama...?

– Martwiła się o ciebie, bo nie dajesz znaku życia, więc się zgodziłam, chociaż wiedziałam, że będę tego żałować. I mam za swoje – wyjaśniła.

– A wiesz, to bardzo ciekawe, że już drugi raz dzisiaj mówisz, że mama o mnie pyta.

– Bo pyta.

– To dlaczego nie zadzwoni do mnie, tylko do ciebie?

– Naprawdę nie wiesz, czy tylko udajesz głupią?

Joanna miała już dość tego spotkania, rozmowy z siostrą, która obrażała ją przy każdej okazji, i kawy, która na szczęście już się skończyła. Czekała, że za chwilę wymiana zdań przerodzi się w kłótnię, której obie będą żałowały.

– Przypomnij mi, po co właściwie się spotkałyśmy? – zapytała Joanna, kładąc przed sobą torebkę.

– Już ci mówiłam... Chciałam, żebyś powiedziała mamie o Tadeuszu.

– Dlaczego ja?

– Bo jesteś moją starszą siostrą – odpowiedziała natychmiast. – A poza tym pomyślałam, że mama ucieszy się, że dzwonicz.

– Ale przecież ja go nie znam i w ogóle nie wiadomo... – Spojrzała na nią niepewnie. – Czy coś z tego będzie.

Widziała po minie Moniki, że musiało ją to zboleć. Joanna żałowała, że się nie powstrzymała, przecież to nie była jej sprawa, tak przynajmniej mówił Piotr, i dopiero teraz przyznała w myślach, że miał rację.

– Czy chociaż jest bogaty? – zapytała.

– Uważasz, że to ważne? – Monika otworzyła szerzej oczy ze zdziwienia. – Nawet, gdyby był bogaty, to i tak kochałabym go dla tego, kim jest, a nie za to, co ma w portfelu.



– Wierzę – powiedziała Joanna z wyższością. – Ale znacznie łatwiej jest kochać kogoś, kto nie ma problemów finansowych.

– Mówisz to z własnego doświadczenia, Asiu? – zapytała cierpko Monika. – A jak się ma mój wspaniały szwagier, którego widziałyśmy z mamą tylko raz w życiu, na waszym ślubie? – dodała, nie czekając na odpowiedź.

Pytanie zakłuło Joannę jak szpilka wbita niespodziewanie w bok. Pierwszy raz starsza z kobiet nie wiedziała, co odpowiedzieć, jak się wytłumaczyć. Przecież Monika miała rację. Joanna chciała odseparować się od rodziny, oddzielić od nich grubą kreską, i w zasadzie jej się to udało. Przynajmniej udawało się do tej pory.

– Ma się dobrze... – zaczęła, ale słowa uwięzły jej w gardle. – Muszę już wracać. Wyrwałam się z pracy tylko na chwilę.

– Szkoda.

– Zrozum, pracuję. Nie mam czasu na przesiadywanie po kawiarniach – rzuciła tonem pełnym pretensji.

Zamierzała wstać, ponownie sięgała po torebkę, kiedy poczuła na swojej ręce dłoń Moniki. Spojrzała na nią zaskoczona.

– Mam problem i nie mam z kim o tym porozmawiać – powiedziała siostra cicho. – Proszę cię, zostań jeszcze chwilę.

Twarz Moniki pobladła, stała się nienaturalnie przezroczysta. Z jej oczu niespodziewanie zniknął blask, a w jego miejsce pojawiły się łzy.

– Co się dzieje? – zapytała Joanna nieco oszołomiona.

– Przepraszam...

– Za co?

– Za to, że jestem idiotką – wydusiła.

– Co ty mówisz, Monika...? Co ty zrobiłaś?

– Tadeusz...

– No mów wreszcie! – ponaglała ją.

– Proszę cię, nie oceniaj mnie zbyt surowo, ale ja wtedy nie wiedziałam...

– Masz na myśli jego żonę? – Joanna nie rozumiała już niczego.

– Nie miałam o niej pojęcia. To po prostu stało się – powiedziała, wyjmując z torebki opakowanie chusteczek. – On mi nic nie powiedział.

Jej siostra pokiwała głową.

– Masz wyrzuty sumienia? – spytała powoli, waząc każde słowo.

– Mówię przecież, że nie wiedziałam.

– Ale teraz już wiesz.

– Powiedział, że od niej odejdzie. – Wytarła nos.

– I ty mu wierzysz?

– Tak. Powiedział, że mnie kocha i że jestem dla niego najważniejsza.

Wiedziała, że dalsze zadawanie pytań nie ma większego sensu. Monika sama przyznała przecież, że o niczym wcześniej nie wiedziała, a teraz było już za późno, by uciec przed uczuciem, które najwyraźniej ich łączyło. Joanna poczuła, że robi jej się niedobrze, czubek języka smakował słono i nieprzyjemnie.

– Monika, czy ty w ogóle wiesz, co zrobiłaś? – zapytała wprost.

– Wiem. Nasz ojciec...

– Zachowałaś się tak samo jak on.

– Wiem... – Spuściła wzrok. – Ale jeśli myślisz, że zrobiłam to z premedytacją, to się grubo mylisz.

– A czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? – Joanna wzruszyła ramionami. – Nasz ojciec odszedł do innej.

Tamta kobieta rozbiła naszą rodzinę. A teraz ty rozbijas rodzinę Tadeusza.

– Nie...

– Jesteś taka sama jak on, jak ona. Niczym się od siebie nie różnicie.

Jej siostra otarła zaczerwienione powieki rogiem złożonej na pół papierowej chusteczki.

– Nigdy nie byłam taka szczęśliwa jak teraz – powiedziała, pociągając nosem. – Nigdy. A człowiek powinien być szczęśliwy, a nie nieszczęśliwy. I to jest dla mnie najważniejsze.

– Szczęście budowane na łzach innych ludzi jest bardzo kruche. Mam nadzieję, że nie będziesz musiała się o tym przekonać.

– Dlaczego mam myśleć o niej?! – krzyknęła. – Czy ja nie mam prawa do odrobiny radości?

– Mów ciszej, proszę cię – upomniała ją Joanna, rozglądając się wokół. – To ona, a nie ty, jest jego żoną.

– Powiedział, że od niej odejdzie...

– Przepraszam cię, Monika, ale to nie jest moja sprawa i nie zamierzam ci niczego tłumaczyć – poprawiła obrączkę na palcu. – I w ogóle to muszę już iść. Naprawdę.

– Rozumiem.

Joanna wstała.

– Ale spotkamy się jeszcze?

Oczy Moniki były wielkie i okrągłe, jak u małej dziewczynki, którą jeszcze tak niedawno była.

– Dobrze. Spotkamy się – potwierdziła Joanna.

– Obiecujesz?

Potaknęła i przeszła wolno w stronę drzwi.



Szła Mokotowską, która, skąpana w popołudniowym słońcu, wyglądała jak na pocztówce, jakby ktoś starannie dobrał kolory i tło. Niebo nad czerwonymi dachami kamienic było błękitne i zupełnie bezchmurne. Przechodziła obok kolejnej kawiarni; stoliki ustawione wprost na chodniku zachęcały przechodniów do zatrzymania się choćby na krótką chwilę. Przy jednym z nich zauważyła siedzącą samotnie elegancką kobietę po czterdziestce, która zniecierpliwiona patrzyła na zegarek. Joannie zrobiło jej się nawet żal, bo najwyraźniej czekała na kogoś, kto się spóźniał. Minęła kawiarnię i znalazłszy się na zielonym skwerku, który prowadził tuż nad Dolinkę Szwajcarską, zatrzymała się i sięgnęła po telefon. Wystukała szybko numer. Piotr odebrał po drugim sygnale.

– Zajęty? – zapytała, słysząc w słuchawce jego znajomy głos.

– Jak zwykle...

– A ja właśnie przechodzę obok naszego ulubionego skwerku i pomyślałam, że może miałbyś kwadransik na krótką randkę z żoną?

Odpowiedziała jej długa cisza.

– Rozumiem... – podjęła ze smutkiem.

– Przepraszam, kochanie, ale czekam na kolejną pacjentkę. Ma się pojawić za dziesięć minut, więc sama rozumiesz...

– Piotr, mamy dla siebie całe dziesięć minut! Jestem dwa kroki od twojego gabinetu. Widziałeś, jakie dzisiaj słońce? Proszę...

– No dobrze – odpowiedział bez chwili zastanowienia. – Skusiłaś mnie. Najwyżej sekretarka po mnie zadzwoni.

– Jesteś kochany!

Rozłączyła się i odwróciła w stronę wysokiej przedwojennej kamienicy, której śnieżnobiała fasada ozdobiona była pięknymi wykuszami. W jednym z nich, na pierwszym piętrze, wisiała ogromna reklama kliniki, w której pracował Piotr. Po chwili Joanna ujrzała jego postać w drzwiach wychodzących prosto na chodnik.

Zobaczył ją od razu i pomachał do niej ręką. Miał na sobie błękitną koszulę, którą uprasowała mu rankiem. Płócienne granatowe spodnie nie straciły kantu, a wąskie skórzane buty pięknie lśniły w słońcu. Wyglądał profesjonalnie i elegancko. Pomyślała, że z taką prezencją musi wzbudzać zaufanie u swoich pacjentów.

Przebiegł szybko przez ulicę w niedozwolonym miejscu i podbiegł do Joanny. Pocałował ją w usta na powitanie.

– Co to za pomysł z tą randką? – zapytał, kiedy szli w stronę parku, trzymając się za ręce.

– Przecież wiesz – odpowiedziała radośnie. – Byłam w okolicy, więc pomyślałam, że wyrwę cię z tego ponurego gabinetu na cudowne słońce.

– To był świetny pomysł! – Pocałował ją w czubek nosa. – Pogoda jest dzisiaj jak marzenie.

– Jak w pracy?

– Miałem ciężki przypadek przed południem, ale teraz powinno być spokojniej.

– Ciężki przypadek, mówisz? To brzmi interesująco.

Położył swój palec wskazujący na jej ustach.

– Ani słowa o moich pacjentach – powiedział stanowczo. – Mów lepiej, jak udało się spotkanie z twoją siostrą?

Tuż przy piaskowym budynku ambasady rumuńskiej przeszli przez ulicę w miejscu, gdzie stary i rozłożysty kasztanowiec rzucał na ulicę głęboki cień. Zeszli schodkami i podeszli do fontanny.

– Usiądziemy? – zaproponowała Joanna, podchodząc do drewnianej ławki. – Na kawę pewnie nie znajdziesz czasu?

– Następnym razem, kochanie. Obiecuję.

– Jesteś taki zajęty... Powinieneś częściej wychodzić z gabinetu na świeże powietrze! – Odgarnęła kosmyk z czoła.

– Pewnie masz rację – odpowiedział, siadając. – Ale wiesz, jak to jest. Zanim wyjdę, to już trzeba wracać. Wolę wypić kawę za biurkiem.

– Park jest niecałe pięć minut od twojego gabinetu. Gdybym ja miała tak blisko, korzystałabym z tego codziennie.

– Nawet w czasie deszczu? – Wyciągnął nogi przed siebie, prostując kolana z wyraźną ulgą. – Nic nie mówisz o spotkaniu z Moniką.

– A co mam mówić? – odparła z westchnieniem. – Ma pretensje o wszystko, jak zwykle zresztą. Nie uwierzysz, ale zarzuciła mi na koniec, że widziała cię tylko raz, na naszym ślubie.

– To akurat prawda.

– No wiem, ale sam rozumiesz, nigdy nie ma czasu i w ogóle – tłumaczyła się. – Zresztą nie o to chodzi.

– A o co?

– Nie popieram jej wyborów, nie zgadzam się z co drugim zdaniem, które mówi, i w ogóle czasem zastanawiam się, jak to możliwe, że mamy tych samych rodziców.

– Ludzie są różni, kochanie. Nie mamy wpływu na to, kim są nasze siostry. Możemy je jedynie

akceptować...

– Lub nie – dokończyła za niego.

– I ty postanowiłaś wybrać tę drugą opcję?

– Ja po prostu nie chcę się denerwować. A poza tym... Jesteśmy dorośli, każdy ma swoje życie, problemy. Zarzucasz mi, że zerwałam z nią kontakty, ale czy nie można tego samego powiedzieć o niej? Wina zawsze leży po obu stronach, chyba nie zaprzeczysz?

– Nie, ale chodzi o to, kto pierwszy wyciągnie rękę.

– No przecież się z nią spotkałam! – prawie krzyknęła.

– Ale nadal nie mówisz, co u niej.

– Ma romans ze swoim szefem – powiedziała, ścisząc głos. – I chyba ma z tym problem, skoro się ze mną skontaktowała. Najgorsze, że ona traktuje to strasznie poważnie i nie ma odwagi powiedzieć o tym mamie, i oczywiście wymyśliła, że zadzwoni do mnie, żebym ją w tym wyręczyła. A że nie byłam zbyt chętna, to spotkała się ze mną, bo w cztery oczy trudniej odmówić. Nieźle to sobie wykombinowała, cała Monika. Mówiłam ci, że odzywa się do mnie tylko wtedy, gdy czegoś potrzebuje.

Piotr dyskretnie spojrział na zegarek.

– Musisz już wracać? – zapytała, kładąc dłoń na jego kolanie.

– Niestety. A ty idziesz do pracy czy wzięłaś już wolne?

– Muszę skończyć w biurze to, co zaczęłam dzisiaj rano, ale będę w domu przed szóstą.

– Odprowadzić cię do Alej? – zaproponował, wstając.

– Dziękuję, posiedzę tu jeszcze chwilkę. Taki piękny dzień dzisiaj!

– W takim razie do zobaczenia w domu – pocałował ją w usta. – I jeszcze raz dziękuję. To był świetny pomysł z tym wyjściem z gabinetu!

Patrzyła, jak idzie w stronę ruchliwej ulicy i znika za kasztanowcem. Do parku wchodziła właśnie staruszka z małym psem na długiej smyczy, który głośno obszczekał Piotra.

Joanna odwróciła twarz w stronę fontanny i przymknęła oczy.

Patrzyła na dwie figurki nagich chłopców, które ustawione były po przeciwnych stronach fontanny. Każdy z nich przytrzymał z całej siły zwierzęta wykute w tym samym szarym kamieniu. Jeden z nich ścisnął w pulchnych dłoniach żółwia, a drugi małego krokodyla, z pyska którego tryskał wąski strumień wody. Pomyślała, że gdyby zwierzęta w jakiś cudowny sposób ożyły, żółw nie miałby szans w starciu z młodym krokodylem, który z pewnością był bardzo szybki.

W tym czasie staruszka z psem zbliżyła się do ławki, na której siedziała Joanna. Pies o zupełnie już siwym pysku zamerdał przyjaźnie krótkim ogonkiem, jakby ją znał.

– Proszę się nie obawiać – uspokoiła ją właścicielka psa. – On jest bardzo łagodny. Pucek, daj pani spokój.

Joanna pogłaskała psa po karku i ruszyła w stronę Alei Ujazdowskich. Na przystanku czekał już na nią autobus jadący na Sadybę, gdzie znajdowało się biuro rachunkowe, w którym od ponad pięciu lat pracowała jako księgowa.



– Mogę usiąść?

– Proszę – zaproponował Piotr, wskazując sofę. – Sesja trwa pięćdziesiąt pięć minut. To byłoby dla

pani kłopotliwe, tak stać przez cały czas.

– Skąd pan to może wiedzieć?

– Lubi pani stać?

– Teraz lubię siedzieć – powiedziała, osuwając się na sofę.

– Słucham.

– Mam mówić?

– Tak.

– Co chce pan wiedzieć? Pewnie mam zacząć od dzieciństwa, tak? Najlepiej, jakby we wspomnieniach pojawił się jakiś podły typ, ojciec znęcający się nad rodziną, tak?

Oparł wygodnie głowę o zagłówek skórzanego fotela.

– Proszę pani – zaczął tonem dość monotonnym. – Nie wiem, jakich książek się pani naczytała, ale to nie jest psychoanaliza.

– Nie? Szkoda.

– Dlaczego?

– To takie ciekawe, no wie pan, Freud, Jung.

– Interesuje się tym pani? – zapytał.

– Skądże! – zaprotestowała zdecydowanie. – Miałam wykłady z psychologii na studiach. Wiek temu. To było całkiem ciekawe. Wie pan, nigdy nie myślałam, że sama trafię na kozetkę...

– Na sofę – podsunął jej odpowiednie słowo.

– Na sofę do psychoterapeuty.

– Pocieszę panią, że nikt takich rzeczy nie planuje.

– No tak.

Spojrzała na niego z wyraźnym zainteresowaniem. Czuł na sobie jej wzrok, jakby szukała na jego twarzy ukrytej blizny albo piegów.

– Kim pan jest? – zapytała.

– Słucham...?

– Kim pan jest?

– Jestem pani terapeutą, mam na imię Piotr...

– Ma mnie pan za idiotkę?! Przecież nie o to mi chodziło.

– A o co?

– Kim pan jest jako człowiek? Co się kryje za tą wizytówką?

Wskazała palcem na drewnianą tabliczkę z jego imieniem i nazwiskiem, która stała na biurku obok lampki. Wszyscy w przychodni mieli takie same; kiedy przyjmowali do pracy nowego terapeuta, sekretarka zamawiała u ślusarza nowy kawałek drewnianka z wyrytymi literami. Piotr uważał to za nieco snobistyczną ozdobę, ale nie wyraził głośno swojego zdania, kiedy menadżer kliniki ustawił ją na biurku w pierwszym tygodniu jego pracy. Z czasem przyzwyczaił się, podobnie zresztą jak do obrazu wiszącego za jego biurkiem, tak bardzo, że przestawał w ogóle zauważać te elementy wystroju.

– Ma pan żonę, dziecko? – zapytała. – Czy jest pan może gejem?

– Teraz rozmawiamy o pani.

– W zasadzie to wygląda pan na geja – dodała.

– Ma pani coś przeciwko gejom?

– A więc jednak pan nim jest.

– Nie jestem gejem. Mam żonę, nie mamy dzieci.

– Brawo! – Klasnęła głośno dłońmi. – A jednak się pan otworzył przed pacjentką. Czy to jest zgodne z zasadami?



– Proszę się nie obawiać. Teraz ja słucham. – Wskazał palcem na zegar wiszący nad drzwiami.

– Wie pan, jakoś tak trudno otwierać się przed kompletnie obcym człowiekiem, w dodatku młodym i całkiem przystojnym.

– Przeciwnie. Dużo łatwiej otworzyć się przed kimś obcym, niż przed kimś, kto jest nam bliski.

– W moim przypadku to i tak bez znaczenia.

– Dlaczego pani tak sądzi?

– Bo ja nie mam bliskich.

– Nikogo?

– Nikogo.

Otworzyła torebkę, z której wyjęła paczkę papierosów.

– Nie wolno – ostrzegł.

– Przecież wiem. Tak tylko wyjęłam, żeby zająć czymś ręce. Wolno?

– Skoro pani musi.

– Owszem, muszę. Kiedyś paliłam, teraz tylko się bawię paczką, która nadal jest pełna. A pan? Palił pan kiedyś?

– Nigdy.

– No tak. Mogłam się domyślić, tacy jak pan wszystko robią zgodnie z przepisami. Nie palę, nie piję, nie biję...

– Zgadza się. Pani pije?

– Zdarza się. A jak trzeba, to i uderzyć potrafię. – Uśmiechnęła się. – Spokojnie, po prostu ćwiczę judo – wyjaśniła.

– A jak pani sypia? – zapytał.

– A jak pan myśli? Nago, oczywiście.

– Proszę pani, tak nie będziemy rozmawiać. Czas leci...

– No właśnie – zgodziła się z nim. – Tak naprawdę to w ogóle nie sypiam. Lekarz przepisał mi tabletki, ale miałam po nich okropne zawroty głowy, więc musiałam je odstawić i od tamtej pory nie śpię prawie wcale.

– Od jak dawna?

– Odkąd mój mąż się wyprowadził – powiedziała, zgniatając w zaciśniętej dłoni paczkę papierosów.

Starał się na nią nie patrzeć, nie w chwili, gdy zaczynała mówić coś z sensem.

– Lubi pan nowy wystrój kina Saturn?

– Nie wiem, nie byłem jeszcze, więc trudno mi oceniać.

– Jak to: nie widział go pan?! – Spojrzała na niego zaskoczona. – Nie zabrał pan żony na jakiś sobotni seans? Dlaczego?

– Nie wiem. Nie było czasu.

– Nie lubi pan kina?

– Lubię.

– A pana żona?

– Również, jak każdy.

Jej dociekliwość zaczynała go denerwować.

– Więc co pan z nią robi w weekendy?

– Proszę pani...

– Okej. Tylko pytałam, z grzeczności.

– To niepotrzebne.

– Ale miłe.

– Kiedy to się stało? – zapytał.

– Co?

– Kiedy pani mąż się wyprowadził?

– No właśnie. – Zamyśliła się. – To tak trudno określić, bo nie wiem, czy chodzi panu o datę, kiedy zabrał swoje rzeczy i się wyniósł, czy o to, kiedy ja się zorientowałam?

– Nie wiem.

– Dwudziestego czwartego grudnia – powiedziała szybko.

– W Wigilię?

– Tak.

– Pani mąż wyprowadził się w Wigilię?

– Tak. Rok temu. Niezłą datę sobie znalazł, prawda? – Posłała mu blady uśmiech. – Wszystko sobie przygotował, przemyślał. Taki plan. Chodziło o to, żebym była otoczona rodziną, żebym nie tragizowała, kiedy on postanowił mnie ostatecznie zostawić.

– Ostatecznie...?

– Kłóciliśmy się wcześniej, ja go wyrzucałam z domu, on wyprowadzał się, ale zawsze wracał. No a wtedy, po Wigilii, to już nigdy.

– Nie widziała go pani od tamtej pory?

– Nie. Kontaktowaliśmy się tylko telefonicznie.

– Dlaczego?

– Bo mnie zostawił, już to panu powiedziałam.

– Ale przecież mają państwo nadal wspólne sprawy, no nie wiem, rachunki, korespondencja. Mimo wszystko coś państwa jeszcze łączy.

– O, tak! – Zaśmiała się gorzko. – Wspólny dom, kupiony na kredyt. To łączy nas najbardziej.

– A listy?

– Jakie listy?

– Jak odbiera listy, które przychodzą na stary adres?

Kobieta głośno westchnęła.

– Załatwił to sobie na poczcie jeszcze w listopadzie, zanim się wyprowadził. Sprytnie, co? Nie chciał, żeby coś wpadło w moje ręce, przypadkiem.

– Na przykład co?

– Na przykład list od jego kochanki. Choć to mało prawdopodobne, prędzej wysłałaby do niego e-maila albo SMS-a. Kto dzisiaj pisze listy? Jemu bardziej chodziło o rachunki i reklamy.

– Reklamy...?

– Tak to się zaczęło.

– Od reklamy?

Usiadła wygodnie na sofie i położyła na kolanach paczkę papierosów, której do tej pory nie wypuszczała z rąk.

– Mój mąż jest bankowcem. Dużo podróżuje. Pan rozumie, wieczne delegacje, niespodziewane wyjazdy służbowe, których nie mógł odmówić. Nazbierało się trochę. W końcu doszło do tego, że wyjeżdżał nawet po pięć razy w miesiącu. A ja, głupia, niczego nie podejrzewałam. Aż do dnia, kiedy przyszła pocztą reklama pewnego pensjonatu na Mazurach. Oczywiście, że była zaadresowana na jego nazwisko, ale już po kopercie było widać, że to reklama. Wielkie zdjęcie romantycznej chatki. Myślałam, że może postanowili nas zachęcić do odwiedzin, więc otworzyłam ten list.

– Co było w środku?

– Prospekt z kolorowymi zdjęciami. I list. „Szanowny Panie, mamy nadzieję, że dobrze wspomina Pan

swój ostatni pobyt w naszym pensjonacie...”. Myślę sobie, ale mu dobrze, że firma organizuje te cholerne konferencje w takich urokliwych miejscach. Czytam dalej i niczego się nie domyślam, oczywiście. Czytam, bo liczę, że może chcą nam zaoferować jakąś zniżkę. To czytam dalej, a oni piszą, że jego partnerka zostawiła w szafie pudełko z parą nowych szpilek, i oni pytają, czy mają te szpilki odesłać na ten sam adres, czy odbierze je podczas kolejnej wizyty, jak zwykle. Zwłaszcza to jak zwykle wbiło mnie w ziemię.

Piotr nalał wodę z karafki i podał kobiecie szklanę.

– Para nowych szpilek. Rozumie pan, on jest bankowcem, nie handluje butami – powiedziała, sięgając po szklanę. – Pierwsze, co przyszło mi wtedy do głowy, to że się pomylili. Człowiek w takich sytuacjach zawsze ratuje się najgłępszym rozwiązaniem. Mózg podpowiada, że to przecież nie mogło się zdarzyć, to nie dotyczy mojego męża, że może ktoś, kto mieszkał w tym pokoju przed nim, zostawił tam te cholerne buty, a teraz oni na recepcji myślą, że to mój mąż. Po chwili do głowy przyszedł mi jeszcze jeden, równie naiwny pomysł.

– Jaki?

– Że, owszem, to buty, które kupił mój mąż, ale dla mnie. Taki prezent, o którym zapomniał, bo przecież jest taki zajęty. I wie pan co? Oblał mnie zimny pot, poczułam się jak wścibska, wstrętne baba, która bezczelnie otwiera i czyta listy zaadresowane nie do niej. Przecież on chciał mi zrobić niespodziankę, tak?! Zakleiłam list i postanowiłam oddać mu go, jak tylko wróci z pracy. Miałam udawać, że o niczym nie wiem, cichutko czekać na swój prezent. Na różowe, czerwone albo czarne jak noc szpilki. On najprawdopodobniej nawet nie wie, jaki noszę rozmiar, ale to nie przeszkadzało mi fantazjować. A pan wie?

– Słucham?

– Jaki numer buta nosi pańska żona?

Nie odpowiedział.

– Wiedziałałam. U mężów to normalna cecha. Co innego kochanka. O niej wie się absolutnie wszystko i zawsze pamięta się o jej urodzinach, rocznicach poznania, czwartkach, w które jadało się wspólny obiad, i poniedziałkach, kiedy chodziło się razem do parku. Tak, tutaj męska pamięć jest niezawodna. Ale też do czasu.

Nie skomentował.

– No więc postanowiłam czekać. Czekam, wyglądam przed dom i jest! Jest mój mąż, podjeżdża tym swoim czarnym jeepem, uchyła przednią szybę, wystawia rękę z pilotem i otwiera bramę. Wjeżdża na podjazd, który rok wcześniej wyłożyliśmy granitową kostką w łuk. Parkuje przed garażem, jak zwykle. Nie chce mu się wjeżdżać do środka, bo potem jest za dużo roboty z otwieraniem i zamykaniem tych wszystkich drzwi. Wysiada. Trzaska drzwiami, podchodzi do bagażnika, z którego wyjmuje torbę i laptop. I już do mnie idzie, a ja stoję w oknie salonu i patrzę na niego, chociaż on mnie zupełnie nie widzi. To znaczy: widziałby mnie, gdyby spojrzął w moim kierunku, ale on patrzy tylko pod nogi, żeby przypadkiem mnie nie zobaczyć. Jeszcze widzę, jak wyciera buty o słomkową wycieraczkę.

Kobieta zamyśliła się, jej słowa wisiały w powietrzu.

– Wie pan, ja wtedy chciałam być tą kostką w chodniku, żeby na mnie patrzył, uważał na mnie... A on co? Wszedł do domu, rzucił torbę na fotel, pocałował mnie w policzek takim suchym pocałunkiem. I już wiedziałałam. Wydaje mi się, że w tym momencie wszystko było jasne, ale pomyślałam, a co tam, dam mu jeszcze szansę, niech mówi, niech mi powie.

Piotr patrzył na jej szczupłe palce. Nie nosiła żadnych pierścionków, ale z obrączką się nie rozstała. Na przegubie prawej dłoni kołysała się bransoletka ze srebrnego drutu, prosta i gładka.

– Poszedł pod prysznic, a ja przygotowałam mu obiadokolację. Wszystko miało być jak zwykle.

Patrzyłam, jak siada do stołu, bierze widelec i je, jak kiwa głową i chwali moje zdolności kulinarne. Nic nadzwyczajnego. W tym pensjonacie pewnie gotują lepiej. – Zamyśliła się. – Nie powiedział mi o tych butach przez kolejny tydzień. A ja mimo to czekałam. W końcu pewnego wieczoru sama zapytałam. „Odebrałeś te szpilki z pensjonatu?”. Zabolało go to. Skurczył się w sobie, wyszedł do ogrodu. Pobiełam za nim. „Powiedz mi, dla kogo kupiłeś te buty?”. Nie odpowiadał. Wrócił do domu, usiedliśmy w salonie i dopiero wtedy się o wszystkim dowiedziałam.

Umilkła.

– Ja wiem – podjęła po chwili. – Nie muszę panu o tym wszystkim mówić.

– Nie musi pani.

– Nie po to zresztą tutaj przyszłam. Jest mi po prostu trudno żyć. Samotność jest trudna, cały czas się jej uczę. Widzi pan, byliśmy bardzo szczęśliwi, taka dobrze dobrana para. Oboje wykształceni, ustawieni, i tak dalej. I nic to nie dało, nie sprawdziło się zupełnie. On znalazł sobie kogoś, kto jest moim przeciwieństwem, rozumie pan coś z tego? Więc wychodzi na to, że zupełnie go nie znałam.

– Może on sam też siebie nie znał?

– Niezbyt mnie to pociesza.

– Potrzebuje pani tego?

– Czego?

– Pocieszenia.

– Tak. – Skinęła głową. – Bardzo tego potrzebuję. Widzi pan, ja nie mam już rodziców, zostałam całkiem sama, a teraz czuję się jak małe dziecko, które zgubiło się podczas spaceru w wesołym miasteczku. Było radośnie i głośno, a teraz jest pusto. I bardzo cicho.

Ścisnęła mocno paczkę z papierosami. Tekturowe pudełeczko wygięło się.

– A przyjaciele? – zapytał.

– Nie – zaprzeczyła stanowczo. – Przyjaciele myślą, że jestem silna i że już sobie z tym poradziłam. A to tylko gra. Cały czas udaję. Tak naprawdę, gdzieś tam głęboko w środku cały czas go kocham i chcę, żeby do mnie wrócił. Ta rana jest cały czas otwarta. Czasem budzę się o świcie, leżę z zamkniętymi oczami i modlę się, żeby to wszystko, co mnie spotkało, było tylko złym snem. Chcę się obudzić i chcę, żeby on znowu był przy mnie, żeby wrócił, żeby było normalnie, chcę patrzeć przez okno i widzieć, jak podjeżdża samochodem i parkuje na naszym podjeździe...

Z oczu popłynęły jej łzy.

Siedziała skulona, zwinięta jak kłębek wełny, w którym zawiązało się za dużo supłów.

Była wyraźnie skrępowana, ale i zaskoczona tym, że Piotr pozwalał jej na łzy.

– Przepraszam... – wydusiła z siebie w końcu. – Ja nie powinnam.

– Łzy są nam potrzebne tak samo jak śmiech – zauważył.

– Tak, ma pan rację – przyznała, pociągając nosem. – Czasem trzeba z siebie to całe draństwo wyrzucić, oczyścić się, podeptać przeszłość, żeby móc patrzeć w przyszłość. Ja muszę sobie jakoś to wszystko poukładać na nowo. On nie może mi zabrać wszystkiego, mnie nie zabierze!

Piotr podał jej tekturowy karton, z którego wyszarpała kilka papierowych chusteczek. Szybko otarła oczy i spojrzała na terapeutę śmiejącymi się oczami.

– Żałosna jestem, co? – zapytała. – Sama nie mogę w to uwierzyć.

– W co?

– No, że tak się u pana rozkleiłam. Pękłam w środku, ale proszę mi wierzyć, bardzo tego potrzebowałam.

– Teraz już jest lepiej, prawda?

– Odrobinę. W każdym razie czuję się, jakbym przeszła przez jakiś most. Ale nadal nie wiem, dokąd

idę.

– Wszystko przyjdzie z czasem – odparł ze spokojem. – Trzeba pogrzebać przeszłość, zakopać ją w ziemi.

– Tak! – Ożywiła się nagle. – Czytałam o tym gdzieś; tak właśnie robią czarownicy z Ameryki Południowej. Spluwają złe wspomnienia i myśli z przeszłości do skorupy po orzechu i zakopują ją w ziemi, po której później skaczą, wykrzykując różne przekleństwa. Może i ja powinnam tak zrobić?

Zaczęli się śmiać.

W gabinecie czuć było świeże powietrze, jakie powstaje po letniej burzy. Wilgotne okna wciąż pokryte były kropelkami deszczu, który przeszedł nad miastem, choć ani Piotr, ani jego pacjentka tego nie zauważyli.



– Wiem, że mógłbyś zrobić więcej.

– Co masz na myśli?

– Na przykład karierę naukową. – Postawiła na stole gorącą porcelanową wazę.

Piotr wciągnął powietrze z zachwytem.

– Ogórkowa?

– Zgadłeś.

– Wspaniale!

Podał jej swój talerz. Joanna zanurzyła w wazie srebrną chochlę i ostrożnie przelała sporą porcję zielonkawej zupy. Rzeczywiście, pachniała wybornie.

– Nigdy nie myślałeś, żeby wrócić na uczelnię, zrobić doktorat albo uczyć studentów? – drażyła.

– Żeby uczyć innych, najpierw trzeba samemu mieć coś do powiedzenia, a to jeszcze przede mną, moja droga.

– Smakuje ci? – zapytała po chwili.

– Tak, bardzo. Pyszna!

– A mnie się wydaje, że trochę za mało słońca.

Podniosła ze stołu szklaną solniczkę, którą przechyliła najpierw nad talerzem Piotra, a potem nad swoim.

– Przecież prowadzisz gabinet od dawna... To też jest wiedza.

– To praktyka.

– No właśnie mówię. Mógłbyś to wykorzystać w jakichś badaniach czy opracowaniu. Na pewno inni o takich rzeczach piszą.

– Oczywiście, że piszą.

– No widzisz! Inni mogą, a dlaczego nie ty?

– Bo nigdy mnie to nie interesowało.

– To błąd! W życiu trzeba być ambitnym. Nie można osiadać na mieliźnie i patrzeć, jak inni płyną, a samemu stać w miejscu.

– Ale ja nie wybieram się na boczny tor, Joanno. Rozwijam się w tym, co robię, w przyszłym miesiącu jadę nawet na szkolenie do Poznania.

– Nic nie mówięś.



– Bo wiem o tym dopiero od rana.

– To dobrze, że dyrektor dba o wasze kwalifikacje, ale sam przyznasz, że to tylko szkolenie, kolejny kurs, jakich wiele. A tytuł naukowy to jednak coś więcej. I prestiż. Może powinieneś porozmawiać z ojcem?

– O czym?

– On ma wszędzie znajomych, może mógłby ci jakoś pomóc?

– Kochanie – powiedział Piotr stanowczo. – Nie zamierzam w taki sposób robić kariery naukowej...

I w ogóle zostawmy już ten temat, dobrze?

Westchnęła ciężko.

– Jak sobie życzysz.

Zanurzyła łyżkę w ciemnozielonej zupie.

– Wszyscy wokół mogą, tylko mój mąż nie... – Jednak nie odpuszczała. Rzadko dawała za wygraną, kiedy raz uczepliła się jakiegoś tematu. Piotr wyczuwał nadchodzącą katastrofę.

– Jacy wszyscy?!

– Wszyscy ci, którzy zrobili karierę. Czego ty się boisz?

– Niczego.

– Przecież poradziłyś sobie, jestem tego pewna.

Nie odpowiadał, jadł zupę w milczeniu, nie odrywając oczu od białego talerza ze srebrną obwódką, który był częścią zastawy stołowej, prezentu ślubnego od jego rodziców.

– Piotr, przepraszam – powiedziała w końcu. – Ja i tak będę przy tobie, nawet jeśli nic ci się nie uda.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Mój ty słodki nieudaczniku. Kocham cię mimo wszystko.

Słyszał to nie raz z jej ust, znał wszystkie przymiotniki, jakimi go obdarowywała. Już się nie buntował. Może miała rację?



Bywały dni takie jak ostatnia niedziela, kiedy to zachęteni słońcem i brakiem konkretnych planów na spędzenie popołudnia wybrali się po prostu do kawiarni. Joanna znalazła wolny stolik, Piotr zamówił kawę i ciastka.

– Dlaczego szarlotkę? – zapytała, wbijając zdziwione spojrzenie w ciasto, które postawiła przed nią kelnerka.

– Przecież to twoje ulubione.

– Przepraszam, ale mam dzisiaj ochotę na coś innego...

– Mam zabrać? – zapytała kelnerka.

– Proszę zostawić, ja zjem – zaproponował szybko Piotr. – Na co masz ochotę, kochanie?

– Przede wszystkim proszę zabrać tę szarlotkę – zwróciła się Joanna do kelnerki.

– Ale pan powiedział przecież...

– Ale ja panią proszę, żeby zabrała tę szarlotkę z naszego stolika, czy to jasne?

– Oczywiście, proszę pani – odpowiedziała kelnerka nieco zmieszana.

– Nie będziesz przecież dojadał ciastek po mnie, kochanie – zwróciła się do Piotra i zmarszczyła czoło.

- Przecież nawet go nie tknęłaś.
- Tym lepiej. Poprosimy o makowiec. Czy jest świeży?

Kelnerka skinęła głową.

- Wspaniale.
- A dla pana? – zwróciła się do Piotra.
- Przecież powiedziałam wyraźnie: poprosimy. Nie rozumie pani po polsku?
- Po prostu myślałam, że pan woli sam wybrać ciasto dla siebie, zwłaszcza że...
- To źle pani myślała.
- Poprosimy dwa makowce – niemal szepnął Piotr. – I jeszcze jedną kawę.
- Dla pani również kawę?
- No przecież tej jeszcze nie tknęłam.

Kelnerka szybko odeszła od ich stolika i zniknęła na zapleczu. Piotr niepewnie spojrział Joannie w oczy.

– Dlaczego ty mi to ciągle robisz? – zapytała. – Dlaczego ty zawsze musisz postawić na swoim, nawet jeśli chodzi o głupie ciastka?

– Chyba przesadzasz. Po prostu ostatnio zamawiałaś szarlotkę, myślałem więc, że tym razem również będziesz miała na nią ochotę.

- Wystarczyło zapytać.
- Masz rację – odpowiedział, wzdychając.
- Czemu wzdychasz? Jeśli ktoś tu zasługuje na głębszy oddech, to raczej ja.
- Masz rację. Zresztą nikt ci tego nie broni.
- Coś ci powiem: ty mi tego bronisz. – Nieznacznie podniosła głos. – Nie mogę przy tobie oddychać, brakuje mi powietrza, zasłaniasz mi słońce, tak jak teraz. Myślisz, że cały świat kręci się wokół ciebie?

– Nigdy tak nie myślałem. Wręcz odwrotnie.

– Co konkretnie masz na myśli? Chcesz mi wmówić, że to ja, że to moja wina?!

– Przecież ja nic takiego nie powiedziałem! – bronił się.

– I tak wiem, co masz na myśli – stwierdziła. – Znam cię lepiej niż ty sam. Słowa, Piotrze, mogą nas uleczyć albo zabić. Kim jesteś dla mnie dzisiaj: lekarzem czy mordercą?

Przerwała na krótką chwilę, kiedy kelnerka postawiła przed nimi dwa kawałki makowca i filiżankę kawy dla Piotra.

– Smakuje ci? – zapytał po chwili.

– A tobie?

– Bardzo.

– Wracajmy już do domu. Rozboliła mnie głowa. Nie tak wyobrażałam sobie ten spacer.

– Posiedźmy tu jeszcze chwilę.

– Boli mnie głowa. Chcesz, żebym dostała migreny?

– Za bardzo się tym wszystkim przejmujesz, kochanie, a przecież niedziela jest po to, żeby się zrelaksować, odpocząć. Po to tutaj przyszliśmy.

– Masz rację – szepnęła, wbijając łyżeczkę w puszysty makowiec. – Przepraszam...

Delikatnie ujął jej dłoń. Znowu było jak dawniej, jak wtedy, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy.

– Czasami czuję się jak to ziarenko maku, małe i niewidoczne – powiedziała.

– Wszyscy tak się czujemy, Joanno. Ale przecież mamy siebie.

Skinęła głową.

– Nie wiem, co zrobiłabym bez ciebie, Piotrze. Jesteś dla mnie najważniejszy.

– Ty dla mnie również.

– Ja wiem, jestem okropna, mówię bez sensu, ciągle mam pretensje, ale musisz mnie zrozumieć. Jestem tutaj kompletnie sama. To miasto mnie przeraża.

– A ja? Ja ciebie też przerażam?

– Ty to co innego. Jesteś moim mężem, jedyną wyspą na tym bezdusznym oceanie samotności.

– Ładnie to nazwałaś.

– Tak czuję.

– Życie nie jest takie złe, Joanno.

– Wiem, wiem...

– Powinnaś więcej wychodzić z domu, znaleźć sobie przyjaciół. Może już najwyższy czas, by coś zmienić?

– Myślisz, że powinnam?

– Myślę, że zmiana dobrze by ci zrobiła.

– Dlaczego? Przecież jest dobrze tak jak jest. Jestem szczęśliwa, bo mam ciebie.

Pochyliła się nad stołem i pocałowała go w usta. Mocno, z czułością, tak jak lubił.

– Chodźmy stąd – szepnęła mu do ucha. – Wracajmy już do naszej sypialni.



– Kochasz ją?

Agata oparła się o balustradę okalającą balkon. Lubiła ten widok rozciągający się nad parkowym wzgórzem i stawem, który spał w zielonym zagłębieniu.

Milczał.

– Pytałam, czy ją kochasz, braciszku. Tak trudno odpowiedzieć ci na to pytanie?

– To nie takie proste.

– Wiedziałaś!

W jej głosie pobrzmiwała satysfakcja.

– Co wiedziałaś?

– Jesteś taki... banalny.

– Joanna jest moją żoną. Jeśli tak bardzo ci na tym zależy, to tak. Kocham ją.

– Więc czemu nie odpowiedziałeś od razu?

– Zapytaj mnie, czy jej nienawidzę.

– Nienawidzisz?

– Tak.

– I kochasz, i nienawidzisz? I nie zostawisz jej? – W głosie Agaty niedowierzanie mieszało się z kpina.

– Pytanie, czy ona mnie nie zostawi.

– Ona?! Nigdy! – parsknęła.

– Skąd ta pewność?

– Bo jest brzydka.

– Joanna? – Nie krył zdumienia. Był pewien, że kto jak kto, ale siostra artystka potrafi właściwie ocenić urodę jego żony.

– Nie chodzi o twarz – sprostowała. – Ona jest brzydka wewnątrz. Zauważyłeś, że nikt jej nie lubi? Nie ma żadnych przyjaciółek. Nawet jej własna siostra nie zabiega o kontakt z nią, nie dzwoni.

– Joanna jest introwertyczką.

– Sama ci to powiedziała?

Wrócili do pokoju. Piotr usiadł na sofie, Agata podeszła do okna i zaczęła leniwie przesuwać dłonią po sztywnych seledynowych listkach paproci.

– Ten kwiatek jest żywy? – zapytała.

– Tak. Nie widzisz?

– Wygląda jak sztuczny.

– Możliwe, nie znam się na tym.

Skarciła go spojrzeniem.

– Nie rozumiem, jak można tak wpaść po uszy – powiedziała, nie odwracając głowy. – Twój związek jest taki sam jak ta paprotka: wygląda, jakby nie był prawdziwy.

– Czepiasz się.

– Cieszę się, że mnie rozumiesz – skwitowała. – I nie czepiam się. Chciałam zauważyć, że jako jedyna osoba w tej chorej rodzinie mam odwagę powiedzieć ci prawdę prosto w oczy, braciszku.

– Kochana siostrzyczko, relacje między ludźmi są jak droga, jedne są gładkie, a inne wyboiste i pełne zakrętów. A mimo to ludzie idą tymi drogami przed siebie, razem...

– Boże, Piotrek! – Klasnęła w dłonie. – Powinieneś zacząć pisać poradniki.

– Nie żartuj sobie.

– Gdzieżbym śmiała.

– Po prostu jestem terapeutą. Zapomniałaś, że pracuję z problemami na co dzień?

– Więc powiedz mi, dlaczego nie potrafisz rozwiązać własnego?

– Bo go nie mam. Proste.

Założył nogę na nogę i oparł się wygodnie. Agata patrzyła teraz na jego kapcie; nie pasowały do płóciennych eleganckich spodni, w których wrócił z pracy. Zauważyła też, że spodnie tuż nad kostką przetańczyły się na zgięciu, a z materiału wystają pojedyncze białe niteczki.

– Musisz kupić sobie nowe spodnie – orzekła.

– Nie muszę, tylko powinienem – poprawił ją szybko.

– Twoja żona nie mówiła ci o tym?

– Owszem, mówiła.

– I co?

Uśmiechnął się do niej z politowaniem. Teraz była dla niego tylko młodszą siostrą, smarkułą, która wymądrza się i udaje starszą, niż jest.

– Postawiłeś się jej w sprawie spodni?! Zaimponowałeś mi.

– Agata, po co ta cała rozmowa?

– Bo chcę cię ratować, nie rozumiesz?

– Przyznaj, że po prostu jej nie lubisz.

– Ona też nie pała do mnie sympatią.

Usiadła naprzeciwko niego w fotelu.

– A dałaś jej powód?

– A muszę?! Czy twojej królownie potrzebny jest powód, by kogoś lubić? Wyobraź sobie, że są na tym świecie osoby, które lubią innych po prostu, a nie dla czegoś.

– Masz rację – stwierdził ze spokojem. – Źle to ująłem.

– Braciszku, ująłeś to doskonale. Chociaż raz udało ci się trafić w dziesiątkę.

Czuł, że kłótnia czyha tuż za rogiem.

– Agata...

– Czy ty nie rozumiesz, że ja chcę ci tylko pomóc? – przerwała mu. – Jesteś bardzo fajnym facetem; jesteś nadal młody i uwierz mi, bardzo atrakcyjny.

– Dziękuję. Nie wiedziałem, że masz aż tak dobre zdanie o swoim bracie.

– To nie tylko moje zdanie, ale również opinia moich przyjaciół.

– Tym bardziej czuję się zaszczycony.

– Błazen! – skarciła go po dawnemu.

Mimo że była od niego kilka lat młodsza, zawsze traktowała go z wyższością starszej siostry, którą zapewne chciała być. Przez te wszystkie lata Piotr pozwalał jej na to, widząc, że taka rola najbardziej jej odpowiada. To Agata przed laty wybierała dla niego kurtki, które powinien sobie kupić i podsuwała pod nos ulotki filmów, które musiał zobaczyć. Nie dziwiło go więc, że nadal czuła w sobie nutkę odpowiedzialności.

– Nie wiem, czy powinnam ci to powiedzieć, ale wszyscy mają takie samo zdanie na temat Joanny co ja. Wszyscy bez wyjątku.

– Przykro mi.

– Akurat! Każdy widzi, że trzyma cię na smyczy, i to bardzo krótkiej smyczy. Dlaczego wszyscy to widzą, tylko nie ty? – spytała z żalem.

– A nie przyszło ci do głowy, że ja tej smyczy może potrzebuję?

– Niby do czego?!

– Może odpowiada mi sposób, w jaki mnie traktuje, może to właśnie jest dla mnie największy dowód jej uczucia?

– Ona zabiera ci wolność. Ciebie już nie ma, Piotrek. W waszym związku liczy się tylko ona.

– Troszczy się o mnie, jest doskonałą żoną.

– Odcina cię od świata, od znajomych, od nas. Chce mieć ciebie na wyłączność.

– Może robi to, co każda żona – powiedział po chwili. – Może odcina pępowinę, skoro mi nie udało się tego dokonać wcześniej?

– Bzdura! Kolejne brednie, które ci wmówiła, a ty to łyknąłeś jak tabletkę. Ona jest jak trucizna...

Spojrzał na jej torebkę spoczywającą na oparciu fotela. Była niedomknięta. Patrzył na biały róg koperty, która wystawała tuż przy skórzanym pasku.

Agata zauważyła jego wzrok.

– A tak naprawdę to po co przyszedłeś tak niespodziewanie? – zapytał w końcu. – Nieczęsto się widzujemy, przynajmniej ostatnio.

– No właśnie – parsknęła. – A teraz będziemy się widywać jeszcze rzadziej.

– Jak to?

Otworzyła torebkę i wyjęła z niej kopertę, którą podała Piotrowi.

– Proszę – powiedziała.

Otworzył; na kopercie widniał odręczny napis: „Piotr i Joanna”.

W środku znajdował się kartonik z czarnego papieru, złożony na pół. Piotr domyślał się, co to może oznaczać, ale kolor zaproszenia zupełnie go zmylił.

– Co to ma być...? – zapytał zaskoczony.

– Nie widzisz?

– Nie. Tu przecież nic nie ma.

– O Jezu, poczekaj chwilę, tusz musi się naświetlić, zaraz zobaczysz.

Spojrzał raz jeszcze na karton i dopiero teraz przed jego oczami pojawiły się litery, które z każdą sekundą robiły się coraz bielsze.

– To taki bajer – powiedziała. – Tusz wywołujący się pod wpływem światła. Niezłe, co?



„Agata i Tomasz zapraszają na swój ślub, który odbędzie się w ostatnią niedzielę sierpnia w samo południe, w tramwaju linii numer osiemnaście na Placu Unii Lubelskiej. Prosimy o przybycie punktualnie, tramwaj z urzędnikiem i gośćmi odjeżdża minutę po dwunastej”.

– Co to za pomysł z tym tramwajem...? – zapytał, nie kryjąc zaskoczenia.

– Teraz można to zrobić nawet pod wodą.

– Więc jednak ślub?

– No wiem, dziwne – odpowiedziała szybko. – Zwłaszcza gdy ma się za przykład takiego starszego brata.

Udał, dość nieudolnie zresztą, że nie dosłyszał jej ciętej riposty.

– Czym cię przekonał, jeśli można spytać?

– Tomasz? Dostał kontrakt w Londynie. Wyjeżdżamy tam we wrześniu i pomyślałam, że fajnie byłoby zacząć nowe życie jako mąż i żona. Nie uważasz, że to dobry pomysł?

– To się dopiero okaże, ale życzę wam jak najlepiej.

– Nie dziękuję, żeby nie zapeszyć – odparła z wdziękiem.

– A co z twoim leczeniem?

– Myślisz, że w Londynie nie mają lekarzy?

– Oczywiście, że mają, może nawet lepszych.

– To na pewno, bo połowa z nich przyjechała tam z Polski.

– Pewnie masz rację. – Uśmiechnął się. – A co na to wszystko rodzice?

– Masz na myśli nasz wyjazd?

– Chociażby.

– Tomasz ma kontrakt tylko na rok. Na pewno wrócimy, jakoś nie wyobrażam sobie dłuższego życia na emigracji. Ale kto to może wiedzieć, co będzie?

Zauważył, że w jej oczach czaiły się łzy. Była wzruszona i nie umiała tego ukryć. Pomimo całej skorupy złośliwości i bezpośredniości, w głębi duszy była nadal bardzo wrażliwą i czułą kobietą.

– Szkoda, że nie ma Joanny – powiedział. – Powinna za chwilę wrócić od tego fryzjera.

– Jakoś się tym nie martwię.

– Daj już spokój, Agata – skarcił ją. – Wręczasz mi zaproszenie na swój ślub i w tym samym czasie proponujesz mi odejście od własnej żony. Czy ty siebie w ogóle słyszysz?

Podniosła się z fotela.

– Już nigdy więcej nie poruszę tego tematu – powiedziała poważnym tonem. – Po prostu musiałam to z siebie wyrzucić.

– Jeśli masz z tym jakiś problem, mogę polecić ci znajomego terapeutę.

– Przestań! – szturchnęła go łokciem w bok.

– Oczywiście przyjdziemy – dodał, kładąc zaproszenie na stoliku. – Joannie będzie trochę przykro, że nie mogła tego usłyszeć bezpośrednio od ciebie.

– Będzie musiała jakoś się z tym pogodzić.

Wyszła do przedpokoju i, otwierając drzwi, odwróciła się w stronę Piotra po raz ostatni.

– Głupi jesteś – rzuciła. – Nawet nie wiesz, jak bardzo.



– Ja wiem, że nigdy ci nie dorównam, każdego dnia dajesz mi to do zrozumienia – powiedziała Joanna, obracając w dłoniach zaproszenie na ślub Agaty.

– O co ci chodzi?

– Myślisz, że nie wiem, co o mnie tak naprawdę myślicie?

– Kto?!

– Twoja rodzina, oczywiście.

Obojętnie odłożyła kartonik na półkę z książkami.

– Przecież moja mama cię uwielbia, ojciec zresztą również – zauważył Piotr.

– Daruj sobie kłamstwa. Myślisz, że nie czuję tej litości, tego współczucia z powodu mojej biednej małomiasteczkowości? Bo ja oczywiście nie urodziłam się w wystarczająco dużym mieście, by wzbudzić szacunek twojej rodziny. Jestem właściwie ze wsi, zresztą nieważne skąd. Najważniejsze, że nie stąd. Wchodząc do tej rodziny, zrozumiałam bardzo szybko, że ludzie są jak grzyby, jedne zdrowe i jadalne, a te drugie trujące, toksyczne. Nie wolno ich dotykać, bo można umrzeć. I to wy jesteście takimi toksycznymi ludźmi! Wszyscy!

– Co ty opowiadasz?

– Mówię, co czuję.

– A wiesz, to bardzo ciekawe, bo ja nigdy nie zauważyłem, żeby moi rodzice choćby zasugerowali ci cokolwiek w tym stylu. Powiem więcej, to w ogóle do nich nie pasuje. Dla nich najważniejsze jest to, kim człowiek jest, a nie to, skąd pochodzi.

– W takim razie ja jestem nikim.

– Przestań.

Piotr starał się ją uspokoić, ale Joanna sprawiała wrażenie osoby, do której nie docierają żadne argumenty. Chodziła w kółko po pokoju, przekładając przedmioty z jednego miejsca na drugie.

– Nigdy nie byłam wystarczająco dobra, ani dla twojej matki, ani tym bardziej dla twojego ojca. Nie mówiąc już o twojej siostrze – rzuciła, wchodząc do kuchni.

– Agatę zostaw w spokoju.

– A to niby dlaczego?

– Z nią zawsze były kłopoty, ma trudny charakter i nie tylko ty masz problemy z nawiązaniem z nią bliższego kontaktu. Zresztą rozmawialiśmy już o tym.

– Więc przyznajesz, że to prawda? – Spojrzała na Piotra ostro.

– Akurat w przypadku Agaty jestem w stanie w to uwierzyć, ale błagam cię, nie mieszaj w to moich rodziców, którzy cię uwielbiają.

– To tylko litość. A ja tego nie potrzebuję.

– Bzdury.

– Jeśli chcesz znać prawdę, to muszę ci się z czegoś zwierzyć – stwierdziła, nalewając sobie wody do szklanki. – To właśnie kontakt z twoją rodziną pierwszy raz w życiu postawił mnie do pionu. Nigdy wcześniej nie czułam się takim zerem. To oni dali mi to odczuć, te ich spojrzenia pełne wyższości, to kiwanie głową... Masz mnie za idiotkę?! Może jestem głupia, ale na pewno nie ślepa. Oni nigdy mnie nie akceptowali. Tolerują mnie, owszem, ale tylko dlatego, że jestem żoną ich ukochanego syneczka.

– Nie mogę już dłużej tego słuchać.

– To nie słuchaj. Najlepiej wyjdź, najlepiej leć do swojej matki wyzalić się, wypłakać. Naskarż jej, jaką okropną masz żonę, po co kłamać? Niech dowie się całej prawdy. Nie musisz mnie kryć. Powiedz jej! Powiedz jej prawdę. Dziwię się, że jeszcze tego nie zrobiłeś...

Schowała twarz w dłoniach.

– Joanno...

- Nie patrz na mnie.
- Chcę ci pomóc, ale nie wiem jak.
- Ja nie potrzebuję twojej pomocy. – Odtrąciła go.
- Więc, co mam zrobić?
- Wyjdź stąd. Chcę zostać sama.
- Ale ja...
- Wyjdź. Proszę. Już i tak powiedziałam ci o sobie o wiele za dużo.

– Nie kłóćmy się, proszę.

– Tak, tak. Nie kłóćmy się. Żyjmy w kłamstwie, w tej wygodnej obłudzie, którą wyssałeś z mlekiem matki, która jest dla ciebie jak pancerz. Nie kłóćmy się, to i tak nie ma sensu. Pochodzimy z dwóch różnych światów. Jak dwie planety.

– Jednak wiele nas łączy.

– Masz na myśli to? – rzuciła w niego obrączką. – To można odwołać szybciej, niż myślisz. Jeszcze zdążysz sobie ułożyć życie z kimś lepszym ode mnie, z kimś, kto cię wysłucha i zrozumie.

Szybko odnalazł obrączkę na podłodze. Podniósł ją i podał Joannie. Nie chciała jej założyć. Delikatnie wyprostował jej serdeczny palec i ostrożnie wsunął złoty krążek.

Jej rozognione oczy wciąż były pełne łez.

– Na zawsze – powiedział prawie szeptem, całując wewnętrzną stronę jej dłoni. – Dopóki śmierć nas nie rozdzieli.

– Wierzysz w to? – zapytała nagle łagodnym głosem.

– Ty również w to wierzysz.

Przytulił ją mocno do siebie.



Myślał o niej od samego rana, a właściwie od poprzedniego wieczoru. Odkąd się rozstali, nie przestawał. Nie lubił, kiedy wpadała w takie stany, kiedy szarpały nią złe myśli, którym nie umiała się oprzeć.

Po tylu latach przyzwyczał się, że jej nastrój był chwiejny, zależał od przyływu złej energii, która czaiła się każdego dnia za rogiem. Bywało tak, że wyprowadzała ją z równowagi drobnostka i jedyne, co mógł wtedy zrobić, to przeczekać burzę. Potem mogło już być tylko lepiej.

Przed oczami stanął mu tamten pamiętny dzień sprzed siedmiu miesięcy.

Spotkali się na Starówce, Joanna nalegała, a on czuł, że chce mu coś wyjaśnić.

– To nie ma sensu – powiedziała Joanna, wstając od stolika. – Nie pasujemy do siebie.

– To tylko zwykła kłótnia. – Chwycił ją za rękę dokładnie w chwili, kiedy zamierzała odejść.

Patrzyła na niego z góry, Piotr nie miał odwagi wstać, jakby jej zimne słowa wbiły go w ziemię.

Zobaczyła drobinki łez w jego oczach.

– Proszę cię, zachowuj się jak mężczyzna.

– Joanno...

– Czy ty nie rozumiesz, że my w ogóle do siebie nie pasujemy? Ja jestem z innego świata.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytał kamiennym głosem.

– Niepotrzebnie na siebie w życiu wpadliśmy. To była strata czasu.

– Ja tak nie uważam – powiedział cicho.

Usiadła z powrotem. Jego oczy były już zupełnie suche, choć wciąż krył się w nich niepokój i ten nieskrywany brak pewności siebie.

– Przecież mógłbyś mieć każdą inną dziewczynę, lepiej wykształconą, z dłuższymi nogami.

– Ale ty mi się podobasz najbardziej.

– No tak, co masz powiedzieć – odparła cierpko.

– Mówię to, co myślę.

– Nawet nie wiem, czy mnie kochasz.

– Kocham. Kocham cię.

Jej dłonie spoczywały na marmurowym blacie stolika. Obejmowała nimi zimną filiżankę.

– Więc dlaczego? – spytała.

– Co: dlaczego?

– Dlaczego nigdy wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

– Sądziłem, że o pewnych rzeczach nie trzeba mówić głośno, że to oczywiste.

– Może dla ciebie. Ja zostałam inaczej wychowana.

– Rozumiem.

– Nic nie rozumiesz. I powiem ci więcej, nigdy mnie nie zrozumiesz, bo jesteś inny niż ja.

– W takim razie nauczysz mnie – zaproponował.

– Czego?

– Twojego świata. Skoro jestem inny, chcę być taki jak ty, i ty mnie tego nauczysz.

– Nie jestem pewna, czy to będzie kiedykolwiek możliwe.

– Obiecuję, że będę pilnym uczniem.

– Nie żartuj.

– Jestem śmiertelnie poważny.

Dotknął jej dłoni, delikatnie, nieśmiało. Nie odrzuciła tego gestu.

– Piotrze, lepiej się rozstać teraz, niż potem żałować.

– Niczego nie będę żałował. Kocham cię. Nie zniechęcaj mnie do siebie, bo to niczego nie zmieni.

Patrzyła na kostki cukru ułożone ciasno w cukiernicy z białej porcelany.

– Jesteś pewien?

Uniósł jej prawą dłoń nad blatem i pocałował. Poczła na skórze jego gorące usta.

Teraz wiedziała, że mężczyzna, który siedzi naprzeciwko niej, jest jej, że posiadała go i że on nigdy jej nie opuści, nie zostawi. Był jej oddany jak rycerz, czuła to i napawało ją to dumą oraz poczuciem bezgranicznego bezpieczeństwa, którego szukała, odkąd opuściła rodzinny dom.

Mimo to wciąż targały nią głębokie wątpliwości.

– Boję się, Piotrze – szepnęła. – Boję się, że nie jestem taka jak ty.

– To dobrze – odpowiedział, uśmiechając się. – Ja jestem beznadziejny.

– A ja mam kompleksy.

– Zupełnie tego nie rozumiem.

– Bo pochodzisz stąd, a nie z takiej dziury, z jakiej ja przyjechałam i w jakiej się wychowałam.

– Nie zmienimy naszego miejsca urodzenia. Nie ma sensu się go wypierać.

– Wiem.

– Więc dlaczego ciągle do tego wracasz?

– Bo się boję.

– Czego?

– Że jestem dla ciebie kimś nieważnym...

Westchnął.

– Co mam zrobić, żeby udowodnić ci, że jesteś dla mnie najważniejsza na świecie?

– A jestem?

– Oczywiście.

Wstał.

– Zaczekaj chwilę – powiedział, odchodząc od stolika. – Wracam za sekundę.

– Ale Piotr...

Wybiegł z kawiarni, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Wyjęła z torebki chusteczkę i otarła nią wilgotne powieki. Kiedy zamykała torebkę, stał już przy niej.

– Jakie piękne... – wyszeptała, patrząc na bukiet czerwonych róż, które trzymał w dłoni. – To dla mnie?

– Wyjdiesz za mnie – oświadczył, klękając.

– Słucham?

– Wyjdiesz za mnie – powtórzył.

– To nie brzmi jak pytanie.

– Bo nim nie jest. Po prostu informuję cię o tym, co się stanie.

– Bardzo oryginalnie to sobie wymyśliłeś.

– Mówię to, co myślę. Tak mam od urodzenia.

Klęczał przy jej fotelu przez cały ten czas. Joanna spojrzała na kelnerkę, która stała za barem, nie odrywając od nich oczu.

– Wstań – poprosiła. – Nie róbmy komedii.

– Zgadzasz się, prawda?

– A więc jednak jest jakieś pytanie?

– To tylko dla pewności. Więc jak?

Ich kameralny ślub odbył się dokładnie cztery tygodnie później.



Tego dnia czekała go trudna rozmowa, inna niż wszystkie. Miał zobaczyć się z Marią, która od dawna była jego pacjentką. Przychodziła na pięć sesji, potem nie wracała przez pół roku. Regularnie, jak w zegarku, po sześciu miesiącach potrzebowała go znowu.

– Dobrze wyglądasz – powiedział, zapraszając ją do środka.

– Tak też się czuję.

– Więc jest dobrze?

– Yhm.

Usiadła, zakładając nogę na nogę. Miała na sobie czarne obcisłe dżinsy i szpilki w tym samym kolorze. Wyglądała młodo. Gdyby Piotr nie wiedział, że jest po trzydziestce, myślałby, że jeszcze studiuje.

– No dobrze. Jak się sprawy mają?

– Pomału, jakoś leci.

– A jak Piotruś?

– Bez zmian. Nadal leży w swoim łóżeczku, zmieniam mu pieluchy, karmię, idę do lekarza na kontrolę.

– Nie ma żadnej poprawy?



– Przecież wiesz. – Dłonią odgarnęła z czoła jasną grzywkę opadającą na oczy. – W jego przypadku nie ma nadziei na poprawę.

– Tak, wiem.

– Tylko nie mów, że mnie podziwiasz, błagam.

– Nie mówię.

– I bardzo dobrze. Nienawidzę, kiedy inni ludzie, zwłaszcza matki zdrowych dzieci, mówią do mnie tym tonem. „Podziwiam panią, ja bym tak nie umiała!”. A co taka jedna z drugą może wiedzieć o opiece nad niepełnosprawnym dzieckiem?!

– Może po prostu chcą w ten sposób wyrazić swój szacunek do tego, co robisz?

– Nie. Nie chcę tego.

– Dlaczego?

– Bo źle się z tym czuję.

– Dlaczego?

– Bo nie chcę współczucia. Ja wiem, że to niemożliwe, ale chciałabym, żeby mój syn był traktowany jak każde inne dziecko.

– No, ale sama powiedziałaś, że wiesz, że to niemożliwe.

– Wiem. Ale mimo to chciałabym.

Spojrzała na niego chłodno.

– Wiesz, jakie to uczucie, kiedy idziesz ulicą, pchasz ten wózek, który podskakuje na każdym krawężniku, a obok ciebie przechodzą inne dzieci? I wszystkie zdrowe, doskonałe. A obok tych dzieci idą ich matki. Takie niezadowolone, z pretensjami o wszystko. Słabo mi się robi. Kiedyś spotkałam taką jedną na placu zabaw obok przychodni. Piotruś był akurat na rehabilitacji. Było gorąco, wołałam zaczekać na zewnątrz. Poszłam na plac, usiadłam na ławce. Chciałam popatrzeć na inne, zdrowe dzieci. I patrzyłam, jak te maleńkie rączki chwytają się metalowych uchwytów, jak te nóżki wspinają się po drabinkach. A w tym samym czasie, zaledwie kilkanaście metrów dalej, w sali rehabilitacyjnej, mój syn ćwiczył pod okiem specjalisty obrotu na materacu. Nie po to, by lepiej skakać czy biegać, ale wyłącznie po to, żeby mu się odleżyny nie zrobiły i żeby dotlenić mięśnie pleców. I wtedy jedna z matek, która siedziała najbliżej mnie, krzyknęła na cały plac: „Krzysiu! No jak ty jedziesz na tej hulajnodze! Nie tak, jedź jak normalny chłopak, a nie jak jakiś idiota! Nie widzisz, że koła ci skręcają? Ślepy jesteś, czy co?”.

Zamilkła na krótką chwilę, zamyślona i odległa.

– Wiesz, od kiedy mam niepełnosprawne dziecko, bardzo jestem wyczulona na określenia typu „idiota”. Jakoś tak zaczęło mi to przeszkadzać...

– Ludzie są tylko ludźmi.

Skinęła głową, ale jakby nie słyszała jego słów.

– Nienawidzę, kiedy inni patrzą na moje dziecko tylko po to, by się pocieszyć.

– Pocieszyć...?

– Ty tego nie rozumiesz, bo nie masz niepełnosprawnego dziecka. Te wszystkie mamusie dookoła, które zaglądają mi do wózka, kiwają głowami, współczują w dobrej wierze, tak przynajmniej mówią. Wszyscy oni tak naprawdę chcą popatrzeć tylko po to, by podnieść się na duchu, pocieszyć, że ich to nie spotkało. „Boże, jak dobrze, że mój syn jest zdrowy. Zdrowie to jednak najważniejsza rzecz w życiu”. Nie muszą tego mówić, żeby mi słyszała ich myśli. Mają je wypisane na czołach.

– Nie wszyscy tak myślą.

– Wszyscy, wszyscy. Tylko nie każdy ma odwagę powiedzieć to na głos. Ja i tak wiem swoje.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Bo pamiętam.

– Co?

– Pamiętam, jak to było, kiedy go nie miałam. Ja także byłam jedną z nich. Omijałam szerokim łukiem wszelkie nienormalności, zresztą co ja mogłam o tym wszystkim wiedzieć? Dopóki nieszczęście nie pojawi się na twojej drodze, nie masz o nim pojęcia. Nie widzisz ludzi, którzy są inni, chorzy, nieszczęśliwi. Po prostu ich nie zauważasz. To tak jak z ciążą. Dopóki nie byłam w ciąży, w ogóle nie widziałam ciężarnych kobiet na ulicy. Ale wystarczyło, że zaszłam w ciążę, codziennie widziałam ciężarne przechodzące obok mnie. Po prostu dopóki coś nas nie dotknie, nie widzimy tego u innych. A przecież ja nie zamawiałam chorego dziecka! On po prostu taki się urodził, nie miałam na to wpływu. W ciąży dbałam o siebie, zdrowo jadłam, nie piłam i nie paliłam. I co? Urodziłam dziecko, które jest inne.

– Kiedy się o tym dowiedziałaś?

Pytał już o to nie raz, ale czuł, że Maria potrzebuje znów to wszystko z siebie wyrzucić.

– Niestety od razu. Dostał bardzo mało punktów już przy urodzeniu, miał niedotlenienie, pępowinę owiniętą wokół szyi, był siny, fioletowy. Myślałam, że umrze. Lekarze powiedzieli, że to cud, że żyje. Tak się cieszyłam, całowałam go po nóżkach. A potem przyszedł neurolog i czar prysł. Przyniósł wyrok, odczytał go. Ja byłam jeszcze cała obolała po porodzie, czułam jak krew, gorąca i gęsta, cieknie mi między udami, a on czytał: „Jest duże prawdopodobieństwo, że pani syn nie będzie chodził, nie będzie mówił, może być niewidomy, jego mózg jest mniejszy, niż przewiduje norma”. Na koniec dodał: „Te wszystkie prognozy mogą oczywiście się nie spełnić, medycyna zna takie przypadki, trzeba mieć nadzieję”. Niestety, w przypadku mojego syna wszystko się sprawdziło, cud zdarzył się gdzie indziej, nie u nas.

– To musiało być dla ciebie bardzo trudne.

– Trochę.

– A ojciec?

– Czyj? Mój?

– Dziecka. Gdzie on wtedy był?

– Mówiłam ci to już setki razy, ale dobrze, powiem po raz kolejny. Nie wiem. Nie mam z nim kontaktu.

– Nadal do niego nie zadzwoniłaś?

– Nie.

– Dlaczego?

– Jezu, bo to był facet na kilka nocy. Zrobił mi dziecko, tak jak chciałam. I na tym jego rola się skończyła.

– Wszystko sobie zaplanowałaś?

– Tak.

– Ale nie przewidziałaś aż takich kłopotów ze zdrowiem dziecka.

– Nie.

– Czyli ojciec nie tylko nie wie, że jego syn jest chory, ale wciąż nie wie, że w ogóle ma dziecko?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo nie chcę.

– Dlaczego?

– Bo on już ma rodzinę – prychnęła. – Zdrową i piękną.

– Wiedziałaś o tym wcześniej?

– Oczywiście. Właśnie dlatego wybrałam go na ojca mojego dziecka, bo miał piękne i zdrowe dzieci.

Co za ironia losu.

– Jak go poznałaś?

Kolejny raz przerabiali ten sam scenariusz.

– Był kolegą znajomej z pracy. Nasze firmy organizowały przedświąteczne party w tym samym lokalu.

I tak się poznaliśmy. Wpadł mi w oko, tańczyliśmy razem cały wieczór. Następnego dnia koleżanka powiedziała mi, że bym uważała. Zapytałam dlaczego. Powiedziała, że ma już żonę i dzieci, i że to w ogóle jest wspaniała rodzina i nie mam najmniejszych szans, więc mogę dać sobie spokój. Podziało to na mnie jak płachta na byka. Ja miałabym sobie nie poradzić? Co mnie obchodzi jakaś rodzina?! A ja to już się w ogóle nie liczę?

– Z nikim się wtedy nie spotykałaś?

– No, jakoś nie.

– I to, że miał rodzinę, nie stanęło ci na przeszkodzie?

– Wyobraź sobie, doktoro, że są na świecie takie pozbawione zasad suki jak ja. Dlaczego ja mam zawsze myśleć o innych, liczyć się z tym, że on miał gdzieś tam żonę i dzieci? To bardzo dobrze. Ja nie chciałam im go odbierać, to miał być krótki romans, taka odskocznia od codzienności. Rozumiesz?

– Nie.

– Tak właśnie myślałam. Widzisz, niektórym wystarczy patrzeć, jak nad głową przelatują im samoloty, a innemu to nie wystarcza i sam chce latać.

– I ty jesteś z tych latających.

– Zgadłeś. Ja wszystkiego w życiu muszę spróbować, nawet dziecko musiałam dostać od losu niestandardowe, a nie takie jak wszyscy. Ale przynajmniej czuję życie.

– To na pewno. Więc umówiłaś się z nim?

– Dlaczego zakładasz, że to ja go skusiłam? To on do mnie zadzwonił.

– Tak po prostu? Skąd miał twój telefon?

– Wymieniliśmy się nimi tamtego wieczoru. Zadzwonił po tygodniu i już następnego dnia wylądowaliśmy w łóżku.

– Szybko.

– A na co miałam czekać? Przecież widziałam, że on usycha przy tej żonie. To jest fantastyczny facet, którego małżeństwo zamieniło w roślinę – stwierdziła.

– Obiecywał ci coś?

Popatrzyła na Piotra z politowaniem.

– Boże, w jakich czasach ty żyjesz?! Tak, obiecał mi upojną noc i dotrzymał słowa. Był świetny, chcesz znać szczegóły?

– Nie muszę.

– Dotykał mnie w taki sposób, że aż płakałam ze szczęścia.

– Prosiłem...

– Dobrze, dobrze, bo jeszcze wpadniesz w kompleksy, w końcu też masz żonę, prawda?

– Długo się spotykaliście? – zapytał, ignorując jej zaczepkę.

Bawiła się swoimi długimi włosami, które owinęła wokół palców. Nie odrywała oczu od Piotra.

– Lubisz ją dotykać? – zapytała.

– Kogo?

– Twoją żonę. Bo zakładam, że kochanki nie przewidujesz.

Zastanawiał się, kiedy przerwać ten zmierzający donikąd potok pytań, które zaczynały go denerwować. Z drugiej strony rozumiał potrzebę pacjentów takich jak Maria. Chciała go poznać, wydawało się jej to wielce niesprawiedliwe, że Piotr zna jej życie od podszewki, a ona wie o nim tak niewiele. Czy miał prawo zdusić tę ciekawość, która była przecież bardzo naturalna?

– Lubię – odpowiedział z opanowaniem.

– Szczęściara!

Maria patrzyła na niego z niedowierzaniem. Nie odrywając oczu od Piotra, z niecierpliwością czekała na kolejne zdanie, które miało paść z raczej milczących dotychczas ust.

– Czułam, że jesteś z nią szczęśliwy, że jest ci z nią dobrze.

– Naprawdę?

Skinęła głową.

– Nigdy jakoś specjalnie nie zwracałeś na mnie uwagi – szepnęła.

– Przeciwnie...

– Nie o to mi chodzi, wiesz dobrze. – Weszła mu w słowo. – W przeciwieństwie do innych, nie flirtujesz ze mną.

– I to cię martwi?

– Ależ skąd. To mi imponuje. Jesteś facetem, który świata nie widzi poza swoją żoną.

– To prawda.

Parsknęła głośno.

– Nigdy nie zastanawiałeś się, ile możesz w ten sposób stracić?

– Nie.

– Nie obraż się, ale to też widać. Może warto czasem spróbować innego smaku?

– Dobrze – powiedział stanowczo, kładąc notatnik na biurku. – Myślę, że na dziś wyczerpaliśmy już wszystkie możliwości terapeutyczne.

– Nie denerwuj się tak!

– Nie denerwuję się.

– Więc po co to wszystko?

– To raczej ja powinienem zapytać ciebie.

– Chciałam tylko trochę pożartować. Nic więcej.

– A ja chciałem być poważny.

– No właśnie...

Wstała z sofy.

– Czasem czuję się z tym źle, że przychodzę tu, jakbyś był moim bratem, ojcem albo dawnym przyjacielem z dzieciństwa, z którym urwał się kontakt i teraz muszę mu wszystko opowiadać, żeby nadrobił zaległości z mojego życia.

– Jestem tylko twoim terapeutą – powiedział zupełnie już opanowanym tonem.

– No właśnie – dodała, podchodząc do drzwi. – W dodatku bierzesz za to pieniądze. Jak kurwa.



Na czwartym roku psychologii Piotr zapisał się na zajęcia z psychoterapii. Do podjęcia takiego kroku zachęciła go Beata, koleżanka z roku, która z wypiekami na twarzy opowiadała o planie kursu. Studenci mieli poznawać prawidłowości dotyczące zaburzeń emocjonalnych. To brzmiało bardzo interesująco, nie tylko dla Piotra.

– Czy zaburzenia w ogóle mogą być prawidłowe? – zapytała głośno, kiedy zbiegali razem schodami z sali wykładowej. – Coś, co ze swojej natury jest zaburzeniem, będziemy oceniać jako stałą

prawidłowość? Ciekawe, bardzo ciekawe.

Zapisanie się gwarantowało studentom możliwość uczestniczenia w zajęciach fakultatywnych, które odbywały się w Klinice Psychiatrycznej Akademii Medycznej. Wszystko to było dla Piotra niezwykle ciekawe, wręcz fascynujące.

Studia pasjonowały go od samego początku i już w listopadzie, niemal zaraz po rozpoczęciu roku akademickiego, wiedział, że dokonał trafnego wyboru. Uwielbiał poznawać ludzkie reakcje, czytał o nich w każdej wolnej chwili, a mózg człowieka wydawał mu się najpiękniejszym tworem natury. Niezwykle było dla niego to, że ludzie nauczyli się panować nad sobą, a z drugiej strony wciąż potrafią być nieobliczalni. Od samego początku chciał poznać przyczynę zarówno tych pierwszych, jak i drugich zachowań.

Podczas zajęć, które odbywały się w klinice psychiatrycznej, Piotr wraz z innymi studentami poznał profesora Tomskiego, który cieszył się powszechnym poważaniem zarówno wśród wykładowców, jak i studentów. Jednym słowem podziwiali go absolutnie wszyscy.

Był wysokim mężczyzną, o postawie przypominającej niedźwiedzia, co tylko dodawało mu uroku. Jego ogromny, wydęty brzuch ciasno opinała koszula, zazwyczaj błękitna. Brzuch profesora był tak duży, że w całym szpitalu nie znalazł się fartuch, który zdołałby się na nim zapiąć, toteż profesor przechadzał się po korytarzach kliniki w zawsze rozpiętym kitlu. Był lekarzem, który wzbudzał w ludziach skrajne uczucia, zależnie od pozycji, w jakiej znajdowali się względem niego. Studenci podziwiali go, współpracownicy bali się, a pacjenci uwielbiali. Był lekarzem wymagającym, ale i pełnym zrozumienia. Dużo mówił, rzadko żartował, a kiedy powiedział już coś śmiesznego, wszyscy, od salowej po asystentów, czuli spokój i radość, jaka wynikała z przebywania w towarzystwie tak znakomitej osoby.

Profesor Tomski zaczynał zajęcia ze studentami od krótkiego wykładu w swoim gabinecie, na którym tłumaczył w skrócie poszczególne jednostki chorobowe. Nigdy nie zaczynał od suchego opisu choroby. Mówił o sytuacjach życiowych, o zakrętach losu, w których gubił się człowiek.

– Gdyby nie medycyna, drodzy państwo, gdyby nie psychiatria, człowiek ów byłby zgubiony na zawsze, stracony dla społeczeństwa i dla własnej rodziny – opowiadał, patrząc na blade twarze studentów, którzy chłonęli każde jego słowo. – Człowiek taki żyje niczym kość, która utknęła w przełyku: jego życie stoi w miejscu, w którym nie zamierzał się znaleźć, potrzebuje pomocy w przebyciu drogi, która przeraża go i osłabia.

Chociaż profesor przemawiał zza biurka, miało się wrażenie, że między nim a słuchaczami nie ma żadnych barier. Mówił swobodnie, prosto, bez zbędnej egzaltacji, a jego słowa trafiały bezpośrednio do umysłów tych, którzy go słuchali.

– Jak dalece mamy wpływ na proces zdrowienia naszych pacjentów, przekonacie się już wkrótce. Siła tego, co mówimy do drugiego człowieka, jest jednocześnie fascynująca i niepokojąca. Ten straszny potok słów, które wypowiadamy świadomie lub nie, jest jak powódź, która zalewa umysł. Dlatego... – Tu uniósł na wysokość oczu palec wskazujący prawej dłoni. – Uważajmy, co mówimy do drugiego człowieka. Nie wolno nam zapominać, że słowa mogą leczyć, ale mogą też ranić. Cała sztuka to umiejętność doboru słów i świadomość ogromnej odpowiedzialności w ich wypowiedzianiu wobec chorych. Lekarz, o czym zapewne doskonale wiecie, może mieć zbawienny wpływ na swojego pacjenta, ale może też go zabić słowem właśnie. Jeżeli zabierzemy choremu nadzieję, to już zabiliśmy go za życia i mamy do czynienia z martwym pacjentem, a sami mamy krew na rękach. Nigdy o tym nie zapominajcie.

Tuż przed obchodem, podczas którego studenci podążali za profesorem jak cienie, mówił do nich:

– Teraz tylko obserwujecie. Uczcie się i słuchajcie.

Jeszcze podczas studiów Piotr polubił profesora i, podświadomie lub nie, starał się go naśladować, zwłaszcza w podejściu do pacjentów, które bardzo mu wtedy imponowało. Po skończonych studiach



odwiedzał go od czasu do czasu w klinice, radził się i uważnie słuchał każdego słowa, zupełnie jak wtedy, gdy był studentem czwartego roku.

Tamtego dnia był już późny wieczór, kiedy zapukał do drzwi jego gabinetu.

– Zapraszam! – Usłyszał znajomy głos i wszedł do środka.

– Piotr! – zawołał mężczyzna, wstając zza biurka. – Jak miło cię widzieć w tak niemiły wieczór.

– Witam, profesorze. Faktycznie, za oknem bez przerwy leje.

– A, co tam pogoda! – Machnął ręką profesor. – Czytałeś gazety? Widziałeś, co się wyprawia w polityce?

– Niestety czytałem...

– Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, jak to jest, że chęć sławy, pogoń za łatwym pieniądzem wywraca mózg człowieka i rujnuje wszelkie zasady, w których został wychowany. I jaki ten polityk daje przykład społeczeństwu? Nachapać się, ile wlezie, jak ta świnia, co wybiegła z chlewika i zobaczyła w podwórzu pełne koryto. Nażreć się po same pachy, bo jeszcze inni się zwiedzą i będą chcieli dołączyć. Co za podłość, że przyszło nam żyć w czasach, gdy musimy patrzeć na takie bezczelne figury. Pomyśleć tylko, że sami ich wybraliśmy!

– Nie spodziewaliśmy się po nich takiego zachowania.

– Myślę, że oni sami są w szoku, do czego są zdolni. Okazja czyni złodzieja, Piotrze. To stara prawda. Kawy? – zapytał profesor.

– Jeśli mam być szczerzy, marzę o herbacie.

– Już się robi.

Profesor Tomski otworzył drzwi gabinetu i poprosił sekretarkę, by zaparzyła dwie herbaty.

– Byle były mocne, pani Hanno!

Piotr siedział na krześle, które stało przy szafce z książkami. Rozejrzał się po gabinecie; poza komputerem stojącym na biurku niewiele zmieniło się od czasów, gdy bywał w tym miejscu jako student.

– Jak się miewasz? – zapytał profesor. Przechodząc obok Piotra, klepnął go mocno po plecach.

– Dziękuję, profesorze – odpowiedział. – Nie narzekam.

– Niemożliwe! – zdziwił się głośno profesor. – Może jest pan chory? Przecież Polak, który jest zdrowy na umyśle, musi narzekać, czyż nie? Narzekanie świadczy o tym, że jest z nim wszystko w jak najlepszym porządku, w przeciwieństwie do takich, dajmy na to, Amerykanów, u których ten sam zwyczaj traktowany jest jako objaw chorobowy.

Piotr uwielbiał, gdy profesor mieszał formę, w jakiej się do niego zwracał, raz było na ty, raz per pan. Słyszał z tej manieri w całej środowisku medycznym Warszawy.

– Staram się nie zatracać granicy między rzeczywistością a kompletnym szaleństwem.

– No, to już coś! Pacjenci bardzo dokuczają?

– To nie pacjenci, profesorze. To ja.

Drzwi gabinetu otworzyły się z lekkim skrzypnięciem.

Sekretarka profesora, niemłoda już i w dodatku całkiem nieładna, ostrożnie postawiła przed nimi dwie filiżanki z herbatą.

– Czy mam podać cukier? – zapytała Piotra. – Bo pan profesor nie słodzi, a pan?

– Ja również dziękuję.

– A ciasteczka podać?

– Oczywiście! – huknął profesor z radością pięciolatka. – A jakie są? Pierniczki alpejskie może?

Kobieta westchnęła.

– Panu profesorowi nie wolno – stwierdziła oschle. – Dla gościa mam herbatniki.

– Z lukrem czy bez?

– Bez.

– Cóż, mimo wszystko poprosimy – mruknął profesor z niesmakiem.

Poczekali, aż wróciła z talerzykiem, na którym spokojnie leżały maślane herbatniki ułożone z precyzją w okrąg.

– Smacznego – powiedziała, wychodząc.

– Proszę już iść do domu, pani Hanno! – zawołał profesor, sięgając po ciastko.

Kobieta zamknęła za sobą drzwi bez słowa.

– Pilnuje mnie – wyjaśnił Tomski. – Boi się, że skoro nie mam żony, to nikt nie jest w stanie zapanować nad moim apetytem, a ja właśnie z tego powodu jestem sam, żeby nikt mi do talerza nie zaglądał. Wiem, że powinienem schudnąć. I schudnę. Bardzo szybko schudnę, jak już położę się w trumnie. A póki żyję, będę jadł, co chcę. Proszę bardzo, częstuj się, Piotrze. Nie żałuj sobie tych drobnych przyjemności, w końcu nasze życie to wieczna udręka.

Piotr sięgnął po herbatnika. Był bardziej słony w smaku niż słodki.

– Panie profesorze... – zaczął powoli.

– No słucham, słucham.

– Czasem czuję się tak słaby wobec problemów moich pacjentów, że zastanawiam się, czy nie powinienem zmienić zawodu.

– Kiedy byłeś na terapii?

– Ja...?!

– No przecież to część naszej pracy. Jesteśmy tylko ludźmi, Piotrze. Nie możemy zbierać emocji, bo któregoś dnia rozsadaż nas jak balon.

Piotr na moment popadł w zadumę.

– Pamiętam, że jeszcze na studiach organizowano dla nas bezpłatne terapie...

– No, sam widzisz!

– Ale to było co innego. Byliśmy młodzi, bez doświadczenia, a te wszystkie choroby, o których się uczyliśmy, sesje w szpitalach, które trzeba było zaliczyć, spadały na nas jak grom z jasnego nieba. Nie byliśmy przygotowani.

– Człowiek nigdy nie jest przygotowany na wchodzenie w psychikę drugiego człowieka, zwłaszcza gdy ta psychika okazuje się labiryntem bez końca. Pamiętasz, zanim przyszliście całą grupą do mojej kliniki, pani profesor zadała wam bardzo osobiste pytanie o to, czy ktoś z was jest może w żałobie albo po rozstaniu z sympatią lub innym załamaniu.

– Tak, pamiętam – potwierdził Piotr.

– Nie chodziło jej o wnikanie w wasze prywatne sprawy, ale o uświadomienie wam, jak ważna w procesie leczenia psychiki pacjenta jest równowaga psychiczna lekarza.

– Bo przecież jesteśmy tylko ludźmi.

– Tak. I my także mamy lepsze i gorsze dni. A zdrowa terapia nie zaszkodzi nikomu. Jeśli dzieje się coś w twoim życiu osobistym, coś, co wpływa negatywnie na twoje podejście do pacjentów, to musisz się z tym uporać, zanim zaczniesz pomagać innym. Najpierw musimy pomóc sobie samym. Dbasz o siebie?

– Może bez przesady, ale...

– Depresja?

– Nic z tych rzeczy. Po prostu czasem boję się o to, czy moi pacjenci do mnie wrócą.

– No cóż, jeśli nie wracają, powinieneś się cieszyć, bo to oznacza, że cię już więcej nie potrzebują.

– A, co jeśli szukają pomocy u kogoś innego?

– Dobra relacja między pacjentem a terapeutą to skarb – powiedział Tomski, sięgając po kolejne ciastko. – Nie każdy umie o nią odpowiednio zadbać, ale na twoim miejscu nie przejmowałbym się. To

są rzeczy, które nie zawsze zależą od nas.

– Proszę mnie nie pocieszać, profesorze.

– Z terapeutą jest jak z dentystą, jednych lubimy, a innych omijamy szerokim łukiem. To kwestia osobistych preferencji. Po prostu niektórych ludzi nie trawimy, nie akceptujemy ich zachowania, wyglądu, zapachu czy chociażby sposobu mówienia. Nie mamy na to wpływu.

Piotr patrzył na okno w starych, drewnianych ramach, które można już było spotkać tylko w takich starych szpitalach jak ten, w którym pracował Tomski. Biała farba odchodziła w rogach podłużnymi płatami, a szyby drżały za każdym razem, gdy w dole, po ulicy, przejeżdżała ciężarówka.

– Najtrudniej pracuje mi się z samotnikami – podjął Piotr, dopijając herbatę, która już nieco wystygła.

– Chciałbym w nich zaszczepić chęć do życia lub przynajmniej zmusić ich do zawrócenia z drogi, która prędzej czy później zaprowadzi ich do pańskiego gabinetu, profesorze.

– Rozumiem, że mnie pan raczej nie poleca? – Uśmiechnął się Tomski.

– Pan żartuje, profesorze, i dobrze wie, że wizyta u psychiatry to ostateczność.

– Ale to także ostatnia deska ratunku. – Uniósł palec wskazujący. – Ratunku, na który rzecz jasna nigdy nie jest za późno.

– Zdawało mi się, że po tylu latach pracy będzie mi łatwiej rozwiązywać problemy moich pacjentów, tymczasem jest dokładnie odwrotnie.

Idąc za wzrokiem Piotra, Tomski również spojrział na okno.

– Chyba przestało łać – powiedział z nadzieją w głosie. – Każdy inaczej pojmuje samotność. Prędzej czy później każda istota musi się z nią zmierzyć. Najważniejsze, by w naszych pacjentach nadal widzieć przede wszystkim człowieka, który woła o pomoc.

– Tak też się staram. Czasem jednak wydaje mi się, że ich problemy wbijają mnie w betonowy fotel, z którego sam nie potrafię się podnieść.

– To zrozumiałe. Wiedział pan, co to za profesja.

– Mam wrażenie, że nie do końca. Nie wszystko było w podręcznikach.

– Oczywiście! I to właśnie jest piękne w naszej pracy.

– Czasami wydaje mi się, że im więcej wiem, tym mniej rozumiem.

– Ale wciąż zadajesz sobie pytania. To dobrze, to bardzo dobrze.

– Nie jestem przekonany...

– Trzeba szukać, ciągle. By się odnaleźć, trzeba najpierw się zgubić.

– Ale to ja jestem tym, który musi im pomóc – zaproponował Piotr. – Oni przychodzą do mnie w określonym celu, nie mogą ich zawieść.

– Pamiętaj, że lekarstwo, po które do ciebie przyszli, znajduje się w nich samych! – Tomski uderzył się otwartą dłonią w klatkę piersiową. – Trzeba tylko otworzyć odpowiednie bramy, głęboko ukryte i pozamykane w ich umysłach. To jest twoja podstawowa rola. Jesteś tylko gondolierem, który przewiezie ich bezpiecznie na drugi brzeg rzeki. Tu zaczyna się i kończy twoja rola. Jeśli tego nie potrafisz, musisz wysłać ich do specjalisty wyższej rangi.

– Do pana, panie profesorze?

– Ja już zbliżam się do emerytury, ale zapewniam cię, że jest wielu psychiatrów dużo lepszych ode mnie.

Profesor zamyślił się. Zawiesił spojrzenie na pustej filiżance.

– Wszystko jest kwestią woli – powiedział po krótkiej chwili. – Człowiek potrafi poradzić sobie z każdą sytuacją, wystarczy chęć. Wolę trzeba ćwiczyć, to nie przychodzi od razu. Człowiek potrafi przeżyć kataklizm i odrodzić się na nowo. Są sytuacje, w których tracimy wszystko, ginie cały dorobek życia, w wypadku umierają współmałżonek i dzieci. Początkowo człowiek, który przez to przeszedł, chce

odebrać sobie życie i to w pewnym sensie jest naturalną reakcją. Po co niby miałyby żyć? Ma nawet wyrzuty sumienia. Dlaczego on ma żyć dalej, skoro to samo życie zostało w tak brutalny sposób odebrane jego najbliższemu? Chce do nich dołączyć, uciec od życia, chce być bliżej nich.

– I co wtedy?

– Nagle zdaje sobie sprawę, że to wcale nie jest takie proste. Dużo łatwiej zginąć, niż samemu odebrać sobie życie. W każdym razie niewiele osób umie to zrobić, nawet w tak podłych okolicznościach. I nie chodzi tylko i wyłącznie o techniczną stronę, choć to również nie jest bez znaczenia. Po prostu trudno podjąć taką decyzję. Można się załamać, płakać tygodniami, rozdrapywać w sobie rozłękę, która nie skończy się już nigdy. Ale śmierć? Jest czymś nienaturalnym. Człowiek po prostu do samego końca walczy o życie, o przetrwanie. Nie może się z tym pogodzić, ale walczy. Chce umrzeć, a żyje. Mój profesor opowiadał, że miał kiedyś taką pacjentkę, to było zresztą zaraz po wojnie. Wróciła do Warszawy tylko po to, by dowiedzieć się, że jej mąż i dzieci zginęli pod gruzami. Pamiętam, jak profesor mówił, że co noc zamykała oczy i błagała los, by nie pozwolił jej się obudzić. Każdego ranka witała kolejny dzień z bólem w sercu i ze łzami. I wie pan co? Dożyła dziewięćdziesięciu lat. To nie była jej decyzja, los zdecydował za nią. Ona chciała umrzeć, ale nagle pojawił się na jej drodze inny człowiek. I ten człowiek przeżył z nią resztę życia, stał się ojcem jej dzieci. Jak widać, wszystko jest możliwe.

– Gdyby tak można przepisać pacjentom spotkanie drugiego człowieka...

– Ależ oczywiście, że można!

Profesor wyraźnie się rozpromienił i aż zatarł ręce.

– Nie rozumiem.

– Może warto czasem podsunąć tym twoim zatwardziałym samotnikom coś, co kiedyś nazywało się biurem matrymonialnym, na przykład?

– Słyszałem o takich portalach randkowych – powoli odpowiedział Piotr. – Tyle że nie każdy szuka drugiej połówki. Czasem chodzi o zwykłą rozmowę.

– I bardzo dobrze! – Zaśmiał się szczerze profesor. – Zanim znajdą tę właściwą osobę, będą musieli przedrzeć się przez gąszcz ludzi, z którymi trzeba będzie porozmawiać, otworzyć się. Czyż nie o to nam chodzi? Wszystkim, nie wykluczając nas samych, panie Piotrze.

– To prawda.

– Przecież przyszedł pan do mnie nie po leki ani nie po cudowną receptę. Przyszedł pan porozmawiać. Czyż to nie jest piękne?

– Jest – zgodził się Piotr, wstając. – I jestem panu ogromnie wdzięczny, że daje mi pan taką możliwość.



Szedł ulicą pogrążoną w wieczornym mroku. Światło lamp było jaskrawe i nienaturalnie żółte. Podniósł głowę. W powietrzu widać było drobinki opadające na chodnik. Piotr nie był pewien, czy to jeszcze deszcz czy już mgła. Minął przystanek autobusowy, na którym nikt nie czekał. Skręcił w główną ulicę; tu tliło się jakieś życie widoczne w oknach restauracji. Dyskretnie spojrzął na roześmiane twarze ludzi pochylających się nad gorącymi talerzami. A więc było gdzieś, istniało jakieś szczęście i radość, ktoś nie smucił się, nie dąsał, przynajmniej nie tego wieczoru.

W kieszeni jego płaszcza zadzwoniła komórka. Odebrał, nie patrząc na ekran.

– Słucham?

– Piotr, gdzie ty się włóczysz?

Głos Joanny, ostry i pełen pretensji, nie pasował do scenerii ulicy. Nie martwiła się o swojego męża, nie rwała włosów z głowy, w rozpaczy przerabiając scenariusze wypadku, który mógł się mu przytrafić. Była niezadowolona, bo nie było go przy niej.

– Musiałem...

– Czy ty nie rozumiesz, że masz godziny pracy?! – Przerwała mu stanowczo. – Po to pracodawca je ustalił, żebyś wiedział, kiedy masz wracać do domu.

– Musiałem spotkać się z profesorem – wyjaśnił.

– Pomyślałeś choć przez chwilę o mnie?

– Profesor jest bardzo zajęty i mógł się ze mną spotkać dopiero po skończonym dyżurze.

– Co mnie to wszystko obchodzi?! – Wściekała się. – Nie o to pytałam.

– Po prostu chciałem ci się wytłumaczyć.

– Moje pytanie brzmiało: czy choć przez chwilę pomyślałeś o mnie?!

– Tak.

– Więc dlaczego mi to robisz?

– Co robię?

– Dlaczego zostawiasz mnie samą w tym pustym mieszkaniu, w środku nocy? Czy tak postępuje kochający mąż? A może już mnie nie kochasz? Może ci się znudziłam? Może wolisz pracować i w dzień, i w nocy?

Nie potrafił jej przerwać. Pozwalał, by potok słów zalewał jego uszy gorącą, wibrującą lawą, która nigdy nie zastygała.

– Dlaczego nie odpowiadasz?! – krzyknęła w końcu. – Dlaczego pozwalasz mi mówić?

– Bo chcesz.

– Nie chcę! Słyszysz! Nie chcę.

– Więc przestań mówić.

– I co wtedy? Ty milczysz, ja milczę. O to ci chodzi?

– Już wracam – powiedział, odchrząknąwszy.

– Nie musisz. Nie chcę cię tu.

– Nie rozumiem.

– Wiem. Nigdy nic nie rozumiesz. Potrafisz pomóc swoim pacjentom, dla nich jesteś tolerancyjny i wylewny, a własną żonę traktujesz, jakby była ci zupełnie obca.

– Przepraszam.

– Nie chcę, żebyś przepraszał. Chcę, żebyś teraz był przy mnie.

Zduślił w sobie chęć przypomnienia jej, że zaledwie chwilę temu powiedziała, że życzy sobie czegoś dokładnie odwrotnego. Dalsze kłótnie nie były mu potrzebne.

– Już wsiadam do taksówki.

Rozłączył się i zamachał ręką na przejeżdżającą obok taryfę.



W salonie urządzonego w przedwojennym stylu pachniało orzechową pastą do mebli. Rodzice Piotra od lat zatrudniali panią Mariannę, która przyjeżdżała z Otwocka w każdy wtorek, by pomóc w prowadzeniu



domu. Polerowała wówczas drewniane stoły i kredensy, odkurzała dywany i myła podłogi. Marianna przyjeżdżała do ich rodziny od tak dawna, że Piotr zastanawiał się, czy dom w ogóle kiedykolwiek istniał bez tej gadatliwej i pełnej ciepła kobiety.

– Wszystko w porządku, Piotrze?

Matka włożyła do wazonu bukiet róż, które przyniósł ze sobą.

– Tak – odpowiedział odruchowo. – Wszystko dobrze.

– A co słychać?

– Też dobrze.

Spojrzała na niego z rezygnacją.

– To wiem. A konkretnie?

Podszedł do szafy z książkami i szybko przebiegł wzrokiem po grzbietach. Wszystkie tytuły znał, pamiętał z dzieciństwa.

– Nic się nie zmieniło – powiedział głośno. – Nie kupujecie z ojcem nowych książek?

– Ależ kupujemy! Te są salonowe i zawsze tu będą.

– A pozostałe?

– No wiesz, ojciec swoje trzyma w gabinecie, a moje... – Machnęła ręką. – Wolę nie drażnić nikogo moimi wyborami, znasz ojca.

– Romanse...?

– I co w nich złego? – Oburzyła się. – Czy ja wam każę je czytać? Może po tylu latach potrzebuję takiej literatury, nie pomyślałeś?

– Przecież ja nic nie mówię, mamu. To twój wybór. Sama robisz z tego niepotrzebną aferę.

– Bo to wszystko przez ojca. – Urwała suchy listek ciemnozielonej rośliny, który wystawał z doniczki zawieszanej staromodnie na ścianie. – Bez przerwy mnie krytykuje, z wiekiem zrobił się okropny.

– Nie przesadzasz?

Westchnęła.

– Masz rację – przyznała. – Oczywiście, że przesadzam. Nie jest jeszcze tak źle z tym starym piernikiem, tyle że czasami naprawdę mam go dość. Ale daję radę!

Z kredensu wyjęła srebrną cukiernicę i postawiła ją na okrągłym stoliku. Piotr otworzył prostokątne wieczko szkatułki i wbił łyżeczkę w śnieżnobiały kryształowy kopczyk.

– Jak Joanna? – zapytała matka wprost. – Nie kłóćcie się za często?

– Skąd ten pomysł?

– No wiesz, sama jestem kobietą i coś o tym wiem.

Spojrzał na nią wyraźnie zaskoczony.

– Jedno ci powiem, synu – stwierdziła. – Dopóki ludzie się kłócą, dopóty między nimi iskrzy.

– Ciekawa teoria, mamu.

– Wiem, co mówię! Jeśliby jej na tobie nie zależało, to uwierz mi, że już nawet i kłócić by jej się z tobą nie chciało. Drobną sprzeczką nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

– Mamu... – Zamieszał łyżeczką w filiżance i spróbował zmienić temat. – Ojciec wspominał ostatnio, że wybieracie się do Zakopanego.

– Tak. Mówił coś o wyjeździe w góry, ale to dopiero w listopadzie.

– I co o tym sądzisz?

– Myślę, że to głupie. Jechać w góry jesienią? Wszędzie będzie ślisko, liście pod nogami, a przecież nie minęły jeszcze nawet dwa lata, odkąd twój ojciec złamał rękę.

– Na szczęście kość zrosła się doskonale.

– Kość się zrosła, ale wspomnienie niemiłego doświadczenia pozostało.

Podniósł na nią wzrok. Twarz jego matki nie była już młoda, ale kobieta wciąż miała ten błysk w oku, który odejmował jej lat. Mimo upływającego czasu jej policzki i czoło wciąż były gładkie, pozbawione zmarszczek, które pojawiały się tylko w chwilach wzburzenia.

– Pamiętasz, jak jeździliśmy wszyscy razem w góry? – zapytał. – Co roku do pani Kumaszowej.

– No tak, ale to były jednak letnie wyjazdy. Cudne czasy! – Westchnęła. – Spaliście z Agatą w jednym łóżku, oczywiście kiedy byliście mali. Potem się zbuntowałeś i zażądałeś osobnego pokoju.

– A że pani Kumaszowa nie miała dodatkowej izby, spałem w kuchni na łóżku, które ojciec rozkładał na noc.

– To też pamiętasz? – zapytała wyraźnie zaskoczona.

– Miało okropne sprężyny. Zaglądałem pod spód i nasłuchiwałem, jak skrzypią przy każdym ruchu.

– Nie było wygodne?

– Nie pamiętam, więc pewnie spałem w nim jak zabity.

– A polowanie na owce pamiętasz? Chowałeś się z ojcem w krzakach i udawaliście, że polujecie na lwy.

– Mamo, proszę cię...

– Tak było! Bezkrwawe polowania. Agata w tym czasie szyła ubranka z liści paproci dla swoich lalek. Kawa była już zimna, taka jaką lubił najbardziej.

– Co u niej? – zapytał.

– U Agaty? Bez zmian, jeśli masz na myśli jej ostatnie kłopoty.

– Przykro mi.

– Wszystkim nam przykro. Popatrz, jakie to niesprawiedliwe, jest młoda, zdrowa. Tak bardzo chcielibyśmy mieć tego wnuka albo wnuczkę. Przecież ja mam tyle czasu, odkąd jestem na emeryturze, nie wiem, co ze sobą zrobić, mogłabym się zająć dzieckiem.

– Ale nie ma jeszcze żadnego dziecka, mamo.

– No, właśnie. Tak nie powinno być. My z ojcem nie będziemy żyć wiecznie. Powinniście pospieszyć się z Joanną, sam widzisz po Agacie, że życie nie zawsze układa nam się tak, jak byśmy sobie tego życzyli.

– A ojciec? – Odstawił filiżankę na okrągły spodeczek.

– O co ci chodzi?

– Nie mógłby jej jakoś pomóc? W końcu jest lekarzem.

– Piotrze, twój ojciec jest tylko chirurgiem.

– Wiem, mamo.

– Zrobił, co mógł. Skontaktował ją z najlepszym specjalistą, wysłał ją do położnika, który właśnie wrócił ze Stanów.

– I co on powiedział?

– Nie wiem. Agata, jak by to powiedzieć, nie chce nas w to wtajemniczać, nie zdradza szczegółów. Może to i lepiej? Zresztą nigdy nie była wylewna, znasz ją.

– Mam nadzieję, że niedługo upora się z tym wszystkim i zajdzie w ciążę.

– Strasznie to przeżywa. Nie mówi, ale ja to czuję. Jest coś takiego w jej oczach, jakby wypalenie, jakby nie wierzyła, że ten cud może jeszcze w ogóle nastąpić. A przecież takie rzeczy się zdarzają i powiem ci więcej, to jest całkiem naturalne. Czy ty myślisz, że ja tak od razu zaszłam z tobą w ciążę? Wam się teraz wydaje, że wszystko jest szast-prast. Nowe życie rodzi się w bólach, i nie mówię tylko o samym porodzie. Nigdy ci o tym nie wspominałam, ale kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży z Agatą, byłam kompletnie załamana.

– Jak to? Przecież dobrze wam się układało z ojcem, finansowo chyba też nie było najgorzej.

– O, tak! Właśnie to było najgorsze, że wszystko, absolutnie wszystko było na miejscu. Wasz ojciec kończył specjalizację z małej chirurgii, ja byłam wciąż na urlopie macierzyńskim, siedziałam w domu z tobą, dostaliśmy nawet mieszkanie. Nic nie stało na przeszkodzie. Teoretycznie byliśmy doskonale przygotowani na pojawienie się drugiego dziecka... – Urwała w połowie zdania.

– Prawdopodobnie nie stanęłam jeszcze dość mocno na nogach po pierwszym dziecku, kiedy na horyzoncie pojawiło się już kolejne – podjęła po chwili. – I jeszcze słowa twojej babci, która pewnego dnia powiedziała, że nie powinnam tak łatwo godzić się na rolę kury domowej. A ja widziałam to zupełnie inaczej. Przecież trzeba było rodzić dzieci i je wychowywać, byliście i jesteście dla nas najważniejsi. Po prostu takie jest życie.

– A ojciec? Rozmawiałas z nim o tym?

– Tak. O ile moje krzyki po jego powrocie z pracy można było nazwać rozmową, to tak, rozmawialiśmy. Dużo i głośno. Zresztą ten stan szybko mi minął. Ciebie wszędzie było pełno, zaczynałeś stawiać pierwsze kroczki, a mój brzuch rósł. Pogodziłam się z tym dość szybko. Wiesz, wtedy nie było tylu terapeutów, co teraz, ludzie musieli radzić sobie sami. W ogóle byliśmy jacyś silniejsi niż wy teraz. Niby czasy są lepsze, lżejsze, a ludzie jacyś tacy coraz mniej zaradni, chorowici, zachwiani. Nie rozumiem tego świata.

Dopiero teraz zauważył, że dłoń matki, którą trzymała ucho porcelanowej filiżanki, delikatnie drżała. Nie były to drgania silne, ale mimo wszystko widoczne. Przez głowę przeszła mu jakąś okropna myśl o chorobie, ale szybko stłumił ją w sobie. Podniósł wzrok i spojrzął za okno, ale matka zdążyła już złapać jego spojrzenie.

– Zauważyłeś – stwierdziła ze spokojem.

– Co? – skłamał.

– Ręce mi się trzęsą. Nigdy wcześniej tego nie miałam.

Odsunęła rękę od filiżanki i położyła obie dłonie na kolanach.

– Życie jest za krótkie, Piotrze – powiedziała, wstając. – Najpierw się go uczymy, a kiedy wydaje nam się, że już wszystko o nim wiemy, to nie mamy szansy skorzystać z naszej wiedzy, bo okazuje się, że to już koniec balu. Masz ochotę na kawałek ciasta? Upiekłam twoje ulubione.

Rozmowa z matką napełniła go spokojem, którego potrzebował i za którym tak bardzo tęsknił. Nie chodziło o wyzalenie się czy spowiedź. Piotr nigdy zresztą nie był wylewny. Wystarczał mu sam kontakt z osobą, która od zawsze akceptowała go takim, jaki był. Matka kochała go bezgranicznie i bezwarunkowo. Świadomość jej uczucia dawała mu niezwykłą siłę, która pozwalała na codzienne zmagania z rzeczywistością.



Joanna postawiła na stole ceramiczną miskę w ludowe wzory, którą przywieźli z ostatnich wakacji na Mazurach. Misa była niezbyt wysoka i płaska. Nad jej wykończonym ciemną linią brzegiem unosiła się para z gorącego makaronu polanego obficie sosem pomidorowym, który Piotr uwielbiał.

– Przyniesiesz ser z kuchni? – zawołała znad stołu. – I jeszcze natkę pietruszki, jest pokrojona na spodeczku obok lodówki.

Układała sztuczki na błękitnych serwetkach, które leżały naprzeciwko siebie.

Piotr postawił obok makaronu talerzyk z natką i metalową tarkę z nierównym kawałkiem suchego

parmezanu.

– Pachnie wspaniale! – niemal wymruczał, siadając na miejscu przy ścianie. – Jestem strasznie głodny.

– To dobrze, bo ugotowałam tego makaronu jak dla wojska.

– Zjem wszystko.

– Wystarczy? – zapytała, nakładając na talerz Piotra sporą porcję.

Makaron, gruby i długi, ugotowany *al dente*, uciekał na wszystkie strony z drewnianej łyżki z pazurkami. Joanna robiła, co mogła, ale i tak kilka lśniących, czerwonych od sosu nitek spadło na serwetkę.

– Dziękuję! – powiedział Piotr, ustawiając talerz przed sobą.

Uwielbiała te chwile, kiedy jej mężczyzna nie mógł oderwać oczu od apetycznie wyglądającej porcji, którą właśnie przygotowała. Lubiła, kiedy Piotr był głodny, bo lubiła go karmić i sprawiać mu radość smaczными potrawami.

– No i jak? – Wbiła widelec w makaron. – Kluski nie za twarde?

– Idealne! – odparł z pełnymi ustami.

Uniosła nad jego talerzem tarkę z serem i zaczęła pocierać twardą bryłę o ostre, metalowe zęby. Śnieg parmezanu spadał na gorący sos pomidorowy i topił się natychmiast, zamieniając w maź. Odstawiła tarkę i posypała talerz Piotra szczyptą pokrojonej natki. Piotr nigdy nie lubił zapachu pietruszki, powiedział o tym nawet Joannie, ale szybko go przekonała.

– Nie masz pojęcia, ile w takiej natce jest witamin – stwierdziła tonem nauczycielki, która nie przyjmuje sprzeciwu. – To samo zdrowie, a to jest najważniejsze...

Zgodził się z nią i nie oponował już więcej. Nauczył się tolerować w ustach papierowy, mdły smak zielonych listków, gęsto krojonych na kuchennej desce, którymi Joanna posypywała prawie każdą potrawę, głęboko wierząc w niezwykle walory zdrowotne pietruszki.

– Jak ci minął dzień? – Podała mu swój kieliszek, do którego nalał czerwonego wina.

– Dobrze, że już się skończył.

– Aż tak źle?

– Dwoje pacjentów odwołało wizytę ze względu na grypę – zaczął, stawiając butelkę na stół.

– No cóż, choroba nie wybiera – stwierdziła, podnosząc kieliszek do ust. – Mój szef też jest chory, co prawda nie na grypę, tylko na plecy, ale nikt z tego powodu nie narzeka, bo przynajmniej mamy święty spokój.

– Kota nie ma, myszy harczą! – Uśmiechnął się do niej, za co został zrugany chłodnym spojrzeniem.

– Kot jest cholerykiem, i dobrze o tym wiesz.

– A myszy?

– Myszy są bardzo pracowite. I nie lubią ciągłego sprawdzania. On nam nie ufa. Ani sobie. Nikomu nie ufa.

– Taka jest rola szefa.

– Wiesz, zastanawiam się, jak by to było mieć innego, spróbować w innej firmie. Przecież to biuro rachunkowe, w którym siedzę od pięciu lat, to moje pierwsze i jedyne miejsce pracy, bo tego stażu w bibliotece nie liczę. Może czas już coś zmienić? – Spojrzała na niego niepewnie.

– Już dawno ci to proponowałem – powiedział, wycierając usta papierową serwetką. – Przecież zaczęłaś tam pracować zaraz po studiach, bo jakaś koleżanka stamtąd odchodziła...

– Tak, Iwona!

– No właśnie, ona odeszła, ty wskoczyłaś na jej miejsce tylko na chwilę, żeby zdobyć doświadczenie, i zasiedziałaś się jakoś.

– No, niestety. Świat liczb tak mnie wciągnął, że zapomniałam o tym, kim chciałam być, zanim

przekroczyła próg tego biura. A teraz siedzę tam uwięziona jak królewna w wieży i czekam na cud.

Odsunęła delikatnie od siebie pusty talerz i oparła się plecami o krzesło.

– Ta praca jest dobrze płatna, co nie jest bez znaczenia... Szef mnie właściwie chwali i obiecał mi awans...

– W tamtym roku.

– I nie mam daleko, tylko kilka przystanków autobusem od domu, no sam widzisz, że nie jest mi łatwo tak po prostu stamtąd odejść.

– To nigdy nie jest łatwe.

– Najlepiej, gdyby mnie zwolnił.

– Na to nie licz, moja droga.

– Dlaczego?

– Jesteś świetnym, sumiennym pracownikiem – zauważył. – Byłby bardzo nierozsądny, gdyby chciał się pozbyć kogoś takiego jak ty.

– Skąd wiesz, że jestem sumienna? – zapytała z przekąsem.

– Bo cię znam, Joanno.

– Ale nie wiesz, jaka jestem w pracy. Może zamieniam się w kogoś zupełnie innego?

– Gdyby tak było, twój szef już by cię nie trzymał u siebie piąty rok.

Piotr rozpiął pod szyją kołnierzyk koszuli.

– Dlaczego jej nie zdejmiesz? – zapytała rozzalona, jakby taki gest niezwykle ją obraził. – Załóż podkoszulek, przecież widzę, że się męczysz.

– Za chwilę – odpowiedział, wstając od stołu. – Z tego, co pamiętam, zawsze mówiłaś, że chciałaś pracować z młodzieżą.

– Być może, być może kiedyś faktycznie tego chciałam.

– A teraz?

Obojętnie wzruszyła ramionami.

– A teraz to już sama nie wiem, czy dałabym radę zaczynać wszystko od początku. Jest mi chyba dobrze tam, gdzie jestem.

Znowu te wahania nastroju.

– Moim zdaniem powinnaś zmienić pracę.

– Nie mów tak.

– Powinnaś poszukać czegoś, co spełni twoje ambicje, plany. Sama wiesz, że to, co masz w tej chwili, to ciepła posadka, a nie praca marzeń.

– No nie wiem.

Usiadł na kanapie.

– Boisz się?

– Czego? – zapytała, nie odwracając się do niego.

– Porażki. Tego, czego boimy się wszyscy: że nie znajdziesz niczego lepszego.

Nie odpowiedziała. Wstała od stołu i zaczęła zbierać puste talerze.

– Zostaw to – poprosił, wyciągając do niej rękę.

– Wiesz, że lubię, jak wszystko jest posprzątane.

– Zaraz to zrobimy wspólnie, a teraz usiądź obok mnie, proszę.

– Dobrze, ale pod jednym warunkiem – zgodziła się, patrząc na niego z góry.

– Słucham.

– Nigdy więcej nie będziesz mi mówił, że mam zmienić pracę.

Jej głos był zbyt poważny, by Piotr mógł potraktować to, co mówiła, jako żart. Przypomnienie o tym, że



to w zasadzie był jej pomysł, oznaczałoby wszczęcie kolejnej kłótni, a po męczącym dniu potyczka z Joanną była ostatnim, na co Piotr miałby ochotę.

– Myślałem, że potrzebujesz wsparcia...

– Pozwól, że sama podejmę decyzję w tak ważnej dla mnie sprawie.

– Dobrze.

– Ja nie skończyłam psychologii, tak jak ty, i nie mam aż tylu możliwości po pedagogice.

– Rozumiem. Ale jesteś młoda, ambitna i jestem pewien, że możesz znaleźć coś lepszego – bronił się.

Zmierzyła go wzrokiem, którego nie lubił.

– Ta praca nie jest taka zła. I błagam cię, nie wracajmy więcej do tego tematu.

Usiadła obok niego i delikatnie wtuliła się w jego ramię.

– Jak sobie życzysz, skarbie – odpowiedział, patrząc przed siebie.



Dzień chylił się już końcowi. Zachodzące słońce pomarańczową poświatą spowijało miasto, które szykowało się do spoczynku. Oparła się o zieloną, wygiętą do wewnątrz metalową barierkę na ich balkonie i spojrzała przed siebie. Park w dole oświetlały zapalające się równocześnie latarnie. Chodnikiem przebiegającym wzdłuż ruchliwej wciąż Puławskiej szli ludzie wracający z pracy do domów, gdzie czekały na nich odgrzewane kolacje. Joanna także czekała na Piotra, który miał wrócić lada chwila.

Usiadła na wiklinowym fotelu, który stał zaraz przy wejściu na balkon, i wyjęła z kieszeni dzinsowej bluzki telefon. Chwilę trwało, zanim zdecydowała się wystukać numer.

– Mamo...? – Głos uwiązał jej w gardle.

Od dawna tak do niej nie mówiła. Znowu poczuła się, jakby była dzieckiem.

– Joasia!

Na dźwięk znajomego głosu kolana się pod nią ugięły. Tego właśnie obawiała się najbardziej, że się rozklei i nie pozbiera. Matka rozpoznała ją od razu, choć przecież nie dzwoniła od tak dawna.

– Tak się cieszę, że dzwonisz!

Zastanawiała się, czy było to szczere wyznanie, choć z drugiej strony, po co miałyby kłamać? Czy nie mogła się ucieszyć z telefonu od córki, z którą nie miała teraz prawie żadnego kontaktu?

– Coś się stało?

– Nie, nic się nie stało, mamo.

– To dobrze. Przestraszyłam się, bo tak rzadko dzwonisz, właściwie w ogóle, że jak już zadzwoniłaś, to pomyślałam, że może coś z Moniką...

– Nie, z Moniką wszystko w porządku. A co u ciebie?

– U mnie...?! – Była tak zaskoczona, jakby ktoś pytał ją o stosunki polityczne między Polską a Urugwajem.

– Jak pogoda?

Banalność pytań, na które wcale nie chciała znać odpowiedzi, męczyła Joannę. Właściwie mogła rozłączyć się, zakończyć ten dialog i mieć to już z głowy. Tak naprawdę chciała tylko wysłać do matki sygnał, na rozmowę nie była jeszcze gotowa.

– Pięknie, pięknie u nas, chociaż ostatni tydzień lało dzień w dzień. A u was?

– U nas tak samo – odpowiedziała Joanna bez zastanowienia, bez względu na to, czy była to prawda czy kłamstwo.

– Wiesz, pani Wójcickiej umarł mąż na wiosnę. Poszłam na pogrzeb, kupiłam wieniec od naszej rodziny, w końcu to nasi najbliżsi sąsiedzi... – Urwała nagle. – Pamiętasz go, prawda?

Przed oczami stanął Joannie biały, niski dom sąsiadów, który znała od dziecka. Widziała ich teraz tak, jakby byli tuż obok niej, jakby czas się zatrzymał albo wrócił. Sąsiedzi byli jak członkowie rodziny, widywała ich codziennie, kiedy rano wychodziła z domu do szkoły i po południu, kiedy wracała. Pani Wójcicka często wpadała do jej matki na kawę albo herbatę. Siadywały wtedy na werandzie i długo rozmawiały o wszystkim i o niczym, a ona i Monika podsłuchiwały ukradkiem rozmowy, z których i tak niewiele rozumiały.

Przypomniała jej się sukienka Wójcickiej, pomarańczowa w wielkie żółte słoneczniki. Pomyślała, że to zabawne, iż człowiek pamięta takie detale po tak wielu latach.

– Nie cierpiał, ale choroba zabrała go szybciej, niż wszyscy się spodziewali. – Głos matki był cichy i spokojny. – Musi się jakoś teraz pozbierać bez niego, takie życie, Joasiu. Na szczęście ja nie mam tego problemu, ale pamiętam, co czułam, kiedy umarł wasz ojciec.

Joanna nie wiedziała, co ma powiedzieć.

– Przecież wtedy, kiedy umierał, nie byliście już razem, mamie – wydusiła w końcu.

– To nic. Bolało tak samo.

Rozmowa zaczynała zmierzać w niebezpiecznym kierunku. Wspominanie zmarłych, opowieści o chorobach, o zdrowiu i życiu, które ucieka, były jakoś nie na miejscu. Właśnie dlatego Joanna wyjechała stamtąd przy pierwszej lepszej okazji, żeby nie biadolić, nie użalać się, nie narzekać. Teraz widziała, że to był dobry ruch z jej strony. W miasteczku nie zmieniło się nic, przynajmniej pod tym względem życie toczyło się tam jak zawsze, od jednego nieszczęścia do drugiego, od pogrzebu do wesela i tak w kółko.

– Dzwonię, bo Monika... – zaczęła Joanna.

– Tak...?

W tonie matki słyhać było wyraźną ekscytację. Nie potrafiła ukryć, że faworyzowała młodszą córkę, która zawsze była jej oczkiem w głowie. Teraz Joannie nie denerwowało to nawet tak, jak dawniej.

– Co z Moniką?

– Monika się zakochała – powiedziała krótko.

– Och, to wspaniale!

Matka była przeszczęśliwa. Jak dziecko naiwnie wierzyła w przychyłność losu, choć przecież wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na coś zupełnie odwrotnego. Sama nie miała lekko, jej mąż odszedł do innej kobiety, kiedy dziewczynki dopiero zaczynały dorastać. Potem umarł. Nigdy więcej nie poznała mężczyzny, z którym zgodziłaby się dzielić trudy codzienności. Zawsze była sama i samodzielna, i może właśnie ta cecha odstraszała od niej kandydatów na męża? Nie potrzebowała pomocy. Wierzyła, że zapłaciła za swój ciężki los wystarczająco wysoką cenę, by zapewnić jego przychyłność przynajmniej córkom. „Ja już się nacierpiałam”, mawiała, wierząc głęboko w to, że Joannie i Monice dzięki jej cierpieniu będzie łatwiej.

– Tak, wspaniale – powtórzyła Joanna bez przekonania.

– Powiedziała ci o nim, tak? Poznałaś go? – dopytywała matka, zniecierpliwiona niczym gimnazjalistka.

Dopiero teraz do Joanny dotarło, że w głębi serca matka musiała czuć się w tym domu bardzo samotna. Nie bardzo miała z kim poplotkować, porozmawiać, jej córki były daleko, a sąsiadka, głęboko przeżywająca stratę męża, nie była w nastroju na spotkania przy kawce. Joanna zastanawiała się, jak też

mogły wyglądać jej dni, bibliotekarki miejscowej szkoły na emeryturze, która nie była jeszcze taka stara, ale też już nie młoda. Oczami wyobraźni widziała matkę biegającą po domu ze ścierką i pucującą szafy na błysk. Tylko po co? Dla kogo?

– Nie, nie miałam okazji go jeszcze poznać – odpowiedziała po chwili.

– Ale Monika ci o nim mówiła?

– Tak, inaczej skąd miałabym wiedzieć?

– No tak. Głupstwa opowiadam, wybacz mi, ale to z podniecenia, w końcu takie wieści... Moniczka zawsze była samotnicą.

– Może tak byłoby lepiej – syknęła Joanna z goryczą.

– Co ty opowiadasz, Joasiu? Co ty mówisz, dziecko?

Dziecko... Dawno nie słyszała wobec siebie tego określenia. Poczwała, że robi się jej gorąco na wysokości mostka, jakby ktoś przyłożył jej tam rozpalony kamień.

– Mamo, on nie jest tym, kim myślisz, że jest.

– Ja nic nie myślę – odparła.

– Ale słyszę, że się ucieszyłaś.

– Bo cieszę się z jej szczęścia. Ona jest z nim szczęśliwa, prawda?

– O, to na pewno.

– No sama widzisz.

– Mamo, on jest żonaty.

Po drugiej stronie nastąpiła spodziewana cisza.

– Właśnie dlatego poprosiła mnie, żebym ci o tym powiedziała, bo sama nie miała odwagi. I nie wiem po co, przecież za miesiąc może być już z kimś zupełnie innym...

– Jest w ciąży... – wyszeptała matka.

– Nie, nic o tym nie wiem.

– A spytałaś ją?

– Nie. Nie przyszło mi to do głowy.

Matka westchnęła ciężko do słuchawki.

– A ja to wiem – powiedziała powoli. – Czuję, że jest w ciąży, i dlatego chciała mnie o nim poinformować.

– Niekoniecznie, mamo. Na razie nie ma co panikować. – Joanna starała się ją uspokoić, ale było już za późno.

– I co ona biedna teraz zrobi? Przecież on się dla niej nie rozwiedzie, a sama z dzieckiem świata nie zawojuje...

– No nie wiem...

– Musimy jej jakoś pomóc, Joasiu.

Nie tego Joanna się spodziewała. Była wręcz pewna, że matka skrytykuje zachowanie swojej młodszej córki. Nie na tym przecież polegało wychowywanie, żeby zgadzać się na wszystkie grzechy popełniane przez dzieci. Postawa matki bardzo ją zaskoczyła.

– Słucham...?

– To twoja jedyna siostra, dziecko.

– Na szczęście jest już dorosła, mamo.

– To nic nie znaczy. Skoro odezwała się do ciebie, to znaczy, że...

– Że potrzebuje mojej pomocy. Tu akurat zgadłaś. Poprosiła mnie, oczywiście, żebym poinformowała cię o tym całym Tadeuszu, co zresztą zrobiłam.

Przełożyła telefon do drugiej ręki. Czwała, że fala migreny powoli wpływa jej na czoło.

- Muszę już kończyć – powiedziała zmęczonym głosem.
- Joasiu, nie zostawiaj jej samej w tej Warszawie.
- Mamo, ona nie jest tu sama, jak widzisz świetnie sobie poradziła.
- Proszę, zadzwoń do niej i daj mi znać, dobrze?
- Dobrze – rzuciła niemal ze złością. – Zadzwonię do niej przy okazji. Pa.
- Pa, dziecko.

Wstała z fotela, podeszła do barierki balkonu i spojrzała w dół. Chodnikiem szedł Piotr, zamyślony i nieobecny. Pomachała do niego ręką, ale nie widział jej, zamknięty w swoim świecie.

Poczuła chłód wieczoru na ramionach. Szybko wróciła do pokoju.



Tamtej nocy po rozmowie z matką Joanna długo nie mogła zasnąć. Otworzyła oczy i spojrzała na zegarek przy łóżku. Był kwadrans po drugiej. Patrzyła na Piotra, którego plecy ugiwały się rytmicznie w oddechu. Okryła go delikatnie kołdrą i wstała. Boso poszła do kuchni, otworzyła lodówkę, z której wyjęła butelkę wody mineralnej. Odkręciła ją i nalała płynu do szklanki.

Usiadła na drewnianym stołku pod oknem. Miasto, pogrążone w głębokiej nocy, spało spokojnie i cicho. Uchyliła lufcik. Powiew świeżego powietrza orzeźwił ją.

Nie chciała wracać pamięcią do przeszłości, broniła się przed rozpamiętywaniem tego, co minęło, ale myśli były silniejsze niż wola. Pod zamkniętymi powiekami widziała obrazy i sceny, o których wolałaby zapomnieć. Daremnie broniła się, pamięć była zaborcza i domagała się uwagi właśnie teraz.

– To wspaniały chłopak. – Słyszała głos matki, która w kuchni doprawiała rosół. – I z dobrej rodziny.

Siedziała w swoim pokoju pochylona nad drewnianym biurkiem i kończyła właśnie wypracowanie z polskiego. Obok otwartego zeszytu leżała lektura szkolna, wypożyczona z biblioteki, *Nad Niemnem* Orzeszkowej. Książka obłożona była w gruby, szary papier, szorstki w dotyku. Joanna nie lubiła tej powieści, nudziły ją zwłaszcza wydłużone opisy przyrody, ale nauczycielka wymagała, żeby wszyscy przebrnęli przez lekturę bez względu na to, czy im się ona podobała czy nie.

– Chciałam tylko, żebyś wiedziała, że popieram twój wybór – powiedziała matka, stając w otwartych drzwiach jej pokoju.

Miała na sobie szarą sukienkę sięgającą kolan. W pasie przewiązała kuchenny fartuszek w białoniebieską kratkę, który Monika zrobiła dla niej na zajęciach praktycznych z kroju i szycia.

– Słyszysz, co do ciebie mówię?

– Słyszę – odpowiedziała Joanna, nie odrywając oczu od książki. – Ale uważam, że niepotrzebnie aż tak się tym przejmujesz.

– Ja się w ogóle tym nie przejmuję – zaprzeczyła szybko. – Ja się bardzo cieszę.

– Mówisz, jakbyśmy żyły w Azji, mamo.

– Słucham...?!

– Zdaje się, że już tylko tam rodzice wybierają swoim córkom przyszłych mężów.

– Powiem ci, że to wcale nie jest takie głupie.

– Mamo!

– Już dobrze, dobrze. – Weszła do pokoju i stanęła przy jej biurku. – Tak trudno ci dogodzić, Joasiu. Tak źle i tak nie dobrze. A przecież ja się tylko cieszę...

– To się nie ciesz, mammo.

– Ale dlaczego...?

– Bo to nic takiego. To nic poważnego z tym Jurkiem.

– Tego jeszcze nie wiesz, moje dziecko.

– Wiem – powiedziała, zaczynając pisać w zeszycie zdanie kolejny raz od początku.

– Jurek jest taki...

– Mammo, przestań! – krzyknęła Joanna, zamykając zeszyt. – Muszę skończyć to wypracowanie i nie mam ochoty słuchać niczego więcej na temat Jurka.

– Dobrze, już wychodzę.

– Świetnie.

– Ale... Zrób sobie przerwę i chodź do kuchni na rosół.

– Nie lubię rosółu – syknęła znad otwartej książki.

– Od kiedy?!

– Od teraz.

Stojąc już w drzwiach, matka odwróciła się po raz ostatni.

– Gdyby Monika miała taki gust do chłopaków jak ty, byłabym zachwycona – wyszeptwała.

Do końca dnia Joanna nie mogła skupić się na wypracowaniu. Nie mogła uwierzyć w to, co powiedziała jej matka. Nigdy nie oceniała jej wyborów, nie krytykowała ani nie chwaliła chłopców, którzy odprowadzali ją do domu. Z Jurkiem od samego początku było inaczej. Nie rozumiała, czym tak naprawdę oczarował jej matkę. Zdaniem Joanny był najzwyczajniejszym chłopakiem, ani lepszym, ani gorszym od innych w miasteczku. Nie była w nim zakochana, ale też nie czuła do niego niechęci. To on ją poderwał, zaczął któregoś dnia w czasie przerwy. Chodzili razem do klasy od tylu lat, ale dopiero wtedy tak naprawdę go zauważyła. Rozmawiali o filmie, który leciał poprzedniego dnia w telewizji. Potem Jurek odprowadził ją do domu. I tak już zostało. Wyglądało, jakby chodzili ze sobą, a przecież on tylko ją odprowadzał. Lubiła go, bo mówił inaczej niż wszyscy, używał synonimów i starannie dobierał słowa, co dla dziewczyny takiej jak Joanna nie mogło pozostać bez znaczenia. Mimo to przez całą szkołę nie czuła do niego nic więcej poza sympatią. Dopiero przed maturą coś się zmieniło. Jurek zaczął mówić o wyjeździe z miasteczka, o Warszawie i o tym, że jedzie tam przyjrzeć się z bliska politechnice.

– Jedziesz ze mną? – zapytał.

Nie mogła odmówić.

Następnego dnia z samego rana, a była to sobota, pobiegli na dworzec i pojechali pociągiem do stolicy. Joanna była tak podekscytowana wyprawą, że z tego wszystkiego zapomniała zabrać legitymację szkolną i musiała zapłacić za bilet jak dla osoby dorosłej, bez zniżki.

– Gapa! – Naśmiewał się z niej Jurek. Wtedy zupełnie jej to nie przeszkadzało, tak samo jak paskudna pogoda, która przywitała ich na dworcu w Warszawie.

Tamtego dnia lało jak z cebra. Niewiele zwiedzali, ale dzięki temu usiedli w maleńkiej kawiarence na tyłach Marszałkowskiej i przegadali całą przyszłość przy dwóch kawach i drożdżówce z serem przekrojonej na pół. Wszystko wydawało się im wtedy możliwe i cudowne. Postanowili, że przyjadą na egzaminy razem i zamieszkają wspólnie. I nic nie mogło stanąć na drodze realizacji tego prostego planu. Wracali przepelnieni wiarą w to, że świat należy do takich ludzi jak oni.

W domu oświadczyła matce, że po maturze będzie zdawać na pedagogikę w Warszawie. Matka była zaskoczona tą nagłą decyzją, lamentowała, że przecież nie stać jej na opłacenie studiów w najdroższym mieście w Polsce, że w Lublinie, który był znacznie bliżej, na pewno byłoby taniej i przede wszystkim bliżej do domu. Dopiero kiedy usłyszała, że Joanna jedzie tam razem z Jurkiem, uspokoiła się całkowicie.

– Trzeba było tak od razu – stwierdziła z zachwytem. – Z Jurkiem to co innego.



Koniec końców jedyną osobą w całym domu, która kręciła nosem na wyjazd Joanny, była Monika. Nie kryła zazdrości, chociaż z drugiej strony cieszyła się, że podczas nieobecności starszej siostry zaopiekuje się jej szafą pełną ubrań, których do tej pory nie wolno jej było nawet dotknąć.

– I tak przyjadę do ciebie za kilka lat na studia – odgrażała się.

– Najpierw musiałabyś się podciągnąć z matmy.

– Nie bądź taka pewna siebie! – Monika pokazała jej język. – Na razie nie wiadomo, czy sama się dostaniesz.

Mroczne przepowiednie Moniki nie spełniły się i Joanna oraz Jurek dostali się na swoje wymarzone kierunki za pierwszym razem. Jako zamiejscowym przydzielono im także miejsca w akademikach, ale zdecydowali się wynająć kawalerkę. Pieniądze na nią w połowie dostali od babci Jurka, która postanowiła chociaż w ten sposób dokładać się do edukacji ukochanego wnuka. Joanna nie mogła liczyć na tak wspaniałomyślny gest nikogo ze swojej rodziny, ale szybko znalazła pracę jako kelnerka w pobliskim barze i w ten sposób uczciwie dokładała się do czynszu. Pracowała tylko trzy dni w tygodniu, w tym w piątek i sobotę, kiedy było najwięcej klientów, co pozwalało jej pozostałe dni spędzać w uniwersyteckiej czytelnicy i na wykładach.

Wszystko układało się wspaniale... Do dnia, w którym zobaczyła Jurka spacerującego po mieście w towarzystwie obcej dziewczyny. Wracała wtedy z popołudniowych zajęć, które odbywały się w budynku uniwersyteckim na drugim końcu Warszawy. Jurek nie mógł wiedzieć, że tam będzie.

Było już ciemno, ale poznała go od razu. Śmiał się do szczupłej blondynki i obejmował ją tak, jak zwykle obejmował Joannę. Dopiero teraz dotarło do niej, że teraz już tego nie robił, jeśli szli gdzieś razem, po prostu trzymali się za ręce. Najwyraźniej nie znajdował już przyjemności w obejmowaniu jej ciała.

Chciała podbiec do nich, zaskoczyć go, ale zniknęli szybko w bramie jakiejś kamienicy.

Wróciła do kawalerki, którą wynajmowali na dalekiej Woli, i czekała na niego w kuchni. Herbata wystygła, Joanna nie była w stanie przełknąć ani kropli. Jurek wrócił dopiero po dziesiątej.

– Gdzie byłeś tak długo? – zapytała kamiennym głosem, kiedy wszedł do domu jak gdyby nigdy nic.

– Na zajęciach – odpowiedział zdziwiony.

– Na jakich zajęciach?

– Od kiedy to interesujesz się moim kierunkiem studiów?

Miał rację. Nigdy nie pytała o jego wykłady i laboratoria, miała w nosie jego egzaminy i w ogóle ją ten techniczny temat mało interesował.

– Widziałam cię – wygarnęła w końcu. – Widziałam cię z tamtą dziewczyną.

Nie umiała grać, udawać, wydawało jej się, że tylko szczerłość może ich uratować, o ile w ogóle było jeszcze coś do ocalenia.

– O, czym ty mówisz, do diabła? – zapytał zaskoczony.

– Widziałam cię, kiedy wchodziliście razem do kamienicy. Kim ona jest?

– Nikim – odpowiedział bez chwili zastanowienia.

– Jeśli ona jest dla ciebie nikim, to kim ja jestem w takim razie?

Nie odpowiedział od razu, więc powtórzyła pytanie.

Jurek odwrócił się i opuścił kuchnię. Wszedł do pokoju, usiadł na sofie, wziął do ręki pilota i włączył telewizor.

Oparła się o futrynę w drzwiach i świdrowała go spojrzeniem.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Nie wiem – powiedział wreszcie, patrząc w ekran.

Zaskoczyła ją ta odpowiedź.

– A ty wiesz? – zapytał. – Odpowiedz mi sama.

– Ja przynajmniej nie włóczę się po mieście, obejmując obcych ludzi.

Najchętniej wybiegłaby w tamtej chwili z domu, ale zatrzymały ją jego słowa.

– Nic do mnie nie czujesz. – Usłyszała za plecami. – Jeśli myślałaś, że ja tego nie widzę, to jesteś idiotką.

Odwróciła się gwałtownie, oczy rozszerzyły jej się ze zdumienia.

– Słucham...?!

Nigdy nie mówił do niej w taki sposób. Na kanapie przed włączonym telewizorem siedział obcy człowiek, z którym mieszkała pod jednym dachem od ponad roku, z którym razem jadła posiłki i z którym wracała do domu na święta. To nie był już ten sam Jurek.

– Więc to moja wina?! – krzyknęła.

– Wyłącznie – odpowiedział spokojnie. – Jesteś zimna jak lód. I już wiem, że nigdy tego nie zmienisz. Za długo czekałem, ale teraz wiem, że jestem ci kompletnie obojętny.

– Nie jesteś...

– Przestań.

Podniósł się z kanapy i wrócił do kuchni. Patrzyła, jak nastawia wodę na herbatę.

– I co teraz będzie? – zapytała łamiącym się głosem.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Pewnie każde z nas pójdzie w swoją stronę.

– Ale przecież... – szepnęła.

– Nie martw się – wyprzedził ją. – Nie zostawię cię tak od razu.

– Słucham?

– Jesteśmy przyjaciółmi, tak?

– Już nie wiem, kim jesteśmy.

– Posłuchaj, nie wyszło nam. Ja cię kochałem, a ty mnie nie. Ale już się z tego obudziłem, nie skoczę z okna, zresztą mieszkamy na parterze.

Uśmiechnął się do niej, ale nie odwzajemniła tego gestu.

Była w głębokim szoku. Nie tego się spodziewała, nie to chciała usłyszeć... I co najgorsze, nie była na to wszystko gotowa.

– Ty już sobie kogoś znalazłeś, tak? – zapytała, łykając łzy.

– Po co chcesz to wiedzieć?

Na stole postawił dwa kubki, zalał wrzątkiem zawartość. Patrzyła na nie, jakby miały moc odczynienia tego uroku, który ktoś musiał na niego rzucić.

– Bo chcę – odpowiedziała.

– Wybacz, ale to nie jest już twoja sprawa.

– Jest. Bo nadal jesteśmy razem, mieszkamy razem, widzisz, nawet herbatę mi zrobiłeś...

Patrzyła, jak bierze swój kubek i wraca do pokoju. Jej herbata stała samotnie na stole, choć zawsze przedtem zabierał jej kubek razem ze swoim. Zgasiła światło w kuchni i usiadła w ciemnościach.

Słyszała głos spikera radiowego, słyszała, jak Jurek rozkłada kanapę.

Powoli docierało do niej, że już nigdy nie będzie jak dawniej, że wszystko zmieniło się w jednej chwili.

– Będę spał tutaj – powiedział, a ona nie sprzeciwiła się mu.

Położyła się spać samotnie w ich niewielkiej sypialni, ale nie mogła zasnąć. Pierwszy raz czuła chłód kołdry, którą przykrywała się co noc. Pierwszy raz widziała, że łóżko jest za duże dla niej samej, że poduszka jest za twarda, a prześcieradło za szorstkie. Płakała przerażona tym, co się stało. Przecież tego nie planowała, nie tak miało być... Choć tak do końca nie umiała odpowiedzieć sobie na pytanie, co

właściwie miałyby się stać. Przecież w sumie miałrację. Właściwie nigdy go nie kochała, a to, że ze sobą spali, nie świadczyło o niczym. Więc dlaczego było jej teraz tak strasznie smutno? Dlaczego żałowała, że ten dzień potoczył się tak, a nie inaczej? Strach przed samotnością był ogromny, paraliżował myśli i nadzieje. Obiecała sobie, że już nigdy więcej nie będzie bryłą lodu, że jak już się zakocha, to na śmierć i życie, do końca, do krwi. A teraz powtarzała bez końca: „Co ja teraz zrobię bez niego?”. Bez odpowiedzi, bez wytchnienia, aż zasnęła nad ranem znużona łzami.

Tydzień później poznała Piotra, który pojawił się na jej drodze równie niespodziewanie, co śnieg w środku maja.



Odłożył słuchawkę telefonu.

Wolnym krokiem wszedł do ich sypialni. Joanna siedziała na łóżku w jedwabnej koszuli nocnej. Przeglądała jakiś kolorowy magazyn, jej skóra pachniała brzoskwiniowym balsamem, którego używała po kąpieli.

W uchylonym oknie trzepotała firanka, przesycona wieczornym powietrzem.

Patrzył na nią długo, jakby chciał zatrzymać tę chwilę wypełnioną spokojem i ciszą.

– Kto dzwonił? – zapytała, nie podnosząc wzroku znad gazety.

– Ojciec.

Powoli rozpinał guziki koszuli.

– Zaprasza nas na sobotę – powiedział, rzucając spodnie na krzesło stojące przy szafie. – Wrócił z konferencji w Oslo.

– Wspaniale. Na pewno będzie miał wiele ciekawych rzeczy do opowiedzenia. Powiesz mi wszystko, jak od nich wrócisz.

Usiadł na brzegu łóżka.

– Jak to: powiem?! Więc mam rozumieć, że ty się nie wybierasz do rodziców?

– To nie są moi rodzice – odburknęła.

– No wiesz?!

– Wiem, Piotr. A poza tym nie chcę się widzieć z Agatą.

– Co ty wygadujesz?

Zamknęła czasopismo i odłożyła je na szafkę przy łóżku. Zgasła lampkę i położyła się.

W pokoju panował półmrok, który rozświetlał jedynie blask małej lampki stojącej przy łóżku od strony Piotra.

– Dlaczego nie chcesz widzieć Agaty? – zapytał, siląc się na spokój.

– Domyśl się.

– Kochanie, tak nie można...

– Powiedz to swojej siostrze.

– Dobrze, powiem – mruknął zrezygnowany.

Zgasił lampkę i cicho wsunął się pod kołdrę. Jego dłonie szybko odnalazły nagie plecy Joanny, dziwnie chłodne. Głaskał jej skórę, unosząc opuszki palców tuż nad jej ciałem tak, by muskały ją delikatnie i czule.

Odwróciła się do niego i odwzajemniła dotyk. Pocałowała go we wnętrze prawej dłoni.

– Nie chcę czuć się jak ktoś gorszy – szepnęła. – Kiedyś umiałeś mnie przed tym chronić, a teraz jestem ci już obojętna.

– Bzdura... Zawsze będę cię chronił.

– Przed złym światem?

– Świat nie jest zły, Joanno.

– Nic na to nie poradzę, że tak właśnie czuję – szepnęła, całując go po uchu.

– Agata ma teraz na głowie własne problemy.

– Znowu będzie mi dogryzać. Przy stole, żeby wszyscy słyszeli. Mam tego dość, Piotr.

– Ale przecież idziemy do rodziców, nie do Agaty. Będzie im przykro, jeśli odmówimy.

Całował jej włosy, gładkie i aksamitne, których końcówki były wciąż wilgotne po wieczornej kąpieli.

– Wiem, Piotr, to twoja najbliższa rodzina.

– To nasza rodzina, nasza.

– Nie...

– Ojciec na pewno przywiózł jakieś dobre wino.

– Nie skusisz mnie.

– Poproszę mamę, żeby upiekła to ciasto, które tak lubisz.

– Dlaczego tak ci na tym zależy?

W panującej ciemności nie widziała zdumienia w jego oczach.

– Nie zostawię cię samej w domu w sobotnią noc.

– Ale ja sobie świetnie zorganizuję ten wieczór. Pójdę do kina.

– Do kina pójdziemy w niedzielę. Razem...

Całował ją namiętnie i z każdą chwilą coraz mocniej. Nie umiała mu się dłużej opierać, nie potrafiła odmówić jego objęciom.

Przypomniał jej się dzień, w którym go poznała. Uwolnił ją i wyzwolił jak rycerz z pęt nie tylko smutku, ale i związku, który wypalał ją i niszczył.

Była wczesna jesień, a ona zdała właśnie egzamin poprawkowy z wprowadzenia do logopedii. Wybiegła z uczelni, która znajdowała się na tyłach Placu Zbawiciela, i prawie wpadła pod koła rozpędzonego tramwaju.

– Jak leziesz, oślisko! – wrzasnął na nią motorniczy przez otwarte okienko.

Oślisko, tak właśnie ją nazwał. Zapamiętała to określenie, z którym w głębi duszy się zgadzała. Tak przynajmniej wtedy o sobie myślała: „Jestem oślicą, która nie potrafi pokierować swoim życiem”.

Szła w stronę przystanku na Placu Konstytucji, skąd odjeżdżał autobus do domu. Było jej zimno, a kurtkę zostawiła rano na stacji, przekonana, że nie będzie jej potrzebna w tak słoneczny dzień. Myliła się, jak zwykle. A teraz stała cała roztrzęsiona i patrzyła przerażona na wąskie tory tramwajowe. Wyglądały jak jadowite żmije.

– Wszystko w porządku?

Początkowo nie zdawała sobie sprawy z tego, że to pytanie było skierowane do niej. Głos wydawał się odległy, jakby usłyszała przypadkiem rozmowę obcych sobie ludzi.

– Już dobrze?

Dopiero po chwili odwróciła twarz i zobaczyła pochylonego nad nią chłopaka z czupryną bujnych blond loków, w okularach z ciemnymi oprawkami i garniturze. Wyglądał jak pracownik pobliskiego banku, w którym kilka dni wcześniej bezskutecznie starała się o kredyt studencki. Chłopak wyciągał do niej prawą dłoń.

– O Boże... – Dopiero teraz zauważyła, że przez cały czas klęczała wprost na jezdni.

Podniosła się powoli, korzystając z jego pomocy.

– Przepraszam – powiedziała zmieszana. – Dziękuję.

– Wszystko w porządku? – zapytał ponownie, a ona nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Zejdźmy stąd – zaproponował i przeprowadził ją na drugą stronę jezdni, jakby była staruszką albo osobą niedowidzącą.

Pamiętała, że pomyślała wtedy, iż tak właśnie się czuje, jakby nie widziała albo widziała inaczej niż wszyscy wokół.

– Usiądź. – Podprowadził ją do drewnianej ławki, która stała zaraz za przejściem dla pieszych.

Była posłuszna, nie miała siły na jakikolwiek opór.

– Co się stało? – zapytał.

– Nie wiem, ja nie wiem... – szepnęła, pochlipując.

– Już dobrze, każdemu może się zdarzyć. Po prostu zagapiłaś się, tak? To nie było specjalnie?

– Co...?

Nadal nie rozumiała, o co pytał ją ten młody mężczyzna. Nie wiedziała, co się wydarzyło, ale podobała się jej barwa jego głosu i to, w jaki sposób na nią patrzył, z troską i szczerością.

– O mało nie wpadłaś pod tramwaj – wyjaśnił. – Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. A tym, co wykrzykiwał motorniczy, w ogóle się nie przejmuj.

– Miał rację...

– Jechał za szybko.

– A ja mogłam bardziej uważać.

– To prawda. Życie można tak łatwo stracić... – powiedział jakoś w zamyśleniu. – Musisz na siebie bardziej uważać. Obiecujesz?

Skinęła potulnie głową.

– Jeszcze raz dziękuję... – powiedziała, wstając. – Muszę już lecieć.

Nie była to prawda, ale zupełnie nie wiedziała, jak się zachować.

– Tylko nie leć, błagam cię! – Uśmiechnął się do niej.

Dopiero teraz je zauważyła. Zabawne dołeczki, które pojawiały się na jego policzkach, kiedy się uśmiechał. Ten uśmiech był zaraźliwy. Zaczęła się śmiać przez łzy, które popłynęły jej niespodziewanie z oczu.

– Na pewno sobie poradzisz? – zapytał.

– Tak, chyba tak.

– Może jednak cię odprowadzę?

Nie umiała odmówić, nie wiedziała, co się z nią dzieje. Gdyby ten obcy człowiek złapał ją w tamtej chwili za rękę i pociągnął za sobą, poszłaby za nim ślepo. Wiedziała, że taka chwila już nigdy więcej się nie powtórzy, że taki dzień przytrafia się nam tylko raz w życiu. Nie słyszała absolutnie nic, chociaż obok właśnie przejeżdżał tramwaj. Zgrzyt metalowych kół ocierających się o szyny był dla jej uszu jak muzyka. Nie wiedziała, co ją za chwilę spotka, ale przepełniała ją dziwna pewność, że będzie to coś, na co bardzo długo czekała.

Tamtego dnia po raz pierwszy od tygodnia zaświeciło słońce.



Zakochał się w niej od samego początku. I choć mówią, że miłość od pierwszego wejrzenia istnieje tylko



w książkach, wiedział, że to nieprawda. Przy całym jego zdroworozsądkowym podejściu do życia i dystansie do rzeczywistości pierwszy raz poczuł, że nie potrafi się czemuś oprzeć. Wystarczyło, że spojrzała mu w oczy.

Tamtego dnia, kiedy o mało nie potrafił jej przejeżdżający tramwaj, poczuł się tak, jakby Joanna spadła z nieba. Pojawiła się w jego życiu jak w bajce. I nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia.

Pierwszy raz czuł, że to serce, a nie rozum prowadzi go przez życie i że może ten jeden jedyny raz warto go posłuchać.

Zresztą nie było to wcale takie trudne. W tamtej chwili Joanna wydawała mu się przecież najpiękniejszą istotą na ziemi. Wszystko w niej było piękne, nie tylko o czy, od których nie mógł oderwać spojrzenia, ale i usta, które rozchylone w oszołomieniu wydawały się zachęcać, zapraszać do siebie. Widział na jej policzkach maleńkie punkciki piegów rozsiane na lekko zaróżowionej pod wpływem emocji jasnej skórze.

Dłoni przyciskała do piersi te książki, które nie zdążyły jej wypaść.

Patrzył na jej białą bluzkę, która drżała pod wpływem mocnych uderzeń serca. Tak mu się wtedy wydawało – że pierwszy raz w życiu zobaczył, jak bije czyjeś serce. Wiedział, że bała się, że przestraszyła się tramwaju, ale w głębi duszy marzył, by jej serce uderzało mocniej także z innego powodu. W ułamku sekundy, tak tragicznej przecież, chciał, by go zauważyła i zapamiętała.

Wiedział, że nie pozwoli jej odejść. Jeszcze nie wiedział, jak to zrobi, ale jednego był pewien: że chce zatrzymać ją przy sobie, że chce ją poznać.

Potem wszystko potoczyło się już bardzo szybko.



Siedziała w fotelu, trzęsąc się, jakby miała gorączkę. Piotr podał jej koc; otuliła się nim, ale niewiele to pomagało.

– Zrobię ci gorącej herbaty – zaproponował.

Chwyliła go za dłoń, kiedy się odwracał i przyciągnęła go do siebie.

– Nie zostawiaj mnie, Piotr...

Szept, który zmroził jej usta, wydawał się zbyt głośny.

– Przecież idę tylko do kuchni.

– Usiądź obok mnie, proszę.

Zgodził się bez chwili wahania. Przysiadł na szerokim oparciu fotela i pozwolił, by położyła głowę na jego kolanie.

– Piotr, czy ja zwariowałam? Czy to jest szaleństwo?

– Nie.

– Więc dlaczego tak się zachowuję?

– Jak?

– Boję się.

– Czego?

Głośno przełknęła ślinę, gardło miała ściśnięte skurczem wstydu.

– Że mnie zostawisz, że zostanę sama i nigdy do mnie nie wrócisz.

– Głuptasie! – Poglaskał ją czule po głowie. – Przecież ja nigdzie się nie wybieram.

– Ale gdybyś jednak, to wiedz, że ja sobie nie poradzę bez ciebie, umrę.

– Nie musisz się o to bać, Joanno.

– Ale boję się. Nic na to nie poradzę. Strach podcina mi skrzydła, nie mogę się rozpędzić, nie umiem zebrać myśli.

– Właśnie dlatego nie powinnaś pozwalać sobie na takie stany.

– A ty?

– Co: ja?

– Umiałbyś żyć beze mnie? – zapytała wprost.

– Przecież wiesz, że nie.

– Mimo to boję się, że któregoś dnia w drzwiach twojego gabinetu stanie jakaś młoda, piękna kobieta, której będziesz udzielał pomocy. I wyciągniesz ją z dna, tak jak kiedyś zrobiłeś to ze mną. Tak długo cię szukałam, Piotr. I tak szybko mogę to wszystko stracić.

Czuła na czole jego gorącą dłoń, głaskał ją delikatnie, muskał skórę opuszkami palców, tak jak lubiła.

– To moja praca, Joanno.

– Wiem. Ale ty jesteś mężczyzną, a one są kobietami.

– To moje pacjentki. Nie wolno mi zrobić niczego, co przekracza granice. Tak mnie nauczono.

– Ale sam przyznasz, że życie pisze różne scenariusze i stwarza okazje, którym nie zawsze potrafimy stawić czoła.

– Ja mogę – odpowiedział stanowczo.

– A ja muszę ci ufać. Muszę, rozumiesz to? Muszę, choć tego nie umiem, uczę się tego zaufania, wmawiam sobie, że kochasz mnie i nie zdradzisz, ale gdzieś tam z tyłu głowy jest nadal ten lęk o ciebie. Że któregoś dnia odejdziesz...

– Nic takiego się nie stanie.

– Więc dlaczego w kółko o tym myślę?

Jej oczy były przekrwione i wilgotne.

– Bo za dużo czasu spędzasz na bezsensownych dywagacjach – odpowiedział.

– Być może.

– Wyjrzyj przez okno, spójrz jaki piękny dziś dzień.

– Tak...

– Trzeba żyć, trzeba się cieszyć. Nigdy nie wiadomo, ile nam jeszcze czasu zostało.

– Zawsze masz rację, Piotr. Zawsze. I za to cię kocham. I wiem, że nie umiałabym żyć bez ciebie, że nie zaufałam już żadnemu mężczyźnie.

Pocałował ją w czubek czoła.

– Pójdę już po herbatę – powiedział, wstając.



Pojawienie się Joanny w życiu Piotra wywołało prawdziwą rewolucję. Chciał przebywać w jej towarzystwie jak najdłużej. Biegł pod jej uczelnię od razu po skończonych wykładach. Po drodze, u kobiety stojącej pod pobliskim kościołem, kupował mały bukiet konwalii i pędził do niej szczęśliwy i radosny. W zasadzie nie musieli nawet o niczym rozmawiać. To był ten czas, kiedy dwojgu ludziom niepotrzebne są słowa. Wystarczy wspólna przestrzeń, w której mogą razem być. Po prostu. I Piotr robił

wszystko, aby takie chwile pojawiały się jak najczęściej.

Po jakimś czasie zaczął nawet bać się, że Joanna może czuć się osaczona, że być może narzuca się jej ze swoim towarzystwem, że to wszystko za szybko. I właśnie wtedy, gdy chciał ją o to zapytać, powiedziała zupełnie niespodziewanie, że nie wyobraża już sobie życia bez niego.

– Popatrz, jeszcze tak niedawno nie mieliśmy pojęcia o sobie – mówiła. – Nie wiedziałam, że istniejesz, a przecież byłeś całkiem blisko.

Nie komentował tego, onieśmielony zdaniem, które powiedziała na głos. Jeszcze nigdy nikt tak o nim nie mówił.

Nikt go nie kochał tak jak ona.

Była od tej chwili całym jego światem. A on był jej słońcem w dzień, a w nocy księżycem, przy którym czuła się bezpiecznie.



– A gdzie Joanna?

Matka Piotra przywitała go wyraźnie posmutniałym spojrzeniem.

– Witaj, mamo!

Pocałował ją w policzek.

– Witaj, mój drogi.

– Joanna nie czuła się dzisiaj najlepiej – skłamał, przekraczając próg domu rodziców. – Szczerze mówiąc, nie będę siedział dzisiaj u was zbyt długo. Chcę wrócić do niej jak najszybciej.

– Ależ to zrozumiałe – powiedziała matka, przepuszczając go w przedpokoju. – A co jej jest?

– Na szczęście nic wielkiego. Zwykła migrena.

Matka odetchnęła z ulgą.

– To się zdarza każdemu. Powiedziałeś jej, żeby koniecznie zasunęła firanki? – zapytała z troską. – Cień i spokój to jest to, czego potrzebuje teraz najbardziej. Wejdz, ojciec już czeka.

W pokoju, którego okna wychodziły na ogród, panował przyjemny chłód sobotniego, letniego popołudnia. W szklanym wazonie stojącym na samym środku okrągłego dębowego stołu stał bukiet herbacianych róż, zapewne pani Marianna przyniosła je z ogrodu kilka dni temu. Na obrusie leżało kilka pożółkłych płatków; powoli i bezgłośnie opadały z rozdętych, przekwitłych już pąków.

W uchylonych drzwiach prowadzących na taras wiatr poruszał bladoniebieską firanką. W tle głośno tykał zegar, wiszący na ścianie tuż nad kominkiem.

Piotr podszedł do drzwi i otworzył je szerzej. Na tarasie, w wiklinowym fotelu, pochylony nad rozłożoną gazetą siedział jego ojciec.

– Witaj, synu! – zawołał radośnie na jego widok, podnosząc się z fotela. – A gdzie twoja druga połówka?

– Leczy migrenę...

– To kiepsko, migrena potrafi dać w kość, wiem coś o tym... Mam nadzieję, że szybko jej minie to paskudztwo.

– Oby. Jak zdrowie, tato? – zapytał, zmieniając szybko temat.

– Moje czy pacjentów?

– Twoje, oczywiście, że twoje. – Piotr się uśmiechnął.

Przed oczami stanęły mu nagle lata dzieciństwa, kiedy czasem matka zabierała go do szpitala w odwiedzinach do ojca, który miał dyżur. Zanosili mu wtedy kanapki z domu lub herbatę w termosie. Niespodziewanie był wówczas świadkiem rozmów ojca z pacjentami, którzy, zwykle wychudzeni, o zmartwionych twarzach, leżeli w szpitalnych łóżkach, jakby cały dzień był rankiem. Piotr pamiętał swoje zdziwienie faktem, że dorośli cały dzień chodzą w piżamach i szlafrokach. „Dlaczego oni muszą spać za dnia? Pracują w nocy?”, zapytał ojca, na co ten odpowiedział, że ci ludzie nie śpią, tylko odpoczywają, wracają do zdrowia. Wtedy Piotr pierwszy raz spojrzął na zdrowie jako na coś, co można stracić, co odpływa i wraca jak żagłowiec. Podczas tych krótkich wizyt zapamiętał ojca jako cierpliwego rozmówcę, który uwielbiał słuchać ludzi szukających u niego ratunku i pocieszenia. Zawsze patrzył im w oczy, kiwał głową, był przy nich i dla nich przez cały czas.

Po latach, już jako student, Piotr wracał do tamtych chwil, czerpiąc z nich jak najwięcej. Ojciec był dla niego ideałem lekarza, a jego podejście do chorych, choć nie było łatwe, bo wymagało poświęcenia własnego czasu, mimo wszystko było czymś, co chciał naśladować.

Ojciec Piotra był zresztą nie tylko świetnym praktykiem, ale również wspaniałym kompanem w dyskusjach.

– Wiesz, tato, czasem zastanawiam się, po co nam to wszystko, dokąd my właściwie biegniemy i czego szukamy. Bo przecież cały czas czegoś szukamy, prawda? – Westchnął, sięgając po szklankę z kompotem, który matka przyniosła z kuchni w wysokim szklanym dzbanku.

– Święta prawda, synu. I tylko to trzyma nas jeszcze przy życiu. To ciągle szukanie.

– Nawet jeśli nie wiemy, co tak naprawdę próbujemy znaleźć?

– Przede wszystkim! Nie wiemy, za czym biegniemy, ale sama gonitwa już dodaje nam skrzydeł – stwierdził ojciec. – Czyż to nie piękne?

– Przeróżające.

– Zabawne... – Ojciec Piotra podwinął rękawy koszuli. – Nikt nie wie, po co się żyje. Filozofowie od wieków próbują rozgryźć tę zagadkę, a i tak jedyne, co wymyślił człowiek, to fakt, że trzeba żyć. Nawet jeśli nie wiemy po co.

– Większość z nas żyje nadzieją.

– Lepsze to niż żyć jej brakiem. Albo wiarą. Ludzie wierzą. I to też jest niezwykle. Mogę stawiać moim pacjentom diagnozy rokujące krótkie życie, ale jeśli taki pacjent uwierzy, że to błąd, to zaufaj mi, przeżyje moją diagnozę, przeżyje nawet mnie i ciebie, synu. Bo uwierzył i ta wiara wypełniła go jak woda ze źródła.

Patrzyli na matkę Piotra, która przechadzając się spokojnie między rabatami, podchodziła właśnie do krzewów różanych i urywała zeschnięte listki. Rzuciła je potem pod płot.

– Zawsze się zastanawiam, czy gdybyśmy mogli poznać naszą przyszłość, datę śmierci i tak dalej, to czy to by nam ułatwiło życie czy zatruło? – Piotr się zamyślił, mrużąc oczy od słońca.

– Na pewno pomogłoby usystematyzować nasze działania – odpowiedział ojciec. – Pomyśl, gdybyś wiedział, że zostało ci tylko sześćdziesiąt dni życia, jestem pewien, że każdy dzień przeżywałbyś w pełni, a przynajmniej starałbyś się.

– Albo zabiłbym się już drugiego dnia.

– Nie – zaprotestował ojciec stanowczo i nagle spoważniał jeszcze bardziej. – Nie zabiłbyś się, Piotrze.

Syn spojrzął na niego zaskoczony.

– Skąd ta pewność?

– Z doświadczenia obcowania ze śmiercią. Uwierz mi, człowiek w obliczu perspektywy własnej śmierci kurczowo, pazurami trzyma się tego nieopisanego daru, jakim jest życie. I nie chce się z nim

rozstawać ani żegnać. Chce żyć, albo inaczej, chce przeżyć. Choćby jeszcze jeden dzień dłużej, choćby godzinę.

– Nawet wtedy kiedy cierpi?

– Cierpienie nie odbiera nadziei. Wola życia, Piotrze, umiera wraz z człowiekiem. Tli się w nim do końca. Tak jesteśmy skonstruowani.

– Dlaczego więc nie potrafimy odnaleźć tej woli, kiedy jesteśmy zdrowi i prowadzimy normalne życie?

– Bo człowiek zawsze będzie pełen wątpliwości, pytań, na które nikt nie zna odpowiedzi, rozterek niedających spać w nocy.

– Więc lepiej nie myśleć?

– Lepiej żyć, iść przed siebie z nadzieją, nie zadrećcać się...

Piotr chciał odpowiedzieć, ale nim zdążył otworzyć usta, matka wręczyła mu bukiet róż i rozmowa nagle się urwała. Nawet nie zauważyli, jak szybko znalazła się przy nich.

– Piękne, co? – zapytała. – Tylko uważaj na kolce. Ależ pięknie zakwitły w tym roku!

– Wstawić je do wody?

– Tak, ale tylko na chwilę – zaznaczyła matka. – To dla Joanny. Zabierzesz je, jak będziesz wychodził.

– Dziękuję – odpowiedział nieco zmieszany. – Na pewno się ucieszy.

Na pewno odczyta to jako wyrzut, skomentował w myślach. W takie dni nie cieszyło jej zupełnie nic.

– Każda kobieta kocha kwiaty – dodał ojciec.

– Przyszłam do was, bo już nie mogę słuchać tych nieszczęsnych dysput – wyjaśniła matka, sięgając po szklanekę z kompotem. – Ale upał!

– No cóż, moja droga, mówiłem ci, że tak to już będzie... Dzieci nie wystarczy tylko ubrać i wykarmić; będą zamęczać nas pytaniami egzystencjalnymi do końca życia. – Uśmiechnął się do Piotra. – Taka rola rodzica, że ma znać wszystkie odpowiedzi, i na te małe pytania, i na te duże. Ale ja zawsze to lubiłem.

– Daj już spokój, jest weekend, trzeba odpoczywać, a nie myśleć o śmierci i chorowaniu! – zaoponowała jego żona. – Zobacz, jaki piękny dzień!

– Ależ widzę, moja kochana – powiedział wesoło i pocałował ją w rękę. – Masz rację, dość tych rozważań. Piotr, masz może ochotę na łyk orzechówki?

– Kawy! – przerwała mu. – Kawę będziesz teraz pił, a nie alkohol.

– Orzechówka to nie alkohol – bronił się.

– Stary, a głupi. – Rzuciła mu spojrzenie pełne politowania, które miało w sobie jednak wiele troski i miłości. – No już dobrze. – Ustąpiła. – Ale tylko mały kieliszeczek.

Piotr podniósł się od stołu z naręczem kwiatów.

– Wstawię je do wazonu. I przyniosę kieliszki.



– Mam czterdzieści pięć lat, moja żona jest cztery lata młodsza ode mnie. Jesteśmy małżeństwem od dziesięciu lat, mamy dwoje dzieci. Jeśli chce pan mnie zapytać, czy ją kocham, to odpowiedź brzmi: tak. Kocham ją. Jest świetną matką, świetną gospodynią, dobrze gotuje i w ogóle.

Piotr patrzył na okulary mężczyzny w grubych, czarnych oprawkach. Pacjent wyglądał jak ktoś, kto chce się za nimi schować. Gdy mówił, nie patrzył na Piotra, przeciwnie, wbijał wzrok w podłogę, jakby dywan miał jakiś niezwykle interesujący wzór.



– Nie mogę znieść dłużej seksu z nią – powiedział. – Wiem, że jako jej mąż mam obowiązek i w ogóle, ale pan rozumie. Nie mogę.

– Dlaczego? – zapytał wprost, tak jak go uczył profesor Tomski.

– Pan się zdziwi, ale ona jest... zbyt katolicka – stwierdził mężczyzna bez skrępowania.

– Słucham?

Zanim odpowiedział, wziął głęboki wdech.

– Zbyt grzeczna, konserwatywna, bez cienia fantazji.

„Zawsze to samo”, skomentował Piotr w myślach.

– Od dziesięciu lat przerabiamy tę samą noc i wszystko musi być dokładnie tak, jak ona to zaplanowała. Taka nasza sypialniana rutyna, której broń Boże nie wolno naruszyć; jest bardzo dobrze strzeżona przez moją żonę. Chce pan usłyszeć, jak to wygląda?

– Jeśli chce pan o tym opowiedzieć.

– Chcę, bo szukam ratunku – odpowiedział szybko. – Już dłużej tak nie wytrzymam, nudzi mnie taki seks, ile można wykonywać te same ruchy bez sensu, bez satysfakcji? Ale wracając do tematu... Nasza rutyna. No więc najpierw ona pyta: „Chcesz tego?”. Ja odpowiadam jej pytaniem: „Czego?”. I wtedy ona się wkurza, że po co pytam, przecież wiadomo. A ja lubię pobawić się słowami, to jest dla mnie podniecające. Ale nie dla niej.

Wciąż patrzył w dywan, jakby liczył frędzle, jakby udawał, że jest teraz gdzie indziej, setki kilometrów stąd.

– No więc jak już jej odpowiem: „Tak, chcę tego”, chociaż wcale tego nie chcę, pragnę czegoś zupełnie innego, ale dobra, niech będzie, żeby nie było, że jestem wybredny...

– To grzech być wybrednym? – zapytał Piotr.

– Według mojej żony tak. No więc ustalamy, że będziemy się kochać. Wtedy ona na palcach chodzi po mieszkaniu i sprawdza, czy dzieciaki już na pewno śpią. Wraca do sypialni i każe mi się rozbierać. Nie mogę tego zrobić wcześniej, żeby jej nie wkurzyć. Zamyka za sobą drzwi naszej sypialni i mówi: „Już można”. Każde z nas rozbiera się osobno i szybko. Nie można się wtedy dotykać.

– Dlaczego?

Spojrzał na Piotra po raz pierwszy.

– No właśnie! – niemal wykrzyknął, szukając w nim sprzymierzeńca. – Kiedyś próbowałem ją rozebrać, ale gdzie tam! Odsunęła moje ręce, jakbym parzył, jakbym ją gorącym prętem traktował.

– Pańska żona nie lubi dotyku?

– Tak mówi. Więc każdy sam się rozbiera. Ja zrzucam spodnie na podłogę, ona wszystko układa w kosteczkę na krześle, żeby się, kurwa, nie pognioło! – Spojrzał znowu na Piotra, zaskoczony. – Przepraszam, ale muszę czasem zakląć, to mi pomaga.

– Rozumiem.

– Składa i narzeka, że jestem bałaganiarz, jakby to kogoś w takiej chwili cokolwiek obchodziło. I jak już wszystko tak sobie równiutko poukłada, wchodzi pod kołdrę i nakrywa się nią po samą szyję. Wtedy ja ostrożnie się przysuwam i jej tę kołdrę zdejmuję. Całujemy się, ale tylko przez chwilę, potem bawię się jej piersiami, ale też nie za długo, żeby jej nie zdenerwować. Potem schodzę niżej, ona to lubi początkowo, ale też nie za długo. Czy ona mnie dotyka? Nie! Od dziesięciu lat ani razu nie wzięła mojego penisa do ręki! Nigdy! „Fe! Co ty sobie wyobrażasz, że kim ja jestem, jakąś prostytutką?!”. Nie, to nie. Przecież jej nie zmuszę. I nie zmuszam. Ja mogę jej robić wszystko, bez problemu, ale ona nie robi mi absolutnie nic. Nawet z masażem podział jest niesprawiedliwy. Ja ją masuję długo, namiętnie, ale kiedy proszę ją o to samo, to już po dwóch minutach skarży się na ból nadgarstków. No dobra, leniwa jest w łóżku maksymalnie. Leży jak kłoda, jeśli ja nie wyjdę z inicjatywą, to leżelibyśmy tak do emerytury.

– Nigdy pierwsza nie zachęciła pana do seksu? – zapytał. – To znaczy, poza pytaniem, czy pan „tego” chce.

– Nigdy. Choć właściwie teraz mi się przypomniało, że właściwie tak, dwa razy jej się to zdarzyło i każdorazowo skończyło się to ciążą. Mamy dwie córki, które kocham nad życie.

Mężczyzna spojrzął na terapeutę ze smutkiem w oczach.

– Ma pan dzieci?

– Nie – odpowiedział Piotr.

– Aha. Jak pan będzie miał, to zobaczy pan, co znaczy miłość nad życie. To jest inny wymiar. I całe szczęście, bo inaczej bym zwariował. A wracając do mojej żony... Ona nie uznaje seksu poza sypialnią. Nie wchodzi w grę żadna spontaniczność pod prysznicem czy, broń Boże, na wakacjach, bo jeszcze ktoś nas zobaczy. Powiedziałem jej: no i co cię to obchodzi? Ale ona, że nie, że tak nie można. I jeszcze jeden mały szczegół. Chce pan usłyszeć?

– Niech pan mówi.

– Zawsze ta sama pozycja. Niech pan zgadnie, jaka? Ma pan rację, ta najprostsza, ona leży, a ja na niej. I tyle, nic więcej od dziesięciu lat.

– A czy wcześniej, zanim wzięliście ślub, też tak było?

– Tak – odpowiedział bez chwili wahania. – Ale myślałem, że ona się rozkręci, że się zmieni, zresztą sama mówiła, że potrzebuje czasu i ja to rozumiałem. A teraz to już nawet o tym nie rozmawiamy. Nie ma tematu, bo ją to denerwuje. Zero zabaw, seksu na dywanie po oglądaniu filmu późno w nocy, nic. Kocham ją, ale wcale się nie dziwię tym, którzy chodzą do prostytutek. Do diabła, myślałem, że nigdy tego nie powiem. Czy naprawdę żądam aż tak wiele? Po prostu seksu z wyobraźnią, a nie w kółko to samo.

Piotr szukał w myślach słów, które należało powiedzieć głośno.

– Próbował pan z nią o tym rozmawiać? – zapytał.

– Bo to raz? Ona nie chce o niczym słyszeć. Nie ma tematu. Mówiłem już, że jest strasznie katolicka, a katolicy nie rozmawiają o seksie. Sama mi to powiedziała.

– Kocha pana?

– Słucham...?

– Czy pan to czuje?

– Tak. Chyba tak.

– Co to znaczy chyba? Mówi to panu?

– Co?

– No, że pana kocha.

Mężczyzna nie odpowiedział. Milczenie było znaczące i ostre jak nóż, który wbijał się coraz głębiej w otwartą już ranę. Piotr żałował, że zapytał.

– Przepraszam – powiedział. – Nie powinienem był...

– Dobrze pan zrobił. Może... Może właśnie wszystko rozchodzi się o to najprostsze. Może ona jest ze mną, bo tak wypada, bo tak trzeba, bo wiara zabrania jej się rozwieść? Jest ze mną i będzie. I nic się nie zmieni.

– Proszę tak nie mówić.

Mężczyzna odetchnął głęboko.

– Niech mi pan powie – zwrócił się do Piotra. – Czy dla niej jest jakiś ratunek?

– Co ma pan na myśli? Wydawało mi się, że państwo oboje potrzebują terapii.

Pacjent najwyraźniej nie tego się spodziewał.

– Ja też?! Przecież mi nic nie jest! Jestem zdrowy.

– Jestem pewien, że pańska żona powiedziała by to samo o sobie – stwierdził Piotr.

- To na pewno. Ale sam pan widzi, że coś jest nie tak, że to normalne nie jest...
  - Proszę pana – zaczął Piotr jak najdelikatniej. – Normalność jest pojęciem względnym.
  - Więc nie ma ratunku?
  - Jest. – Terapeuta zamknął notatnik. – Powinien pan ją namówić na wizytę...
  - Ona się nie zgodzi! – Przerwał mu.
  - Potrzebujecie państwo terapii dla par.
  - Czego?!
  - Będziecie mogli na spokojnie porozmawiać, bez wzajemnego obwiniania się, bez kłótni.
  - Już to widzę. – Mężczyzna pokręcił głową z wyraźną rezygnacją.
  - Terapeuta pozwoli państwu spojrzeć na siebie z dystansu, zrozumieć i znaleźć jakieś wyjście. Może pana żona nie dostrzega nawet tego problemu.
  - To na pewno!
  - A może wstydzi się o ty rozmawiać?
- Pacjent zacisnął usta.
- Jedno jest pewne. Przyszedł pan do mnie po pomoc i jedyne wyjście, jakie mogę panu zaproponować, to przyprowadzenie do mnie małżonki na wspólną terapię. Oczywiście może to być zupełnie inny terapeuta, może pańska żona wolałaby, żeby na moim miejscu siedziała kobieta. Nie ma z tym najmniejszego problemu. Najważniejsze, by udało się panu ją przekonać do przyjścia do nas.
  - Spróbuję – odpowiedział mężczyzna niepewnie.



Sklep był prawie zupełnie pusty. Na szerokich jasnych półkach stały uporządkowane w równych rzędach sandały i skórzane klapki w afrykańskim stylu, bardzo modne w tym sezonie. Po drugiej stronie sklepu, na półkach przy wystawie, pyszniły się szpilki i eleganckie półbuty ze lśniącej czerwonej skóry.

Joanna wzięła do ręki sandały na płaskim obcasie z klamerkami w kolorze turkusowym.

- Mogę pani pomóc? – zapytała ekspedientka, która pojawiła się przed nią niespodziewanie.
  - Nie, dziękuję – odpowiedziała zaskoczona. – Chociaż właściwie tak. Czy są takie buty w rozmiarze trzydzieści siedem?
  - Zaraz sprawdzę.
- Kobieta delikatnie wzięła z rąk Joanny sandały i zniknęła za drzwiami prowadzącymi na zaplecze.
- Co za spotkanie!

W tej samej chwili usłyszała za plecami znajomy głos. Odwróciła się wolno.

- Monika! – powiedziała bez udawanej radości. – Co tutaj robisz?
- Przechodziłam i zobaczyłam cię przez szybę!

Miała na sobie jasne dzinsy i białe tenisówki rozprute po bokach. Joanna zastanawiała się, czy dziury w butach zaprojektowano celowo czy były dziełem upływającego czasu.

- Ty kupujesz tutaj?! – zapytała, rozglądając się po sklepie z podziwem. – Nieźle. Wygląda mi to na całkiem ekskluzywnie miejsce.

Podeszła do półki i podniosła szpilkę w kolorze wściekłej pomarańczy. Ostrożnie odwróciła ją i spojrzała na cenę, dyskretnie przyklejoną do spodu buta.

- Ile...?! – Aż zagwizdała głośno. – Że też oni zawsze w takich miejscach cenę drukują najmniejszym

druczkiem. Weź zerknij na to, bo ja chyba niedowidzę.

Podawała Joannie but, który ta bez patrzenia na cenę odstawiła z powrotem na półkę.

– Nie kupuję tutaj przecież codziennie – wytłumaczyła się ze spokojem.

– Szczęściara! – skomentowała Monika, rozglądając się po sklepie. – Ja nigdy nie kupuję w takich miejscach.

– Czasem można – broniła się Joanna. – A poza tym o nogi trzeba dbać.

– Wiem, dlatego po mieście biegam w sportowych butach, jak widzisz.

W tym momencie wróciła ekspedientka.

– Niestety, nie mamy tego modelu w pani rozmiarze – powiedziała, oddając Joannie sandały. – Ale mam dla pani lepszą propozycję. Gdyby zechciała pani przymierzyć te buty...

Kobieta podała jej prawie identyczny model, który różnił się od poprzedniego jedynie nieco wyższym obcasem. W tym czasie Monika złapała od niej sandały z turkusowymi klamerkami i spojrzała pod podeszwę.

– To mój rozmiar! – zawołała radośnie. – Przymierzę je, co mi szkodzi.

– Bardzo proszę – zgodziła się uprzejmie ekspedientka, wskazując jej czerwony fotel stojący na środku sklepu.

Monika usiadła na nim z błogą miną.

– Aśka, musisz tu usiąść! – rzuciła, poklepując puste miejsce na fotelu obok. – Jest mega wygodny, jak królewski tron.

– Dobrze – odpowiedziała Joanna ekspedientce. – W takim razie ja również przymierzę te drugie sandały.

– Bardzo proszę. Gdybym była do czegoś potrzebna, proszę mnie zawołać.

– Dziękujemy! – odpowiedziała jej Monika głośno.

Joanna usiadła w fotelu wyłożonym aksamitnym, czerwonym welurem. Monika w tym czasie kończyła zapinać klamerki na stopach. Wstała i krokiem modelki przeszła się po sklepie.

– I jak? – zapytała Joannę, która skinęła głową. – Bardzo wygodne – powiedziała, siadając z powrotem w fotelu. – Niestety muszę się z nimi pożegnać. Nie stać mnie.

Joanna udała, że nie słyszy ostatniej części jej wypowiedzi.

– A ja się chyba zdecyduję – stwierdziła, patrząc na swoje stopy.

– Bardzo ładne – powiedziała Monika z podziwem.

Joanna wstała i przespacerowała się w nich w stronę lustra.

– Jak prawdziwa dama, kupujesz buty z początkiem sezonu – usłyszała za plecami.

– Kupuję, bo sandały z zeszłego roku kompletnie się rozsypały, a potrzebuję nowych na wyjazd.

– Wyjeżdżasz? – zainteresowała się Monika. – Dokąd?

Joanna wróciła na fotel i zaczęła rozpinać sandały.

– To nic wielkiego. Planujemy z Piotrem wyrwać się na kilka dni na Mazury – powiedziała prawie szeptem.

– Cudnie! Uwielbiam jeziora i lasy.

Do sklepu weszła matka z nastoletnią córką, ekspedientka niemal do nich podbiegła.

– Będiesz się opalać na molo. I pływać – kontynuowała Monika. – Ależ ci zazdroszczę! – Rozsiadła się wygodniej w fotelu. – Oddałabym wiele, żeby stąd wyjechać. Lato w mieście jest straszne.

– To wyjeżdż. Masz przecież urlop.

– Mam. – Westchnęła. – Ale dopiero we wrześniu. Muszę się jakoś przemęczyć przez całe lato. Całe szczęście, że są popołudnia wolne od pracy, takie jak dzisiaj, prawda?

Joanna skinęła głową i schowała buty z powrotem do pudełka.

- Miałaś do mnie zadzwonić – rzuciła nagle Monika. – I nie odezwałaś się.
- Wiesz jak to jest – mruknęła jej siostra, odwracając wzrok. – Zobaczą jeszcze te czarne szpilki.
- Będą idealne na wieczorne spacerunki we dwoje po promenadzie.
- Jak tam twój Tadeusz? – zapytała Joanna, ucinając temat.
- Miło, że zapamiętałaś jego imię, naprawdę mi zaimponowałaś!
- Jestem co prawda od ciebie trochę starsza, ale z moją pamięcią nie jest jeszcze tak źle.

Zdjęła z półki buty i postawiła je na ziemi. Były za wysokie i za ciężkie, ale mimo to wsunęła w nie stopy.

– Super wyglądasz! – oceniła Monika, unosząc prawy kciuk ku górze.

– Serio?

– Perfekt! A z Tadeuszem wszystko w porządku.

– Mieszkacie razem?

– Czasami. – Siostra ściszyła głos.

– Jak to czasami?

– Tak to. W weekendy wraca do żony. A w tygodniu jest ze mną.

– I ty się na to godzisz?! – Joanna zrugowała ją ostrym spojrzeniem.

– Nie mam wyjścia.

– Przecież mówiłaś, że obiecał ci, że od niej odejdzie?

– I cały czas odchodzi. Ale to nie jest takie proste.

– Powinnaś dać sobie z nim spokój – stwierdziła Joanna, odkładając buty na miejsce. – Czy ty nie rozumiesz, że rozbijasz jego rodzinę?

– Jego rodzina jest już od dawna rozbita...

– Chyba nie bardzo, skoro wraca do żony regularnie.

– To akurat dobrze o nim świadczy! – Monika wystrzeliła palcem wskazującym w kierunku sufitu. –

Dbaj o tę kobietę, nie chce jej tak po prostu porzucić.

– Monika! – Joanna odetchnęła głęboko i przeszła do natarcia. Nie mogła tego dłużej słuchać. – Nie wiem, kiedy ty się obudzisz.

– Że niby co?

– Jesteś dla niego zwykłą kochanką. Nie widzisz tego?

– Nie odpowiedziała.

– Nie rozumiem, dlaczego się na to godzisz?

– Nie godzę się! – zaoponowała. – Obiecał mi, że od niej odejdzie i słowa dotrzyma.

– A jeśli nie odejdzie?

– Zrozum, ja go kocham. A miłość jest bardzo cierpliwa.

Joanna parsknęła.

– Dziewczyno, ile ty masz lat?

Monika odwróciła się do siostry plecami. Patrzyła na ruchliwą ulicę, która za szybą była cicha i odległa, jak na niemy filmie.

– Jeszcze sobie ułożę z nim życie, zobaczysz – zapowiedziała.

– Życzę ci tego z całego serca, ale jakoś nie mogę w to uwierzyć.

– Ja nie jestem taka jak ona – powiedziała Monika kamiennym głosem.

– Słucham...?

Joanna po raz pierwszy podczas tego spotkania spojrzała na siostrę z powagą.

– O kim ty teraz mówisz, bo nie rozumiem...

– O tamtej – szepnęła. – Do której odszedł nasz tata.



– Monika, błagam cię...

– Nic nie rozumiesz, Aśka. Nic a nic.

– Jeśli chodzi o te sprawy, o zdradę i tak dalej, to faktycznie masz rację. Zupełnie się na tym nie znam.

– Mówisz to z taką dumą, że aż można się porzygać.

– Bo jestem dumna, że mimo tego, że wszyscy naokoło mnie pakują się w jakieś chore związki, ja jestem wierna moim ideałom.

– Gratuluję – odpowiedziała Monika bez przekonania. – Może nawet ci zazdroszczę. Ale ja nie jestem taka jak ona.

– To znaczy...?

– Nie wrywam go pazurami od rodziny, nie zabiegam o to, jak tamta. Nie umiem nawet postawić warunków. – Wzruszyła ramionami.

– Jesteś taka sama jak matka. Ona też nie walczyła. A potem bardzo płakała, pamiętasz?

– Widocznie taki już nasz los.

– Tak najłatwiej powiedzieć – prychnęła Joanna. – I brnąć dalej w bagno, zamiast poszukać ścieżki, po której można przejść suchą nogą.

Patrzyła na Monikę, która stojąc przy szklanej witrynie, patrzyła zupełnie obojętnym wzrokiem na przejeżdżające autobusy. Ten związek nauczył ją już zbyt wiele, wydorosłała, nie była tak beztroska jak jeszcze kilka tygodni temu. Życie ostudziło jej temperament, wbiło w fotel, z którego ciężko było wstać. To wszystko działo się o wiele za szybko.

– Może mimo wszystko powinnaś o niego zawalczyć – odezwała się nagle Joanna, sama nie wierząc we własne słowa.

Monika spojrzała na nią oszołomiona.

– Nie zrozum mnie źle – tłumaczyła się pospiesznie. – Najlepiej byłoby, gdybyś dała sobie z nim spokój. Jesteś taka młoda...

– I co z tego?

– To, że nie zasługujesz na kogoś, kto tak cię traktuje. Możesz mieć normalny, zdrowy związek.

Na twarzy Moniki pojawił się przelotny uśmiech pozbawiony nadziei.

– Nie – powiedziała zdecydowanym tonem. – Nie mnie przytrafiają się takie rzeczy. Ani naszej mamie. Tylko tobie, Asiu. Tylko ty miałaś to szczęście. Ja przyciągam do siebie pecha.

Słowa siostry zabolowały ją. Trudno było się z nimi nie zgodzić, ale też niełatwo było przyznać się do tego tak otwarcie. Joanna czuła się, jakby obie płynęły właśnie na spróchniałej tratwie, która lada chwila przechyli się i wpadną do rzeki.

– Nie wiem, jak mogłabym ci pomóc – powiedziała w końcu.

– Nie da się.

– Zawsze jest jakieś wyjście, zawsze można coś zmienić...

– Odczarować los?

– Żebyś wiedziała. Nigdy nie jest za późno.

Monika spojrzała na zegarek.

– Muszę już lecieć – rzuciła.

– Chcę, żebyś wiedziała... Żebyś wiedziała, że u mnie też nie jest tak kolorowo, a przynajmniej nie zawsze...

– Nie musisz mnie pocieszać. I tak w to nie uwierzę.

Joanna przywołała ekspedientkę gestem.

– Miłego wypoczynku! – życzyła jej jeszcze Monika, odwróciwszy się w drzwiach. – Przyślij mi kartkę z Mazur!



Pewnego letniego popołudnia, niedługo po tym, jak zaczęli się spotykać, pobiegli na Agrykolę, żeby w parku wspólnie uczyć się do nadchodzącej sesji.

Rozłożyli koc pod kwitnącym właśnie kasztanem i każde z nich otworzyło swoje książki, przytaskane z uczelnianej biblioteki.

– Piotr, czy to możliwe, żeby przez całe życie kochać jednego człowieka? – zapytała Joanna, kładąc się na trawie.

– Mieliśmy się uczyć...

– Właśnie się uczę – odpowiedziała, urywając źdźbło trawy. – Chcę się nauczyć życia.

– Tego uczy się, po prostu żyjąc – zauważył.

– Nie zmieniaj tematu. Czy można kochać jedną osobę do końca?

– Oczywiście – odpowiedział z typową dla siebie pewnością w głosie.

– Skąd to wiesz? Z literatury? Mało to wiarygodne.

– Widzę to chociażby u moich rodziców.

Odwróciła głowę w stronę słońca. Zmrużyła oczy.

– Patrząc na nich, jestem pewien, że to możliwe – powiedział, całując ją w nagie ramię. – Pod warunkiem, że wytrzymasz przy takim dziwaku jak ja.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej.

– A co, jeśli się zmienię? Może utyję, albo, jeszcze gorzej, odbije mi?

– Będę cię kochał jeszcze bardziej. – Ugryzł ją w ucho.

– Przestań...

– A ty? – zapytał. – Będziesz mnie kochać?

Położyła głowę na kocu.

– No cóż, tego nie mogę ci zagwarantować – zażartowała.

– Słucham...?!

– No wiesz jak to bywa z mężczyznami.

– No jak?

– Może okaże się, że lubisz skakać z kwiatka na kwiatek albo że będziesz zaglądał do kieliszka?

– Jeśli mnie zostawisz, grozi mi to bez dwóch zdań!

– Wariat!



– Człowiek po prostu znika. Rozumie pan coś z tego? Tyle lat żyję, jestem dorosła, i nadal nie rozumiem tego, że ktoś po prostu znika.

– Mamy całe życie na to, by oswoić się ze śmiercią – powiedział Piotr ze spokojem.

- Tak pan myśli? Z tym można się w ogóle oswoić?
- Po to między innymi wymyślono żałobę. To czas na opłakiwanie zmarłego i pożegnanie się z nim.
- Czasem mam wrażenie, że żałoba nigdy mnie nie opuściła.

Siedziała na kanapie, skulona. Szczupłymi dłońmi obejmowała ramiona, jak ktoś, kto bardzo pragnął dotyku, przytulenia, ciepła drugiego człowieka.

Kiedy Piotr tak na nią patrzył, przypomniało mu się szkolenie z terapii dzieci, które odbywał jeszcze na studiach. Terapia, którą wówczas ćwiczyli na zajęciach, skierowana była do najmłodszych, którzy nagle zostawali sierotami. Chodziło o to, by w czasie godzinnych zajęć zaspokoić ich potrzeby matczynego dotyku. Terapeuci mieli do dyspozycji między innymi ciężkie koce wypełnione kuleczkami wszytymi do środka. Chodziło o to, by w czasie zabawy na dywanie zachęcić dziecko do położenia się na kocu, w który terapeuta je powoli zawijał. Dorośli robili to bardzo ostrożnie, śpiewając przy tym znane wszystkim kołysanki. Niektóre dzieci nie lubiły zawijania, zachęcano je więc, by kładły się na materacu i pozwoliły się przykryć magicznym kocem. Pod wpływem dotyku materiału dzieci zamykały oczy i uśmiechały się.

Piotr pomyślał, że taki ciężki koc, który uwalniał emocje, przydałby się teraz jego pacjentce.

– Kochałam ją – powiedziała kobieta. – Mimo wszystko. To w końcu była moja matka. Teraz, kiedy zasypiam, widzę przed sobą twarz. Mój mąż mówi, że to od telewizji, że za dużo oglądam, że te seriale robią mi z mózgu papkę. A ja po prostu chcę popatrzeć, jak inni ludzie żyją, jak sobie radzą.

– Kiedy to się stało?

– Dwa lata temu – odpowiedziała, odwracając twarz w stronę okna.

– I od dwóch lat nie może się pani pozbierać po tej śmierci?

– Dobrze pan to ujął – stwierdziła. – Nie mogę się pozbierać. Kiedyś byłam silna, byłam jedną całością. Teraz jestem w kawałkach, a każdy z tych kawałków odpycha pozostałe i ucieka w innym kierunku.

Do czubków jej butów przykleiły się równo obcięte źdźbła trawy. Piotr pomyślał, że musiała przebiec przez trawnik, który rano kosił ogrodnik. Kosiarka hałasowała, słysząc ją było przez dobre pół godziny na całej ulicy.

– Myślała pani o grupie wsparcia? – spytał.

– Że niby co, mielibyśmy się spotykać w każdy pierwszy czwartek miesiąca i głądzić sobie nawzajem o umieraniu i stracie? Takie stowarzyszenie wdów i żałobników, tak? Jakoś tam siebie nie widzę.

– Poczują się pani lepiej. Otoczenie osób o podobnych przeżyciach, wspólna rozmowa, działa pozytywnie na samopoczucie. Pozwoliłoby to pani otworzyć się i zaakceptować jej śmierć.

– Ale ja nie chcę z nikim o tym rozmawiać.

– Przecież przychodzi pani do mnie i rozmawiamy.

– Ale to tutaj to co innego – stwierdziła.

– Dlaczego?

– Jestem tylko ja i pan. I ona.

– Pomaga to pani?

– Co?

– Rozmowa ze mną.

– Zostałam całkiem sama. Już nigdy nie będzie dobrze, nigdy nie będzie lepiej.

– A pani rodzina? Mąż, dzieci?

– To tylko mąż i dzieci.

– Tylko...?! – powtórzył z lekkim niedowierzaniem.

– Poradzą sobie beze mnie, może nawet lepiej niż ze mną. Nie jestem im potrzebna. Dzieci zawsze

miały świetny kontakt z moim mężem.

– A z panią?

– Ja nigdy nie miałam dość cierpliwości, łatwo wpadam w złość. I w ogóle. Kiepska ze mnie matka.

– Wydaje mi się, że ocenia pani siebie zbyt surowo...

Spojrzała na niego. Surowo.

– Ma pan dzieci? – spytała bez ogródek.

– Nie.

– To co pan wie?

– Wiem.

– Nic. Tyle pan wie, co nic.

– Nie trzeba mieć raka, żeby umieć go leczyć – zauważył.

Nie odpowiedziała. Jej milczenie denerwowało go. Za każdym razem musiał budować całą strategię od nowa, rozwiązywać supeł, by za chwilę patrzeć, jak cienka nić pęka bezpowrotnie.

– Pani nie miała z nią dobrego kontaktu? – zapytał w końcu.

– Nie miałam.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Siostra była jej ulubienicą, nie ja.

– Zawsze tak było?

– Nie pamiętam.

– A pani ojciec?

– Był alkoholikiem. Zmarł, kiedy miałam dziesięć lat. Nie chcę go pamiętać. Matka nigdy już nikomu nie zaufała. Była sama do końca.

– Rozmawiała z wami o mężczyznach?

– Owszem. Zawsze powtarzała, że potrzebni są tylko do spłodzenia dzieci. I na tym ich rola się kończy. Zawsze śmiałyśmy się z tego z siostrą, a potem, kiedy już założyłyśmy własne rodziny, doszłyśmy do wniosku, że miała rację. Matka miała rację.

– Przepraszam za to pytanie. – Odchrząknął. – Ale czy w pani domu rodzinnym dochodziło do przemocy?

– Tylko słownej – zaznaczyła i westchnęła cicho. – Ojciec nigdy nie podnosił na nas ręki. Po prostu wychodził, pił, wracał, wyzywał matkę, nas i spał. Potem trzeba było ściągać z niego zasikane spodnie i buty ubrudzone błotem. Nienawidziłyśmy tego, ale jeśli zasypiał w tym syfie, całe mieszkanie zaczynało cuchnąć kibelem z dworca. Nie pamiętam, żeby matka płakała nad swoim losem, użalała się. Nienawidziła go i życia, jakie z nim miała, ale to nie miało nic wspólnego z zalem. Ona była wściekła. I nic nie mogła zrobić.

– A czy próbowała?

– Nie umiała od niego odejść. Nienawidziła go, ale nie umiała bez niego żyć. Postanowiła czekać, aż sam się zapije na śmierć, aż umrze. I tak się stało. Uchlał się i wpadł pod koła przejeżdżającego autobusu. Było ciemno, kierowca go nie widział. Szufelkami zbierali jego ciało z asfaltu. Widziałam to miejsce, niedaleko naszego bloku. Krew na ulicy, chociaż rozjechana kołami samochodów, była widoczna jeszcze przez tydzień. Matka mówiła, że to przez alkohol, że gdyby to była czysta krew, to zniknęłaby szybko, a tak alkohol przebarwił asfalt na dobre. Nie wiem, czy to prawda. Myśli pan, że to możliwe?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział zupełnie szczerze.

– Po jego śmierci w domu uspokoiło się. Mieszkałyśmy same, we trzy, kupiłyśmy sobie kota. Fajnie było. A potem siostra nagle zaczęła wagarować, narobiła sobie zaległości w szkole, w końcu wezwali

matkę i powiedzieli, że dziewczyna nie przejdzie do następnej klasy, że włączy się z jakimś nieciekawym towarzystwem. Zaszła w ciążę, matka szalała, kazała jej usunąć i skończyć szkołę. W końcu wyprowadziła się do tamtego chłopaka, do jego rodziny. Urodziła dziecko, wyrzucili ją ze szkoły. Wtedy do matki dotarło, że już nigdy jej nie zobaczy, bo przecież odtrąciła ją. Odbiło jej. Nagle z wyrodnej córki stała się na powrót jej ulubienicą, matka oszalała na punkcie wnuczka, rozpieszczała go, błagała siostrę, by do nas wróciła. Z każdej pensji kupowała coś dla niej, a to bluzkę, a to zabawkę dla małego. Siostra brała te prezenty, dziękowała, ale nie chciała z nami zamieszkać.

– A pani? Gdzie pani wtedy była?

– W swoim pokoju. Zupełnie sama. Matka sprawdzała tylko, czy czegoś mi nie brakuje, czy oddycham. Żyłam. W szkole szło mi nie najgorzej, więc dostałam się do szkoły pomaturalnej, a potem na studia. Wyobraża pan to sobie? Byłam jedyną osobą w rodzinie z indeksem wyższej uczelni w ręku. Tyle że nikogo to nie interesowało. Moja matka pracowała od rana do nocy, a w weekendy chodziła do siostry bawić małego, żeby młodzi mogli sobie poszaleć. Ten jej facet bardzo lubił chodzić na dyskoteki. Za którymś razem poznał tam miłość swojego życia i następnego dnia kazał mojej siostrze iść do diabła. Wróciła do nas z dzieckiem. Matka była oczywiście zachwycona. Siostra wprowadziła się z małym do mojego pokoju, a ja przeprowadziłam się do dużego. Spałam na sofie, która stała obok telewizora.

Przerwała.

– Jak się pani wtedy czuła?

– Jak drzazga w czyjejś dłoni. Zawadzałam. Powinnam była się wyprowadzić, usamodzielnic, nie byłam nikomu potrzebna. Nawet małym nie mogłam się opiekować, bo matka była w tym dużo lepsza. Tkwiłam w czymś, co niby było moim rodzinnym domem, ale coraz częściej dusiło mnie, osaczało. Było mi źle, choć przecież nic złego mnie tam nie spotkało. Aż któregoś dnia powiedziała mi, że jestem taka sama jak ojciec.

– Kto tak powiedział?

– Matka. Nic takiego nie zrobiłam, to była zwykła sprzeczka w kuchni, ale ona wypaliła z grubej rury. I to wystarczyło. Szybko mnie przeprosiła, ale to nie pomogło. Zaczęłam myśleć. Przecież on był beznadziejny. Dlaczego ona mnie do niego porównała? Jestem beznadziejna, jestem taka sama jak on. Nakręcałam się.

– Jak długo to trwało?

– Rok. O dziwo nie zawałam studiów, a nawet stało się coś ważnego. Poznałam chłopaka. Zaczęliśmy się spotykać, on nie był z naszego miasta, wynajmował pokój przy jakiejś staruszce. Uciekałam do niego z domu, matka udawała, że tego nie widzi. Zaczęłam zostawać u niego na noc, nawet kiedy tego nie chciał. Po pół roku zapytałam, czy chce się ze mną ożenić. Powiedział, że o tym jeszcze nie myślał, więc zaszłam w ciążę i dopiero wtedy wzięliśmy ślub.

– Boże...

– Proszę mi nie przerywać.

– Przepraszam.

– Skoro już zdecydowałam się wyrzucić to wszystko z siebie, chcę to zrobić do końca – powiedziała oschle. Piotr milczał, więc znów podjęła. – Najpierw mieszkaliśmy u tej staruszki. Była przeciwna, bo wiedziała, że spodziewam się dziecka, ale z drugiej strony zależało jej na pieniądzach, które od nas dostawała. Matka nie pomagała nam, bo nie miała z czego. Mąż zaczął pracować nocami jako stróż w domu handlowym. Potem zatrudnił się w ochronie i tak już zostało do dzisiaj. Skończyliśmy studia, urodziło nam się drugie dziecko, zmieniliśmy mieszkanie. Normalnie. Ja poszłam do pracy. Najpierw chciałam uczyć, ale dzieciaki strasznie mnie wkurzały, więc zrozumiałam, że to nie dla mnie. Wie pan, jak to jest, kiedy nie można podnieść głosu, bo to nie twoje? Na swoje dziecko można nakrzyczeć i w ogóle,



ale z obcymi trzeba się cackać, a ja nigdy nie byłam w tym dobra. Mogę poprosić o szklankę wody? Zaschło mi w ustach, nie pamiętam, kiedy ostatni raz tyle mówiłam.

Wstał i podszedł do stolika, na którym stała karafka z wodą. Otworzył ją i nalał wody do szklanki.

– Dziękuję – powiedziała, upiwszy pierwszy łyk.

Wrócił i usiadł przy biurku.

– Zaczęłam pracować w urzędzie miejskim. Nic wielkiego, żadna filozofia, przekładanie papierków, ale przynajmniej mam spokój. Pracuję w archiwum, z petentami nie mam do czynienia, więc nie muszę się denerwować. Trzy lata temu zadzwoniła siostra. Była Wigilia. Pomyślałam, że dzwoni z życzeniami. Kontaktowałyśmy się tylko od wielkiego dzwonu. Z matką również. One po prostu uznały, że wyprowadziłam się nie tylko z ich domu, ale również z ich życia. Każdy żył osobno, nikt się do nikogo nie wtrącał, nikt nikomu nie pomagał. Wszystkim to odpowiadało. Nigdy nie zapomnę tamtej rozmowy. „Słucham?”. Nie odpowiedziała od razu, musiało być jej trudno. „Musisz do nas przyjechać”, powiedziała. To nie brzmiało jak zaproszenie, tylko jak nakaz, jak rozkaz. Powiedziałam, że jest Wigilia i spędzam ją z moją najbliższą rodziną, na co ona powiedziała, że mama jest chyba chora i pyta o mnie. Tak dokładnie powiedziała, chyba chora. Nie wiedziałam, co o tym myśleć, czy matka jest chyba chora, bo coś jej dolega, czy jest chyba chora, bo pyta o mnie. Nie dawała mi spokoju, więc zgodziłam się, że przyjdę w pierwszy dzień świąt. I tak zrobiłam. Sama, bez męża i dzieci, o które zresztą nigdy nie pytała. Do mieszkania wpuścił mnie syn siostry, który był już nastolatkiem. Nie poznał mnie, ja jego zresztą też. Weszłam do kuchni; nic tam się nie zmieniło, nawet szafki były te same. Siostra wyglądała źle, jakoś tak staro. Zapytałam, co u niej. Nie odpowiedziała, tylko kazała mi iść do salonu. Matka już tam na nas czekała. Siedziała w fotelu pod oknem i wyglądała jak Baba Jaga. Miała kompletnie siwe włosy, była przeraźliwie chuda i patrzyła w dywan. Kiedy weszłam, podniosła na mnie wzrok i rozpłakała się. Zapytałam, o co chodzi, ale nie odpowiedziała. Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to to, że jest chora, że może to rak. Zrobiło mi się jej szkoda. „Co się dzieje?”, zapytałam, i wtedy siostra powiedziała, że matka już ich nie poznaje, że to Alzheimer i jest coraz gorzej. Zaskoczyło mnie, że mówiła to tak po prostu przy niej. „Nic się nie martw”, odpowiedziała na moje pytające spojrzenie. „Ona i tak nic z tego nie rozumie”. Faktycznie, matka wpatrywała się w dywan, kołysała się jakoś tak dziwnie w fotelu i nagle zaczęła się śmiać, ni stąd, ni zowąd. Zapytałam siostrę, dlaczego zadzwoniła do mnie tak późno; odpowiedziała, że przecież i tak nic z tego mnie nie obchodzi. Zarzekałam się, że to nieprawda, ale ona wzruszyła tylko ramionami. Poprosiłam, żeby mi wszystko opowiedziała, jak to się zaczęło i od jak dawna trwa. Okazało się, że matka była w takim stanie od ponad roku, choroba postępuje i nie ma żadnej nadziei. „Po co zadzwoniłaś?”, zapytałam wprost. „Bo musisz mi pomóc”, usłyszałam. Siostra uważała, słusznie zresztą, że powinnam współfinansować opiekę nad matką i w ogóle bardziej zaangażować się w cały ten proces. „Co mam zrobić?”, zapytałam. Odpowiedziała, że wystarczy, jak będę do niej przychodzić i siedzieć. „Bo nie wiem, czy wiesz, że mamy nie można teraz zostawiać samej w domu. Z nią jest gorzej niż z dzieckiem, bo do dziecka można znaleźć nianię, a do takiej to nikt nie chce przyjść”. „Ale ja pracuję!”, krzyknęłam, na co odpowiedziała mi, że przecież ona również pracuje i nie wie, co ma dalej z tym robić.

Za oknem zerwał się wiatr. Pogoda ze słonecznej i cichej zmieniła się niespodziewanie w coś, co zapowiadało burzę.

– Chciała pani jej pomóc? – zapytał Piotr.

– Tak.

– To nie była presja ze strony pani siostry?

– Nie. Widziałam, że jest bezsilna. Nie miała się do kogo zwrócić o pomoc.

– Ale przecież mogła pani odmówić.

– Mogłam. Byłam zaskoczona własną reakcją – przyznała.

– Co się stało, że postanowiła jej pani pomóc?

– Nie wiem. Może widok matki, która zamieniła się w warzywo? Było mi jej zwyczajnie szkoda.

Przecież nie życzyłam jej źle.

– A może w ten sposób chciała pani zbliżyć się do niej?

– Być może. W każdym razie to była ostatnia okazja, z której postanowiłam skorzystać. Dopiero wtedy, kiedy patrzyłam na nią, siedzącą w fotelu, zupełnie nieobecna, zdałam sobie sprawę z tego, jak życie szybko mija, przecieka nam przez palce... Matka nigdy się mną nie interesowała, to znaczy interesowała, ale nie w taki sposób, w jaki powinna.

– Co pani przez to rozumie?

Przez chwilę szukała odpowiednich słów.

– Sama mam córkę. I syna, więc wiem, na czym polega miłość macierzyńska, której matka nigdy mi nie okazała.

– Miała pani do niej o to żal?

Skinęła głową.

– Powiedziała jej pani o tym?

– Oczywiście. Wykrzyczałam jej to nie raz, jeszcze kiedy chodziłam do szkoły średniej. Kłóciłyśmy się często, ale zawsze miałam wrażenie, że to tylko ja muszę się wykrzyzczeć. Jej było wszystko jedno.

– Co pani jej wtedy mówiła?

– Prawdę.

– To znaczy?

Zamyśliła się.

– Teraz jest mi za to wstyd – szepnęła. – Nie wiem, skąd miałam w sobie tyle odwagi, żeby powiedzieć jej to prosto w twarz.

– Co?

– Że mnie nie kocha, że liczy się dla niej tylko moja siostra.

– I co ona na to?

– Zasłaniała się w kółko tym samym argumentem.

– Jakim?

– Że wyolbrzymiam, jak zwykle, że źle ją oceniam i że ona wcale taka nie jest. Ale z drugiej strony nawet po kłótni nie potrafiła się zmienić. Nigdy nie okazywała mi uczuć. A ja tego nie rozumiałam. No bo skoro nie kochała mnie, to dlaczego potrafiła kochać moją siostrę? Co ja jej takiego zrobiłam?

Spojrzała na Piotra oczami pełnymi łez.

– Wróćmy do okresu, kiedy zaczęła się pani nią zajmować.

– To za dużo powiedziane – zaprotestowała. – Po prostu przychodziłam trzy razy w tygodniu do nich, siedziałam z matką, czytałam jej książkę, z której i tak nic nie rozumiała, prasowałam jej ubranie. Siostra odwalala całą resztę, tę najgorszą.

– To znaczy?

– Mycie, zmienianie gaci i karmienie. Zwłaszcza karmienie było fatalne. Matka wszystko wypluwała, nic jej nie smakowało... Ale oszczędzę panu szczegółów.

– Czy w tym czasie próbowała pani z nią rozmawiać?

– Niby jak?! Przecież do niej już nic nie docierało!

– Rozumiem, ale mimo wszystko może chciała pani to z siebie wyrzucić w jej obecności.

– Pewnie chciałam. Ale to nie jest takie proste.

– Czy decydując się na tę opiekę, chciała ją pani w pewien sposób ukarać? To była forma zemsty?

– Myślałam o tym. Ale nie sądzi pan, że wtedy powinnam odmówić pomocy przy niej?

– Przeciwnie. Zastępując jej ukochaną córkę, czyli pani siostrę, może chciała pani jej coś pokazać?

– Nie wiem. Ale miałam wyrzuty sumienia.

– No właśnie.

– Wie pan, podświadomie szukałam w sobie winy, powodu, dla którego matka mnie odrzuciła.

– I co? Udało się go pani odnaleźć?

– Nie. Do końca życia będę się z tym zmagać.

– Często pani o tym myśli?

– Nie. Ale kiedy już mnie te myśli atakują, są bardzo bolesne. Nie mogę spać, nie umiem się na niczym skupić. To wszystko mnie dręczy.

– Kiedy pani matka umarła?

– Dwa lata temu, mówiłam już panu. Pochowałyśmy ją z siostrą, patrzyłam na trumnę z jej ciałem, którą spuszczali do grobu, myślałam, że to pozwoli mi o niej zapomnieć. Niestety. Nie potrafię wyjść z okresu żałoby, choć minęło już tyle czasu. Nadal wszystko rozpamiętuję. Wie pan, co jest najgorsze? Pustka, która po niej została i której kompletnie się nie spodziewałam. Nigdy nie potrzebowałam jej za życia, nie dzwoniłam, nie odwiedzałam. Ale kiedy umarła, poczułam, że strasznie mi jej brakuje. Życie jest dziwne. Nigdy sobie nie daruję, że nie pogodziłyśmy się jakoś, że nie było między nami normalnych stosunków.

– Co pani mówi o niej swoim dzieciom?

– Że była wspaniała.

– Przecież to kłamstwo.

– Nie. To konieczność. Ja także chcę w to uwierzyć. Tworzę jej obraz na nowo, konstruuje nowego człowieka. – Uśmiechnęła się do swoich myśli.

– W tych opowieściach jest ona zapewne matką, o jakiej pani marzyła? – zapytał.

– Skąd pan wiedział? Bawię się tymi bajkami. Powtarzam je w kółko, aż zaciera się granica między prawdą a fikcją. Moja matka jest cudowna i bardzo mnie kocha.

– Po co to wszystko? – drążył.

– A po co są bajki? Żeby w nie wierzyć i dzięki temu poczuć się lepiej, chociaż przez chwilę. Myśli pan, że zwariowałam?

– Nie, ale takie zabawy mogą być niebezpieczne.

– Co ma pan na myśli?

– Boję się, że w pewnym momencie przestanie pani tę bajkę kontrolować.

– I co? Stracę kontakt z rzeczywistością, tak?

– Trzeba żyć życiem, a nie mitem – wyjaśnił. – To trudne, ale zdrowsze dla naszej psychiki niż karmienie się kłamstwem, iluzją, która nigdy się nie spełni.

– Nie potrafię. Czy pan wie, że chciałam odejść?

– Odejść...? Skąd?

– Z życia. Niech pan tak na mnie nie patrzy. Nie myślałam o samobójstwie, aż tak odważna nie jestem.

– Więc o jakim odejściu pani mówi?

– Chciałam zostawić rodzinę i wyjechać na drugi koniec świata, na misję katolicką. Wie pan, zakonnice bezhabitowe. Takie same kobiety jak ja, które normalnie żyły, miały rodziny i nagle poczuły w sobie powołanie.

– I pani poczuła powołanie?

– Tak mi się wydawało. Zgłosiłam się nawet do naszego proboszcza. Pokierował mnie dalej, bo się okazało, że trzeba mieć komplet badań psychiatrycznych, żeby nie było wątpliwości, że pod czaszką wszystko w porządku.

– Nie wiedziałem.

– No właśnie. Powiedziałam mężowi, też nie uwierzył. Pokazałam mu skierowanie od księdza na badania. Podarł je i powiedział, że mam przestać się wygłupiać, że moje miejsce jest przy dzieciach i że on się nie zgadza na żadne wyjazdy.

– I to pani wystarczyło?

– Podobało mi się, że tak o mnie walczył, że zależało mu. Nawet jeśli chodziło tylko o mój rosół, najlepszy na świecie. Zawsze to jakiś powód, prawda?

– A siostra?

– Nie mamy ze sobą kontaktu.

– Dlaczego?

– Nie mamy o czym rozmawiać. Ona ma inny obraz matki w pamięci, nie możemy się dogadać. Kiedy jej słucham, to mam wrażenie, że mówimy o zupełnie innej osobie. Ona nawet kiedyś odruchowo powiedziała: „Wiesz, moja mama...”. Tak jakby zapomniała, że mamy tę samą matkę, że to jedna i ta sama osoba. Kiedy się zorientowała, zrobiło jej się głupio. Nie wiem właściwie dlaczego. Przecież ona była inna dla każdej z nas. I moja siostra o tym wiedziała...

Urwała nagle.

– Słyszysz pan to? – zapytała niespodziewanie.

– Telefon – odpowiedział. – Nie wyłączyła pani komórki.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi. Proszę odebrać.

Rozwiązała dzinsowy worek, który służył jej za torebkę, i wyjęła telefon. Spojrzała na ekran i widząc, kto dzwoni, rozłączyła się i wrzuciła komórkę z powrotem do worka.

– Nie uwierzy pan – powiedziała, patrząc na Piotra.

– W co?

– Zadzwoił ktoś, o kim rozmawialiśmy i z kim nie mam ochoty się kontaktować.

– Siostra? – zapytał. – Dlaczego pani nie odebrała?

– Bo nie chcę z nią gadać, już przecież to panu mówiłam.

– Wciąż łączy was wspólna matka. Może jednak warto się na nią otworzyć?

Patrzył, jak zawiązuje worek jasnym żeglarskim sznurkiem, tuż przy samych szelkach.

– Czy może mi pan przepisać coś na sen, zanim wyjdę? – zapytała.

– Przykro mi, nie mam takich uprawnień.

Skinęła głową.

– Szkoda.

– Proszę pójść do lekarza.

– Tak zrobię. Do widzenia...

– I proszę umówić się w recepcji na kolejną wizytę – zaproponował.

– To nie będzie konieczne. – Pokręciła głową, podchodząc do drzwi.

– Jest pani pewna?

– Chciałam się wygadać przed kimś obcym. I tyle.

– Mimo wszystko nalegałbym...

– Do widzenia, panie Piotrze.

Miał poczucie niedosytu, niesmaku, jaki pozostawiała po sobie każda osoba, która nie chciała do niego wracać. Jedyne, co mógł w takiej chwili zrobić, to życzyć jej w myślach jak najlepiej. Tak też zrobił, otwierając torbę, z której wyjął paczkę swoich ulubionych cukierków z gorzkiej czekolady.



– Piotr, jak myślisz, powinnam zmienić kolor włosów?

– Nie wiem.

– A może je wyprostuję, co o tym myślisz? Piotr, słuchasz mnie w ogóle?

– Słucham.

– Więc dlaczego nic nie mówisz?

– Bo się na tym nie znam – odpowiedział z rozbijającą szczerością.

– Ale spójrz na mnie. Jak wyglądam?

Przeczesała dłonią włosy, które miękko opadły jej na ramiona.

– Świetnie – odpowiedział.

– Aha. A konkretnie?

– Ale że co?

Nie rozumiał, o co jej chodziło. Nie pierwszy raz zresztą.

– No, czy podoba ci się moja fryzura?

– Oczywiście.

– Oczywiście tak? Czy oczywiście nie?

– Oczywiście, że tak.

– Ale ja czuję, że coś jest z moimi włosami nie tak. Nie układają się tak jak dawniej, albo gorzej, moja twarz tak się zmieniła, zestarzała, że ta fryzura już mi nie pasuje.

– Co ty opowiadasz?

– Mówię, co widzę.

Stała przed lustrem w przedpokoju. Patrzyła na siebie z mocno niezadowoloną miną.

– Widzisz? – zapytała, podnosząc włosy do góry i upinając je niedbale w kok.

– Widzę piękną, długą szyję – odpowiedział, całując ją w kark.

– Przestań.

– Mówię tylko prawdę.

– Ciekawe, że ja widzę to zupełnie inaczej. Przypatrz się uważnie, Piotrze. Starzeję się, a ta fryzura tylko dodaje mi lat.

– Nieprawda.

– Tak mówisz, bo nie chcesz mnie skrzywdzić, ale ja wolę prawdę.

– Przecież mówię prawdę...

– Do cholery, przestań wreszcie kłamać! – Zezłościła się.

– O co ci znowu chodzi?!

– Znowu...?

W oczach jej pociemniało.

– Przepraszam, tak mi się wyrwało...

Weszła do kuchni szybkim, nerwowym krokiem.

– Przyznaj, że jest ci wszystko jedno. Jest ci wszystko jedno, jak wyglądam. Nieważne, czy mam krótkie czy długie włosy. Co cię to w ogóle obchodzi...

– Obchodzi.

– Tak?! Skoro cię to obchodzi, to powiedz mi, w jakich jest mi lepiej?



– W tych, które masz teraz – odpowiedział bez zastanowienia.

– Jesteś pewien?

Skinął głową.

– W takim razie idę do fryzjera.

– Dobrze, idź.

– Aha, jest ci wszystko jedno?

– Boże, nie wiem, nie mam pojęcia, tak mną zakręciłaś, że nie wiem, co mam powiedzieć.

– Bardzo ci dziękuję.

– Nie dramatyzuj! Czy nie wystarczy ci moje zapewnienie, że podobasz mi się taka, jaka jesteś? Co mam zrobić?!

– Powiem ci, co masz zrobić – stwierdziła gwałtownie. – Zainteresuj się tym, jak wygląda twoja żona. Spójrz na mnie od czasu do czasu, zatrzymaj na mnie wzrok. Jesteś w stanie to zrobić?

– Tak. Myślę, że tak...

– To dobrze. Nie zapominaj, że oprócz tego, że jestem twoją żoną, to nadal jestem kobietą. A każda kobieta bardzo tego potrzebuje. Chcesz kawy?



Szli w milczeniu ulicą. Joanna obojętnym wzrokiem patrzyła na wystawy sklepów, które mijali. Piotr szedł kilka kroków za nią, głęboko zadumany i odległy. Trzymał w dłoniach siatkę z szarlotką, którą dostali od jego matki. Ciasto zapakowane było w szary papier i przewiązane jasnym sznurkiem.

Było letnie niedzielne popołudnie. Wysiedli z tramwaju kilka przystanków wcześniej, żeby przejść się po mieście.

– Boże, jakie straszne pustki – zauważyła Joanna, ziewając. – Cała Warszawa wyjechała nad jeziora i łąki.

– Jutro w tym miejscu o tej porze nie będzie można spokojnie przejść ulicą.

– Piotr, dlaczego my nie pojedziemy gdzieś na wieś, jak wszyscy?

Zatrzymała się i odwróciła w jego stronę. Kamienica, pod którą stali, rzucała na jego jasną koszulę szary, zimny cień.

– Nie lubisz wyjeżdżać – odpowiedział. – Zawsze powtarzasz, że ten spokój niedzielnego miasta bardzo cię relaksuje.

– Naprawdę tak mówię? – przekomarzała się z nim. – W takim razie musimy to zmienić. Tu jest nudno.

– Niedziele z reguły są nudne. Nie można przecież pracować bez przerwy.

Za ich plecami przejechał właśnie zupełnie pusty autobus. Kierowca, wbrew temu, co mówią przepisy, otworzył automatyczne drzwi do swojej kabiny, by w ten sposób ochłodzić się wiatrem.

– Mam już dość tych ciągłych wizyt u twoich rodziców – powiedziała, wciskając żółty przycisk na przejściu dla pieszych. – Nie uważasz, że jesteśmy już na to trochę za starzy?

– Nie sądzę, żeby z tego w ogóle można kiedykolwiek wyrosnąć.

– Oczywiście.

– Poza tym myślałem, że lubisz ich odwiedzać.

– Bo lubię – potwierdziła. – Ale nie tak często.

– Przecież nie bywamy u nich co niedzielę.

– Tylko co drugą.

– Nieprawda.

Przechodzili przez pasy, miejscami już całkiem wypłowiałe.

– Piotr, jesteś od nich uzależniony, a w twoim wieku to wygląda bardzo dziwnie. Spójrz na siebie. –

Wskazała palcem na szarlotkę, którą trzymał w ręku. – Nawet ciasto od nich zabierasz do domu, jakbyś był małym chłopcem.

– Nie chciałem, żeby mamie było przykro.

– A, właśnie – syknęła zza ramienia. – O czym rozmawialiście w kuchni tak długo?

– Nie pamiętam.

– To przypomnij sobie.

Westchnął głęboko.

– O czymś, czego nie chcesz usłyszeć – wyjaśnił po chwili.

– Niech zgadnę: o wymianie paneli podłogowych w naszej sypialni?

– Skąd wiedziałaś?

– Bo twoi rodzice już mi o tym mówili ostatnim razem. Boże, ja tego dłużej nie wytrzymam!

– Nie rozumiem cię – wyznał, przepuszczając ją w wąskim przejściu pod rusztowaniem ustawionym przy księgarni, którą mijali. – Przecież oni to robią z dobrego serca. Nie widzisz, że chcą nam pomóc? Mama widziała w jakimś sklepie promocję na drewniane panele podłogowe i pomyślała o nas, co w tym złego?

– Ale ja chcę sama o tym decydować, rozumiesz?

– Nikt nie decyduje za ciebie! Mama zapytała po prostu, czy o tym myślimy.

– I co jej powiedziałaś?

– Że muszę podjechać z tobą do tego sklepu i zobaczyć te panele. Przecież dobrze wiesz, w jakim stanie jest nasza podłoga.

Spojrzała na niego szklanym wzrokiem.

– Ojej, czy musimy psuć sobie nastrój w tak piękny dzień? – bronił się. – Przecież jest niedziela, ptaki śpiewają, a ty szukasz problemów na siłę.

– Ja nie szukam problemów, one same się pojawiają.

– Spójrz na to z innej strony.

– Nie potrafię, Piotr – stwierdziła, skręcając w uliczkę, gdzie znajdował się ich blok. – I nie chcę, żeby ktoś podejmował za mnie wszystkie decyzje. Źle się z tym czuję.

– Dobrze – zgodził się.

– Mówisz tak, bo chcesz mieć święty spokój, a nie dlatego, że przyznajesz mi rację.

– Boże! – jęknął.

Przystanąła i zmierzyła go lodowatym wzrokiem.

– Słucham...?

– Będzie tak, jak zechcesz, Joanno – powiedział z kamienną twarzą, niewyrażającą żadnych emocji. – Czy możemy już wejść do środka?



– To przez ciebie taka jestem, ty mnie prowokujesz do kłótni, do tego wszystkiego.

– Uspokój się.

– Nigdy taka nie byłam, dopóki nie spotkałam ciebie, rozumiesz?

– Rozumiem.

– Nic nie rozumiesz. I powiem ci więcej, nikt tak na mnie nie działa jak ty. Nikt nie doprowadza mnie do szału; czuję, że spychasz mnie na krawędź wytrzymałości, że dalej jest już tylko śmierć.

– Nie mów tak.

– Bo co? Nie chcesz usłyszeć prawdy? Czy to przypadkiem nie ty jesteś psychoterapeutą? Głupio ci słyszeć to z ust własnej żony?

– Nie jest mi głupio, jestem po prostu przerażony...

– I bardzo dobrze! Ciekawa jestem, jak zamierzasz mi pomóc.

– Jeśli potrzebujesz ...

– Terapii?! To chciałeś powiedzieć? Tak wiem, muszę szukać pomocy u kogoś innego, kogo mi polecisz?

– To nie tak.

– Zastanów się, co dla ciebie jest ważne, najważniejsze, Piotrze.

– Ty. Tylko ty.

– Nie wierzę ci. Już ci nie wierzę!

– Dlaczego? Co ja takiego zrobiłem?!

– Nie kochasz mnie, nie szanujesz – wyliczała.

– Kocham...

– Nie okazujesz tego.

– Przepraszam.

– Przestań – fuknęła gniewnie.

Piotr powiódł dookoła bezradnym wzrokiem.

– Więc co mam zrobić?

– Nie wiem. Nie jestem encyklopedią, nie znam odpowiedzi na to pytanie, to raczej ty powinieneś mi powiedzieć, co ja mam z tym zrobić? Jak żyć z mężczyzną, który tylko udaje, że mnie kocha, który tylko mówi, że jestem dla niego najważniejsza. To tylko słowa.



– A więc to jednak prawda?

Spojrzała na Monikę, której oczy schowane były pod wielkimi okularami chroniącymi ją od słońca. Wysokie drzewa akacji, kwitnące właśnie białym puchem tuż nad ich głowami, rzucały głęboki cień na alejkę, którą szły w stronę stawu.

– Który miesiąc?

– Czwarty.

Joanna zatrzymała się. W głębi duszy liczyła na to, że siostra zaprzeczy, że zdementuje plotki. Tymczasem wyglądało na to, że już za kilka miesięcy powita na świecie małego człowieka, którym trzeba będzie się zaopiekować.

– Jesteś w czwartym miesiącu?!

– No mówię przecież.

– Boże, Monika! Dlaczego...?

– Dlaczego: co?

– Dlaczego nic mi wcześniej nie powiedziałaś?

Siostra westchnęła.

– Bo nie byłam pewna.

– Ale kiedy widziałyśmy się ostatnio, to już wiedziałaś, tak? – Joanna nie kryła wściekłości.

– A co by to zmieniło?

Właściwie miała rację. Informacja o ciąży nie zmieniłaby niczego.

– Nie licz na to, że pomogę ci w czymkolwiek – syknęła Joanna.

– Nie obawiaj się. – Monika oparła się o balustradę okalającą staw. – Nie liczę na twoją pomoc, siostrzyczko.

– Nie to chciałam powiedzieć...

Ugryzła się w język. Nie popierała wyborów Moniki, ale nie potępiała jej przecież. Aż tak źle jej nie życzyła. Była tylko zła na samą siebie, że w porę nie zadziałała, nie ostrzegła jej przed tym całym Tadeuszem, nie uchroniła przed życiem rojącym się od ciemnych zaułków. Złapała się na tym, że zupełnie niepotrzebnie obwinia się za jej niepowodzenia. W końcu Monika była dorosła.

– I co teraz zamierzasz zrobić?

– Zamierzam zostać matką. – Monika pogłaskała się po brzuchu, który był zupełnie płaski.

– To wiem, ale co dalej?

Zamiast odpowiedzieć, kobieta spojrzała przed siebie na staw, po którym leniwie pływały kaczki. Jedna z nich zanurzyła właśnie głowę.

– Wracasz do mamy?

– Tak.

– To dobrze – skonstatowała Joanna ze spokojem.

– Dlaczego?

– Będzie ci tam łatwiej. Warszawa to nie jest odpowiednie miejsce do wychowywania dzieci.

– Mówisz tak, jakbyś miała o tym jakieś pojęcie.

– Może nie osobiste, ale moje koleżanki z pracy mają tu dzieci i uwierz mi, wiem, co mówię. Tutaj nawet na miejsce do przedszkola czeka się miesiącami.

– Za to u nas przedszkola w ogóle nie ma.

– I bardzo dobrze – skwitowała Joanna. – Dziecko powinno wychowywać się z babcią i mamą, a nie wśród obcych.

– Wszystko mi jedno – powiedziała Monika, rzucając kamyk do stawu – To nie jest to, o czym marzyłam, ale teraz nie mam już wyjścia.

– A on? Jak zareagował, kiedy powiedziałaś mu o ciąży?

– Tak jak każdy porządny facet.

– To znaczy?

– Powiedział, że będzie płacił. – Znow westchnęła. – I obiecał wykupić dla mnie i dla dziecka najkorzystniejszą polisę.

– Przynajmniej tyle.

– Też się cieszę.

Joanna patrzyła na nią i nie mogła uwierzyć, że ma przed sobą tę samą kobietę, z którą rozmawiała niecały miesiąc temu. Teraz, kiedy przetoczyły się przez nią wszystkie problemy, była zupełnie inną Moniką. Straciła dawny optymizm i wigor, a miejsce naiwnej wiary zastąpiła wątpliwość, tak bardzo widoczna na jej twarzy.

Siostra przesunęła okulary na czoło i zamknęła na chwilę oczy.

– Boże, jak tu pachnie – powiedziała z zachwytem. – Dopiero teraz czuję wszystkie kwiaty, to przez te hormony.

Joanna wciągnęła mocniej powietrze, ale poza mało przyjemnym zapachem wody ze stawu nie czuła absolutnie nic.

– Będzie ci trudno na początku – stwierdziła. – Ale mama ci przecież we wszystkim pomoże.

– Po co to powiedziałaś?

Spojrzała na nią zaskoczona.

– Po co podkreślasz bez przerwy, że będzie mi trudno?

– Przepraszam... – Joannie zrobiło się głupio. – Masz rację...

– Myślisz, że jesteś najmądrzejsza? Może i jesteś, ale to nie znaczy, że masz mnie upokarzać. Już wystarczająco dostałam od życia w dupę. Ale powiem ci jedno, że gdyby czas się cofnął, to zrobiłabym dokładnie to samo. Dla tych kilku chwil szczęścia, warto było.

„Ciekawe, co powiesz, jak trzeba będzie cztery razy w ciągu jednej nocy wstawać do płaczącego dziecka?”, pomyślała Joanna, ale nie miała odwagi powiedzieć tego głośno. Po raz pierwszy przyznała Monice absolutną rację.

– Gdybyś czegoś potrzebowała... – jęknęła łamiącym się głosem, zapomniawszy, że zaledwie chwilę wcześniej powiedziała coś dokładnie odwrotnego. – Ja zawsze ci pomogę.

– Nie potrzebuję twojej pomocy i w ogóle na nią nie liczę.

– Nie mów tak.

– Chciałam się z tobą spotkać właściwie tylko po to, żeby się pożegnać. – Nasunęła ciemne okulary z powrotem na nos. – Już tu nie wrócę, a ty przecież nie jeździsz do nas.

– Wyjeżdżasz z Warszawy?

– Mówiłam przecież.

– Ale teraz?! Myślałam, że wrócisz do mamy dopiero na czas porodu.

– Po co mam tu siedzieć? – Monika wzruszyła ramionami.

– A twoja praca...?

– Mam w dupie pracę. Za porozumieniem stron.

– Monika, nie powinnaś...

– Tadeusz będzie mi płacił, a ja nie chcę tych pieniędzy marnować na czynsz za mieszkanie, które wynajmuję w tym cholernie niegościnnym mieście. Wolę je odłożyć na łóżeczko.

– Przynajmniej rozsądnie – przyznała.

– No widzisz! – Uśmiechnęła się Monika. – W końcu i ja się tego nauczyłam. Lepiej późno niż wcale.

Do Joanny właśnie dotarło, że Monika już nigdy nie wróci do Warszawy, że nie będzie mogła się z nią spotkać na kawie czy w parku, tak jak teraz. Zrobiło jej się właściwie żal. Niby nigdy nie były blisko, nie tęskniła za jej obecnością, ale w obliczu jej ostatecznego wyjazdu poczuła się dziwnie. Przez chwilę pomyślała nawet, że samotne macierzyństwo siostry mogłoby je w końcu zbliżyć do siebie, chociaż mogło też być dokładnie odwrotnie.

– Wiesz – podjęła po chwili Monika. – Nigdy nie przypuszczałam, że kiedykolwiek to powiem, ale będę za tym tęskniła.

– Za czym?

– Za naszymi spotkaniami.

Joanna poczuła, że w gardle rośnie jej gula.

– Ja wiem, że ty mnie bez przerwy pouczałaś i ogólnie nie bardzo podoba ci się to, co wyprawiam – ciągnęła. – Ale dobrze było poczuć, że ma się straszą siostrę.



– Monika...

– Wiem, staję się sentymentalna, ale to przez te cholerne hormony, mówiłam ci!

– Mi też będzie ciebie brakować – wydusiła z siebie Joanna niespodziewanie.

Monika odwróciła się do niej tyłem.

– Spotkałam ją – powiedziała cicho po chwili.

– Kogo?

– Jego żonę.

– Jak to?

Joanna patrzyła na włosy Moniki, które lekko rozwiewał wiatr. Zupełnie niespodziewanie przypomniał się jej tamten dzień z odległej przeszłości, kiedy Monika wróciła do domu cała zapłakana, bo ktoś w szkole ukradł jej worek z całkiem nowymi butami na wuef. Teraz przypomniało się jej tamto uczucie bezradności. Co można było powiedzieć w takiej sytuacji?

– Czekałam na Tadeusza w kawiarni. Umówiliśmy się, że razem pójdziemy do lekarza. Spóźniał się, wyjęłam z torebki komórkę i już wystukiwałam jego numer, kiedy stanęła nade mną...

– Boże...

– Podniosłam głowę i mówię, że zajęte, bo myślałam, że szukała wolnego miejsca w kawiarni. A ona mi na to: „Ma pani rację, to miejsce jest już zajęte”. Nie wiedziałam, o czym do mnie mówi. W końcu usiadła na krześle naprzeciwko mnie i powiedziała: „Tadeusz jest zajęty. Czy pani tego nie rozumie? Jestem jego żoną, proszę zostawić nas w spokoju”.

– No tak...

– Co miałam jej powiedzieć? Że naopowiadał mi bzdur o rozpadzie ich związku? Zatkalo mnie.

– Wcale się nie dziwię. Powiedziałaś jej?

– O czym?

– O tym. – Wskazała na jej brzuch.

– Oszalałaś?! Co by to zmieniło? Ona walczyła o niego. A ja nie chcę żadnych wojen. Wystarczy mi, że mam dziecko. Czuję jego obecność każdego dnia. To jest całe moje szczęście – powiedziała, wygładzając dłońmi fałdy sukienki. – I nikt mi go już nie odbierze. Nigdy.

Po raz pierwszy Joanna zobaczyła w oczach swojej siostry pewność siebie, której mogła jej szczerze zazdrościć. Była to pewność posiadania miłości, która mogła przenosić góry, która dawała siłę i wiarę w lepszą przyszłość. Nawet jeśli w tę przyszłość miała iść w pojedynkę.

Nie mogła uwierzyć, że dziecko może komukolwiek dać aż tyle nadziei.



– Przecież ja chciałam dla ciebie dobrze, Joasiu.

– O czym ty mówisz, mammo?

– Nie wiesz?

Głos matki w słuchawce telefonicznej był stłumiony i cichy.

– Nie mam pojęcia.

– Mówię o Jurku.

– O kim? – Joanna udawała, że go nie pamięta.

– O Jurku – powtórzyła matka. – O twoim Jurku.

– Przestań. Mamo, to było wieki temu. Przecież mam teraz męża.

– Byliście taką piękną parą, Jurek cię kochał...

– Jurek nie był... – Urwała, zorientowawszy się w porę, że chce matce oszczędzić szczegółów. – Był

innym człowiekiem, mamo.

– Co ty mówisz, Joasiu?

– Zniszczył nasz związek...

– Przesadzasz...

– Oczywiście – parsknęła. – Wiedziałam, że to powiesz.

– Bo ja nie rozumiem, dlaczego go rzuciłaś i związałaś się z kimś kompletnie obcym.

– Masz na myśli Piotra?

– Przecież byłaś w Jurku taka zakochana. Rzuciłaś go dla jakiegoś warszawiaka.

Zastanawiała się, skąd matka mogła mieć pewność, że w ogóle do Jurka cokolwiek czuła.

– Przestałaś się do nas odzywać, przepadłaś zupełnie w tym mieście. Tak się nie robi, Joasiu.

– Nie mów mi, co się robi, nie mam już piętnastu lat – broniła się. – Zresztą twoje rady nigdy nie były rozsądne. Przypominam ci, że to właśnie ty popchnęłaś mnie w ramiona Jurka.

– Ja...?! – powtórzyła wyraźnie zaskoczona.

– A kto? Ja nie byłam gotowa na związek, ale ty w kółko powtarzałaś, że samotność to najgorsza rzecz na świecie i że lepiej mieć byle kogo niż nikogo. To są twoje słowa mamo!

Matka milczała przez chwilę.

– Nie pamiętasz, jak było mi ciężko po odejściu waszego ojca? – powiedziała w końcu.

– Ale to nie jest powód, żeby pchać własną córkę w ramiona pierwszego lepszego chłopaka, który przechodził właśnie ulicą. A tak właśnie się czułam.

– Ale przecież Jurek był z porządnej rodziny, znaliśmy go.

– I co z tego?

– Wybacz, ale wyglądało to trochę inaczej. – Matka zaciekle broniła swojego stanowiska. Nadal uważała, że Joanna przy nikim innym nie była taka radosna i taka szczęśliwa jak właśnie przy Jurku.

– Bo w pewnym momencie zaczęłam cię słuchać i doszłam do wniosku, że masz rację. Nieważne kto, ważne, żeby pomógł mi uciec z tego odludzia. I powinnam ci za to podziękować, bo udało się. Przynajmniej w tym mi pomógł, bo razem dostaliśmy się na studia w Warszawie.

– No, sama widzisz.

– Nie chcę o tym rozmawiać, mamo.

– Dlaczego?

– Bo prawda jest zupełnie inna, niż myślisz.

Matka nie skomentowała tego, nie zadawała już więcej pytań. Przez krótką chwilę Joanna pomyślała nawet, że może się rozłączyć.

– Ty wiesz, że on chciał się zabić? – zapytała matka.

– Prowadził pijany i wjechał w drzewo.

– No właśnie mówię.

– To, że miał wypadek samochodowy, nie oznacza od razu, że chciał popełnić samobójstwo.

– Ale u nas wszyscy tak właśnie mówili.

– Domyślałam się – prychnęła Joanna. – I co jeszcze mówili? Że rzuciłam go i że to przeze mnie?

– Mniej więcej.

– Boże, co za obłuda! Właściwie nie zdziwiłabym się, gdyby on sam rozpuszczał takie plotki! Ciekawe, czy wtedy kiedy ojciec zostawił cię dla tamtej... – Próbowwała w myślach dobrać odpowiednie słowo, ale nie było to wcale takie łatwe. – Ciekawe, czy ludzie również plotkowali.

– Po co do tego wracać?

– Mamo, nie rozumiesz, że wy w tym miasteczku żyjecie jak w klatce? Najbardziej interesuje was życie innych ludzi. Dziwię się, że jeszcze się od tego nie podusiliście.

Nie odpowiedziała. W słuchawce słyhać było jej kroki.

– A wiesz, widziałam ją nawet ostatnio – powiedziała matka lekko drżącym głosem. – Przyjechała tu w jakichś urzędowych sprawach.

– Boże, nie mów mi tylko, że z nią rozmawiałaś!

– Sama do mnie podeszła, to co, miałam ją odgonić może?

– Tak właśnie powinnaś zrobić.

– Może w tej waszej Warszawie tak się postępuje z ludźmi, ale my tutaj jednak mimo wszystko zachowujemy się kulturalnie.

– I co ci powiedziała? – zapytała Joanna, nie chcąc wdawać się w niepotrzebną dyskusję.

– Przeprosiła mnie.

Nigdy wcześniej Joanna nie słyszała tej historii. W ogóle rzadko rozmawiały o ojcu i o jego odejściu. Matka wiedziała, że Joanna ma do niej o to żal i że to ją obarcza całą winą. Nigdy do tego nie wracały. Aż do tej rozmowy.

– Że co...?

– Też się zdziwiłam. Powiedziała, że żałuje, że pozwoliła mu od nas odejść i zamieszkać z nią, że to było głupie i że dopiero teraz to widzi, kiedy sama ma męża i dzieci. Boże, przecież ona wtedy była niewiele starsza od ciebie, Joasiu. Ojciec kompletnie zwariował na jej punkcie.

– A ty mu na to pozwoliłaś, mamo – syknęła.

– On oszalał. Nie pamiętasz, jak się zachowywał?

– Pamiętam tylko, że jeszcze spakowałaś mu walizkę.

– Ale tylko jedną! Resztę pakował sam.

– Mamo...

– Nie dało się z nim rozmawiać, nie słuhał. Myślał, że znowu ma dwadzieścia lat i że życie zacznie się od początku. Nie spodziewał się, że pół roku później zachoruje i umrze. Właściwie to nawet mi go szkoda. Nie zdążyliśmy się nawet rozwieść...

– Szkoda ci go?! Naprawdę?

– Naprawdę.

Joanna przestała tłumić gniew. Była wściekła na matkę o ten brak klasy, brak honoru, brak godności. Miała tego powyżej uszu. Czy jej matka naprawdę nie mogłaby chociaż w takiej sytuacji okazać dumy i wyższości? Pogardy dla tamtej kobiety? A ojciec...

– Boże, mamo, nie rozumiesz, że tego wszystkiego można było uniknąć? Umarł na serce, bo nie powinien się tak denerwować, a tamta... siksa miała to w nosie. Jak mogłaś w ogóle pozwolić mu na to wszystko?!

– A ty myślisz, że ja jestem kierownikiem świata? Przecież losu nie odwrócę, co ma być, to będzie.

– Co za głupie powiedzenie! Co za bzdura! – Joanna krzyczała w słuchawkę. – Przecież to my jesteśmy odpowiedzialni za nasz los, to my nim kierujemy, a nie jakieś biuściaste panienki, które podkradają nam mężów, kiedy my kroimy ogórki na kolację!

Matka nic nie odpowiedziała.

– Zmieniłaś się, Joasiu. Bardzo się zmieniłaś.

– Skąd to możesz wiedzieć?

– Słyszę. Tylko córki potrafią być takie okrutne wobec swoich matek. Synowie są po prostu wdzięczni, zachowują się normalnie. A córki obarczają własne matki wszystkimi swoimi niedoskonałościami.

– Ja tego nie powiedziałam, mam – broniła się, ale czuła, że rozmowa zabrnęła już za daleko.

– Nie musisz – odpowiedziała matka ze spokojem. – Ja to czuję, a ty to wiesz. I nigdy tego nie zmienimy.

– Najlepiej, jeśli po prostu nie będziemy wracać do tego, co było – zaproponowała Joanna.

– To nie takie proste, moje dziecko. A poza tym ty zawsze będziesz mieć do mnie o to pretensje. Taka jest twoja rola. Tylko ja ci zostałam, więc nie krępuj się, używaj sobie do woli.

– Mammo...

– Wiem jedno, że już nigdy więcej do mnie nie zadzwonisz, jestem tego pewna. Monika będzie ze mną, więc już nawet nie będziesz miała okazji, żeby zapytać, co u mnie.

– Przeciwnie – odpowiedziała szybko. – Chcę wiedzieć. I na pewno zadzwonię.

– Obiecujesz?

W głosie matki dało się słyszeć nadzieję, podszytą wyraźną niepewnością.

Nie miała ochoty dłużej dręczyć ani jej, ani siebie. Widocznie przyszedł czas, kiedy takie sprawy przestawały już spędzać jej sen z powiek. Należało zapomnieć i wybaczyć. I tego właśnie Joanna zamierzała dokonać.

– Zadzwonicie, kiedy urodzi się mój siostrzeniec – powiedziała kamiennym głosem.

– Lub siostrzenica – dodała matka. – Zobaczysz, dziecko wszystko zmieni. Dzieci zawsze zmieniają świat na lepsze.

– Już nie mogę się tego doczekać.



Okno w ich sypialni było lekko uchylone. Wiatr delikatnie szarpał firanką, która, wybrzuszona w szparze między futryną a parapetem, próbowała wydostać się na zewnątrz.

Spał jak dziecko, spokojnie i cicho. Poprzedniego dnia miał ciężką przeprawę z pacjentem, który zamiast terapeuty widział w nim swojego sąsiada, tego, który bez przerwy podgląda go przez dziurkę od klucza.

– Niech pan na mnie nie patrzy. Dlaczego pan na mnie patrzy? – szeptał mężczyzna bezsilnie.

– Jestem...

– Wiem, kim pan jest.

– Jestem pańskim psychologiem – powiedział Piotr. – Niech pan na mnie spojrz.

Wyprostował się w fotelu; patrzył z uwagą na pacjenta, który zaczynał się trząść.

– Może wody? – zaproponował, ale mężczyzna zaprzeczył.

– Niech pan nie udaje. Doskonale wiem, kim pan jest, pan jest jednym z nich.

– To znaczy kim?

– Pan mnie obserwuje.

– Jestem pana terapeutą, mam na imię Piotr. Czy pan mnie poznaje?

– Tak. Teraz poznaję.

– Pamięta pan, w jakim celu odwiedza pan mój gabinet?

– Nie. To znaczy tak. – Poprawił się szybko. – Nie jestem wariatem.

– Nie jest pan.

– Ja tylko czasem mam takie myśli niedobre...

– Panie Robercie...

Zastanawiał się, jak mu o tym powiedzieć, by nie urazić jego wrażliwości, kruchej jak szklanka z bardzo cienkiego szkła. Nie chciał go zranić, nie chciał zniechęcić do dalszego leczenia, które w jego przypadku wydawało się niezbędne.

– Panie Robercie, muszę być z panem szczerzy – powiedział w końcu. – Pan potrzebuje znacznie większej pomocy, niż mogę panu zaoferować.

– Tak...?

– Jestem tylko psychologiem, a pan potrzebuje specjalisty, lekarza. Ma pan psychozę maniackalną, to się leczy, a ja nie mogę panu przepisać żadnych leków. Powinien pan jak najszybciej pójść do psychiatry, ja oczywiście pomogę panu znaleźć odpowiedniego fachowca.

– Panu się tylko wydaje, że pan pomaga ludziom – odburknął mężczyzna. – Pan jest od wyciągania pieniędzy.

– Przykro mi, że tak pan to widzi.

– Tylko traciłem tu czas.

– Nie do końca. Mamy pełny obraz zaburzeń, na które pan cierpi i które nie pozwalają panu na normalne funkcjonowanie. Zgadza się pan ze mną?

Mężczyzna był zażenowany, ale zgodził się z opinią Piotra.

– Proszę być ze mną szczerym – poprosił mężczyzna, ocierając spocone czoło otwartą dłonią. – Czy ze mną jest bardzo źle?

– Najważniejsze, że chce się pan dalej leczyć, prawda?

– Tak.

– Ten problem dotyczy bardzo wielu osób.

– Ale ja chcę być zdrowy. Chcę normalnie żyć.

– To dobrze. Lekarz, do którego pana skieruję będzie w stanie panu pomóc lepiej niż ja. Proszę. – Podał mu kartkę z odręcznie napisanym adresem. – To gabinet jednego z najlepszych psychiatrów w mieście. Będzie pan zadowolony.

Teraz poczuł na ramieniu dotyk Joanny.

– Wstawaj – powiedziała, całując go w czoło. – Już dziewiąta.

– Tak późno?! – Zerwał się.

– Spokojnie, dzisiaj jest przecież sobota.

– Boże, jestem kompletnie nieprzytomny.

– Prosiłeś, żeby obudzić cię rano. Próbowałam – wyjaśniła, stawiając przy łóżku filiżankę kawy.

– Chciałem wstać wcześniej, żeby trochę poczytać. Przyniosłem wczoraj z kliniki kilka książek.

– Piotr, jest weekend, odpocznij – powiedziała troskliwie. – Napij się kawy, a potem zapraszam do kuchni na jajecznicę ze szczypiorkiem.

– Tak zrobię – odpowiedział szybko. – A potem muszę chwilę poczytać. Miałem wczoraj ciekawy przypadek i powinienem przypomnieć sobie kilka rzeczy.

– Za dużo pracujesz. Szkoda, że nie przekłada się to na pieniądze.

– Kochanie, jestem dopiero na początku kariery.

– Wiem, wiem. Ale nie uważasz, że powinni wam więcej płacić? Może lepiej, gdybyś się od nich odłączył i otworzył własny gabinet?

– Na taki krok jest zdecydowanie za wcześnie.

– Dlaczego?

– Bo sam jeszcze się uczę. A taki zespół terapeutyczny to świetna szkoła.

– Może masz rację? – Przeczesała dłonią jego rozczochrane włosy. – Wstawaj już. Czeka na ciebie



w kuchni.



Tamtego dnia pojechała do centrum, do urzędu, z teczką wypchaną dokumentami.

– Pani Joanno, mogę panią prosić o tę przysługę, prawda? Szef spojrział na nią oczami dziecka, którym nie umiała odmówić.

– Oczywiście – odpowiedziała zza biurka.

– To świetnie. Poza tym ostatnim razem też zawoziła pani te dokumenty, więc wie pani co i jak. Niestety nie możemy ich wysłać pocztą.

– Rozumiem. Tylko kiedy, panie prezesie?

– Najlepiej teraz, pani wie, jak oni nas cisną! – Szef rozpiął kołnierzyk pod szyją. – Zamówię pani taksówkę.

– Nie trzeba – zaprotestowała. – Autobusem to tylko kilka przystanków.

– Jest pani pewna?

– Oczywiście.

Spakowała teczki z dokumentami do plastikowej torby.

Ulica była rozgrzana słońcem. Powietrze pachniało latem i świeżo parzoną kawą. Autobus przyjechał natychmiast. Joanna usiadła na miejscu przy oknie, które właśnie się zwolniło. Patrzyła na zakurzoną ulicę, tumany szarego kurzu unosiły się spod opon samochodów, które ruszały na światłach.

Załatwienie wszystkich spraw w urzędzie zajęło niecałe dwa kwadransy.

– Proszę powiedzieć szefowi, że następnym razem może przesłać dokumenty pocztą – powiedziała urzędniczka, odbierając od Joanny teczkę.

– Byliśmy przekonani, że można dostarczać je wyłącznie osobiście.

– Bo tak było do tej pory. Przepisy się zmieniły i można już przez gońca lub za pokwitowaniem na poczcie.

W głębi duszy Joannie zrobiło się trochę smutno. Urząd znajdował się zaledwie o dwie ulice od gabinetu Piotra i podczas tego typu eskapad zawsze zyskiwała okazję na wspólną, niespodziewaną kawę z mężem na mieście. Teraz miało się to definitywnie skończyć.

Postanowiła zrobić mu niespodziankę.

Wyszła z urzędu i skręciła w uliczkę prowadzącą do Mokotowskiej. Mijała właśnie kawiarnię, której stoliki rozstawione były wprost na ulicy pod wysokimi kolumnami kamienic, kiedy kątem oka dostrzegła znajome rysy. Chwilę później odwróciła się skrępowana w tamtym kierunku, spojrzała raz jeszcze i zamarła.

Najpierw zobaczyła tamtą kobietę, dopiero potem Piotra, który unosił do ust niewielką turkusową filiżankę z espresso. Siedział tyłem do ulicy, ale doskonale rozpoznała jego koszulę, którą uprasowała mu poprzedniego wieczoru. Miał na sobie lekko przetarte przy kostkach spodnie, które powinien już wyrzucić. Prosiła go, by pojechali do sklepu i kupili nowe, ale Piotr upierał się, że jeszcze za wcześnie, że bardzo jest do nich przywiązany i nie ma ochoty na zakupy.

Kobieta wciąż była młoda, w wieku Piotra, a może nawet nieco starsza. Miała na sobie biały kostium, jej długą szyję podkreślał sznur drewnianych koralików w kolorze odważnej, głębokiej czerwieni. W tym samym kolorze była zresztą jej szminka, która zostawiła na filiżance delikatny ślad.

Joanna zrobiła krok w stronę betonowego filaru, który dyskretnie ukrył ją przed ich spojrzeniem. Nie mogli jej zauważyć, za to ona widziała ich doskonale. Rozmawiali o czymś, kobieta uśmiechała się i unosiła ręce, jakby chciała mu coś wytłumaczyć. Piotr kiwał głową, ale nie słyszała jego głosu.

Stała jak wmurowana, było jej zimno, źle i przykro. W jednej sekundzie wyobraziła sobie, że ta obca kobieta zabiera jej go, że od tej chwili to ona będzie prasować mu koszulę i parzyć kawę. A on, zachwycony barwą jej głosu, będzie spijał z jej ust każde słowo, każdy uśmiech i westchnienie.

Nie miała odwagi zrobić kroku w przód ani zadzwonić do niego, ani tym bardziej podejść. Jakiś mężczyzna popchnął ją, przechodząc obok.

– Najmocniej przepraszam – powiedział, a ona nie odwzajemniła mu się ani jednym słowem.

Odeszła w stronę łuku, który rozciągał się nad wejściem do kamienicy obok. Oparła się o ścianę i zaczęła głęboko oddychać. Kamienica pachniała wilgocią, wydobywającą się z uchylonego okienka piwnicy. Patrzyła na nierówne kostki, którymi wyłożony był chodnik. Wszystko w tym miejscu było brzydkie i cuchnące, nawet słońce, które tak uwielbiała, świeciło teraz zbyt natarczywie.

Nie wiedziała, co ma robić dalej, jakby film, w którym brała udział, zatrzymał się, jakby świat chciał jej coś powiedzieć, a ona nie słyszała co. I wtedy zobaczyła ich ponownie.

Wstali od stolika. Joanna schowała się głębiej w bramie kamienicy; nie chciała, by Piotr ją zobaczył; nie wiedziała, co miałaby mu powiedzieć.

Piotr przepuścił kobietę. Była wysoka i szczupła. Na przegubie jej prawej dłoni połyskiwała delikatna, srebrna bransoletka, palce pozbawione były obrączki czy choćby pierścionka. Szli chodnikiem przed siebie jak gdyby nigdy nic. Joanna patrzyła za nimi chłodno, widziała, jak wchodzi do kliniki, w której pracował Piotr.

„Więc spotyka się z pacjentką?”, pomyślała. „A może to koleżanka z pracy albo recepcjonistka? A może szefowa, której się nie odmawia?”

Wróciła do biura i do końca dnia nie odezwała się do nikogo ani słowem, wykręcając się bólem zęba.

– Powinnaś go wyleczyć – poradziła jej koleżanka z tego samego pokoju. – Albo wyrwać.



– Joanno, twoja zazdrość jest bezpodstawna.

– To tylko słowa.

Otarła dłonią mokre policzki. Patrzyła na skorupy rozbitego talerza, którym rzuciła o ścianę.

– O Boże, co ja wyprawiam? – wydusiła z siebie szeptem.

Piotr wyjął w tym czasie z szafki pod zlewem miotłę i zamiótł skorupy na plastikową szufelkę.

– Daj, ja to zrobię – powiedziała, schylając się.

– Nie – odpowiedział jej stanowczo. – Idź do pokoju i usiądź. Zrobić ci herbaty?

– Nie chcę herbaty.

– Joanna...

– Nie chcę żadnej cholernej herbaty, słyszysz?! – znowu zaczęła krzyczeć. – Chcę, żebyś zrozumiał, że nie jestem wariatką, że może jestem zazdrosna, ale która kobieta na moim miejscu by nie była?

– Przecież powiedziałem ci, że nie masz podstaw.

– Nie wierzę ci, Piotr. Po prostu ci nie wierzę.

– Więc co mam zrobić?

– Nie wiem – parsknęła. – Ale nie przekonasz mnie, że nic cię nie łączy z tą kobietą.

Przechylił szufelkę nad koszem. Zaciśnęła powieki, słysząc dźwięk kruszonej porcelany, która spadła na dno wyłożone czarnym, plastikowym workiem.

– Wiem, że to mogło wyglądać dwuznacznie, ale byłem pewien, że sobie ufamy. – Zamknął drzwiczki pod zlewem.

– Zapewniam cię, że ty możesz mi ufać, ja nie mam nic do ukrycia.

– Ja również!

– A tanta kobieta? – Nie odrywała od niego wzroku – Widziałam was.

– Ile razy mam ci tłumaczyć, że to tylko koleżanka z pracy? Jest takim samym psychologiem jak ja, pracujemy razem i wyszliśmy w przerwie na kawę. Co w tym złego?

Odwróciła się od niego i powoli weszła do salonu. Słyszała za sobą jego kroki.

– Co w tym złego, pytasz?

– Tak! Czy ja nie mogę wyjść na kawę? Dlaczego mam się z tym kryć, do diabła?!

– Pamiętasz, jak zadzwoniłam do ciebie po spotkaniu z Moniką? – Jej głos był na powrót spokojny i opanowany.

– Pamiętam. Co to ma z tym wspólnego?

– Zaraz ci wytłumaczę. Pamiętasz, co mi wtedy powiedziałeś?

– No co takiego?

– Że jesteś zajęty, że nie masz czasu na kawki, że czekasz na pacjentkę.

– Kochanie! – przerwał jej. – Taka jest prawda. Czekałem wtedy na pacjentkę.

– A wczoraj nie musiałeś czekać? No chyba nie, skoro znalazłeś czas na wspólne wyjście z koleżanką.

– Oboje mieliśmy wolną godzinę, a kawa z naszego automatu smakuje paskudnie.

– Oczywiście. Z panią psycholog kawa smakuje za to wyśmienicie.

– Przecież sama namawiałaś mnie wtedy, żebym częściej wychodził z biura na świeże powietrze!

– Ale ze mną, rozumiesz?! Albo sam! – Pogroziła mu palcem przed nosem. – Nigdy nie mówiłam, że masz chodzić sobie na kawki z obcymi kobietami.

– Boże, to nie była obca kobieta, przecież...

– Na twoim miejscu wstrzymałabym się z takimi ocenami.

Opadł ciężko na sofę.

– O co ci chodzi tym razem?

– O to, że nawet jeśli pracujecie razem, to nadal jest to obca kobieta, Piotr.

– No przecież znamy się od dawna, nasze gabinety są obok siebie.

– A ona nadal pozostaje kobietą, Piotr. À propos, ma męża? Choć właściwie nie wiem, po co pytam, bo to i tak jest bez znaczenia.

– Masz obsesję.

– Być może. I powiem ci więcej, każda kobieta na moim miejscu tak by się zachowała.

– Więc co twoim zdaniem powinienem zrobić? Zmienić pracę?!

– To nic nie da – odpowiedziała natychmiast. – Nie ta, to będzie inna.

Wstał i podszedł do niej powoli. Stał tuż za jej plecami, czuła na karku jego oddech, wiedziała, że na nią patrzy.

– Przecież cię kocham. – Jego głos był spokojny i czuły. – Gdybym chciał cię zdradzić, nie robiłbym tego w kawiarni w środku miasta.

– Ale ja ci nie ufam...

– A powinnaś. Zapewniam cię, że nie masz najmniejszych powodów do zazdrości.

Objął jej ramiona. Była rozpalona, a jej oddech szybki i płytki.

– Musisz się uspokoić – powiedział do jej lewego ucha. – Zazdrość potrafi zamienić się w obsesję, a chyba tego nie chcemy?

– Piotr... – Głos jej się łamał. – Ja nie chcę taka być, ja nie chcę być o ciebie zazdrosna, już kiedyś to przecież przerabialiśmy.

– Wiem. – Pocałował ją w czubek ucha. – Nad tym trzeba pracować. Przecież się kochamy.

– Tak...

– I to jest najważniejsze.

– Tak.

Powtarzała za nim słowa, łykała je jak aspirynę i chciała, by uleczyły ją niczym cudowna mikstura.

– Nie mogę już dłużej znieść w sobie tej części, która nade mną panuje, która decyduje za mnie, zanim zdążę pomyśleć.

– Rozumiem.

– Ja taka nie jestem i ty to wiesz, Piotrze.

– Wiem.

– Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie, rozumiesz?

– Ale ja nigdzie się nie wybieram. Nie odchodzę od ciebie. To są tylko twoje urojenia, myśli, których nie powinnaś w ogóle dopuszczać.

– Powtórz te słowa.

– Które?

– Że ode mnie nie odejdiesz.

Obrócił ją w swoją stronę. Teraz stali twarzą w twarz, patrzył jej w oczy zmęczone łzami.

– Nigdy od ciebie nie odejdę – powiedział. – Nigdy.

Tulił ją do siebie mocno i czule, wierząc w każde słowo; mówił głośno, tak, by żadne nie umknęło. Obietnice składane po każdej kłótni, powtarzane na nowo, nabierały coraz większej mocy.

– Nigdy ode mnie nie odejdiesz...



Piotr wstał i wyszedł z za biurka.

– Pozwoli pani, że zamknę już okno. – Spojrzał na pacjentkę. – Strasznie się tu wychłodziło.

– Bardzo proszę – odpowiedziała kobieta, zakładając nogę na nogę.

Okno zamknęło się z lekkim trzaskiem. W gabinecie od razu zrobiło się cicho.

– I jak się pani teraz miewa, pani doktor? – zapytał, pocierając dłonią o dłoń.

– Dziękuję.

– Czyli lepiej?

Jej wzrok był zamglony, jakby należał do lalki, a nie do żywej osoby.

– Jestem po ciężkim dyżurze, proszę mi wybaczyć – poprosiła.

– Trzeba było przełożyć sesję...

– Nie.

Jej głos, stanowczy i oschły, odbił się pustym echem od ścian gabinetu.

– Potrzebuję tych spotkań – powiedziała już ze spokojem. – To dla mnie ważne. Nie mogę w kółko obciążać rodziny i znajomych tym...

Szukała w myślach odpowiedniego słowa, ale w końcu poddała się i machnęła ręką.

– Powiedziała pani, że dyżur był trudny.

– Nie mogę o tym rozmawiać, dobrze pan wie.

– Wiem – odpowiedział. – Ja również nie mogę rozmawiać o poszczególnych pacjentach z uwagi na szacunek do ich prawa do prywatności; jest za to wiele innych spraw, o których należy rozmawiać.

Skinęła głową bez przekonania.

– Mój ojciec jest lekarzem – powiedział. – Pamiętam, jak wracał do domu, kiedy byłem młodszy. Wyglądał, jakby na plecach niósł wielki worek, w którym targał historie chorób swoich pacjentów. Nie mógł go oczywiście otworzyć, a nam nie wolno było go o nic pytać. Teraz wiem, że to nie było dobre podejście.

– I co? – zapytała wyraźnie zaciekawiona. – Jak ojciec sobie z tym poradził? Niech mi pan tylko nie mówi, że przychodzi tu i wywnętrza się przed panem, tak jak ja.

– Nie. Nie przychodzi – odpowiedział, uśmiechając się. – Nawet gdyby chciał, nie mógłbym go przyjąć, musiałbym polecić mu innego terapeutę, z którym nie jest związany.

– I co? Jak sobie poradził z tym wszystkim?

– Po prostu. Nauczył się o tym nie myśleć. Z czasem zrozumiał, że częścią jego pracy jest zostawianie problemów za drzwiami kliniki. Nie było to łatwe, ale w końcu opanował tę sztukę do perfekcji, zresztą nie mały był w tym udział mojej matki. Pewnego dnia zagroziła, że jeśli będzie przynosił do domu smutki ze szpitala, to go zostawi. Pamiętam tę rozmowę, krzyczała, że prędzej znieś chorobę zakaźną przywleczoną z oddziału niż kolejne posępne i trudne rozmowy, które rzutowały na życie całej rodziny.

– Doskonale go rozumiem – stwierdziła, kiwając głową.

Jako małe dziecko Piotr nie rozumiał, jak to możliwe, że ojciec, zwykle taki radosny i uśmiechnięty, po powrocie z pracy wygląda jak zdjęty z krzyża. Przemiana, jaka zachodziła w nim podczas długich godzin pracy w szpitalu, fascynowała go i jednocześnie napawała lękiem. „Co tata robi w pracy?”, pytał matkę, która odpowiadała mu za każdym razem tak samo: „Leczenie ludzi to bardzo trudna praca”.

– Zaczniemy jeszcze raz – zaproponował Piotr.

– Od czego?

– Proszę mówić.

– O pracy? O mojej pracy?

– Bardzo proszę.

– Ale po co?

– Żeby nauczyła się pani z tym żyć.

Skinęła głową.

– Boże, jakie to straszne. Skończyłam medycynę, a teraz muszę uczyć się z tym żyć.

– Lekarz to nie jest zwykły zawód. Z pewnością pani o tym wiedziała.

– Co pan powie? – dogryzła mu.

– Mówią, że do tego, by być lekarzem, trzeba odkryć w sobie powołanie.

– I co jeszcze mówią?

– Że trzeba kochać ludzi. Albo przynajmniej ich lubić.

– Tak... – Pokiwał głową. – To wszystko prawda. Chce pan wiedzieć, czy kocham ludzi? Kocham. Choć jeśli miałabym być szczerą, to bardziej kocham pacjentów niż ich rodziny.

– Dlaczego?

– Bo ci drudzy wymagają ode mnie cudu, który w dodatku ma stać się natychmiast, tu i teraz.

– A pacjenci?

– Pacjentom wystarcza, że się nimi zajmuję. Są ufni na tyle, by nie zawracać mi głowy cudami i innymi



zaklęciami. Dietami, magicznymi roślinami, które odwrócą zły los. Boże...

– Nie może im pani tego zabronić, skoro to im pomaga.

– Nie zabraniam – sprostowała. – Niech sobie sprowadzają korzonki z drugiego końca świata, za które płacą majątek, ale niech mnie nie pytają, co ja o tym sądzę. Czasem wydaje mi się, że nie zniosę kolejnego pytania o cukier, że nie wytrzymam, wybuchnę i oszaleję.

– O... cukier? – Zdziwił się.

– Nie słyszał pan, że „cukier karmi raka”? Naprawdę nie słyszał pan o tej teorii? Ludzie ostatnio wymyślili takie hasło i uwierzyli w nie.

– A to nieprawda?

– Żartuje pan?

– Nie, dlaczego?

Odetchnęła głęboko.

– Proszę pana, gdyby to było takie proste, to już dawno nie mielibyśmy przypadków nowotworów zarówno u ludzi, jak i u zwierząt. Wystarczyłoby odstawić cukier i po sprawie, tak? A przecież na raka chorują także zwierzęta, które nie jedzą cukru, a przynajmniej nie w takiej ilości jak ludzie.

– Co pani mówi pacjentom, którzy wierzą w takie teorie?

– Że odstawienie cukru na pewno im nie zaszkodzi, ale trudno wierzyć w to, że tak prosty ruch wyleczy nas z tak skomplikowanej choroby.

– I jak oni na to reagują?

– A jak pan zareagowałby na to, że ktoś zaprzecza temu, w co pan wierzy i zabiera panu być może ostatnią deskę ratunku?

– Nie wiem, pewnie bym się załamał.

– Myli się pan. W ogóle by się pan nie załamał, boby mi pan zwyczajnie nie uwierzył.

– Jak to?

– Jedna z moich pacjentek powiedziała mi wprost: „Pani doktor, ja rozumiem, że pani musi mi to powiedzieć, bo pani jest lekarzem, a medycyna nie lubi takich naturalnych sposobów. Za panią stoją koncerny farmaceutyczne, a ja mam tylko mój podręcznik medycyny naturalnej”.

Lekarka spojrzała na Piotra przenikliwym wzrokiem.

– I jak ja mam z kimś takim rozmawiać? – zapytała. – Oświadczyła wręcz, że tak naprawdę rak już dawno byłby wyleczalny i że istnieje lekarstwo, tylko koncerny wytwarzające produkty do chemioterapii blokują jego produkcję, bo z czego by żyły? Ludzie, którzy wygadują podobne bzdury, w ogóle nie rozumieją, o czym mówią. Rak jest światowym zagrożeniem, umierają na niego i biedni, i bogaci. Ale ludzie nie chcą się z tym pogodzić, nie są w stanie pogodzić się z faktem, że naprawdę nie ma na to leku, że co prawda udaje nam się wydłużyć życie osób chorych i wiele rodzajów raka potrafimy opanować, ale nie ma na niego jednej cudownej pigułki. Wiele rodzajów guzów nowotworowych umiemy już leczyć, ale pozostają inne, wobec których wciąż pozostajemy bezsilni...

– To jest trudne do zaakceptowania.

– Bardzo. Człowiek nauczył się, że panuje nad wszystkim, że cały świat przyrody sobie podporządkował. Umiemy tresować zwierzęta, uczymy się sami, więc jak to możliwe, że nikt nie wynalazł leku? Ludzie nie chcą słyszeć, że dla ich dziecka nie ma ratunku. I ja to rozumiem.

Milczeli przez chwilę.

– Jak pani przygotowuje rodziców na taką wiadomość? – zapytał, przełamując lęk.

– Różnie z tym bywa – odpowiedziała, ku jego zaskoczeniu prawie natychmiast. – Są przypadki, że nie ma na to czasu.

– To musi być okrutne.

– Ale czy to moja wina?

– Nie, na pewno nie.

– A tak właśnie uważa większość rodziców chorych dzieci. To zarzut, który może działać tylko w jedną stronę i ja muszę się z tym pogodzić. Oni mogą mnie o to oskarżyć, ale mnie nie wolno powiedzieć czy choćby zasugerować, że to wyłącznie wina ich samych. Bo za późno zgłosili się do lekarza, chociaż sygnały od dawna wskazywały, że z dzieckiem dzieje się coś niedobrego. Jeśli zgłasza się do mnie dorosła kobieta i pokazuje, że coś jej urosło pod pachą i ja widzę, że to coś jest wielkości orzecha włoskiego, to ręce mi opadają. „Bo myślałam, że to samo zniknie”. Tak byłoby najprościej. Urosło samo, to niech też samo zniknie. Niestety. Trzeba się badać, regularnie. I oglądać swoje ciało, znać je, dostrzegać zmiany, a kiedy coś już znajdziemy, to należy pójść z tym do lekarza i mu to pokazać.

– Większość ludzi tak właśnie robi.

Milczała przez chwilę.

– Rzadko oglądam telewizję, ale czasem trzeba. Byłam wtedy chora, takie tam zasmarkane przeziębienie. Położyłam się do łóżka na dwa dni. Zadzwoiła koleżanka ze studiów, nie rozmawialiśmy ze sobą od dawna. Powiedziała mi, że jej mąż, który również jest lekarzem, będzie miał występ w telewizji śniadaniowej, i żebym oglądała. Włączyłam telewizor, odnalazłam kanał, na którym miała lecieć ta rozmowa. Wcześniej wzięłam kolejną aspirynę i nasunęłam koc pod sam nos. I się zaczęło.

– Co...?

– Miła paniusia siedząca na kanapie, z nogami do pasa, z uśmiechem na twarzy, równie prawdziwym jak kwiaty z plastiku, mówi coś do męża mojej koleżanki. Ten w garniturze, nieco spięty, ale mimo wszystko otwarty na jej pytania. Niewiele się zmienił od ostatniego czasu, kiedy go widziałam. Pan po czterdziestce z krótko przystrzyżoną brodą, siwiejący, ale nie łysy. Dziennikarka zadaje mu podstawowe pytanie: „Panie doktorze, jakie zmiany w piersiach są najbardziej niebezpieczne?”. On odpowiada, gładko, bez zbędnej nomenklatury medycznej, tak, żeby trafiło do każdego. Prowadząca kiwa głową, nie mogąc oderwać od niego wzroku, jakby był co najmniej bogiem. On mówi, ona słucha, ja słucham. „A co zrobić, kiedy znajdziemy, wyczujemy pod palcami jakąś zmianę?”. Lekarz odpowiada, że przede wszystkim nie należy się bać. Dziennikarka robi dziwną minę. I się zaczyna. Przekonuje ją, że osiemdziesiąt procent guzów w piersiach to zmiany łagodne, nienowotworowe, że to cysty i torbiele, które nie są żadnym zagrożeniem. Ale że trzeba je obejrzeć i zbadać.

– Po co mi pani o tym mówi? – zapytał Piotr.

– Proszę dać mi dojść do sedna... Lekarz wyjaśnia, zachęca do badań, po czym nagle pani prowadząca program zaczyna dzielić się z całym światem swoją osobistą historią. Zaczyna mówić, a ja nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. Opowiada o lęku przed badaniem piersi, mówi: „Bo, panie doktorze, ja sama się boję, ja w ogóle nie dotykam swoich piersi, ja muszę się przyznać bez bicia, z ręką na sercu, że tak strasznie się boję, że wolę niczego tam nie sprawdzać”. Lekarz patrzy na nią przerażony i pyta: „Czego się pani redaktor boi?”, ona odpowiada: „No tego, że może a nuż coś tam znajdę”. I taki przekaz idzie w świat, ludzie to oglądają w swoich domach i myślą: „No tak, ja też się boję, to lepiej nie będę tam zaglądać, skoro pani redaktor tak może, to mogę i ja”. No to ja się pytam, po jaką cholere ta dziennikarka zaprosiła tego lekarza do studia? To, co zrobiła, jest najgorszą możliwą rzeczą.

Twarz kobiety wciąż była pełna emocji, które powróciły wraz z całą tą sytuacją. Jej policzki, dotychczas blade, prawie żółte, zarumieniły się teraz.

– Z ciekawości... Jak zareagował na to mąż pani koleżanki, ten lekarz?

– Zapytał wprost: „W takim razie woli pani nie wiedzieć, niż wiedzieć?”. Wie pan, co ona na to?

– Niestety domyślałam się.

– Ona woli nie wiedzieć. No myślałam, że szlag mnie trafi. Woli nie wiedzieć. Lekarz w studiu na to,

że nie tędy droga. Trzeba wiedzieć, by jak najszybciej rozpocząć leczenie, żeby działać, bo rak nie będzie czekał na właściwy moment, zaatakuje z zaskoczenia właśnie wtedy, kiedy spodziewamy się go najmniej. Ona woli nie wiedzieć. I to poleca wszystkim widzom.

– Po prostu boi się. To normalne.

Skarciła go lodowatym spojrzeniem.

– Strach, proszę pana, jest bardzo niebezpieczny, bo paraliżuje zdrowy rozsądek. Przystajemy myśleć racjonalnie, bo boimy się.

– Ta dziennikarka bała się diagnozy.

– Która mogła okazać się wyrokiem, tak? Oczywiście. Jeśli zgłosi się do lekarza za późno, w ostatnim stadium rozwoju choroby, to zapewniam pana, że tak właśnie będzie. Spotykam się z takimi przypadkami codziennie. Najgorsze jest to, że w zdecydowanej większości rak nie boli, nie daje żadnych sygnałów, które zmusiłyby człowieka do wizyty w gabinecie. To dlatego badania kontrolne są takie ważne. Jeśli boli nas ząb, możemy sobie wciskać tam goździki i inne cudowne opatrunki, ale prędzej czy później trafimy do dentysty, bo ból staje się nieznośny. Czasem żałuję, że nie dzieje się tak w przypadku nowotworów. Bardzo ułatwiłoby nam to pracę.

– I wydłużyłoby życie pacjentów.

Pokiwała głową.

Spoglądał na tę całkiem młodą kobietę, która nosiła pod powiekami obrazy, jakich nie jeden człowiek nie zobaczy przez całe swoje życie. Zmęczenie odbijało się na jej twarzy wyraźnym cieniem. Oczy były pozbawione blasku, przytłoczone nadmiarem tego, na co musiała patrzeć każdego dnia.

– Ile ma pani lat? – zapytał.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

– Czterdzieści trzy.

– Tak od razu pani odpowiedziała...

– Bo pan pytał.

– Kobiety zwykle mają problem z przyznawaniem się do swojego wieku.

– To nie jest żaden problem, proszę pana, to zwyczajna kokieteria, na którą ja nie mam czasu.

– Co w tym złego?

– W kokieterii? Nic. Nigdy mnie to nie bawiło.

– A co panią bawi?

– No właśnie nic. – Zawahała się. – Chociaż nie, jest coś, co sprawia mi przyjemność.

– Tylko proszę nie mówić mi, że to ma związek z pani pracą.

Oparła głowę o brzeg sofy.

– To właśnie chciałam powiedzieć. Kiedy uda mi się kogoś wyleczyć, to daje mi to największą satysfakcję.

– Nie można żyć samą pracą.

– Zabawne, ale mój mąż mówi mi to samo.

– Ma rację.

– Może niepotrzebnie tu przychodzę, skoro mój własny mąż wie tyle, co zawodowy terapeuta.

– Kiedy ostatnio z nim pani rozmawiała?

– Dzisiaj rano. Przypomniałam mu, żeby zabrał z lodówki drugie śniadanie, które mu przygotowałam.

– A jakaś dłuższa rozmowa?

– Między mną a moim mężem? No nie wiem, pewnie w jakiś weekend.

– Ostatni weekend?

– Ostatni to nie, bo miałam akurat dyżur w szpitalu.

– Dwa tygodnie temu?

– Tak, pewnie tak.

– Pamięta pani, co wtedy robiliście?

– Tak. Poszliśmy z wizytą do jego matki, która mieszka samotnie na drugim końcu miasta. Roman, mój mąż, jest jej jedynym synem. Jego matka jest już na emeryturze, ale nie jest samotną staruszką, chociaż owdowiała dwadzieścia lat temu. Ma przyjaciół, często wychodzi z domu.

– Lubi ją pani odwiedzać.

– Tak. Jest w porządku. Moi rodzice już nie żyją, więc jest dla mnie najbliższą rodziną. W sobotę, podczas naszej wizyty, tłumaczyła mi, jak się gotuje prawdziwy polski bigos. Wiedział pan, że nie należy do niego dodawać pomidorów ani koncentratu, bo to zakwasza smak? Ja o tym nie wiedziałam i przyznam, że zawsze dodawałam. Według mojej teściowej wystarczy sama kapusta, kiszona i świeża, mięso i wino. Mówiła o tym z taką pasją, jakby gotowanie bigosu było najważniejszą rzeczą na świecie.

– W tamtej chwili zapewne nią było.

– Przyniosłam ciasto, które kupiliśmy w cukierni; to znaczy Roman kupił, bo ja nie miałam czasu.

– Jakie?

– Makowiec.

– Pani teściowa lubi makowce?

– Nie. Roman lubi. Ja w ogóle nie przepadam za słodkim, ale nie mam nic przeciwko makowcom.

– A pani teściowa lubi mak?

– Czemu pan się uczepił tego tematu?

– Po prostu chcę wiedzieć, jakim wyborem kierował się pani mąż.

– Bingo! – Klasnęła w dłonie. – Teściowa nie lubi maku, bo wchodzi jej między zęby, tak przynajmniej mówi.

Piotr nie skomentował tego, co powiedziała. Żałował, że podał jej na talerzu gotową odpowiedź. Teraz nie było już ucieczki.

– Ma pan rację, Roman jest trochę samolubny.

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Ale tak właśnie pan pomyślał. „Dupek, który myśli tylko o sobie”.

– Takie ma pani o nim zdanie?

– To pan ma takie zdanie o Romanie.

– Aż tak go nie znam – zauważył.

– Czy to w ogóle ma jakiegokolwiek znaczenie? Pan go nie zna, ja go znam, wiem, jaki jest, i niczego to nie zmienia. Kocham go, trzeba się kochać, prawda?

– Skoro pani tak czuje.

– A pan tak nie czuje? Nie potrzebuje pan miłości?

– Każdy człowiek jej potrzebuje.

– No właśnie o tym mówię. Nieważne kogo, z jakimi wadami. Ważne, żeby w ogóle ktoś taki był.

Piotr czuł, jak niewidzialna obręcz zaciska się wokół jego skroni. Migrena dopadała go zwykle pod koniec dnia, kiedy za oknem lało tak jak dzisiaj. Marzył o herbacie, gorącej, mocnej, bez cukru, ale za to z plasterkiem cytryny. Chciał spojrzeć na zegar, ale nie mógł sobie pozwolić, by to zauważyła. Nie chciał być niegrzeczny, chociaż czuł, że zbliżała się pora końca sesji.

– A pan? – zapytała. – Ma pan żonę?

– Owszem.

– Jest pozbawiona wad?

– Spotykamy się tu po to, by rozmawiać o pani, a nie o mnie.

- Jasne.
- Jeśli to pani nie odpowiada...
- Poczuję się po prostu źle. Rozumie to pan?
- Jeśli to z mojego powodu, to...
- Tak, z pana powodu.
- W takim razie przepraszam, to nie było zamierzone.

Wstała.

- To wszystko zabrnęło za daleko – stwierdziła.
- Co...?
- Ta terapia nie jest tym, czego się spodziewałam.
- Przestraszyła się pani czegoś? Jeśli tak, musimy do tego wrócić.
- Nie chcę. Proszę mnie nie przekonywać.

– Nie mogę pani do niczego zmusić.

– Dobrze, żeby pan o tym pamiętał! – Odwróciła się do niego plecami. – Czy pan wie, że może pan kogoś skrzywdzić?

– Przepraszam.

– Do widzenia.

Odprowadził ją wzrokiem do drzwi, które zostawiła za sobą otwarte.

Nie mógł zrobić nic, by ją zatrzymać.



Tamtego dnia, gdy przyprowadził Joannę do domu swoich rodziców, by ją przedstawić, usłyszał ukradkiem rozmowę, która była dla niego przykrym zaskoczeniem.

Było słoneczne kwietniowe popołudnie. Pierwsze gorące promienie zachęcały, by wyjść do ogrodu i przespacerować się wśród kwitnących właśnie żonkili, gęsto wysianych wokół tarasu.

– Wiosna zaczęła się na dobre! Żal nie skorzystać ze słońca – stwierdził ojciec Piotra, otwierając przed Joanną drzwi prowadzące do ogrodu.

Matka wyszła do kuchni, zaparzyć kawę dla wszystkich, Agata w tym czasie kroїła ciasto. Nie wiedziały, że Piotr je słyszy, były pewne, że jest w ogrodzie ze wszystkimi, ale on wrócił do domu po dodatkowy leżak ze schowka pod schodami.

– Nie widzisz, mamo, że ona jest jakaś dziwna?

Słyszając głos siostry, zastygł nieruchomo.

– Agata, co ty mówisz? – Matka broniła Joanny. – To całkiem sympatyczna dziewczyna.

– Prostaczka z prowincji i tyle.

Chciał wejść do kuchni, ale ciekawość zatrzymała go w przedpokoju. Musiał usłyszeć, co naprawdę myślały o jego wybrance dwie do tej pory najbliższe mu kobiety.

– Ciszej! – spieszyła się matka. – Przecież ona może to usłyszeć. Poza tym nie wypada tak mówić o nikim, a zwłaszcza o dziewczynie własnego brata.

– A właśnie, że wypada. Trzeba go jak najszybciej ostrzec.

– Słucham?!

– On nigdy nie będzie z nią szczęśliwy.



Matka roześmiała się głośno.

– A co też ty, smarkulo jedna, możesz o tym wiedzieć?

– Może i jestem smarkulą, ale na ludziach znam się doskonale.

– Czyżby? I może na swoim poprzednim chłopcu też się znałaś?

– Tak – odparła hardo Agata.

– To czemu tak szybko się rozstaliście?

– Bo właśnie przejrzałam na oczy. Tak jak teraz, patrząc na tę całą Joannę.

Usłyszał charakterystyczny dźwięk filiżanki odstawianej na porcelanowy spodeczek i podskoczył, zawstydzony świadomością tego, że ktoś mógł go zobaczyć. Z drugiej strony chciał usłyszeć tę rozmowę do końca. Już wiedział, że jego siostrze Joanna nie przypadła do gustu, ale musiał poznać powód.

– Słuchaj, a właściwie to dlaczego ty jej tak nie lubisz? – zapytała matka, jakby czytając w jego myślach. – Przecież właściwie w ogóle jej nie znamy.

– Wystarczy na nią spojrzeć.

– I co takiego widzisz?

– Widzę, jak ona cały czas trzyma jego rękę, zauważyłaś to? Oni nie trzymają się za ręce jak para zakochanych. To ona ściska w dłoni jego rękę, jakby bała się, że jej wyfrunie. Wypuściła ją tylko wtedy, kiedy jedli.

– A może jest czuła i bardzo go kocha? – zapytała matka.

– A może jest bardzo zaborcza i zapędzi Piotrka do klatki, do której tylko ona będzie mieć klucz? I cały czas, „prawda, Piotr?”. „O tak, Piotr, pamiętasz, Piotr?”. Przecież znają się zaledwie od miesiąca, a ona zgrywa się, jakby byli ze sobą od lat.

– Oj, ty jeszcze musisz się bardzo dużo nauczyć o życiu – upomniała ją matka.

– Królewna z nudnej bajki – odfuknęła Agata. – Szkoda mi go. Wpadł jak śliwka w kompot i tyle.

– Nie mogę tego dłużej słuchać.

– Jest taka zaborcza. Naprawdę tego nie widzisz, mamo? Ona jest z tych, którym do szczęścia potrzebny jest cały ocean. Inna zadowoliliby się jedynie kroplą, ale Joanna musi mieć od razu wszystkie wody tego świata. I wszystkie muszą być tylko dla niej. Jeszcze się o tym przekonasz, wszyscy się przekonacie.

Nie słyszał, co odpowiedziała na to matka. Wrócił do ogrodu bez dodatkowego leżaka, podszedł do stolika i dolał sobie wina z wysokiej zielonej butelki.



Mężczyzna siedział na sofie i patrzył przez okno. Miał na sobie granatowy garnitur, w dłoni trzymał długopis, który powoli obracał w palcach.

– Panie Marcinie...? – zapytał Piotr.

Mężczyzna spojrział na niego ze zdumieniem.

– Przepraszam – odpowiedział, wpinając długopis w kieszeń koszuli. – Zamyśliłem się.

– Nie szkodzi.

Piotr otworzył notatnik. Patrzył na odręcznie skreślone linijki.

– Jak się pan czuje? – zapytał.

– Dobrze. To znaczy tak samo. Czuję się bez zmian.

Ponownie spojrział przez okno.

– Niech pan nie zrozumie mnie źle, panie Piotrze. Ja potrzebuję tej terapii. Ona mi pomaga, ale to wszystko wymaga czasu.

– Oczywiście.

– Nawet moja żona zauważyła, że mam się lepiej, odkąd tu przychodzę.

– Tak powiedziała?

– Dokładnie. Zauważyła, że jestem bardziej otwarty.

– Kiedy to panu powiedziała?

– Wczoraj. Sprzątała talerze po obiedzie, układała je na półkach w kuchni, ja czytałem gazetę, i ona wtedy to powiedziała. „Jesteś bardziej otwarty, więcej mówisz, zapytałeś mnie nawet o pracę, jak minął mi dzień”. Pan przecież wie, że jeszcze tydzień temu, co ja mówię, jeszcze przedwczoraj, nie powiedziałbym nic. Nie umiałbym jej o nic zapytać, tylko siedziałbym w tym fotelu z gazetą, którą można odgrodzić się od życia.

– Czyli jednak zauważył pan pewne zmiany?

– O tak, ale to wciąż za mało.

– Od jak dawna pan do mnie przychodzi?

– To nasza trzecia sesja.

– Sam więc pan rozumie, że to dopiero początek długiej drogi.

– Rozumiem. Ale są chwile niepewności, kiedy nie wiem, czy to ma w ogóle sens.

– Co pan przez to rozumie?

– Nie żebym nie wierzył w sens samej terapii. To nie to.

– A co?

Mężczyźni nie byli łatwi w terapii. Piotr przekonał się o tym już na początku swojej praktyki. Kobiety szybciej się przed nim otwierały, ufały i przeważnie były zadowolone z otrzymanej pomocy. Mężczyzna, zanim zaczynał cokolwiek mówić, najpierw musiał pozwolić, by Piotr zburzył wokół niego mur źle pojętego wstydu czy męskiej dumy. Niełatwo było okazać przed kimś zupełnie obcym własną słabość i bezradność.

– Nie wiem, czy do końca tego chcę – wyznał.

– Chce pan.

– Skąd pan to może wiedzieć?

– Pamięta pan nasze pierwsze spotkanie? Był pan załamany, rozbity. Nie wiedział pan, gdzie szukać ratunku i czy to w ogóle możliwe. A dzisiaj siedzi przede mną zupełnie inny człowiek, wciąż wymagający wsparcia i pomocy... Ale jest pan już innym człowiekiem.

– Tyle, że nadal nie mogę z nią spać.

Ponownie wyjął z kieszeni długopis i zaczął obracać go w palcach.

– Czuję się z tym podle, okropnie.

– Spokojnie.

– Nie jestem mężczyzną, przynajmniej nie dla niej.

– Powiedziała to panu?

– Tak.

– Kiedy?

– Zawsze. Zawsze tak mówi, zawsze krzyczy. Wiecznie jest ze mnie niezadowolona. Ja już nie mogę tego dłużej słuchać.

Piotr wstał i podszedł do okna.

– Panie Marcinie, muszę zadać panu bardzo podstawowe pytanie.

– Słucham.

– Co pan do niej czuje?

– Do kogo?

– Do pańskiej kobiety.

– To nie jest kobieta, to moja żona.

– To nie jedno i to samo?

– O, nie! – odpowiedział z ogniem w oczach. – Ja już nie widzę w niej kobiety, może inni mężczyźni tak. Dla mnie jest tylko żoną.

– Co pan do niej czuje?

Nie odpowiedział od razu.

– Przywiązanie. Jak psa do budy.

– I nic więcej?

– Nic.

– A uczucia negatywne? Może pana denerwuje?

– Już nie. Już się przyzwyczałem. Jest mi obojętna.

– Więc dlaczego pan od niej nie odejdzie? Przecież nie jest pan stary, mógłby pan kogoś poznać, założyć rodzinę.

– Nie mogę. Nie rozumie pan?

– Nie bardzo.

– Na jakim pan świecie żyje?

– Na tym samym, co pan.

– Proszę pana, nie ma ludzi szczęśliwych. Każdy dźwiga swój krzyż, a życie to tylko sen, i do tego krótki – stwierdził z goryczą.

– Ale nadal to tylko jeden jedyny sen, jaki mamy. Nie szkoda go marnować?

– Inaczej się nie da.

– Zapewniam pana, że to możliwe.

Usłyszał jego głębokie westchnienie.

– Niech pan sobie przypomni dawne czasy – poprosił Piotr. – Przecież musiało połączyć was uczucie, zanim to wszystko się stało.

– Zanim moja żona z kobiety zamieniła się w żonę?

Terapeuta przytaknął.

– Jak to się stało? Pamięta pan?

Przez chwilę mężczyzna wbijał wzrok we własne paznokcie, jakby w ten sposób miały wrócić wspomnienia dawnych dni.

– To... To przyszło z czasem. Na początku faktycznie było spokojnie, normalnie. Jakoś nam się żyło, ale dopiero teraz widzę, że tamten stan trwał bardzo krótko. To wszystko jej wina.

– Dlaczego ją pan o wszystko obwinia?

– Bo to ona wszystko kontrolowała – rzucił na wpeł gniewnie. – Nie twierdzę, że nie było w tym też mojej winy, uległem jej, chciała za mnie wyjść, ja nie chciałem, ale w końcu poddałem się i machnąłem ręką. Taki moment w życiu, gdzie jest już wszystko jedno. Jeszcze moja matka dołożyła swoje trzy grosze. To było już podczas jej choroby, czułem, że muszę spełnić jej prośbę, a ona przed śmiercią chciała poznać moją żonę. No i poznała. Zmarła pół roku po naszym ślubie.

– Powiedział pan, że nie chciał się pan żenić.

– To prawda.

– Czuł pan presję?

– Można to tak nazwać. Ona chciała już, natychmiast, a jak dla mnie to było o wiele za wcześnie.

- Dlaczego?
- Nie wiem. Po prostu nie czułem, że to jest już ten moment.
- Nie kochał jej pan? – zapytał Piotr wprost.
- Kochałem. Na swój sposób, oczywiście.
- Jak mam to rozumieć?
- Ostatecznie pokochałem. Tak mi się przynajmniej wydawało. Dopięła swego.

Ileż to razy Piotr łapał się na tym, że słucha pacjentów tak, jakby słyszał własne myśli, skrywane głęboko w sobie. Myśli, których starał się nie dopuszczać do siebie zbyt blisko. Nieoswojony strach wydawał się taki odległy, a kiedy zbliżał się, Piotr odpychał go, opędzał się od niego i znowu pozostawały tylko słowa i problemy innych.

- A moment zachwytu, zakochania?
- Ten etap ominęliśmy. – Pokręcił głową. – Kiedy się poznaliśmy, byliśmy już dojrzałymi osobami, proszę pana.
- To nie wyklucza zakochania się.
- Proszę pana, ja miałem trzydzieści cztery lata, ona była dwa lata starsza ode mnie. W takim wieku ludzie podejmują decyzję o byciu razem z rozsądku, a nie z potrzeby serca.
- Czy pańska żona również podzielała pańską koncepcję?
- Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Mówiła, że mnie kocha.
- A pan? Co jej pan mówił?
- Nie pamiętam, pewnie to samo.
- Takie rzeczy raczej się pamięta. Ustalmy więc: powiedział jej pan wtedy, że ją kocha?
- Nie.
- A później?
- Też nie.
- A kiedykolwiek?

Piotr czuł się nieswojo, zadając mu tak intymne pytania, ale wiedział, że bez tej podstawy terapia nie będzie miała sensu.

- Pewnych rzeczy nie trzeba mówić. To się po prostu czuje – wymijająco odpowiedział mężczyzna.
- Czuł pan to?
- Czułem, że muszę się z nią ożenić. Dla świętego spokoju jej, mojej matki i teściowej.
- Czy było coś, co miało wpłynąć na pana decyzję? Była w ciąży?
- Skąd! Nie mamy dzieci. Żeby mieć dzieci, trzeba ze sobą spać, nie wiedział pan? A ja, jak pan wie, mam z tym mały kłopot. Lekarz wykluczył jakiegokolwiek problemy zdrowotne, polecił mi pana.

Piotr wrócił na swój fotel za biurkiem.

- Kiedy był pan najszcześniejszy?
- Po ślubie czy przed?
- Dlaczego dzieli pan w ten sposób swoje życie?
- Bo teraz, odkąd mam żonę, moje życie jest zupełnie inne. Wie pan, jak się czuję?

„Pytanie retoryczne”, pomyślał Piotr. Taka sprytna figura stylistyczna, o której mówiła jego polonistka w liceum. Niby pytamy, a nie szukamy odpowiedzi, bo każdy i tak ją zna.

Mimo to Piotr zdecydował się ciągnąć temat dalej.

- No jak?
- Jak w klatce.
- Wróćmy do mojego pytania. Proszę się zastanowić, kiedy był pan szczęśliwy?
- Nie muszę się zastanawiać. Wiem to doskonale. Najszcześniejszy, proszę pana, byłem na rybach

z ojcem, jeszcze w liceum.

– To raczej dawno. Od tamtej pory nie był pan szczęśliwy ani razu?

Pacjent zamyślił się.

– Nie.

Piotr zmusił się, by nie rozmasować skroni dłońmi. To był trudny dzień.

– To może inaczej zadam pytanie: gdzie czuł się pan najlepiej w ciągu ostatnich dziesięciu lat?

– Lubiłem odwiedzać brata. Tak. W jego domu czułem się dobrze, lubiłem tam chodzić.

– Dlaczego mówi pan w czasie przeszłym?

– Bo moja żona go nie lubi. Więc przestałem go odwiedzać.

– Ma pan wrażenie, że żona odcięła pana od rodziny?

– Oczywiście! – krzyknął w uniesieniu. – A najgorsze jest to, że nie umiałem się jej postawić. Robiłem tak, jak mi kazała.

– Dlaczego?

– Bo mi tręła nad uchem, głądziła od rana do nocy, no ile można coś takiego znosić?

– A pan nic wtedy nie mówił? Nie bronił się?

– Kiedyś mówiłem, kłóciliśmy się, ale w końcu dopięła swego – powiedział ze smutkiem. – Ona ma w sobie coś takiego, wie pan, jest jak czołg. Tak się czuję, jakby czołg po mnie jechał. Wbija mnie w ziemię. Dosłownie.

– Musi pan się podnieść – stwierdził Piotr. – Musi się pan nauczyć kierować swoim życiem, a nie godzić się na to, żeby kierowali panem inni.

– Kiedy ja nie umiem.

– Wygodnie panu w tym fotelu za gazetą?

– Było – odsapnął. – Ale już nawet to mi się znudziło. Pan wie, przestałem się do niej odzywać, przestałem na nią patrzeć. A życie leci dalej i ona już zaczęła odpuszczać. Sama zobaczyła, że ta walka do niczego nie doprowadziła. Zabrała mi przecież wszystko i czułem się, jakbym przestał oddychać.

Mężczyzna wyglądał, jakby był bliski łez. Piotr przypuszczał, w zasadzie miał pewność, że decyzja o przyjsciu do niego była ostatnią deską ratunku dla tego człowieka, że on nie mógł już tak dalej brnąć.

– To wszystko jej wina... – powtórzył.

– Proszę pana, teraz nie ma sensu nikogo obwiniać.

– Ale taka jest prawda! To wszystko przez nią! Przecież wcześniej taki nie byłem.

– Mimo wszystko pańskiej żonie zależy na panu. Sam pan powiedział, że zauważyła u pana zmianę na lepsze.

Pokiwał głową.

– Trzeba powoli wychodzić ze skorupy.

– Jakiej skorupy...? – Mężczyzna podniósł na niego zaskoczony wzrok.

– Zbudował pan sobie skorupę, jak ślimak albo żółw, by się do niej chować za każdym razem, kiedy pojawiają się kłopoty.

– Kiedy pojawia się żona. A dopiero potem kłopoty – poprawił go.

– Przecież nie chce pan jej zostawić?

– Nie chcę – zgodził się. – Sam już nie wiem, czego chcę. Może i chciałbym, ale i tak bym nie umiał tego zrobić, więc już lepiej niech będzie tak, jak jest.

Piotr pokręcił głową z niedowierzaniem. Już dawno nie miał w swoim gabinecie kogoś, kto tak bardzo zgubił samego siebie.

– Zaczniemy wszystko od początku – zaproponował, rozpierając się wygodnie na swoim fotelu za biurkiem.





Stał w przedpokoju i wpatrywał się w telefon leżący spokojnie na blacie stolika. Podchodził do niego kilkakrotnie, ale za każdym razem gdy podnosił słuchawkę, odkładał ją szybko. Patrzył na zegar wiszący na ścianie w salonie. Czarne lśniące wskazówki przesuwwały się powoli, jakby zastygły w niewidzialnej ciężkiej mazi, która nie pozwalała im poruszać się z dotychczasową sprawnością. Dochodziła północ.

W końcu podniósł słuchawkę.

– Mamo... – powiedział niepewnym, ściszym głosem. – Przepraszam, że tak późno dzwonię.

– Piotr, stało się coś?

Była zasnana, słyszał to.

– Nie, nic. Spokojnie... – Urwał nagle.

– Dlaczego dzwonisz w środku nocy? Mów.

– Obudziłem cię? Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Ostatnio chodzimy spać bardzo wcześnie.

– Chciałem tylko zapytać, czy nie było u was Joanny?

Wydusił z siebie słowa, które więzły mu w gardle, odkąd usłyszał głos matki.

– O Boże, co się stało?

– Więc nie było jej u was?

– Nie, oczywiście, że nie. Przecież zawsze przychodzicie razem. Zaczekaj, obudzę ojca.

– Nie trzeba – powiedział szybko. – Zadzwoń, żeby sprawdzić, ale skoro jej u was nie było...

– Ale co się stało?

– Nie wiem, mamo. Wróciłem z pracy i nie zastałem jej w domu. Nie zostawiła żadnej wiadomości, nic.

Słyszał w jej głosie troskę, taką matczyną, jaką pamiętał jeszcze z czasów dzieciństwa. Matka zawsze czekała na niego do świtu, kiedy wracał ze spotkań ze znajomymi, które często przedłużały się do rana. Było mu wtedy strasznie głupio, że wchodząc do domu na palcach, by nikogo nie obudzić, zastawał ją siedzącą w kuchni przy stole, pochyloną nad zimną herbatą. Zawsze na niego czekała. I zawsze powtarzała te same słowa: „Po prostu nie mogłam spać”.

– Dzwoniłeś do niej?

– Oczywiście.

– I co?

– Ma wyłączoną komórkę.

– A w pracy?

– Powiedzieli, że wyszła wcześniej, bo bolała ją głowa.

– O Boże, synu, mam nadzieję, że nic jej się nie stało.

– Też mam taką nadzieję, mamo.

– Ale... – Urwała nagle. – Przepraszam, że zapytam, ale muszę. Czy dzwoniłeś do szpitala?

– Nie.

– Może miała wypadek?

– Nie.

– Skąd możesz to wiedzieć?

Milczał. Matka odetchnęła głęboko w słuchawkę.

– Pokłóciliście się?

Nie chciał z nią o tym rozmawiać, ale z drugiej strony wiedział, że musi to z siebie wyrzucić. Przecież Joanna nie wróciła do domu. Odchodził od zmysłów od kilku godzin, wydzwanając po różnych miejscach. Matka słusznie martwiła się zarówno o nią, jak i o niego.

– Trochę... – odpowiedział zażenowany. – Ale to nie było nic nadzwyczajnego. Po prostu rozmawialiśmy.

– Nie tłumacz się. To normalne, w każdym związku zdarzają się takie sytuacje. Zresztą wiesz o tym doskonale, w końcu nie od wczoraj jesteś terapeutą.

– Joanna nigdy nigdzie nie zniknęła, zawsze wracała do domu. Dlatego tak panikuję.

– Rozumiem.

– Boję się, że coś mogło jej się stać.

– Nie wiem, co powiedzieć...

– Wiem, mamo. Pewnie wszystko dobrze się skończy. Zaraz otworzy drzwi i wróci.

– Tak – poparła go. – A może pojechała do siebie? To znaczy: do swojej mamy?

Nie odpowiedział.

– Halo, Piotr?

– Słyszę, mamo.

– Mówiłam, że może pojechała w swoje strony, do rodziny.

– Nie – zaprzeczył. – Jestem pewien, że akurat tam nie mogła pojechać.

– Dlaczego?

– Bo sama wiesz, że ona nigdy tam nie jeździ.

– Ale może właśnie coś się stało i musiała pojechać?

– Nie – powtórzył. – Na pewno by mi o tym powiedziała.

Dopiero teraz Piotr zdał sobie sprawę, że głos matki drżał z emocji.

– Mamo, wracaj do łóżka.

– Już i tak nie zmrużę oka do rana.

– Przepraszam, że zadzwoniłem.

– Co ty mówisz? A może przyjadę do was?

– Nie trzeba. Zadzwoń, mamo.

– Koniecznie. Wszystko będzie dobrze... Zobaczysz.

Piotr rozłączył się i wrócił na balkon, który wychodził na ulicę oraz park. Patrzył na miasto pogrążone w ciemności. W dole panowała cisza, jaką daje tylko noc. Wypatrywał Joannę za każdym zakrętem, gdyby mógł, ściągnąłby ją tu siłą woli, chciał zaczarować rzeczywistość, cofnąć wszystko, co powiedział jej poprzedniego dnia. Przecież mogła sobie coś zrobić, mogła mieć wypadek, mógł ją ktoś napaść...

Wszystkie najczarniejsze scenariusze nabierały teraz mocy sprawczej. Wszystko było możliwe, a co najgorsze, wszystkie historie, które podsuwała mu wyobraźnia, kończyły się źle. Nie widział światełka w tunelu czarnych myśli. Strach o nią paraliżował go zupełnie. Miał wyrzuty sumienia, że nie powiadomił jeszcze policji. Przecież w takiej sytuacji każda chwila jest ważna. Jednak gdzieś w głębi czuł, że to wszystko wina wczorajszej kłótni, że Joanna obraziła się i nie chce wracać do domu.

Obiecował sobie w myślach, że już nigdy nie dopuści do takiej sytuacji, obwinał się za wszystko i wiedział, że jeśli coś jej się stanie, nigdy nie pozbędzie się wyrzutów sumienia. Przecież miał o nią dbać, rozpieszczać i traktować jak swoją królową. Chciał, żeby już wróciła, chciał jej powiedzieć o tych wszystkich postanowieniach, chciał nosić ją na rękach i przytulić do siebie najczulej, jak potrafił.

Teraz kiedy stał tak w ciemnościach, wypatrując jej sylwetki, zdał sobie nagle sprawę, jak bardzo jej

potrzebował i jak strasznie się o nią martwił. Jeszcze nigdy nie bał się tak o nikogo, jak właśnie o nią. O Joannę, która była miłością jego życia, o czym właśnie się przekonał.

W tamtej chwili zrobiłby dla niej absolutnie wszystko, gdyby tylko chciała, gdyby była...

W głowie słyszał jej ostatnie słowa, które wykrzyczała w jego stronę, zanim zamknęła się w sypialni.



– Nigdy nie kochałeś mnie wystarczająco mocno! Nigdy nie byłem dla ciebie ważna! Gdyby tak było, nie zrobiłbyś mi tego.

– Tłumaczyłem ci, że to nic takiego...

– Nie wierzę ci! – Usiadła na brzegu sofy. – Nie wierzę.

Kręciła głową, ukrytą w dłoniach.

– Boże, nie doprowadzaj się do kresu wytrzymałości – prosił, klękając przy jej kolanach. – Dlaczego ty nam to robisz?

– Ja...?!

– Tak nie można – mówił, głaszcząc ją po ramieniu, ale odepchnęła go zdecydowanym ruchem.

– Kiedyś marzyłam o tym, żeby mój mężczyzna nosił mnie rękach – powiedziała z rozpaczą w głosie. –

A teraz wystarczyłoby mi, gdybyś po prostu zwracał na mnie uwagę, gdybyś mnie widział.

– Przecież widzę cię...

– Jak możesz mnie widzieć, skoro patrzysz w innym kierunku? Mnie tam nie ma, Piotr.

– Przecież jestem dla ciebie, zawsze, w każdej chwili...

– Nie liczysz się z moim zdaniem.

– Liczę... – bronił się.

Spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

– Jeśli liczysz się, to dlaczego nie spytałeś mnie o zdanie?

– Nie wiedziałem, że muszę – odparł. – Zaproponowałem jej pomoc przy przeprowadzce, bo uważałem, że to mój obowiązek. Tłumaczyłem ci, ona jest w trakcie rozwodu, kompletnie załamana, nie ma tutaj nikogo.

– Wystarczy, że ma ciebie.

– Co ty pleciesz?! Jestem tylko jej kolegą z pracy, takim jak każdy inny.

– Ale nikt inny nie zaproponował jej pomocy. Tylko ty. I to właśnie w niedzielę, którą powinieneś spędzać ze swoją żoną, a nie z jakąś obcą babą!

– Ona nie jest obcą babą. Studiowaliśmy razem, a teraz pracujemy w tej samej przychodni od samego początku. Przecież wiesz!

– Słucham...?! – Zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

– O Boże, nie to miałem na myśli!

– Nie jest obca? Więc kim ona dla ciebie jest?

– Nikim – odpowiedział. – Nie jest obca, bo znamy się przecież i przyjaźnimy. To moja dobra znajoma. I chciałem jej pomóc. Nic więcej.

– Ale dlaczego akurat ty?

– Bo nikt inny nie mógł.

– A ty mogłeś?! – Wściekle brnęła dalej w rozmowę, która nie miała żadnego sensu. – Skąd

wiedziałaś, że nie mam planów na niedzielne popołudnie?

- Byłem pewien, że nie będziesz miała nic przeciwko temu. To tylko godzinka i będę z powrotem.
- Tylko godzinka, mówisz?
- Tak. To nic takiego.
- Nic takiego?
- Nic.

Wstała i przeszła do sypialni bez słowa.

Nie wiedział, co się dzieje, bał się zapytać o cokolwiek, by nie wywołać kolejnej burzy.

– Jeżeli aż tak ci na tym zależy, to zadzwonię do niej i odwołam wszystko – powiedział zrezygnowanym głosem.

– I co jej powiesz? – zawołała z sypialni. – Że żona zabroniła ci pojechać do niej pomóc wnosić stołki na górę?

– Taka jest prawda.

– Prawda jest taka, że twoja znajoma z pracy dobrze wie, co robi. A ty jesteś naiwny, Piotr. Naiwny i głupi. A ona jest cwana. Wiedziała, że jeśli poprosi cię o pomoc, to jej nie odmówisz.

– Nadal nie rozumiem, co w tym złego...

– Nic.

Zamknęła mu drzwi od sypialni przed nosem.

Stał jeszcze przez chwilę oszołomiony całą tą sytuacją, w końcu wyjął z szafy koc i pościelił sobie na sofie. W szparze między zamkniętymi drzwiami do sypialni a podłogą widział wąską smugę światła, które paliło się potem jeszcze długo.

Leżał zwinięty w kłębek własnej samotności i patrzył w ciemność.

Miniony dzień stanął mu teraz przed oczami. Widział wszystko jeszcze raz, scena po scenie, jakby oglądał film, w którym sam grał główną rolę.



– Piotr, masz ochotę na szybką kawę? – W uchylonych drzwiach gabinetu zobaczył twarz Beaty.

Jej zielone oczy podkreślone były mocnymi cieniami, które wylewały się aż na policzki. Wyglądała na zmęczoną i przepracowaną.

– Chętnie – odpowiedział, wstając zza biurka. – Nawet nie zauważyłem, że już południe.

Zeszli na dół i usiedli w kawiarni znajdującej się naprzeciwko ich przychodni. Beata zapłaciła za jego kawę.

– Ty postawiłeś mi ostatnio – przypomniła, stawiając filiżanki na stoliku. – Pamiętliwa ze mnie bestia.

– To musiało być bardzo dawno temu, bo niczego takiego nie pamiętam – odpowiedział, wyparkszy z pamięci kłótnię z Joanną, która wynikała przy tym poprzednim razie. – Cukru?

– Poproszę. – Wzięła od niego cukierniczkę. – Cukier to jest to, czego teraz potrzebuję najbardziej. Brakuje mi energii.

– Źle wyglądasz – zauważył.

– Dziękuję! – Odpowiedziała mu uśmiechem. – I nie obrażam się, bo wiem, że to prawda.

– Nie to miałem na myśli...

– Piotr, nie tłumacz się. Myślisz, że nie mam lustra? Czasem zastanawiam się, czy nie wystraszę

własnych pacjentów.

– Co się dzieje?

Wzruszyła ramionami i wrzuciła do filiżanki kolejną kostkę ciemnego cukru.

– Muszę się wyprowadzić do niedzieli – odpowiedziała z obojętnością. – To jego mieszkanie. I tak długo siedł mi na rękę, pozwalając mi w nim mieszkać.

– Nie wiedziałem.

– No cóż. Uroki rozwodu.

– I co teraz zrobisz? Masz dokąd pójść?

Zamieszała maleńką łyżeczką w filiżance.

– Znalazłam jakąś klitkę po drugiej stronie Wisły. Daleko, ale przynajmniej tanio. Coś za coś. Czwarte piętro bez windy.

– Przykro mi – powiedział szczerze.

– Dlaczego?

– Że wam nie wyszło i że teraz musisz się wyprowadzić.

Parsknęła.

– To nie twoja wina... Choć to ty poznałeś mnie z Markiem, więc właściwie mogłabym mieć do ciebie słuszne pretensje. – Zmusiła się do uśmiechu. – Żartowałam tylko.

– Jak sobie z tym wszystkim radzisz?

– Pytasz jako terapeuta czy jako przyjaciel?

– To drugie.

– Słabo – odparła szczerze. – Życie mi się rozsypało. Moja druga połówka właśnie wije sobie gniazdko z kimś lepszym ode mnie.

– Nie mów tak.

– Taka jest prawda, Piotr. Marek dokonał wyboru. Mnie zostawił, a wybrał tamtą, bo była lepsza.

– Marek zachował się jak głupiec. I dobrze o tym wiesz. Wszyscy o tym wiedzą.

– I co z tego? To ja zostałam sama.

Po raz pierwszy nie wiedział, co powiedzieć.

– Może mógłbym ci jakoś pomóc? – zapytał w końcu.

– Tak. – Uśmiechnęła się. – Zapiszę się do ciebie na terapię!

– Nie żartuj. Pytałem poważnie.

– Serio, chcesz mi pomóc? – powtórzyła głośno. – Właściwie miałabym jedną propozycję, oczywiście jeśli to nie koliduje z twoimi planami na niedzielę.

– Nie mam planów.

– Ale może gdzieś się wybierasz z żoną? Nie chciałabym wam niczego psuć.

– Potrzebujesz pomocy przy przeprowadzce?

– Męskie ramiona bardzo by mi się przydały – powiedziała z goryczą. – Nie zawracałabym ci głowy, ale nikt ze znajomych nie może pomóc świeżej rozwódce. Każdy jest zajęty rodziną i ja to rozumiem.

– Możesz na mnie liczyć – odpowiedział szybko.

– Jesteś pewien? Byłabym ci bardzo wdzięczna. Naprawdę.

Odwróciła głowę w drugą stronę i utkwiała wzrok w ruchliwej o tej porze ulicy.

– Nie masz pojęcia, jak inaczej wygląda życie, kiedy zostaje się samemu. Nie życzyłabym tego nikomu.

– Wszystko się ułoży, zobaczysz – powiedział. – Czas. Potrzebujesz czasu, żeby rany się zagoiły.

Uśmiechnęła się nad stolikiem.

– Zabawne – powiedziała. – Mówię dokładnie to samo moim pacjentom. Szkoda, że sama nie mogę w to teraz uwierzyć.





Siedział z dłońmi zanurzonymi we włosach. Czuł ciężar głowy, która była jak kamień. Drzemał, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. Pod przymkniętymi powiekami widział obrazy, które przebiegały zbyt szybko lub zbyt wolno, jakby pamięć próbowała wykasować część szczegółów, wymazać to, co było najważniejsze.

Na wpół przytomny błędził myślami, ni to we śnie, ni to na jawie. Z otępienia wyrwał go głośny, drażniący uszy dźwięk komórki. Wstał natychmiast, choć przecież telefon leżał tuż obok, na sofie. Musiał wysunąć mu się z dłoni niepostrzeżenie.

– Tak...? – wykrztusił w słuchawkę głosem pełnym nieskrywanej nadziei, nie spojrzał nawet na wyświetlacz. – Joanna, to ty?

Odpowiedziało mu milczenie, które wydawało mu się zbyt długie i złowrogie.

– Kochanie, powiedz, że to ty... – szepnął w słuchawkę ponownie.

– Przyjeżdż po mnie – powiedziała w końcu.

Pędził samochodem przez miasto, które pogrążone było w spokojnym śnie. Ulice skąpane w żółtej poświacie latarni były zupełnie puste. Stał na światłach, zastanawiając się, po co właściwie to robi. Jaki był sens w czekaniu na zielone, skoro z naprzeciwka ani z bocznych ulic nikt nie nadjeżdżał. W zasięgu wzroku nie było ani samochodów, ani przechodniów, którzy od dawna spali już w swoich domach. Spojrzał na zegarek pod kierownicą. Cyfry podświetlone na czerwono wskazywały pierwszą dwadzieścia siedem. W tej samej chwili zmieniło się światło i Piotr mógł jechać dalej.

Znalazł ją, siedziała samotnie na ławce na przystanku autobusowym przy bibliotece uniwersyteckiej na Powiślu. Zatrzymał samochód i szybko wysiadł. Podbiegł do niej, patrzył na jej torebkę, którą trzymała niedbale opartą o poręcz ławki.

Siedziała skulona, jakby było jej zimno, choć przecież noc była wyjątkowo upalna i duszna.

– Kochanie... – zaczęła, klękając przy jej kolanach. – Nic ci nie jest?

Podniosła wolno głowę. Dopiero teraz mógł dostrzec jej mokrą od łez twarz.

– Przepraszam – powiedziała, szlochając. – Przepraszam cię, Piotr.

Ujął jej lodowate dłonie i pocałował je.

– Tak się o ciebie bałem – wyszeptał. – Najważniejsze, że nic ci nie jest. Jesteś cała?

Skinęła głową.

– Wstań – powiedział, podając jej dłoń. – Chodźmy już stąd.

– Piotr... – Spojrzała mu w oczy przez łzy. – Ja nie chciałam...

– Już dobrze.

– Nie. Nie jest dobrze. Ja wiem, że zrobiłam coś okropnego, że nie powinnam, ale ja musiałam, Piotr.

– Rozumiem.

Odgarnął z jej twarzy wilgotne od łez kosmyki jasnych włosów.

– Musiałam pobyć sama z myślami, ze sobą...

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? – zapytał szeptem. – Nie zostawiłaś mi żadnej wiadomości.

Martwiłem się o ciebie, przychodziły mi do głowy najróżniejsze rzeczy.

– Chciałam, żebyś się o mnie martwił – wyznała szczerze. – Ale teraz tego żałuję. To było głupie, przyznaję. Ale czasem człowiek nie jest w stanie zrobić żadnego kroku, ani w przód, ani w tył. I ja się

zderzyłam ze ścianą, Piotr. To było silniejsze ode mnie. Próbowалаm ją rozbić, a to ona rozbiła mnie. Na kawałki, które muszę jakoś z powrotem pozbierać.

Usiadł obok niej i patrząc w asfalt pod nogami, powiedział:

– Daj sobie pomóc. Pamiętaj, że wokół ciebie zawsze są ludzie, którzy mogą ci pomóc. I ja też jestem, nie zapominaj o tym.

– Myślisz, że jestem chora? Że powinnam to leczyć?

Nie odpowiedział jej od razu.

– Sama wiesz najlepiej, Joanno. Jeśli nie panujesz nad myślami, nad tym, co robisz, może powinnaś poszukać specjalisty.

– Nie! – Urwała stanowczo. – Nie chcę.

– Dlaczego? Przecież sama powiedziałaś, że zderzyłaś się ze ścianą.

– Bo tak było, tak to czułam.

– Być może to jest ten moment, w którym powinnaś dać sobie pomóc.

Czuł, że zaczyna mówić do niej, jakby była jedną z jego pacjentek. Dziwnie mu z tym było. Pierwszy raz patrzył na nią jak na przypadek chorobowy, starał się odczytać z jej zachowania jak najwięcej przesłanek, które mogłyby mu pomóc w dobraniu jak najwłaściwszej terapii.

Wiedział, że ta droga prowadzi donikąd. Zbyt mocno był z nią związany, łączyło ich zbyt wiele, by mógł spojrzeć na nią z profesjonalnym obiektywizmem, który był jedyną drogą do zwycięstwa.

– Jeśli chcesz... – podjął. – Umówię cię z najlepszym specjalistą w tym mieście, choćby jutro.

Podniosła głowę i spojrzała w niebo, jasne i gwieździste.

– Gdzie jest księżyc? – spytała niespodziewanie.

– Słucham?

– Nie widzę go, nie widzę księżyca.

Rozejrzał się wokół z niepokojem.

– Tam – powiedział, wskazując palcem w kierunku wysokiego budynku biblioteki.

– Rzeczywiście... – Teraz i ona patrzyła na złocisty rogalik zawieszony nad dachami miasta. – Tak szybko go odnalazłeś.

– Wystarczyło się rozejrzeć – powiedział głosem pełnym ciepła, który tak uwielbiała.

– Ja tego nie potrafię, Piotr.

– Czego?

– Nie umiem się rozglądać. Widzę tylko to, co jest przede mną albo za mną. Nie widzę kolorów i kształtów, które są po bokach. A przecież one tam są, bo ty je widzisz.

Objął ją czule i przytulił do siebie. Jej ramiona były chłodne, drżała.

Za jej plecami zobaczył obcego mężczyznę, przechodził obok nich. Dopiero po chwili Piotr zauważył, że wyprowadzał psa, kudłatego kundla, który musiał być już w bardzo zaawansowanym wieku.

– Przepraszam, nie mają państwo może jednego papieroska na zbyciu? – zapytał, zatrzymując się tuż przy nich.

Joanna, słysząc obcy głos, wyrwała się z objęć Piotra i spojrzała w stronę przechodnia.

– Niestety, nie palimy – powiedział Piotr.

– No tak – odparł mężczyzna. – Dzisiaj już nikt nie pali. W takim razie nie przeszkadzam. Dobrej nocy życzę.

– Dobranoc.

– Państwo się dziwią pewnie, że psa wyprowadzam o tej porze, ale pęcherz stary i nie wytrzyma do rana...

– Rozumiem – rzucił Piotr.

– On ma już siedemnaście lat, to co się dziwić. Ale co się miał w życiu wyszumieć, to się wyszumiał. Panie, on potrafił nawet cztery dni nie wracać do domu, jak sukę wyczuł w okolicy, taki był jurny, nie to co teraz. Natura, panie! Żywioł! Leciał przed siebie na oślepie, nie patrzył na nic. Jak mus to mus, no nie?

Piotr spojrział na psa, który ledwo powłóczył nogami; jego brzuch był tak spuchnięty, że prawie sięgał chodnika.

– A teraz to już nawet nie spojrzysz za suką, tylko siusiu co godzinę, takie życie, panie.

– No tak.

– Państwo mają pieska?

– Nie, nie mamy.

– No tak, teraz każdy wygodny, tylko o sobie myśli, a pies to obowiązki, trzeba wyjść, nawet w nocy.

Piotr dyskretnie odwrócił od rozmówcy głowę, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że nie jest zainteresowany kontynuowaniem pogawędki. Tamten jednak nie ustępował.

– Pan wie, kiedyś mieliśmy tu całą hordę bezpańskich psów, o tam, pod skarpą. Widziałem je z okna codziennie. Jakie to było sprytne, panie, razem się trzymały, jak ludzie. Ale potem je przegonili czy do schroniska wywieźli. Tak, panie, taki los, jak się jest bezpańskim, bez domu.

– Faktycznie, to przykre.

– A może miałby pan drobniaka na paczuszkę papierosków, co? Tu za rogiem jest nocny.

Piotr sięgnął po portfel, który trzymał w kieszeni marynarki. Joanna szarpnęła go za ramię, ale tylko westchnęła i wręczyła mężczyźnie papierowy banknot.

– To będzie za dużo – powiedział mężczyzna, zdziwiony.

– Nie mam drobnych.

– To ja za resztę kupię dla pani czekoladek, dobrze? – zaproponował, ukazując w uśmiechu niekompletne uzębienie, które rozbawiło Joannę.

– Nie trzeba – odrzekł Piotr szybko. – My już musimy jechać. Do widzenia panu.

Joanna podniosła się z ławki i poszła w stronę samochodu. Po chwili Piotr zamknął za sobą drzwi i przekręcił kluczyki. W tylnym lusterku widział jeszcze przez chwilę mężczyznę z psem; machał im, jakby znali się od lat.



– Już będę dobra – obiecywała, wchodząc do mieszkania. – Już nie chcę ciebie ranić. Ani siebie.

Usłyszała zgrzyt klucza przekręcanego w zamku. Piotr zamknął drzwi i zapalił światło.

Weszła od razu do ich sypialni i usiadła na brzegu łóżka. Dłonią gładziła wehnianą narzutę. Na środku leżała błękitna poduszka, którą kładła tu co rano po zaścieleniu łóżka.

– Chcesz herbaty? – Usłyszała jego głos nad sobą. – A może jesteś głodna?

– Nie. Nie jestem. Dziękuję.

Był zmęczony i smutny. Nie chciała tego, nie mogła znieść myśli, że znowu wszystko stało się przez nią, że to była wyłącznie jej wina. A teraz, kiedy wrócili w środku nocy do domu, wydawało jej się, że Piotr odsuwa się od niej we własne milczenie i myśli, do których nigdy nie będzie miała dostępu.

– Skrzywdziłam cię – powiedziała, chowając twarz w dłoniach.

– Nie wracajmy już do tego.

– Więc nie chcesz już ze mną rozmawiać?

– Jest noc. Zostało nam tylko kilka godzin snu. – Westchnął, osuwając się na łóżko. – Jutro wszystko będzie wyglądać inaczej, zobaczysz.

Wtuliła się w ramiona Piotra. Potrzebowała jego ciepła i czułości, tego chwilowego poczucia bezpieczeństwa, które umiała odnaleźć tylko wtedy, gdy był obok niej. Zapach jego włosów, smak skóry, której dotykała czubkiem języka tuż nad jego karkiem, był jak jej własny.

– Z nikim nie byłam tak blisko, jak z tobą. Wiesz o mnie wszystko, znasz mnie od najciemniejszej strony.

Pozwalał jej się całować. Nie odmawiał czułościom, splatał zimne palce wokół jej dłoni, które z każdą chwilą stawały się coraz bardziej gorące.

– Jak zwykle uratowałeś mnie przed złym, który we mnie siedzi ...

Ich pocałunki stawały się coraz mocniejsze, jakby niewidzialna siła próbowała połączyć ich twarze na zawsze. Odnalazła jego usta i nie przestawała ich ssać, długo i natarczywie, jakby bała się, że za chwilę Piotr ucieknie.

– Zaczekaj... – poprosił sennie.

– Na co?

– Muszę zadzwonić.

– O tej porze?

Zobaczyła jego oczy, lśniące, czerwone ze zmęczenia.

– Muszę powiedzieć mamie, że nic ci nie jest.

– Dzwoniłeś do swojej matki?! To nie było konieczne.

– Przecież nie wiedziałem, co się z tobą działo.

Wstał i wyjął z kieszeni telefon.

– Wyślę jej wiadomość – powiedział. – Może już śpi, nie chcę jej znowu obudzić.

Kiedy wrócił do łóżka, Joanna już spała, odwrócona twarzą do ściany.

Następnego dnia obudziła się z wysoką gorączką. Bolały ją głowa i gardło, blade policzki podkreślały jej zły stan. Piotr przyniósł jej do łóżka kawę, ale nawet jej nie tknęła. Wyszedł do kuchni po tabletki. Wrócił po chwili z tacą, na której leżało opakowanie aspiryny i szklanka wody.

– Zadzwoń do biura, że dzisiaj nie przyjdiesz – polecił, stawiając tacę obok jej łóżka.

– Nie...

– Mogę to zrobić za ciebie, jeśli nie masz siły.

– Nie trzeba.

– Kochanie, zostajesz dzisiaj w domu. – Miał stanowczy głos.

Z plastikowej koperty wycisnęła na dłoń dwie okrągłe tabletki; połknęła je, a potem szybko popiła.

– Dobrze – zgodziła się w końcu.

– Kupić ci coś przed wyjściem? – zaproponował.

– Nie, niczego mi nie potrzeba.

– Może jednak przyniosę ci jogurt i bułki ze sklepu na dole? Zajmie mi to tylko chwilę.

– Niczego nie tknę. Nie mam apetytu.

Położył troskliwie dłoń na jej czole, tak jak kiedyś robiła to jej matka.

– Daj spokój! – Odepchnęła go delikatnie. – Nie jestem dzieckiem.

– Ale jesteś chora.

– Nic mi nie jest. Po prostu słabo się czuję po nieprzespanej nocy. – Spojrzała mu w oczy. – A ty? Dasz radę dzisiaj pracować?

– Nie mam innego wyjścia.

– Nie spałeś, też musisz być wykończony.

- Dam radę – zapewnił, wstając. – Dzwon do mnie. Obiecujesz?
- Obiecuję.



Tego dnia Piotr po wejściu do przychodni od razu kupił sobie podwójną kawę w automacie stojącym w recepcji. W drodze do pracy był tak głęboko pogrążony we własnych myślach, że zupełnie zapomniał zamówić kawę w jednej z mijanych kawiarni.

– Nie boisz się, że ta kawa cię zabije? – Usłyszał za plecami głos Beaty, która odbierała właśnie klucze do swojego gabinetu.

- Mnie nie zabije już nic – odpowiedział, podnosząc plastikowy kubeczek.
- Cóż za gorycz, i to z samego rana! Ale rzeczywiście wyglądasz jak po trzęsieniu ziemi.
- I tak się czuję – odpowiedział, otwierając drzwi do swojego pokoju.
- Co się stało?

Ton jej głosu był pełen szczerzej troski i zaniepokojenia.

- Masz chwilkę? – zapytał niepewnie.
- Jasne.

Weszli do środka. Beata podeszła do jego biurka i podniosła głowę.

– No coś takiego, ten obraz nadal tu wisi? – zapytała z niesmakiem, wskazując na kolorową reprodukcję. – Byłam pewna, że już dawno ktoś to wyrzucił.

- Nie lubisz Picassa?
- To „dowód wdzięczności” od żony mojego byłego pacjenta.
- Nie wiedziałem...

Podszedł do okna. Czuł, że widok codzienności, monotonnego gwarnego dnia w stolicy, trochę ukoji jego nerwy.

– Była mocno przewrażliwiona na punkcie swojego męża, obsesja maniackalna, ale oczywiście zamiast sama tu przyjść, wysłała na terapię jego.

– I co? – zapytał. – Udało ci się mu pomóc?

– A jak ci się wydaje? Dostałam od niej ten obraz, więc ona była zadowolona, a czy jej mąż też, to szczerze mówiąc, nie pamiętam. – Odwróciła się od reprodukcji z niesmakiem. – Powinieneś go stąd wyrzucić. No, chyba że ci się podoba.

– Szczerze mówiąc, jest mi wszystko jedno.

Westchnął głośno i głęboko.

- Co się dzieje?
- Nic – odpowiedział za szybko.
- Przecież widzę, że coś cię gryzie. Masz jakieś kłopoty?
- Nic nadzwyczajnego.
- Czyli coś się dzieje, tak?
- Nic się przed tobą nie ukryje. – Zmusił się do uśmiechu.

Pokręciła głową z politowaniem.

- Jestem psychologiem, Piotr.
- Ja także.



– I nie umiesz kłamać.

– Nawet nie próbowałem.

Uniosła w dłoniach jego kubek z kawą i upiła kilka łyków, tak jak miała w zwyczaju, odkąd sięgała pamięcią. Nigdy mu to specjalnie nie przeszkadzało, uważał to za jeden z symboli ich bezpiecznej przyjaźni.

– Beata – powiedział w końcu. – Nie będę mógł ci pomóc w niedzielę.

– Więc o to chodzi? – Uśmiechnęła się.

– Przepraszam.

Nie była już młoda, ostatnie miesiące odbiły się na jej twarzy wyraźnie, ale wciąż była bardzo atrakcyjna. Patrzyła na Piotra ciemnymi oczami, które lśniły jak dwa kasztany.

– Nic się nie stało – odpowiedziała. – Rozumiem, masz rodzinę i swoje plany.

– Joanna przechodzi ostatnio trudny okres.

– Ostatnio?! – Dogryzła mu, ale szybko tego pożałowała. – Boże, nie wiem, po co to powiedziałam, Piotr. Przepraszam.

– Nie szkodzi – odparł. – Powiedziałem ci przecież, że nic mnie już nie zabije.

Dopiero teraz dostrzegła smutek w jego oczach; był głębszy niż zwykle.

– Piotr...

Podeszła do niego ostrożnie i odnalazła jego dłoń. Chwyciła ją delikatnie.

– Wszystko w porządku? – zapytała, nie odrywając od niego wzroku.

– Co mam ci odpowiedzieć?

– Prawdę.

– Prawda jest taka, że nie spałem, szukając jej przez całą noc.

– Kogo szukałeś?

– Joanny.

Czuł jej palce, którymi głaskała go delikatnie. Ostrożnie uwolnił dłoń z jej uścisku, był dla niego zbyt krępujący.

– Dlaczego ty się na to wszystko godzisz? – zapytała, patrząc przez okno. – Przecież nie musisz.

– Może nie umiem inaczej.

Była zaskoczona jego odpowiedzią. Mogła mieć teraz pewność, że jej przyjaciel wiedział dokładnie, jaki wpływ miała na niego jego własna żona. Do tej pory wydawało się jej, że zaślepiiony uczuciem nie dostrzega jej wad, które widzieli wszyscy wokół. Wszyscy... Oprócz niego.

– Powinieneś coś z tym robić – stwierdziła. – I to jak najszybciej. Tak nie można dłużej, Piotr.

– Co według ciebie miałbym zrobić?

– Sam wiesz najlepiej.

– Nie – odpowiedział stanowczo. – Kocham ją. Ona mnie potrzebuje. Nie zostawię jej.

– To drugie – powiedziała po krótkiej chwili.

Początkowo nie zrozumiał jej.

– Słucham...?

– Powiedziałeś: „Kocham ją. Ona mnie potrzebuje. Nie zostawię jej”. To drugie.

– Co chcesz mi powiedzieć? – Wciąż nie rozumiał.

– Prawdę. Powtórz to od końca, albo lepiej ja tobie to powtórzę. Posłuchaj: „Nie zostawię jej, bo ona mnie potrzebuje”, powiedziała Beata.

– Kocham ją.

– Kochasz ją, bo ona ciebie potrzebuje jak powietrza, Piotr. Ona je tobie zabiera.

Cieszyła się, że zebrała się na odwagę, by wreszcie mu to powiedzieć. Poczowała ulgę. Miała wyrzuty

sumienia, że dusi w sobie coś, o czym powinien był wiedzieć, o czym należało go poinformować już dawno temu. Wprawdzie znała Joannę głównie z jego opowiadań, jakoś nigdy nie miały okazji, żeby poznać się osobiście (podobno nie była zbyt chętna do poznawania jakichkolwiek jego znajomych), ale już na podstawie tych pozornie neutralnych spraw, o których czasem opowiadał, mogła wyrobić sobie opinię o żonie przyjaciela.

– Nie, to nie tak – zaprzeczył, ale ona nie chciała go już słuchać.

– Zrobisz, jak zechcesz. To twój wybór. Twoje życie, nie moje.

Stała za jego plecami i wolno oparła swoją prawą dłoń na jego ramieniu. Opuszkami palców wyczuwała szybkie bicie jego serca. Miał na sobie szary sweter w grube, plecione wzory. Gdyby mogła, przytuliłaby go do siebie z całej siły, objęła albo chociaż potrząsnęła nim mocno. Zamiast tego poklepała go tylko po plecach i cicho podeszła do drzwi.

– I nie przejmuj się tą niedziłą – rzuciła na odchodnym. – Doceniam to, że chciałeś mi pomóc. Zawsze możesz na mnie liczyć... Chcę, żebyś o tym pamiętał. Jesteś wyjątkowym człowiekiem. Nie daj sobie nikomu wmówić, że jest inaczej.

Wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Chwilę po wyjściu Beaty Piotr wyjął z kieszeni telefon i zadzwonił do Joanny. Odebrała dopiero po trzecim sygnale. Miała senny, zmęczony głos. Zapytał, jak się czuje. Odpowiedziała, że głowa jej pęka i że raczej nie wyjdzie z łóżka do końca dnia. Zanim się pożegnali, poprosiła go, aby w drodze powrotnej z pracy koniecznie kupił coś na kolację, bo sama nie czuje się na siłach, by cokolwiek przygotować.

– Oczywiście – odpowiedział. – Nie zawracaj sobie głowy takimi drobiazgami. Wszystkim się zajmę, wypoczywaj.



Otwierał właśnie szufladę w komodzie, w której przechowywał stare teczki z dokumentami pacjentów, kiedy usłyszał ciche stukanie do drzwi.

– Proszę! – powiedział nieco zaskoczony.

Dochodziła osiemnasta i nie spodziewał się już dzisiaj nikogo. Przed powrotem do domu postanowił uporać się z papierami, które czekały na to od kilku tygodni.

W drzwiach zobaczył najpierw burzę rudych włosów, potem turkusową sukienkę sięgającą podłogi, a dopiero na końcu znajomą twarz pokrytą piegami.

– Można? Nie przeszkadzam?

– Agata! – Rzucił teczkę na biurko. – Co ty tu robisz?

– Przechodziłam obok i postanowiłam sprawdzić, czy siedzisz jeszcze w tej swojej norze.

– Chciałbym wyjść, głowa mi pęka, ale mam jeszcze papierkową robotę do odwalenia.

– Może ci pomogę? – zaproponowała, podchodząc do biurka.

– To są dane moich pacjentów, objęte tajemnicą, więc raczej nie...

– Tajemnicą, mówisz?

Z nieskrywaną ciekawością spojrzała na dokumenty leżące przed Piotrem. Górna teczka przewiązana była staroświecką tasiemką, pożółkłą i mocno już przetartą w miejscach, gdzie dotykała brzegów tektury.

– Uwielbiam tajemnice – szepnęła, posyłając mu szelmowski uśmiech. – Nie obawiaj się, będę się trzymała od nich jak najdalej.

– Co u ciebie? – zapytał, chowając teczki z powrotem do komody.

Wzruszyła ramionami.

– Bez zmian.

Piotr bawił się kluczykiem wiszącym w zamku szuflady. Uderzał palcem wskazującym w wiszący kawałek metalu, klucz tańczył, obracając się na srebrnym kole wykonanym z cieniutkiego drutu.

– A co u Joanny? – zapytała Agata.

– Nie czuje się najlepiej.

– Tak? – Wyraźnie się zaciekawiała.

– To nic takiego, po prostu dzisiaj musiała zostać w domu. Nie poszła do pracy, leży w łóżku.

– A to ciekawe... Bo widziałam ją dzisiaj na mieście – dodała, widząc jego pytający wzrok.

– Niemożliwe – stwierdził Piotr ze spokojem. – Może to był ktoś do niej bardzo podobny.

– Z tą samą torebką, którą tata przywiózł w tamte wakacje mnie i Joannie z Rzymu? Ciekawy zbieg okoliczności, nie uważasz?

Czuł na sobie jej przenikliwe spojrzenie.

– Gdzie to było? – zapytał mimowolnie.

– Na Alejach. Szła w stronę Hożej i wcale nie wyglądała na chorą, chociaż faktycznie... – Urwała, zamyślając się.

– Co faktycznie?

– Wyglądała na przygnębioną.

– Dlaczego do niej nie podeszłaś?

– Bo jechałam autobusem, zobaczyłam ją przez okno, jak przechodziła przez ulicę. Właśnie po tej torebce ją poznałam. Nie wiedziałam, że ją w ogóle nosi. Jak myślisz, dokąd szła?

Piotr patrzył na okrągłą twarz siostry. Kremowe policzki pokryte były lekkim rumieńcem.

– Nie wiem – odpowiedział wreszcie.

– Myślisz, że kogoś ma?

– Co ty pleciesz?

– Sam powiedziałaś, że została w domu, podobno. A tu proszę, taka niespodzianka. Dziwne, co?

– Może wyszła po leki.

– Akurat! – odgryzła się. – Nie macie apteki pod domem?

Faktycznie, apteka znajdowała się tuż za rogiem ich bloku, zresztą kilka przecznic dalej była kolejna.

Piotr zastanawiał się, co Joanna mogła robić w okolicach Hożej, ale jedyne, co przychodziło mu do głowy, to spotkanie z jej siostrą... O ile ta jeszcze nie wyjechała. Przecież mogła zadzwonić do niej i poprosić nagle o spotkanie.

– Piotr...

Głos Agaty wyrwał go z chwilowej zadumy.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie wiem, co mi strzeliło do głowy. To przez te hormony, które mi wstrzykują w brzuch.

– Słucham...?

– O, tutaj. – Położyła dłoń poniżej pępka. – Taką cieniutką igiełką wychodzącą z maleńkiej strzykawki.

– O czym ty mówisz?

– O terapii hormonalnej, którą przechodzę. Inaczej nie mam szans na wyprodukowanie odpowiedniej wielkości i jakości jajeczka. – Schowała twarz w dłoniach. – Przepraszam za to, co powiedziałam o Joannie. To nie moja sprawa.

Usłyszała jego głośnie westchnienie. Był smutny, zanim tu przyszła, a teraz jego twarz pogrążona była w rozpacz.

– Dlaczego nie możemy być po prostu szczęśliwi, tak jak nasi rodzice? – spytała, patrząc na jego dłonie, którymi nerwowo pocierał.

– Może mamy zbyt duże wymagania? – odpowiedział.

– Jasne. Ja wymagam dziecka, czyli czegoś, co przysługuje każdej parze.

– Nie każdej. – Nie zgodził się z nią. – Chciałem zauważyć, że my z Joanną nie mamy dzieci.

– I właśnie dlatego macie same problemy.

– Nie mamy żadnych problemów.

– Mów sobie, co chcesz.

Patrzył przez okno. Na dole, po drugiej stronie ulicy, stała Beata. Dopiero teraz ją zauważył.

Wyglądała, jakby na kogoś czekała.

– A może to wszystko jest prostsze, niż nam się wydaje? – Głos Agaty był wyjątkowo cichy.

– Relacje między dwojgiem ludzi nigdy nie należą do prostych – stwierdził.

– Może gdybyśmy związali się z kimś zupełnie innym, nasze życie byłoby inne?

– To na pewno... Ale nigdy nie masz gwarancji, że byłoby szczęśliwsze niż to, jakie masz obecnie.

Życiem rządzi przypadek, który możemy kontrolować tylko w minimalnym stopniu.

Beata podeszła nagle do samochodu, który zatrzymał się tuż obok niej. Auto stało w niedozwolonym miejscu, kierowca włączył światła awaryjne; pulsowały pomarańczowym blaskiem. Po chwili z auta wysiadł mężczyzna. Stał naprzeciwko Beaty, nie przywitał się nawet, tylko wręczył jej jakąś teczkę z dokumentami. Dopiero teraz Piotr rozpoznał w tym mężczyźnie Marka. Był zupełnie innym człowiekiem niż ten, z którym rozmawiał ostatnio. Wychudzony, z młodzieńczą fryzurą i jasnym pulowerem zarzuconym nonszalancko na ramiona, wyglądał młodo, wręcz chłopięco. Kiedy odwrócił się, by wsiąść do samochodu, Piotr zauważył lekki zarost na jego twarzy. Odjechał, zostawiając Beatę na chodniku. Stała tam jeszcze przez chwilę, trzymając się kurczowo teczki, którą właśnie jej wręczył.

– Czy to bolesne? – zapytał, wracając do biurka.

– Co? Hormony? Nie, już się przyzwyczaiłam.

– Przykro mi, że musisz przez to wszystko przechodzić...

– Wzajemnie – syknęła w starym stylu. – Będę już uciekać, braciszku. Wpadłam tylko sprawdzić, czy żyjesz. Trzymaj się.

Wyszła równie nagle i szybko, jak się pojawiła.

Piotr zamknął na kluczyk szufladę biurka i także wyszedł z gabinetu. W recepcji zostawił swoje klucze, zamienił kilka słów z sekretarką-recepcjonistką, której imienia wciąż nie pamiętał, choć pracowała u nich już od ponad miesiąca, i zszedł na dół, gdzie ulica przywitała go zapachem rozgrzanego popołudniowym słońcem asfaltu.



Wszedł do kuchni.

Na stole stała szklanka po wodzie, którą opróżnił przed wyjściem do pracy. Nikt jej nie umył. Podniósł ją z zamiarem wstawienia do zlewu, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Wyjął z lodówki butelkę wody mineralnej, otworzył ją i przechylił nad szklanką. Wypił wszystko od razu. Dopiero teraz wstawił naczynie do zlewu. Podeszedł do drzwi ich sypialni; były uchylone.

Przez wąską szparę widział łóżko i głowę Joanny, która spoczywała na poduszce. Jego żona wyglądała,

jakby spała.

Wszedł do środka.

Leżała całkiem naga w niebieskiej pościeli, która spływała na podłogę z jej ud. Twarz miała odwróconą tyłem do niego, ale był pewien, że śpi.

Odwrócił się i już wychodził z sypialni, kiedy usłyszał za sobą jej głos.

– Nie odchódź, proszę.

– Myślałem, że śpisz.

– Nie śpię – powiedziała, siadając na łóżku.

Powoli naciągnęła kołdrę na nagie ramiona.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Lepiej.

– Dobrze wyglądasz.

– Piotr...

– Tak?

Miała w oczach coś niepokojącego, coś, czego do tej pory nie znał albo wcześniej po prostu nie dostrzegał. Zastanawiał się, czy to możliwe, aby mogła coś przed nim ukrywać, zataić, i czy byłby w stanie w ogóle to zauważyć. A gdyby już to dostrzegł i miał pewność, czy umiałby znieść jej milczenie?

– Byłam u lekarza.

– W przychodni?

Spojrzała na niego złęczona.

– Nie – odpowiedziała cichym głosem.

– Prosiłem, żebyś nie wychodziła z domu, miałaś odpoczywać.

– Nie pytasz, u jakiego lekarza byłam? Nie jesteś ciekaw?

– Jestem.

– Więc dlaczego nie pytasz?

– Czekałam, aż sama mi powiesz.

– Boję się...

– Czego? – zapytał, siadając na brzegu ich łóżka.

– Ciebie.

– Mnie...?!

Patrzył na jej szczupłą, bladą szyję. Z tej odległości widział dokładnie miejsce, które drgało co sekundę od uderzeń pulsu.

– Boję się, że będziesz zły.

– Dlaczego miałbym być zły?

– Bo nie chcę ci o tym opowiadać, chcę to zachować dla siebie.

Pokiwał głową.

– Rozumiem – powiedział spokojnie.

– Rozumiesz...?

– Nie musisz mi mówić o tej wizycie. To twoja prywatna sprawa, Joanno.

– Tak – zgodziła się. – Ale jednocześnie chcę, żebyś wiedział, że zrobiłam jakiś krok w tym kierunku.

– To dobrze.

– I jest nadzieja, nie jestem jeszcze całkowicie stracona. – Wykrzywiła usta w bladym uśmiechu.

– Powiesz mi tyle, ile uznasz za stosowne. Nie będę o nic pytał.

– I nie będziesz szukał tego lekarza, obiecuj mi.



– Możesz być tego pewna.

Odwróciła głowę w stronę okna i powiedziała prawie szeptem:

– Ten lekarz, u którego dzisiaj byłam, powiedział, że mam depresję. Przepisał mi tabletki, leżą tam, na stoliku. – Pokazała palcem. – Mam przychodzić do niego na terapię. Ale nie będę sama. To jest grupa osób i on będzie nas leczył.

– To dobrze – powiedział, podchodząc do stolika.

– Tylko błagam cię, nie mów nic ojcu.

– Joanno, oczywiście, że nic mu nie powiem, jemu ani nikomu innemu. To jest wyłącznie twoja sprawa, jeśli będziesz miała ochotę, to sama im o tym powiesz.

– Nie powiem.

– Dlaczego?

– Bo się tego wstydzę.

Doskonale wiedział, o czym mówiła. Przecież depresja wciąż przez wiele osób traktowana była nie jak choroba, tylko jako fanaberia i skutek uboczny nadmiaru wolnego czasu. Ludzie nadal nie traktowali kogoś z depresją poważnie, wydawało im się, że przecież wystarczy się wziąć w garść, że to takie proste.

– Posłuchaj, to jest choroba, taka sama jak każda inna, to się leczy.

– Wiem – odpowiedziała zranionym tonem. – Ale mimo wszystko wstyd mi jakoś.

– Niepotrzebnie. Potraktuj to jak grypę albo zapalenie zatok. Przecież nie wstydzisz się powiedzieć mojej matce, że leczysz się na zapalenie zatok. Ale oczywiście zrobisz, jak zechcesz.

Wziął do ręki opakowanie z tabletkami i zobaczywszy znajomą nazwę, odłożył je szybko z powrotem na stolik.

– To dobre leki – powiedział. – Jestem pewien, że ci pomogą.

– One muszą mi pomóc.

– Pomogą. Zobaczysz.

Usiadł obok niej i ostrożnie wślizgnął się pod kołdrę.

– Nie jesteś głodny? – spytała, obejmując go ramieniem.

– Jestem – odpowiedział, gryząc ją delikatnie w kark.

Jego dłonie robiły się coraz cieplejsze od gorącego ciała Joanny. Całował jej usta, suche i rozgrzane. A potem ostrożnie czubkiem języka osuszał jej policzki z cieniutkich strużek łez, które płynęły spod przymkniętych powiek.

– Już dobrze – szeptał jej do ucha. – Wszystko już dobrze...



Tego dnia park pełen był turystów, którzy docenili promienie słońca. Alejki pachniały lawendą kwitnącą w okolicach stawu.

– Piotr, ciągle czegoś mi brakuje, gonię za czymś i nie wiem, co to jest.

– To normalne, kochanie. Wszyscy pędzimy, takie czasy.

– Ale ja chcę usiąść i nacieszyć się chwilą. Nie chcę wiecznie uciekać.

– Zawsze można zacząć wszystko od początku, od nowa. Przecież każdego dnia poranek jest inny.

– Więc chcę – powiedziała, podnosząc się z ławki. – Chcę wszystko od nowa.

– Dobrze.

– Nie chcę się oglądać. Nie chcę kłótni, nie zmienię ani ciebie, ani siebie.

– Cieszę się, że w końcu to zrozumiałaś. To, że mnie nie zmienisz, nie znaczy, że będę gorszy.

– Tak, masz rację. Przecież kocham cię takim, jaki jesteś! – Podała mu rękę. – I nie będę więcej zazdrosna.

Wierzył jej, kiedy szli przez park, wierzył w to, co mówiła. Chciał jej pomóc wydostać się z pajęczyny myśli, którą przez cały ten czas roztaczała wokół siebie. Teraz należało zwinąć te wszystkie nici w kłębek i wyrzucić go daleko za siebie.

– Życie w tym mieście jest okropnie stresujące – powiedziała, kiedy przechodzili przez mostek ukryty wśród wysokich sosen. – Ciekawe, jak żyłoby nam się gdzieś na wsi, może w górach?

– Chciałabyś wyprowadzić się z Warszawy?

– Nie. – Uspokoiła go. – Tylko tak sobie wyobrażam. Popatrz, ludzie zmieniają kraje jak rękawiczki. Urodzili się w Polsce, a mieszkają w Niemczech i Anglii, czy to nie dziwne?

– Każdy szuka swojego szczęścia.

– Ale żeby tak daleko?

– Ludzie są w stanie pokonać wiele kilometrów, by odnaleźć najlepsze miejsce na ziemi.

– A my, Piotr?

Zatrzymali się nad brzegiem strumyka. Patrzyli na przepływającą w dole wodę, która połyskiwała w słońcu białymi łuskami.

– Patrz, ryba! – krzyknęła Joanna zachwycona.

– A tam druga.

– Myślisz, że są parą? – Uśmiechnęła się.

– Tego nie wiem, ale przynajmniej płyną w tym samym kierunku, co już daje nadzieję.

Minęli jasną polanę rozciągającą się tuż pod pałacem wzniesionym na parkowym wzgórzu. Z tej odległości widzieli ogrodnika, który miał na sobie zielony kombinezon i przycinał róże kwitnące przy balustradzie okalającej taras od południowej strony.

– Myślisz, że powinnam pogodzić się z Agatą? – zapytała niespodziewanie, kiedy wchodzili w aleję skąpaną w głębokim, przyjemnym cieniu.

Nie od razu wiedział, co jej odpowiedzieć.

– Dlaczego nic nie mówisz?

– Zastanawiam się – powiedział po chwili. – Przecież właściwie nie jesteście pokłócone.

– Niby nie. Ale sam wiesz, jak jest między nami.

– Wiem.

– Może to moja wina? Może od samego początku za mało się starałam?

– Nie sędzę...

– A jednak do niej zadzwonię – powiedziała z radością, której nie starała się ukryć. – Tak, zadzwonię do niej jeszcze dzisiaj. Myślisz, że to dobry pomysł?

– Myślę, że tak – odpowiedział niepewnie.

– Umówimy się na kawę i po prostu porozmawiamy.

– Tylko błagam cię o jedno, niczego sobie nie wyjaśniajcie.

– Dlaczego? – zainteresowała się.

– Bo to tylko niepotrzebnie rozbudzi stare konflikty. Sama powiedziałaś, że wszystko chcesz zacząć od nowa.

– Bo chcę.

– Więc nie wracaj do przeszłości. Nie patrz na to, co było.

Nie odpowiedziała.

Szli w górę wyboistym chodnikiem, w stronę bramy, która wychodziła prosto na ulicę. Gwar miasta uderzył ich jak zbyt głośna muzyka. Autobusy jechały zbyt szybko, a dzieci z wycieczki kolonijnej, która właśnie wchodziła do parku, były zbyt hałaśliwe. Nauczycielka upominała je co chwilę, ale dzieci nic sobie z tego nie robiły.

– Jak będziecie tak jazgotać bez przerwy, to nie usłyszycie ani słowa z tego, co mówi nasza przewodniczka. A przypominam, że jest opłacona z waszych pieniędzy, więc chyba warto się skupić na kilka minut, prawda, Ostrowski?

Chłopak, który przerastał o głowę swoich rówieśników, na dźwięk swojego nazwiska zamilkł nagle i szybko przytaknął nauczycielce.

– Skoro zmiany, to zmiany na całego – oznajmiła Joanna dokładnie w chwili, kiedy podeszli do przejścia dla pieszych. – Niedługo zaczną szukać pracy w szkole.

– Brawo!

– Za długo już to odkładam. Poza tym mam już trochę dość pracy wśród słupków i cyferek. W kółko to samo. Szkoda na to życia... Jeżeli nie zmienię tego teraz, to utknę w biurze rachunkowym do emerytury. A tego bym nie chciała.

– Musimy to jakoś uczcić! – zdecydował Piotr, obejmując ją w biodrach. – Zabieram cię na lampkę wina.

– Przy moich lekach antydepresyjnych nie powinnam pić alkoholu. Nie wiedziałeś?

– W takim razie może koktajl owocowy?

– Z największą przyjemnością... Ale przecież mieliśmy jeszcze pójść do banku?

– Pójdziemy jutro – odparł ze spokojem. – Bank nie ucieknie, a ta chwila już się nie powtórzy.



Postawiła walizkę na podłodze. Szybko zdjęła tenisówki i stanęła boso na kamieniach, którymi wyłożony był korytarz. Były płaskie i gładkie jak drewno, prawie białe. Poczowała przyjemny chłód, który wolno rozchodził się po wnętrzu jej stopy, sięgając łydek.

Tęskniła za upałem, za słońcem, które nie akceptowało kompromisów. Na taki dzień warto było czekać całe życie. Odetchnęła głęboko. Pachniało morską wodą i zielenią, która układała się właśnie do snu w ogrodzie otaczającym ich wakacyjny dom.

Przeszła przez sypialnię i podeszła do okna. Szybko otworzyła drzwi prowadzące na taras i otworzyła je najszerzej, jak umiała. Podeszła do barierki i oparła na niej dłonie.

W dole spało morze, ciemne i tajemnicze. Słyszała plusk fal i śmiech ludzi, którzy spacerowali po plaży. Na policzku poczuła delikatne, suche muśnięcie; zaskoczona odwróciła głowę, by zobaczyć ostre liście palmy, która sięgała ich tarasu.

– Kochanie, gdzie ty się podziewasz?

Głos Piotra dochodził z salonu, który znajdował się zaraz za sypialnią.

– Jestem, jestem! – odrzyknęła, wychodząc z sypialni.

Piotr właśnie otwierał okno.

– Jak udała się podróż? – zapytała ich gospodyni. Właśnie przyniosła z kuchni tacę z dzbankiem świeżo zaparzonej kawy.

„Zawsze ten sam rytuał”, pomyślał Piotr, biorąc od niej filiżanki. Kawa przed snem była tym czymś, co kojarzyło mu się najbardziej z początkiem wakacji.

– Lot był krótki i o czasie – odpowiedziała Joanna.

– To wspaniale. Nie ma nic gorszego niż to okropne czekanie na lotnisku.

Irena, właścicielka willi, w której mieli mieszkać przez najbliższe dwa tygodnie, była Polką. Wyemigrowała do Francji jako dziecko, zaraz po wojnie. Jej rodzice osiedlili się w okolicach Nicei, gdzie ojciec Ireny prowadził aptekę. Wyszła za Francuza, ale wciąż pamiętała język polski, którym posługiwali się jej rodzice.

– Jak twój tato, Piotrze? – zapytała, siadając ciężko na krześle.

– Dziękuję, całkiem, całkiem.

– Wciąż pracuje w klinice?

– Oczywiście.

– To dobrze, to bardzo dobrze. Praca jest najważniejsza, zwłaszcza w naszym wieku, kiedy dzieci wyfruwają z domu. Trzeba się czymś zająć, mieć jakąś pasję.

Piotr patrzył na twarz Ireny, opaloną i radosną. Kobieta była tylko trochę starsza od jego ojca, ale przez słońce, któremu rokrocznie poddawała się bez ograniczeń, wyglądała poważniej, niż wskazywałyby na to metryka. Jej ojciec był zaprzyjaźniony jeszcze z dziadkiem Piotra. Nie dość, że byli sąsiadami, to jeszcze razem skończyli farmację na tym samym uniwersytecie. Ich drogi rozeszły się co prawda po wojnie, jednak do końca życia pozostawali w bardzo dobrych relacjach. Pisali do siebie listy, wysyłali kartki na święta, a w latach siedemdziesiątych, kiedy granica Polski przestała być tak szczelna jak dawniej, ojciec Ireny przyleciał z wizytą do Warszawy. Zatrzymał się wtedy w mieszkaniu dziadków Piotra na Mokotowie, jednak ojczyzna zrobiła na nim tak przygnębiające wrażenie, że wyjechał szybciej, niż zamierzał, i nigdy już nie wrócił.

Pod koniec lat osiemdziesiątych mąż Ireny kupił po okazyjnej cenie dom nad samym morzem, w okolicach Nicei. Początkowo spędzali w nim weekendy i święta, ale kiedy okazało się, że turyści z zagranicy walą drzwiami i oknami na Lazurowe Wybrzeże, postanowili wynajmować go przez całe lato. Zysk uzyskany z tego tytułu przerósł ich najśmielsze oczekiwania. Z czasem dokupili kolejny dom, tym razem wysoko w górach, który z kolei wynajmowali zimą. W ten sposób rodzina Ireny uzbierała na koncie niezłą sumkę, która pozwoliła jej spokojnie patrzeć w przyszłość. Pozwoliło to także na wynajmowanie domu przyjacielom rodziny po okazyjnej, znacznie niższej cenie. Rodzina Piotra na szczęście się do tej grupy zaliczała, choć z grzeczności starali się korzystać z hojnej oferty Ireny w umiarze i zawsze po sezonie. Tego lata jednak sytuacja zaskoczyła wszystkich.

– Pakuj walizki i jedź z Joanną do Francji – powiedział ojciec Piotra przez telefon.

Był piątkowy, sierpniowy wieczór.

– Jak to: do Francji...? Szczerze mówiąc, mieliśmy w planach wyjazd na Mazury – odpowiedział zmieszany.

– Mazury nie uciekną, a tu trafiła się prawdziwa okazja. Irena dzwoniła przed chwilą, że goście, którzy zabukowali willę od poniedziałku, zrezygnowali w ostatniej chwili.

– Ale...

– No przecież nie można pozwolić, żeby taki dom stał kompletnie pusty w środku sezonu.

– Rozumiem.

– Pytaliśmy Agatę, czy nie miałaby ochoty, ale wiesz, ona ma teraz inne sprawy na głowie, poza tym na środe jest umówiona w klinice, więc sam rozumiesz, że nie może teraz wyjechać.

– To bardzo miło ze strony pani Ireny, że o nas pomyślała.

– No właśnie.

- A może wy z mamą powinniście tam pojechać? – podsunął Piotr.
- Może i powinniśmy, ale doszliśmy do wniosku, że w samym środku sezonu nie czulibyśmy się tam tak komfortowo, jak wy, młodzi.
- Nie przesadzaj...
- Nie przesadzam. Twoja matka nie znosi upałów, a tam jest teraz pewnie najmniej trzydzieści stopni w cieniu. Codziennie!
- No tak.
- Nie martw się – dodał po chwili. – Odbijemy to sobie jesienią. To od lat nasza ulubiona pora roku na spędzanie wakacji we Francji. Wiesz, Piotrze, w pewnym wieku człowiek zamiast wylegiwania się na plaży woli zwiedzać winnice. Dzwon z niespodzianką do Joanny, niech pędzi kupić krem do opalania, koniecznie z wysokim filtrem. Ciekawe, czy twoja żona była już kiedyś w tamtych stronach?
- Chyba nie. Z tego, co wiem, zwiedzała jeszcze w liceum Włochy, ale nie Francję.
- No, sam widzisz! Będzie zachwycona. Słuchaj, muszę już kończyć.
- Tato...?
- Tak?
- Dziękuję.



- Przecież bilety lotnicze kupowane w ostatniej chwili będą nas kosztowały majątek! – Joanna wyjęła z siatki sałatę i pomidory, które kupiła na bazarze w drodze powrotnej z pracy.
- Nie martw się o to, kochanie...
- Jak mam się nie martwić?
- Raz się żyje.
- Dość kosztowna ta zachcianka.
- Kochanie, to okazja, sam środek lata, zobaczysz, będziesz zachwycona.
- A Mazury?
- Nie powiesz mi chyba, że wolisz jechać nad jezioro zamiast na Lazurowe Wybrzeże?!
- Nigdy tam nie byłam.
- Więc czas najwyższy to zmienić.
- Ale ja nie znam francuskiego! – Wciąż szukała jeszcze argumentów przeciw.
- To tak jak ja.
- I ciebie to nie martwi?!
- Kelnerzy rozumieją angielski, a słońce i morze mówi na szczęście w tym samym języku, co my.
- Wariat!
- Kocham cię, Joanno. – Podszedł do niej i zaczął całować ją po szyi.
- Przestań, łaskoczesz mnie. Musimy się zacząć jakoś pakować...
- Więc zgadzasz się?
- A mam inne wyjście? – zapytała; oczy jej się śmiały.
- Nie masz.
- Boże, ja nie mam bikini! Przecież to z zeszłego roku kompletnie nie pasuje.
- A to, które miałaś zabrać na Mazury?



Spojrzała na niego zdziwiona.

– Chyba żartujesz. Miałabym do Francji jechać w czymś... takim?! Muszę sobie kupić coś specjalnego.

W końcu jedziemy do Francji. Jaki dzień jest jutro?

– Sobota.

– Wspaniale. W takim razie jutro z samego rana pojedę do galerii handlowej i coś sobie znajdę. I dla ciebie! – Popatrzyła na niego protekcyjnie. – Przecież nie możesz pojechać tam ze mną w tych starych dżinsach. Muszę koniecznie znaleźć ci białe spodnie, najlepiej lniane, jedne długie do kostek, a drugie nad kolano. Mówiłam, że będzie nas to nieźle kosztowało.



Była jak trucizna, choć działała stopniowo. Niczym arsenik dosypywany w drobnych ilościach do pożywienia, zatruwała powoli. Z każdym dniem czuł się coraz słabiej, jakby krew z niego odpływała, jakby zamieniał się w skałę. Żył jak dawniej, a jednak to jego życie nie było już jego. Oddał je komuś innemu w posiadanie. To ona decydowała o tym, jaką koszulę ma założyć do pracy i z czym zjeść kanapkę na późną kolację. Nie pamiętał, kiedy to się stało. Początkowo bardzo mu to odpowiadało, potrzebował opieki, oddania, a ona bardzo chciała się nim zaopiekować. Bo też go potrzebowała, a on pozwolił jej sobie zagarnąć. Wtedy był to dla niego największy dowód miłości, oddać się drugiej osobie w posiadanie bezgraniczne, nie tylko poświęcić jej swoje ciało, ale także umysł, każdą myśl. Było mu z tym dobrze, a teraz poczuł się jak w pułapce, z której nie ma już wyjścia. Ucieczka nie istniała, był uzależniony od toksycznej trucizny, którą mu serwowała z każdym pocałunkiem. Gdyby uciekł, umarłaby bez niego, a on nigdy nie pogodziłby się z jej stratą.

„Ja wiem, Piotr, że my się czasem kłócimy. Ale sam wiesz, że radość nigdy nie smakuje tak mocno, jak po smutku”. W uszach wciąż słyszał jej słowa, którymi karmiła go po każdej sprzeczce.

Siedział na tarasie, który wychodził w morze. Patrzył na fale, spienione, ciemnogramatowe. Niespokojnie uderzały o skalisty brzeg. Odwrócił głowę w stronę ich sypialni. Nie chciał, by odgłosy morza ją obudziły.

Leżała nago. Bładoniebieskie prześcieradło okrywało jedynie jej łydki. Była piękna. Opalenizna była co prawda nadal świeża, ale już teraz jej skóra nabierała orzechowego odcienia.

„Kocham ją”, pomyślał i wrócił do sypialni, bezszelestnie zamykając za sobą drzwi.

Następnego dnia popłynęli statkiem do Villefranche. Podróż zajęła im ponad czterdzieści minut. Patrzyli na cypel, obok którego przepływali powoli, tak by wszyscy turyści mogli spokojnie nacieszyć oczy urokiem niewielkiego Saint-Jean-Cap-Ferrat. Joanna siedziała obok i przez cały czas trzymała go mocno za rękę.

– Jak tu pięknie – szepnęła. – To niemożliwe, że nigdy wcześniej tu nie byliśmy. Każdy powinien przyjechać tu chociaż raz.

Uniósł jej dłoń do ust i pocałował opuszki jej palców.

– Piotr, czy myślisz, że tutejsi ludzie chorują?

– Pewnie tak jak wszyscy. A dlaczego pytasz?

– Bo kiedy tak na nich patrzę, to czuję zazdrość. Oni tutaj żyją jak w raju, a w raju nie ma chorób i nieszczęścia.

– A ja myślę, że sporo z nich to turyści, tacy jak my. Kiedy kończy się sezon, te uliczki są tak samo

wymarłe, jak w naszej Ustce czy w Bukowinie. Takie miasta ożywają tylko w sezonie. Po wyjeździe turystów pozostaje tylko smutek.

– To pewnie miałbyś tu dużo pracy.

– Pewnie tak, ale na szczęście nie znam francuskiego.

– Nie chciałbyś tutaj zamieszkać? – zapytała, odgarniając rozjaśnione słońcem włosy z czoła.

– A ty?

– Chciałabym. Wszystko tu mi się podoba, wszystko.

– Będziemy tu wracać, obiecuję.

Ich statek zacumował w niewielkim porcie, trzeba było wysiadać. Na brzegu czekała już rozkrzyczana wycieczka szkolna albo kolonijna ze Szwecji. Wszystkie dzieci, z prostymi jasnymi włosami i jasnoniebieskimi oczami, wyglądały tak samo. Choć Piotr z Joanną nie rozumieli ani słowa, widać było, że głośno komentowały wygląd statku.

Usiedli na tarasie pierwszej z portowych restauracji.

– Nie chcesz poszukać czegoś bardziej intymnego? – zapytał, odsuwając metalowe krzesło.

– Tu jest dobrze – odpowiedziała, siadając. – Spójrz na ten widok.

Patrzyli na ich statek, który właśnie odpływał.

Zamówili pizzę i wino. Młody kelner postawił na stole wysoką butelkę z oliwą, w której pływały ususzone ciemnoczerwone płatki chilli. Piotr obficie polał jej zawartością swoją pizzę.

– Nie boisz się, że będzie za ostra? – zapytała Joanna, z niedowierzaniem patrząc na liczbę czerwonych papryczek pływających w oliwie.

– Do odważnych świat należy, czyż nie?

Patrzyła z uwagą, jak odrywa palcami gruby kawałek ciasta i szybko wkłada go do ust.

– I jak? – zapytała.

– Chcesz spróbować?

– Oszalałeś?!

– Nie jest tak ostra, jak można było się spodziewać.

– Ale nadal ostra?

– Oczywiście. Idealnie ostra.

– To ja jednak dziękuję.

Miasteczko było rozgrzane południowym słońcem. Szli w górę wąskimi uliczkami, które zatopione były w cieniu wysokich kamienic, pomalowanych na pomarańczowo. Minęli niewielki sklepik, w którym można było kupić ręcznie wyrabiane mydła z dodatkiem lawendy rosnącej bujnie na tutejszych polach.

– Zobacz! – zawołała, wskazując palcem na wąski balkon jednego z mieszkań.

Cały zastawiony był doniczkami, z których wyrastały jasnozielone palmy i bluszcze. Kwiaty rosły tak gęsto, że na balkonie nie było już miejsca, by wcisnąć choćby stopę.

– Ktoś musi bardzo kochać zieleni – zauważył Piotr.

– Ta miłość raczej go przerosła, wymknęła mu się spod kontroli – stwierdziła gorzko. – Przecież nie może nawet podziwiać tych roślin, bo niby gdzie miałby stanąć?

– Nie zawsze umiemy zapanować nad naszymi pasjami... Czy raczej słabościami.

– Piotr, jesteś na wakacjach, a nie w swoim gabinecie – upomniała go.

– Powiedziałem to jako człowiek, nie jako terapeuta.

– A terapeuta to nie człowiek?

Pocałował ją w usta.

– Wiesz, czasem myślę, że specjalnie znalazłeś sobie taki zawód, żeby uciekać z domu i przebywać z innymi, zamiast ze mną.

– To nieprawda – bronił się. – To po prostu taki zawód. Z czegoś trzeba przecież żyć.

– Lubisz ich słuchać?

– Kogo?

– Twoich pacjentów.

– To element mojej pracy.

– Wiem. Pytam, czy to lubisz.

– Najbardziej lubię nieść ludziom pomoc.

– Myślisz, że słuchając ich, niesiesz im pomoc?

– Myślę, że w bardzo wielu przypadkach tak. Nie wiesz, jak wielu osobom brakuje po prostu kogoś, kto ich wysłucha.

– Nie mają rodziny, przyjaciół?

– Mają. Oczywiście, że mają.

– Czy to nie dziwne, Piotr? – zapytała – Dlaczego my wszyscy, choć mamy rodziny, przychodzimy do zupełnie obcego człowieka i zwieramy się z najskrytszych sekretów?

– Właśnie dlatego. Nie zawsze umiemy rozmawiać o trudnych sprawach z najbliższymi.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Bo nie chcemy ich ranić? Bo chcemy ich ochronić przed stroną naszej natury, z którą nie do końca się zgadzamy? Masz ochotę na coś słodkiego?

Weszli do cukierni, w której sprzedawano wyłącznie jeden rodzaj ciastek. Były to ukochane przez Francuzów okrągłutkie makaroniki. We wszystkich kolorach tęczy, napęczniałe, przypominające kolorowe bezy, wypełnione słodkim kremem. Za szklaną ladą prezentowały się niezwykle apetycznie.

– Jaki smak państwo sobie życzą? – zapytała młoda czarnoskóra sprzedawczyni.

– Poproszę orzechowy i pistacjowy – odpowiedziała Joanna po angielsku.

– A dla mnie kokosowy i karmelowy.

Sprzedawczyni wyjęła spod lady torebki z przezroczystego celofanu, następnie założyła na dłonie bielusieńkie, bawełniane rękawiczki i ostrożnie, z prawdziwym namaszczeniem, zaczęła wkładać kolejne ciastka do torebek.

– Proszę. – Podała je Piotrowi.

– Wyglądają jak dzieła sztuki. Aż szkoda je jeść! – westchnęła Joanna, zbiegając po kamiennych schodach prowadzących nad zatokę.

Usiedli na ogromnych płaskich kamieniach, które leżały na plaży, wyrzucone przez morze. Zdjęli buty, pozwalając, by chłodna woda delikatnie łaskotała ich stopy. Było gorąco, ale nie upalnie.

Zaledwie kilka kroków od nich na kamienie wdrapywali się chłopcy, którzy po dojściu na szczyt wskakiwali prosto w paszcze głodnych, wściekłych fal. Malcy byli szczupli, o ciemnych kręconych włosach opadających na kościste ramiona. Ich ciała były już mocno opalone, co oznaczało, że muszą mieszkać w tych okolicach, ciesząc się słońcem i morzem każdego dnia.

– Piotr, tak się cieszę, że mnie tu zabrałeś.

– Jest pięknie, prawda? – powiedział, podziwiając zatokę.

– I mam cię tu tylko dla siebie. Nikt nie dzwoni, nie wychodzisz do pracy. Ani ja. Nie mamy tu żadnych znajomych, ale mamy siebie. I to jest cudowne.



Szli w stronę Èze, które z daleka wyglądało jak bajkowy zamek. Na samym szczycie malowniczo położonej góry znajdowało się średniowieczne miasteczko, do którego tłumnie ściągaly autokary wycieczek. Minęli parking, który pękał w szwach od azjatyckich turystów. W sklepiku u podnóża góry kupili dwie butelki z wodą mineralną. Upał coraz bardziej dawał się we znaki.

Do miasteczka znajdującego się na wzgórzu prowadziła jedna, dość wąska uliczka. Kręte chodniki wyłożone były płaskimi kamieniami, wydeptanymi przez czas. Wąskie domy, które mijali, w większości zamienione zostały w sklepiki lub kawiarnie, w których znalezienie wolnego miejsca o tej porze dnia graniczyło z cudem. Ludzie krążyli w górę i w dół, z trudem wymijając się w ciasnych uliczkach. Na samym szczycie znajdował się ogród botaniczny, otwarty do zwiedzania, jednak upał był tak uporczywy, że Joanna poprosiła, by zeszli niżej, odpocząć w cieniu bocznej uliczki. Usiedli na murze okalającym szczyt, skąd rozciągał się widok na zatokę i morze.

– Nasza plaża, poznajesz? – spytała, ocierając z czoła drobinki potu.

Spojrzał w dół. Pola porośnięte na przemian oliwkami i winoroślą ciągnęły się szerokim pasmem spadającym do doliny, na końcu której przejeżdżał właśnie pociąg. Niebo było jaskrawe, rozświetlone pełnym słońcem, które wyciskało z oczu łzy.

– Załóż okulary, inaczej oślepniesz. – Podała mu jego ciemne okulary, które wyjęła z torebki.

Poprawiła kapelusz, skutecznie chroniący jej głowę przed niemiłosiernym skwarem.

Dopiero teraz zauważyli siedzącą na kamieniu staruszkę. Była pochylona w bok, jak lalka osuwająca się na oparciu kanapy.

– Myślisz, że powinienem jej pomóc? – zapytał Piotr, ale nim Joanna zdążyła odpowiedzieć, zobaczyli inną kobietę, która podeszła do niej szybko.

– No i jak, mamó? – zapytała. – Podoba ci się tu, co?

– Tak... – wykrztusiła staruszka, nie podnosząc nawet głowy.

– Dobrze się czujesz? Wszystko w porządku?

– Tak... – jęknęła.

– To świetnie. Widzisz, mówiłam ci, że będzie upalnie, ale uparłaś się. Przyjeżdżamy tu co roku i ciągle ci mało tych widoków.

Joanna odwróciła głowę i spojrzała w kierunku gór, które wbijały się w kontynent szerokim, nierównym pasmem.

– Jak można przywozić tutaj kogoś w takim stanie, i to w taki upał?! To kompletnie nieodpowiedzialne – mruknęła, kręcąc głową z wyraźnym niesmakiem. – Zrobiłbyś coś takiego swojej matce?

– Gdyby się uparła, pewnie niewiele miałbym do powiedzenia.

– Wydaje mi się, że czasami powinniśmy podejmować decyzje za innych. Oczywiście, jeśli nam na nich zależy.

– A co, jeśli ta staruszka miała taką potrzebę? Z tego, co mówiła tamta kobieta...

– Błagam cię. Jest plus trzydzieści dwa stopnie, jesteśmy na szczycie. Ja ledwo dyszę, a co dopiero ta pani!

– Pewnie przyjeżdża tu z sentymentu – uspokajał ją Piotr. – Może boi się, że zobaczy to miejsce ostatni raz.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby ten dzień nastąpił właśnie dzisiaj. Widziałeś, jaka była blada?

– A może tak właśnie zaplanowała sobie swoją śmierć? – zapytał na głos.

– A może nie ona, tylko jej córka?

– Nie żartuj.

– Mówię poważnie. Jeśli jest upierdliwą staruszką, która całej rodzinie codziennie daje nieźle popalić,

to wcale nie zdziwiłabym się, że wszyscy mają jej dość. Może specjalnie organizują jej takie ekstremalne atrakcje, licząc na to, że serce któregoś razu nie wytrzyma.

– Mogłabyś tak?

– Nie wiem. – Zamyśliła się. – Przypominam sobie moją babcię. Dożyła dziewięćdziesiątki, ale zapewniam cię, że jakość jej życia była nie do pozazdroszczenia. Na szczęście nie męczyła się długo, kiedy koniec wreszcie nadszedł; miała szybką śmierć.

– Ale ty jej w tym nie pomogłaś, mam nadzieję?

– Bardzo śmieszne.

Spojrzała w stronę miejsca, gdzie ostatni raz widzieli siedzącą staruszkę, ale już jej tam nie było.

– Wracajmy – poprosiła poważnym głosem Joanna. – Marzę o zanurzeniu się w naszym basenie.



Uwielbiali pływać nocą.

Nad drzwiami wejściowymi do ich domu zapalali tylko jedną lampkę, tak by basen pogrążony był w półmroku. Zrzucali z siebie ubranie i wskakiwali do wody zupełnie nago. Woda była granatowa i nadal bardzo ciepła. Wzgórze po drugiej stronie ich posesji było czarne, tajemnicze i groźne, a mimo to czuli się bardzo bezpiecznie. Czasem tylko późną nocą słyszeli dziwne ujadanie w oddali, jakby wycie dzikich psów, których przecież tutaj nie było.

Po nocnej kąpieli siadali przy stoliku w ogrodzie, zapalali świeczkę i pili kawę. Pozwalali, by woda spływała im z ciał otulonych ręcznikami. Boso wracali do sypialni, nie zabierając ze sobą nawet filizanek, które zostawały na noc w ogrodzie.

Spali przy drzwiach szeroko otwartych, wychodzących z jednej strony na morze, a z drugiej na ich basen.

– Tylko ty umiesz mnie tam dotykać w taki sposób, Piotr – szeptała Joanna w ciemnościach.

Leżeli spleceni niczym warkocz. Jej nogi oplatały jego łydki, jego dłoń spoczywała na jej miękkim i ciepłym biodrze. Całował jej piersi, czule i wolno. Pod palcami czuła bicie jego serca, jego skóra drgała na szyi; widziała to w blasku księżyca, który zaglądał przez otwarte okno.

Całowała jego czoło.

– Masz już zmarszczki – mówiła, uśmiechając się. – Mam nadzieję, że to nie od zmartwień.

– W tej chwili nie martwię się absolutnie niczym – odparł.



Rankiem następnego dnia postanowili pojechać do miasteczka odległego o jakieś piętnaście kilometrów.

– Mają tam piękną plażę i targ z pysznym jedzeniem – powiedziała im wcześniej Irena, która przychodziła do ich willi co drugi dzień, żeby posprzątać i podlać kwiaty w ogrodzie. – Najlepiej będzie pojechać tam pociągiem, stacja jest tuż za sklepikiem.

Joanna wrzuciła do torby krem do opalania, butelkę z wodą i ręczniki na plażę. Torba była duża,



pleciona z kolorowych sznurków, ze skórzanymi rączkami. Kupiła ją na ulicznym bazarze pierwszego dnia po przyjeździe.

Jechali pociągiem, który włókł się niemiłosiernie wzdłuż wybrzeża. Patrzyli na mijane z prawej strony morze i na góry wznoszące się nad torami. Białe skały spoglądały na nich groźnie i obco. Siedzieli przy otwartym oknie, ciepły wiatr, ku ich zadowoleniu, smagał ich opalone policzki. Nagle pociąg wjechał w ciemny tunel, w środku zapaliły się automatycznie jarzeniówki. Zrobiło się nieco chłodniej, ale już po chwili upał powrócił wraz ze słońcem. Kiedy wyjeżdżali z tunelu, zauważyli w dole niewielkie miasteczko, które wrzynało się w morze łapczywie i zachłannie. Domy stawiano tam niebezpiecznie blisko fal, zupełnie jakby sztormy i burze morskie nigdy tu się nie zdarzały.

Wysiedli na niewielkiej stacyjce, zupełnie opustoszałej.

Asfalt, gorący i suchy, pachniał smołą. Przeszli na drugą stronę ulicy i, odnalazłszy drewnianą tabliczkę z napisem „La Plage”, zeszli wąwozem wysadzonym po obu stronach grubymi pnączami tajemniczych roślin, których nazw nie znali. Ścieżka, początkowo piaszczysta i zupełnie sucha, nagle zamieniła się w ciemny tunel. Schodzili, zostawiając w tyle wysokie kaktusy kwitnące na różowo po obu stronach doliny. Pnącza przypominające rdzawe węże zakończone były drobnymi listkami, wąskimi i gładkimi jak języki. Wokół pachniało wilgocią i leśną ziemią, choć przecież w pobliżu nie było żadnego lasu. Usłyszeli głośne krzyki dzieci, które bawiły się w strumieniu tryskającym wprost ze skały. Wskakiwały pod niewielki wodospad i uciekały spod niego natychmiast, przerażone lodowatym chłodem wody. Mimo to po chwili wracały i wszystko zaczynało się od nowa.

– Zabawa na całego – podsumował Piotr, przechodząc obok roześmianych dzieci.

– Najpiękniejszy czas – dodała Joanna.

Plaża znajdowała się za najbliższym zakrętem. Była kamienista i sucha, pozbawiona najmniejszej choćby roślinności. Kamienie leżące najbliżej morza wyglądały, jakby zrzuciła je tu przedpotopowa lawina, która wieki temu osunęła się ze szczytów. Im bliżej morza, tym kamienie były coraz mniejsze.

Podeszli jak najbliżej wody i w miejscu, gdzie kamyki były wielkości grubego piachu, rozłożyli ręczniki. Joanna szybko zdjęła sukienkę i wbiegła do morza.

– Pięknie, pięknie, tu jest najpiękniej! – wołała, wychylając się nad lazurową tafelę wody.

Piotr pomachał do niej i wyjął tubkę z kremem; wycisnął go obficie na dłonie i zaczął wsmarowywać w skórę.

Rozejrzał się po plaży. Wokół nie było tłoczno, wszyscy byli jakby senni, przyklejeni lenistwem do wyblakłych ręczników, na których leżeli nieruchomo. Najwyraźniej tłum miał dopiero nadejść.

Na białym plastikowym fotelu o nogach mocno zapadających się w piasek siedziała sporych rozmiarów kobieta, której wzrok utkwiony był w czubku palca mocno wyprostowanej prawej ręki. Palec wskazywał sugerowane położenie parasolki, którą na razie trzymał w dłoniach chudy i blady mąż owej damy. Kobieta zdecydowanym ruchem wskazywała mu najlepszy punkt do wbicia. Mężczyzna kręcił głową i mimo wyraźnych instrukcji wbijał parasolkę po swojemu, czyli w zupełnie innym miejscu niż to wskazywane przez żonę. Kobieta, widząc to, kręciła głową z niesmakiem i obrażona odwracała wzrok. Wyraźnie poirytowany małżonek wbił ostatecznie parasolkę byle gdzie i poszedł pływać. Kobieta w tym czasie wstała i krzycząc w niezrozumiałym dla Piotra języku, wyrwała parasolkę z piachu i przeniosła ją bliżej swojego fotela. Zachwycona cieniem, który ta rzucała na piasek, wróciła do swojego fotela i usiadła zadowolona i szczęśliwa.

Z nieba lał się żar, który jednak tu, nad samym morzem, nie był tak dokuczliwy jak w miasteczku. Powietrze było mokre i słone.

Joanna usiadła obok Piotra na ręczniku, który zdążył już się nieco ogrzać na słońcu. Jej ciało było wilgotne i ciepłe. Miała zadyszkę, ale z każdą chwilą jej oddech uspokajał się. Siedziała przodem do

morza. Patrzył na jej plecy. Woda spływała z włosów zebranych z tyłu głowy w gruby kucyk.

– Widziałam z morza całkowicie białą plażę, na której rosną wysokie palmy – powiedziała, łapiąc oddech. – Jak tylko odpocznę, pójdziemy tam, dobrze?

Skinął głową.

– I bazar, o którym mówiła nasza gospodyni – ciągnęła, kładąc się płasko na ręczniku. – Z daleka widać tłum, który porusza się wolno jak lawa. Musi być ogromny.

– Masz ochotę coś sobie kupić?

– Mam ochotę powłóczyć się i poszukać czegoś, co wpadnie mi w oko. Wskakuj do wody.

Obiad zjedli w maleńkiej restauracji, która położona była na jednym ze skalnych stopni. Usiedli na tarasie w głębokim cieniu, który dla ich spalonych słońcem ciał był niczym balsam.

– Masz czerwony nos. Mówiłam, żebyś się posmarował.

W dole jasne fale rozbijały się o brzeg. Piotr patrzył na ten krajobraz odległym, sennym wzrokiem.

– To wszystko jest takie nierzeczywiste, bajkowe, aż trudno uwierzyć, że przytrafiło się właśnie nam – powiedziała Joanna, wyjmując spod stolika kartonowe pudełko.

– To prawda – odpowiedział, odetchnąwszy. – Wakacje powinny być obowiązkowe dla wszystkich, co najmniej raz w miesiącu.

– I koniecznie tutaj. *Vive la France!* – zawołała Joanna, unosząc kieliszek wina.

Mężczyzna siedzący samotnie przy stoliku obok, słysząc jej toast, uśmiechnął się i na znak solidarności również uniósł swój kieliszek. Posłała mu serdeczny uśmiech.

– Co tam masz? – zapytał Piotr, spoglądając na pudełko, które wciąż zamknięte spoczywało na jej opalonych kolanach.

– Mój skarb upolowany na bazarze.

Jej głos był radosny, świeży, pełen młodzieńczej werwy. Patrzył na jej twarz, która promieniała z każdą chwilą coraz bardziej, gdy zdejmowała wieczko pudełka. Blask jej oczu był porażający, śmiała się całą twarzą, każdym centymetrem skóry, jak nigdy wcześniej. Mówiła do niego, wyjmowała z wnętrza pudełka buty, na które Piotr nawet nie spojrzał. Najważniejsza była jej radość, od której nie mógł oderwać oczu.

Wokół stolików stały ogromne donice z rdzawej terakoty, pękate i okrągłe niczym dynie; bladozielone agawy ledwie się w nich mieściły. Rośliny wystawiały napęczniałe sokiem łodygi w stronę nieokiełznanego słońca, niemal rozsadzając za ciasne donice. Nad ostrymi kolcami, sterczącymi z liści sztywno, jakby zagubione i przestraszone przefrunęły zniecka dwie osy, które nie znalazłszy niczego, co mogłoby je zainteresować, powoli odleciały w kierunku morza.

– Jestem taka szczęśliwa! – westchnęła Joanna, chowając buty do pudełka. – Taka szczęśliwa, jak nigdy przedtem.

„Gdybym tylko umiał zatrzymać to szczęście w tobie na dłużej”, pomyślał Piotr i odwrócił głowę w stronę zatoki, z której wypływał właśnie jacht biały jak lodowiec.



Nie mógł zasnąć.

Okrył nagie ciało Joanny prześcieradłem i wstał z łóżka. Najciszej jak tylko potrafił, wyszedł na taras i usiadł w fotelu. Patrzył na morze, czarne i tajemnicze.

Po jego prawej stronie, tu gdzie zaczynała się zatoka, dostrzegł jacht, ogromny i płaski jak zółw.

Rozświetlały go jasne okienka, błyszczące niczym gwiazdy. Na jachcie ktoś urządził przyjęcie, wesołe krzyki gości niosły się daleko ponad morską taflą. Ludzie bawili się w środku nocy, cieszyli się latem, życiem. Nagle ktoś stanął na rufie jachtu i wskoczył do wody. Chwilę później kolejni goście poszli jego śladem.

Piotr przeszedł przez sypialnię, w której spała Joanna. Usiadł na brzegu basenu, po czym zanurzył się w wodzie.

Samotna kąpiel nocą była jak wędrówka po ciemnym lesie, niewiele widział, płynął właściwie na oślep.

Nie mógł przestać myśleć o Joannie, która zmieniła się tak bardzo, że nie poznawał w niej swojej żony. Widział radość, którą tryskała każdego dnia. Pomyślał, że to słońce i morze musiały tak na nią działać; że to lato, które łagodziło nerwy i humory. Złe wspomnienia blakły jak zdjęcia wystawione na działanie promieni słonecznych, po prostu znikwały.

Przypomniało mu się, jak podczas późnego śniadania, które jedli na rozgrzanym słońcem tarasie, patrzyła na mrówki, równym rzędkiem zmierzające po kawałek rogalika, który jej upadł i leżał na ziemi obok nogi drewnianego stołu.

– Popatrz, Piotr, jak to jest, że te małe mrówki wiedzą dokładnie, dokąd idą i po co, a ja nie wiem.

Przestawała być zazdrosna, nie robiła mu najmniejszych wyrzutów. Stała się łagodna i czuła jak dawniej, kiedy chodzili po parku z ciasno splecionymi dłońmi.

Widział, że tabletki, które przepisał jej lekarz, regularnie znikwały z białej plastikowej butelki. Joanna zostawiła ją któregoś wieczoru przez nieuwagę w łazience.

Nie rozmawiali o jej leczeniu, unikała tego tematu jak ognia, a Piotr starał się uszanować jej podejście. Początkowo było mu trudno, w końcu sam pomagał innym wyjść z kłopotów emocjonalnych, choć nie miał uprawnień do przepisywania leków. Bolało go, że nie był w stanie pomóc własnej żonie, która zresztą tej pomocy u niego nie szukała. Nie chciała, by ją leczył. Pragnęła, by był jej mężem, wspierającym i cierpliwym.

Kochał ją. Bez względu na jej charakter, kochał, gdy była wściekła i wtedy, gdy śmiała się do przepływających po niebie obłoków. Była jego kobietą i chciał, żeby ten stan nie zmienił się już nigdy. Był jej oddany, wierny i tolerancyjny, bez względu na to, co tak naprawdę o nim myślała.

Powtarzał sobie w kółko: przecież nie była zła. Wpadała od czasu do czasu w histerię, nie panowała nad sobą, ale nie była zła.

Nagle poczuł, że woda robi się coraz chłodniejsza. Podpłynął do brzegu basenu i powoli, wspierając się na ramionach, wyszedł z wody.

Noc była cicha i gorąca.



Na skalistej plaży ukrytej w dole miasteczka przebywało zaledwie kilka rodzin z dziećmi. Ci, którzy przyszedli wcześniej rano, rozłożyli swoje koce i bambusowe maty w cieniu wysokich sosen, które dawały ukojenie od skwaru. Jeśli przyszło się w południe, tak jak Piotr z Joanną, wolne miejsca zostały już tylko wprost na plaży, gdzie cień można było znaleźć wyłącznie w pobliżu wysokich kamieni. Skały były gorące, a morze chłodne, co tworzyło idealną harmonię.

Rozłożyli swój koc w miejscu, gdzie morska bryza łaskotała kamienie.

Joanna zdjęła sukienkę i pobiegła do morza. Ochlapała wodą ramiona, po czym wskoczyła prosto w nadchodzącą falę. Piotr tymczasem zdjął podkoszulek i położył się twarzą do słońca. Czuł się zrelaksowany i wolny, jego myśli były spokojne, przepływały przez głowę powoli jak obłoki po niebie. Obiecał sobie, że po powrocie do pracy będzie swoim pacjentom przepisywać wypoczynek nad morzem jako element niezbędny w każdej kuracji. Cisza nieba, dźwięk cykad śpiewających w koronach sosen i rytmiczność fal uderzających o kamienie leżące na brzegu sprawiały, że wszystkie kłopoty odpływały, stawały się odległe jak gwiazdy. Wszystko było piękne i prawdziwe, na wyciągnięcie ręki.

Poczuł na brzuchu delikatny dotyk dłoni Joanny; ociekała wodą. Otworzył oczy.

– Morze jest cudowne. Nie idziesz pływać?

– Za chwilę – odpowiedział, siadając.

Młoda kobieta w błękitnym jednoczęściowym kostiumie pochylała się nad dzieckiem, któremu podała lizaka. Dziecko łapczywie wyrwało go jej z ręki i od razu włożyło do buzi. Kobieta uśmiechnęła się do niego. Jasne włosy opadały jej spod białego kapelusza na opalone ramiona.

Kątem oka zauważył, że Joanna podąża za jego wzrokiem.

– Dlaczego my nie mamy dzieci? – zapytała.

Zaskoczyło go jej pytanie.

– Wiesz, pomyślałem o tym samym.

– Naprawdę?

Skinął głową.

– Prawda jest taka, że mężczyzna nie zauważa innych dzieci, dopóki nie pojawią się jego własne.

– Właśnie widzę. Piotr?

– Tak?

– Myślisz, że byłabym dobrą matką?

– Jestem tego pewien.

– Ja nie jestem.

– Nie przejmuj się. To normalne, że się boimy.

– Skąd wiesz?

– Z praktyki zawodowej chociażby.

Odwróciła się na brzuch i zamknęła oczy.

– Miałaś już takie pacjentki? – zapytała, odwracając głowę w stronę morza.

– Być może.

– I co one ci mówiły?

– To samo, co ty. Że boją się zostać matkami, ogarnia je panika na samą myśl o porodzie, nie mówiąc już o całym procesie wychowania. Nie czuły się pewnie, a wręcz uważały, że nic jeszcze o życiu nie wiedzą, więc jak mają niby uczyć swoje dzieci tego, jak żyć?

– Czułam dokładnie to samo, Piotr.

– Czułaś...?! Mówisz o tym w czasie przeszłym?

– Aż do teraz. Patrząc na nich, na tę młodą matkę i jej dziecko, ogarnęło mnie takie dziwne przeświadczenie, że nie ma się czego bać. Pierwszy raz to poczułam, Piotr. Myślisz, że jestem nawiedzona?

– Myślę, że po prostu przyszedł ten właściwy moment.

– Akurat teraz, tu, na tej obcej plaży?

– Tak to się właśnie dzieje.

– Boże...

Usiadła na kocu i pozwoliła, by łzy płynęły jej po policzkach.

Tymczasem młoda dziewczyna w niebieskim kostiumie podeszła do przycumowanej do brzegu drewnianej łódki. Podniosła na rękach swoje dziecko i ostrożnie włożyła je do łódki, po czym zaczęła się z nim przekomarzać, że ono odpływa, podczas gdy ona zostaje na plaży. Dziecko zaczęło krzyczeć, więc szybko wskoczyła do środka. Uspokoiło się natychmiast. Drewnianym wiosłem zdecydowanie odepchnęła łódź od brzegu i odpłynęła w stronę cypla.

Kiedy Piotr odwrócił głowę w stronę Joanny, zobaczył ją po raz kolejny wskazującą w wysoką, pienistą falę.

Oparł głowę o skałę i zamknął oczy.



Szli brzegiem morza. Słońce zachodziło już nad zatoką, obejmując szerokim pomarańczowym ramieniem horyzont, na którym płynęły samotne jachty. Pobliskie wzgórza z każdą chwilą stawały się coraz bardziej ponure i zimne.

– Trzeba wracać, Piotr – powiedziała, wtulając się w jego ramiona. – To nasza ostatnia noc w tym miejscu.

– Jeszcze tu wrócimy. Nie raz.

– Ale to już nie będzie to lato.

– Będzie inne, może ciekawsze?

– Powiedz, tęskniłeś za Warszawą? – zapytała. – Czy gdybyś mógł, zostałbyś tu na zawsze?

– Przypominam ci, że nie znam francuskiego...

– Może zmieniłbyś zawód?

– Na jaki?

– Mógłbyś zostać rybakiem – stwierdziła.

– Chciałabyś być żoną rybaka?

– Może i chciałabym. – Uśmiechnęła się. – Może właśnie wtedy bylibyśmy najszczęśliwsi?

– Jesteśmy szczęśliwi i bez tego.

Wtuliła się w jego ramiona. Patrzyła na wodę w zatoce. Fale pluskały cicho, uderzając o skalisty brzeg. Nigdy nie pływali w tym miejscu, dno wydawało się głębokie i niebezpieczne.

– Czuję się, jakbym wracała z sanatorium, jakbyś zabrał mnie w te strony na leczenie z jakiejś tajemniczej choroby.

– Czujesz się wyleczona?

– Tak. Tak właśnie się czuję.

– Cieszę się, że udało ci się odpocząć.

Wrócili do willi, żeby dokończyć pakowanie.

Joanna wyjmowała z szafy równo poukładane ubrania, których nie zdążyli założyć podczas krótkiego pobytu.

– Zapomniałam, że w ogóle wzięłam je ze sobą – powiedziała rozczarowana, wkładając do walizki jedwabną sukienkę w pomarańczowe groszki. – Czas tak szybko uciekł.

Piotr pomógł jej zapiąć jedną z dwóch walizek. Zapakowali do niej ozdobne ręczniki, które kupili w prezencie dla rodziców Piotra, i album fotograficzny z Prowansji dla Agaty. Joanna nie planowała przywieźć żadnej pamiątki Monice, nie czuła takiej potrzeby, ale śpioszki w jasnoniebieskim kolorze,



które zobaczyła na wystawie sklepowej, same ją skusiły. Były uszyte z niezwykle delikatnego aksamitu, którego chciało się dotykać bez przerwy.

Do drugiej walizki, w połowie pustej, wrzucili jedynie podręczne przedmioty. Kosmetyki i pizamy zamierzali spakować z samego rana, tuż przed wyjazdem na lotnisko.

– Nie zapomnij nastawić budzika – przypomniała Joanna, kładąc głowę na poduszce.

Pocałował ją z czułością w usta.

Zanim zasnął, długo patrzył przed siebie, w pustą ciemność, która nie wydawała z siebie najmniejszego dźwięku. Cisza była milcząca i głęboka jak jego myśli. Błądził w nich jak ślepiec, który podczas długiego spaceru połamiał laskę, ale był zbyt dumny, by poprosić o pomoc.

Zamknął oczy i pozwolił, by zawładnął nim sen.

Jutro miał przecież nadejść zupełnie nowy dzień.

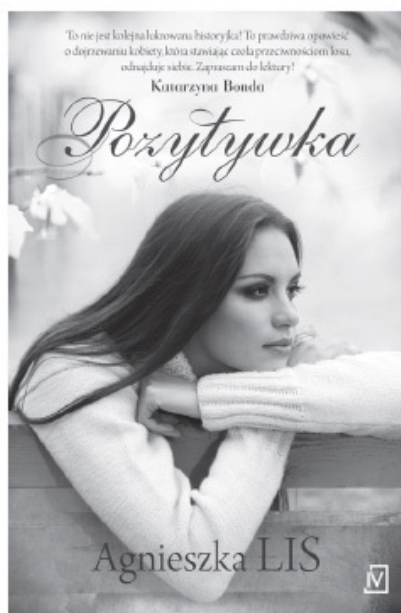
Koniec

**Życie pełne jest  
niespodziewanych zbiegów okoliczności...**



Anna wyjechała z Polski dwadzieścia lat temu. Mieszka w Londynie. Ma męża Anglika, przy boku którego prowadzi spokojne, ustatkowane życie. Pewnego dnia odbiera telefon od dawnej przyjaciółki z Krakowa szukającej wakacyjnej pracy dla swojego syna. Wojtek właśnie dostał się na uniwersytet i chce zarobić na studia. Anna postanawia zatrudnić chłopaka do pomocy w remoncie starego domu odziedziczonego przez jej męża. I choć Wojtek przylatuje do Anglii razem ze swoją dziewczyną, życie napisze dla całej trójki zupełnie inny, zaskakujący scenariusz. *Angielskie lato* to przepiękna i wzruszająca opowieść o skrywanych tęsknotach i niespodziankach, które oferuje nam los.

## Gdy cichną weselne dzwony, nadchodzi proza życia



Monika nie wierzy własnemu szczęściu. Wystawny ślub, którego zazdrości jej cała wieś, bogaty i przystojny mąż oraz wspaniałe życie w okazałej willi teściów na warszawskim Żoliborzu. Wielkie miasto otwiera przed dziewczyną nowe możliwości, ale kryje też wiele pokus. Coraz częściej ulega im Robert, który nawet w oczach żony przestaje być księciem z bajki. Młodych łączy jednak marzenie o dziecku. Gdy więc w wigilijny wieczór Monika ujawnia rodzinie wynik testu ciążowego, nic jeszcze nie zapowiada tragedii...

„Pozytywka” to słodko-gorzka opowieść o marzeniach, które potrafią się spełniać w zaskakujący sposób. O samotności pośród ludzi, którzy nie potrafią ze sobą rozmawiać. Wreszcie o stracie, która wyzwala najgorsze instynkty, ale też wielką siłę.

**Nikt nie może być gwarantem twojego szczęścia.**

**Szczęście jest w Tobie...**



Natasza rozpoczyna kolejny rozdział w swoim życiu. Kobieta nie może mieć jednak pewności, że los pisze dla niej szczęśliwe zakończenie. Po rozliczeniu z przeszłością bohaterka załamuje się. Jest samotna, nie ma siły, by zmobilizować się do działania. Kiedy jest o krok od powrotu do nałogu, otrząsa się z marazmu. Postanawia nie zostawiać przyszłości w rękach losu i zawalczyć o siebie. Rzuca się w wir pracy, zakłada fundację, która ma pomagać kobietom. Skleja połamane życie: odnajduje dawne znajome, nawiązuje nowe przyjaźnie. Jednocześnie będzie jednak musiała odpowiedzieć sobie na pytania: Czy związek z eksmężem może się udać? Czy warto dwa razy wchodzić do tej samej rzeki? Książka Karoliny Wilczyńskiej to kontynuacja bestsellerowej powieści „Jeszcze raz, Nataszo”, którą pokochały polskie czytelniczki.

# SPIS TREŚCI

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[\\* \\* \\*](#)

[Polecamy](#)